

Pajęczyna

Kellerman Jonathan



calibre 0.9.27

Jonathan Kellerman

Pajęczyna

(The Web)

Przekład Ewa Westwalewicz-Mogilska

Dla mojej córki Alizy

Rekin w doku nie sprawiał wrażenia potwora. Sto dwadzieścia centymetrów długości, prawdopodobnie przydenny padlinożerca rafowy. Jednak jego martwe białe oczy zachowały groźny wyraz, a szczęki były naszpikowane ostrymi zębami, dzięki czemu miał wartość dla dwóch mężczyzn o okrwawionych rękach.

Byli to spaleni na brąz, muskularni, flegmatyczni Anglosasi. Jeden trzymał rybę za skrzela, a drugi opraciał ją nożem. Szare deski pokrywał śluz. Robin spoglądała ponad dziobem, podczas gdy „The Madeleine” zawijała do przystani. Widząc tę rzeź, odwróciła wzrok.

Chwyciłem smycz Spike’a.

Był to ważący czternaście kilo czarno cętkowany buldożek francuski o uszach jak nietoperz i tak płaskiej mordce, że nie mógł pływać. Od szczeniaka unikał wody. Dlatego też obydwój z Robin obawialiśmy się sześciogodzinnej rejsu z Saipan, ale pies nauczył się stąpać po pokładzie szybciej od nas, dokładnie zlustrował stary jacht z tekowego drewna, a następnie zasnął w miłych promieniach słońca Pacyfiku.

Podczas podróży mieliśmy na względzie głównie jego dobro. Sześć godzin spędzonych w klatce w luku bagażowym podczas lotu z Los Angeles do Honolulu przyprawiło go o wstrząs nerwowy. Czułe przemowy i kawałek mięsa pomogły mu dojść do siebie i w kondominium, gdzie zatrzymaliśmy się na ponad trzydzieści godzin, radził sobie zupełnie dobrze. Potem znów do samolotu, na prawie osiem godzin, żeby dolecieć do Guam, godzina na lotnisku pełnym żołnierzy, marynarzy i urzędników rządowych niższej rangi, a następnie czterdziestominutowy rejs promem do Saipan. Tam, w zatoce, spotkał nas Alwyn Brady i zabrał razem z całym ekwipunkiem w ostatni etap podróży do Aruk.

Brady wprowadził pięciometrową łódź przez cieśninę, omijając rafę koralową. Zawiesił gumowe obijacze, by burta nie porysowała się o nabrzeże. Na głębiny woda miała barwę

ciemnoniebieską, a tu, gdzie prześwitywał piasek, srebrzystozieloną. Owa zieleń coś mi przypominała – ten sam odcień miały cadillaki z lat pięćdziesiątych. Oglądana z góry rafa była czarna jak węgiel; dookoła niej śmigały, podobne do ptaków, małe, lśniące rybki. Na pustej plaży rosło kilka palm kokosowych.

Jeszcze jeden wstrząs i Brady włączył silnik. Spojrzałem na czarne, ostre szczyty w oddali. Blżej, ponad małymi, pobielonymi domkami i wąskimi drogami, które wiły się niczym poplątane sznurowadła, wznosiły się łagodne brązowe wzgórza. Bardziej na północ kilka drewnianych magazynów i stacja benzynowa z pojedynczą pompą stanowiły centrum handlowe wyspy. W popołudniowym słońcu lśniły blaszane dachy. Jedyne napis, jaki zdołałem przeczytać, głosił: PLACÓWKA HANDLOWA CIOTKI MAE. Ponad nim wisiał stary talerz telewizji satelitarnej.

Robin położyła mi głowę na ramieniu.

Jeden z majtków Brady'ego, chudy, czarnowłosy chłopak, przycumował łódź.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział.

Kilka sekund później pojawił się Brady. Przesuwając czapkę na tył głowy krzyknął, żeby załoga zaczęła rozładunek. Ten krępy pięćdziesięciolatek, o twarzy prawie tak płaskiej, jak pysk Spike'a, szczycił się swoim na wpół irlandzkim, na wpół wyspiarskim pochodzeniem i był gadatliwy niczym pracujący na nocną zmianę disc jockey. Podczas podróży kilkakrotnie powierzał koło sterowe jednemu z członków załogi i schodził na pokład, aby zrobić nam wykład na temat Yeatsa, Joyce'a, witamin, nawigacji bez przyrządów, wędkarstwa sportowego, rzeczywistej głębokości Rowu Mariańskiego, geografii politycznej i historii wyspy. Przy każdej okazji wspominał też doktora Morelanda.

– Prawdziwy święty. Oczyszczył wodę. Zaszczepił dzieci. Jak ten Niemiec Schweitzer. Tylko, że doktor Bill nie gra na organach i nie wyczynia żadnych takich głupot. Nie ma czasu na nic

poza pracą.

Teraz Brady przeciągał się i uśmiechał do słońca, ukazując kilka żółtych zębów, które mu pozostały.

– Wspaniale, co nie? Prawdziwy dar niebios. Nie przejmuj się, Orson! – Spojrzał na Spike’a.

– Wie pan, doktorze, kiedy pierwszy raz ujrzałem tę mordę, pomyślałem, że to diabeł morski.

A okazuje się, że to też żeglarz. Zaczyna się upodabniać do Errola Flynna. – Roześmiał się. –

Woda nawet krowę morską może zamienić w syrenę. A oto wasze bagaże. Nie, zostaw, Orson, udawajcie, że to wasz miesiąc miodowy. Wyładujemy je. Zaraz ktoś po was przyjedzie. O, nie mówiłem?

Wskazał głową nadjeżdżającego ze wzgórza czarnego dzipa. Samochód zwolnił przy drodze, przepuścił przechodzącą kobietę, a potem podjechał do nas i zatrzymał się kilka metrów od miejsca, gdzie oprawiano rekina. To, co z niego pozostało, przedstawiało żaloszny widok.

Mężczyzna z nożem oglądał zęby swojej zdobyczy. Ten trzydziestoletni człowiek miał wielką, nalaną twarz, żółte, słabe włosy opadające na czoło i tatuaże na ramionach. Przeciągając palcem wzdłuż dziąseł rekina, podał nóż swemu towarzyszowi, niższemu, nieco starszemu mężczyźnie z ciemnym zarostem, o kręconych włosach barwy mosiądzu i owłosionym ciele, który beznamiętnie zabrał się do płetwy grzbietowej.

Brady wysiadł z łodzi i stanął na nabrzeżu. „The Madeleine” lekko kołysała się na falach.

Pomógł wysiąść Robin, a ja wyniosłem Spike’a. Znalazłszy się na lądzie, pies zadarł głowę, otrząsnął się, parsknął i zaczął ujadać na samochód.

Z dzipa wysiadł mężczyzna. Na jego ramieniu siedziało coś ciemnego i włochatego.

Rozjuszony Spike szarpnął smycz. Włochate stworzenie obnażyło zęby i machnęło łapą.

Mała małpka. Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi, uściśnął dłoń Brady’ego, a potem Robin i moją.

– Jestem Ben Romero. Witamy na wyspie Arak. – Trzydzieści, trzydzieści pięć lat, dość niski, krępy, o gładkiej brązowej twarzy i czarnych, krótkich, prostych włosach, rozdzielonych przedziałkiem dokładnie pośrodku. Na nosie miał okulary lotnicze. Oczy barwy palonych migdałów. Ubrany w niebieskie bawełniane spodnie i nieskazitelnie białą koszulę, która jakimś cudem nie nosiła śladów małych stóp.

Małpka szwargotała i wskazywała na Spike'a.

– Uspokój się, KiKo, to tylko pies. – Romero uśmiechnął się. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

– My także miewamy wątpliwości – powiedziała Robin. Romero zdjął małpkę z ramienia i przytulił do policzka, głaszcząc ją po mordce.

– Ty lubisz psy, KiKo, prawda? Jak się wabi?

– Spike.

– Ma na imię Spike, KiKo. Doktor Moreland powiedział, że ten piesek jest wrażliwy na upał, więc umieściliśmy w waszym apartamencie przenośny klimatyzator. Wątpię jednak, by się okazał potrzebny. Styczeń jest jednym z najprzyjemniejszych miesięcy. Zdarzają się deszcze, ale temperatura nie przekracza dwudziestu pięciu stopni Celsjusza.

– Jak tu pięknie – powiedziała Robin.

– Zawsze tu tak jest. Po zawiętrznej stronie. Wezmę wasze bagaże.

Brady i jego ludzie przynieśli nasze rzeczy i ustawili koło dżipa. Romero i ja zabraliśmy się za załadunek. Kiedy skończyliśmy, małpka stała na ziemi, głaszcząc Spike'a po głowie i szczebiocząc radośnie. Spike przyjmował te awanse z miną urażonej godności.

– Dobry pies – powiedziała Robin, klękając obok niego.

Odwróciliśmy się, słysząc śmiech. Oprawcy rekina spoglądali w naszą stronę. Robili miny i machali rękami. Niższy zatknął sobie nóż za pas i wsparł się pod boki. Miał zakrwawione

dłonie. Otarł je o szorty. Wyższy znów się roześmiał.

Spike zastrzygł uszami, a małpka zasyczała. Romero znów posadził ją sobie na ramieniu i nachmurzył się.

– Lepiej ruszajmy. Na pewno jesteście wykończeni.

Wgramoliliśmy się do dziapa. Romero zatoczył szeroki łuk, a potem wrócił na drogę wzdłuż wybrzeża. Drewniana tabliczka informowała, że to ulica Plażowa. Gdy zaczęliśmy wjeżdżać na wzgórze, obejrzałem się. Wszędzie dokoła ocean, pośród którego wyspa wydawała się bardzo mała. Załoga „The Madeleine” stała na nadbrzeżu, a mężczyźni o zakrwawionych rękach zmierzali w stronę miasta, uwożąc swoją zdobycz na zardzewiałych taczkach. Z rekina pozostała tylko mokra plama.

– Pozwólcie, że was należycie powitam – powiedział Romero. – Ahuma na ahap, co w miejscowym języku oznacza „witamy w naszym domu”.

Jechaliśmy tą samą drogą stokiem wzgórza. Krętą i nie oznakowaną, mieszczącą z trudem jeden pojazd, ze skałami po obydwu stronach. Wzgórze okazało się bardziej strome niż sądziliśmy, patrząc na nie z przystani. Za każdym razem, gdy samochód przechylał się, KiKo gderała i kurczowo chwytała się koszuli swego pana. Spike wystawił głowę na zewnątrz i spoglądał w bezchmurne niebo.

Przejeżdżaliśmy przez część handlową miasteczka. Większość budynków, łącznie ze stacją benzynową, była zamknięta. Romero mijał małe białe domki. Z bliska wyglądały nędznie, z popękanym i łuszczącym się tynkiem, z porośniętymi mchem, zapadającymi się i powypaczanymi dachami. Na obwisłych sznurkach suszyło się pranie. W piasku bawiły się nagie i półnagie dzieci. Niektóre domy były otoczone drutem, większość nie miała ogrodzeń. Kilka sprawiało wrażenie opuszczonych. Dwa wychudzone psy węszyły leniwie, nie zwracając uwagi na warczenie Spike’a.

Wyspa należała do USA, ale wyglądała jak któryś z krajów trzeciego świata. Ubóstwo częściowo maskowała roślinność – szerokolistne filodendrony, palmy, bromelie, kwitnące drzewa koralowe. Pośród zieleni budynki wyglądały jak białe jajka w szmaragdowych gniazdach.

– Jak minęła podróż? – zapytał Romero.

– Była męcząca, ale wszystko w porządku – odparła Robin. Splotła swoje palce z moimi.

Miała brązowe ogromne oczy. Wiatr wpadający przez otwarte okna dzipa rozwiewał jej loki, Iniana bluzka falowała.

– Doktor Bill chciał was powitać osobiście, ale akurat otrzymał wezwanie. Kilkoro dzieci

nurkowało na północnym wybrzeżu i zostały poparzone przez meduzy.

– Mam nadzieję, że to nic groźnego.

– Nie, ale piecze.

– Macie na wyspie tylko jednego lekarza? – spytałem.

– Prowadzimy lecznicę przy kościele. Ja jestem felczerem. Nagłe wypadki zwykle trafiają na Guam albo do Saipan, chyba że... W każdym razie nieźle sobie radzimy. Ja jestem na każde wezwanie.

– Od jak dawna pan tu mieszka?

– Całe życie, z wyjątkiem służby w straży wybrzeża i nauki w szkole medycznej na Hawajach. Tam poznałem moją żonę. Jest Chinką. Mamy czwórkę dzieci.

Wjeżdżaliśmy coraz wyżej. Nędzna zabudowa ustępowała miejsca pustym obszarom czerwonej gliny, a przystań wydawała się stąd całkiem mała. Jednak szczyty wulkanów pozostawały odległe, jakby przed nami umykały.

Po prawej stronie znajdował się mały zagajnik popielatych drzew o mocno karbowanych pniach i powyginanych, guzowatych konarach, które przypominały szarpiące niebo szpony. Z niektórych gałęzi, niczym topniejący воск, spływały dążące z powrotem ku ziemi korzenie.

– Figowce? – zapytałem.

– Tak. Drzewa dusiciele. Wystawiają te odroślą i duszą wszystko, co na swe nieszczęście rośnie w pobliżu. Pod odroślami są małe haczyki, które wczepiają się w ofiarę. Nie chcemy ich tutaj, ale rozrastają się w dżungli jak chwasty. Te mają około dziesięciu lat. Jakieś ptaki musiały przywlec nasiona.

– Gdzie jest dżungla? Roześmiał się.

– Właściwie to nie całkiem dżungla. Nie ma tam żadnych dzikich zwierząt, nic groźnego z wyjątkiem tych dusicieli. Wskazał w kierunku szczytów górskich. – Jest we wschodniej części

wyspy. Posiadłość doktora Billa przylega bezpośrednio do niej. Po drugiej stronie znajduje się Stanton – baza marynarki. – Zredukował bieg, pokonując szczególnie stromy odcinek zbocza, a następnie, hamując silnikiem, zjechał w dół przez otwarte na oścież drewniane wrota.

Droga po drugiej stronie została świeżo wyasfaltowana. Wzdłuż niej w odstępach trzech metrów rosły palmy, wznoszące się na wysokość czterech pięter. Kamienne murki ustąpiły miejsca ogrodzeniom w stylu japońskim, z ręcznie ciosanych bali sosnowych ze szpalerami płomiennopomarańczowej przytulicy. Po obu stronach ciągnęły się zadbane trawniki, a czubki drzew figowych wyglądały z oddali jak szare frędzle.

Raptem coś się poruszyło. Po lewej stronie przemknęło stadko jeleni z czarnymi ogonkami. Pokazałem je Robin, a ona uśmiechnęła się i ucałowała moje palce. Ponad nami unosiło się kilka mew; poza tym niebo było całkiem puste.

Jeszcze sto palm i wjechaliśmy na ogromne, wysypane żwirem podwórze, ocienione przez czerwony cedr, sosnę, mangowiec i awokado. Pośrodku fontanna z porośniętego algami wapienia tryskała wodą do pełnego hiacyntów basenu. Nieco dalej widać było masywny, otynkowany na jasny brąz, dwupoziomowy dom, wykończony sosnowym drewnem, z balkonami i pokryty lśniącym zielonym dachem w stylu pagody.

Romero wyłączył silnik i KiKo zsunęła się z jego ramienia, wbiegła po szerokich kamiennych schodach i zaczęła się dobijać do drzwi frontowych.

Spike wyskoczył z dżipa, pobiegł za nią i po chwili skrobał już drzwi łapami.

Robin wysiadła, aby go powstrzymać.

– Proszę się nie martwić – powiedział Romero. – To stuletnia pinia żelazna. Cały dom jest twardy jak skała. Armia japońska wybudowała go w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku, gdy Liga Narodów odebrała te tereny Niemcom i dała cesarzowi. Znajdowała się tu siedziba dowództwa.

KiKo huśtała się na kołatce, podczas gdy Spike ujadł zajadle.

– Wygląda na to, że już się zaprzyjaźnili. Bagaże wyładuję później.

Popchnął drzwi z uczepioną kołatki małpą. W L.A. już dawno minęły czasy, kiedy nie zamykano drzwi na klucz.

Z okrągłego, wyłożonego białym kamieniem przedsionka wchodziło się do dużego pokoju frontowego o wywoskowanej podłodze z drewna sosnowego, przykrytej chińskimi kilimami, o wysokich, otynkowanych ścianach, rzeźbionym suficie z drzewa lękowego i z mnóstwem starych, wyglądających na wygodne, mebli. Na ścianach wisiały pastelowe akwarele. Storczyki w porcelanowych żardynierach dostarczały żywszych barw. Sklepione przejścia prowadziły do długich korytarzy. Z prawej strony znajdowały się dziwacznie wyglądające, przykryte czerwonym chodnikiem schody z poręczą pomalowaną farbą olejną. Prowadziły na podest piętra i znikaly z oczu.

Na wprost widoczna była ściana z dużymi oknami, przez które roztaczał się widok na tarasy, łąki i bajecznie błękitny ocean, jak z turystycznego folderu. Rafa koralowa wyglądała jak maleńki punkcik w szczerbinie przystani, a zachodni kraniec wyspy jak czubek noża, wcinający się w lagunę. Większość Aruk Village zakrywały czubki drzew. Kilka widocznych stąd domów rozsianych było po wzgórzu jak kryształki cukru.

– Ile akrów liczy ta posiadłość?

– Około siedmiuset.

Więcej niż kilometr kwadratowy. Szmata ziemi na wyspie o wymiarach dziesięć na półtora kilometra.

– Kiedy doktor Bill kupił ją od rządu, była nieużytkiem – wyjaśnił Romero. – Przywrócił ją do życia. Napijcie się czegoś?

Po chwili wrócił z tacą z puszkami coli, cytrusami, szklankami i miseczką wody dla Spike'a.

Za nim podążały dwie małe kobiety w kwiecistych podomkach i gumowych klapkach, jedna po sześćdziesiątce, druga o połowę młodsza. Obydwie miały szerokie, szczerze twarze. Starsza z nich była dziobata.

– Doktor Alexander Delaware i panna Robin Castagna – przedstawił nas Romero, ustawiając tacę na bambusowym stole, a miseczkę na podłodze.

Spike podbiegł do niej i zaczął chleptać. KiKo z uwagą, drapiąc się po małej główce.

– A to Gladys Medina – ciągnął Romero. – Szefowa kuchni i ochmistrzyni, i Cheryl, najstarsza córka Gladys, a zarazem wiceochmistrzyni.

– Gotujemy tu i sprzątamy – powiedziała Gladys. – Miło państwa poznać. – Ukłoniły się wraz z córką.

– Fałszywa skromność – skwitował Romero, podając Robin napój.

– Czego szukasz, Benjaminie? Ciasteczek imbirowych? Jeszcze nie piekłam, więc nic nie znajdziesz. Jaki to...śliczny piesek. Zamówiłam dla niego suchy pokarm. – Tu wymieniła rodzaj karmy, którą dawaliśmy Spike'owi.

– Wspaniale – ucieszyła się Robin. – Dziękujemy.

– KiKo jada w pokoju dla służby. Może pies dotrzyma jej towarzystwa? Spike leżał na brzuchu na kamiennej posadzce przy wejściu, powieki mu opadły.

– Wygląda na to, że najpierw się zdrzemnie – powiedział Romero.

– Jak sobie chce – odparła Gladys. – Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, po prostu przyjdźcie do kuchni i dajcie mi znać. – Obydwie kobiety wyszły. Cheryl nie odezwała się ani słowem.

– Gladys służy u doktora Billa, odkąd opuścił marynarkę – wyjaśnił Romero. – Pracowała jako kucharka u komendanta bazy w Stanton. Zachorowała na tyfus i doktor Bill wyciągnął ją z tego. Kiedy wyzdrowiała, wyrzucono ją z pracy, więc doktor zatrudnił ją u siebie. Kilka lat

temu zmarł jej mąż. Cheryl została przy matce. Jest trochę nierozgarnięta.

Zaprowadził nas na górę. Nasz apartament mieścił się pośrodku pierwszego piętra. Salon z małą lodówką, sypialnia i wyłożona białymi kafelkami łazienka. Na podłodze stary dywan z brązowej wełny. Ściany z boazerią z drewna lękowego. Rysunki motywów roślinnych na meblach, stoliki bambusowe. Żeliwna wanna z marmurową półką zastawioną mydłami, tonikami i podłużnymi gąbkami w plastikowych opakowaniach. We wszystkich trzech pomieszczeniach obracały się leniwie wentylatory.

Łóżko pochodziło z przełomu wieków, mahoniowe, z opartym na czterech słupach baldachimem, zaścielone białą, wykrochmaloną pościelą i przykryte narzutą z żółtego jedwabiu. Na jednym z nocnych stolików stał wazon z matowego szkła, pełen świeżo ściętych narcyzów. Na poduszce leżała kartka papieru.

Mnóstwo okien z jedwabnymi, rozsuniętymi zasłonami. Prawdziwa obfitość nieba.

– Spójrz na ten widok – powiedziała Robin.

– Japoński dowódca bazy chciał być królem gór – wyjaśnił Romero. – Ten szczyt to najwyższy punkt wyspy. – Wskazał nam czarne, skaliste turnie. – Jednakże przez calutki rok szaleją tam wichury i panuje zgniła wilgoć. – Podeszedł do okna. – Japończycy wyobrażali sobie, że góry zapewnią im naturalną ochronę przed napaścią od wschodniej strony wyspy. Niemiecki dowódca wybudował tu swój dom z tego samego powodu. Japończycy zburzyli go. Chcieli, żeby ta wyspa stała się naprawdę japońska.

Przywieźli gejsze, herbaciarnie, łaźnie, a nawet zbudowali kinoteatr tam, gdzie teraz jest centrum handlowe. W drodze pod górę mijaliśmy pola, na których stały baraki dla jeńców. Tam, gdzie teraz rosną figowce. Kiedy MacArthur zaatakował wyspę, jeńcy wybiegli z baraków i rzucili się na swych ciemężycieli. Od bombardowania i z rąk jeńców zginęło dwa tysiące Japończyków. Do tej pory można na wzgórzu znaleźć stare kości i czaszki. Wszedł do łazienki i sprawdził kurki.

– Woda nadaje się do picia. Doktor Bill zainstalował we wszystkich zbiornikach na wyspie filtry z węgla aktywnego i przeprowadzamy regularne badania bakteriologiczne. Przedtem panowały tu tyfus i cholera. Nadal jednak trzeba uważać na miejscowe skorupiaki, zawierające toksyny morskie, i na szczury, roznoszące choroby płuc. Owoce i warzywa są tu całkowicie bezpieczne. Zresztą tutaj, w domu, w ogóle nie ma się czego bać, ponieważ doktor Bill sam

wszystko uprawia. Jeśli chodzi o jedzenie poza domem, to radzę unikać baru Slim's i korzystać z Chop Suey Palace. W każdym razie moja chińska żona nie ma nic przeciwko niemu. Jacqui, właścicielka lokalu, robi czasem coś tak niezwykłego, jak na przykład zupa z piskląt.

– To dla niej przeznaczone były płetwy rekina?

– Słucham?

– Ci dwaj faceci, w przystani patroszyli rekina. Czy to było dla restauracji?

Poprawił okulary na nosie.

– Ach, oni. Nie, nie sędzę.

Nasze bagaże wniósł siwowłosy, siwobrody mężczyzna. Romero przedstawił go:

– Carl Sleet.

Kiedy służący wyszedł, Romero zapytał:

– Czy mógłbym dla was zrobić coś jeszcze?

– Chyba mamy już wszystko.

– Dobrze, w takim razie oto wasz klucz. Kolacja o szóstej. Stroje nie obowiązujące.

Wyszedł. Spike zasnął w salonie. Robin i ja weszliśmy do sypialni i zamknęliśmy drzwi, żeby nie słyszeć chrapania psa.

– No to wreszcie dotarliśmy – powiedziała Robin z westchnieniem i uśmiechnęła się.

Pocałowałem ją. Odpowiedziała mocnym pocałunkiem, a potem nagle ziewnęła i odsunęła się ze śmiechem.

– Pora na drzemkę? – zapytałem.

– Najpierw muszę się umyć. Jestem przesiąknięta solą.

– Czyli kobieta-korniszon! – Przyciągnąłem ją i polizałem. Roześmiała się, odepchnęła mnie i zaczęła rozpakowywać torby.

Wziąłem z łóżka złożoną kartkę papieru. W środku napisano odręcznie:

Dom żeglarza jest od strony morza, A dom myśliwego od strony wzgórz.

R. L. Stevenson

Proszę czuć się tu jak u siebie w domu

WWM

– Robert Louis Stevenson – powiedziała Robin. – Może to będzie nasza Wyspa Skarbów?

– Chcesz obejrzeć moją protezę?

Roześmiała się, a ja puściłem wodę do wanny. Woda była krystaliczna, czysta, ręczniki nowiuteńkie, grube jak futro.

Kiedy wróciłem z łazienki, leżała na wierzchu łóżka, naga, z rękami pod głową i z kasztanowymi włosami rozsypanymi na poduszce. Brodawki na piersiach miała brązowe i sterczące. Patrzyłem na jej wznoszący się i opadający brzuch. Na jej uśmiech.

Okna nadal były otwarte na całą szerokość.

– Nie przejmuj się – powiedziała cichym głosem. – Sprawdziłam, nikt nas nie zobaczy, jesteśmy za wysoko.

– Boże, jakaś ty piękna.

– Kocham cię – powiedziała. – Będzie cudownie.

Obudził mnie chrobot. Coś skrobało w siatkę. Szybko usiadłem i zobaczyłem ją.

Małą jaszczurkę pocierającą łapkami o siatkę w oknie.

Wyskoczyłem z łóżka i podszedłem bliżej.

Nie uciekła. Jasnobrązowe ciało nakrapiane czernią. Kościsty łeppek i nieruchome oczy.

Wpatrywała się we mnie. Pomachałem ręką. Wcale się nie przestraszyła, jeszcze raz zaskrobała w siatkę i dopiero wtedy umknęła.

Piąta po południu. Spałem dwie godziny. Robin nadal leżała skulona pod prześcieradłami.

Włożyłem spodnie i przeszedłem na palcach do salonu. Spike przywitał mnie sapaniem i wywrócił się do góry brzuchem. Pogłaskałem go, napełniłem jego miskę, nalałem sobie wody z tonikiem, wrzuciłem trochę lodu i zasiadłem przy największym oknie. Słońce wyglądało jak wielka, czerwona wiśnia, ocean nabierał srebrzystej barwy.

Poczułem się szczęśliwy, że żyję, ale jednocześnie oderwany od wszystkiego, co znałem.

Poszperałem w aktówce i odszukałem list Morelanda. Gruby biały papier z królewskim znakiem wodnym. U góry czarny, wytłoczony nadruk:

Aruk House, Aruk Island

Drogi Doktorze Delaware!

Jestem lekarzem, mieszkającym na wyspie Aruk w północnej części Mikronezji. Aruk, nazywana ze względu na jej wydłużony kształt „Nożem”, oficjalnie stanowi część Mariańskiej Wspólnoty Narodów jako samorządne terytorium USA, ale jest stosunkowo mało znana i nie figuruje w żadnych przewodnikach. Mieszkam tu od roku 1961 i uważam Aruk za cudowne i fascynujące miejsce.

Miałem szczęście trafić na pański artykuł opublikowany w „The Journal of Child Development and Clinical Practice” na temat urazów grupowych.

Przeczytawszy inne pańskie publikacje stwierdziłem, że uczoność znakomicie łączy pan ze zdrowym rozsądkiem.

Wspominam o tym, aby uczynić panu interesującą propozycję.

Od lat z górą trzydziestu obok prowadzonych badań z dziedziny przyrodoznawstwa i żywienia notowałem ciekawsze przypadki kliniczne, które napotykałem podczas swej praktyki.

Większość czasu spędzam jednak na leczeniu i nie udało mi się należycie uporządkować tych informacji.

Ponieważ starzeję się i zbliżam do emerytury, zdałem sobie sprawę, że jeżeli nie opublikuję tych danych, nauka poniesie wielką stratę. Początkowo zamierzałem uzyskać pomoc antropologa, ale później uznałem, że odpowiedniejszy będzie ktoś z doświadczeniem klinicznym w dziedzinie zdrowia psychicznego. Pańska łatwość pisania i orientacja w temacie dają mi podstawy sądzić, iż będzie pan dobrym współpracownikiem.

Przypuszczam, doktorze Delaware, że moja niespodziewana propozycja wyda się panu dziwna, ale zapewniam, że ją dogłębnie przemyślałem. Tempo życia na wyspie jest prawdopodobnie znacznie powolniejsze niż to, do jakiego pan przywykł, co samo w sobie powinno stanowić zachętę. Czy byłby pan zainteresowany pracą u mnie? Przypuszczam, że wstępne uporządkowanie materiału zajęłoby dwa, może trzy miesiące, a następnie moglibyśmy zasiąść i pomyśleć, czy nie napisać książki, monografii lub kilku artykułów do pism. Ja skoncentrowałbym się na aspektach biologicznych, a pan na psychologii. Proponuję równy udział i współautorstwo.

Jestem gotów zaoferować wynagrodzenie w wysokości sześciu tysięcy za miesiąc, a także opłacenie podróży z kontynentu oraz zapewnienie pełnego utrzymania. W Aruk nie ma hoteli, ale mój dom jest raczej wygodny i jestem przekonany, że go pan polubi. Jeżeli jest pan żonaty, opłacę podróż pańskiej małżonki, jakkolwiek nie mogę zaoferować jej żadnego płatnego zajęcia.

Jeżeli ma pan dzieci, będą mogły uczęszczać do tutejszej szkoły katolickiej, która jest na całkiem dobrym poziomie, lub mogę im zapewnić prywatne nauczanie za rozsądną cenę.

Jeżeli moja propozycja zainteresuje pana, proszę do mnie napisać lub zadzwonić na mój koszt pod numer (670) 555-3334. Nie mam oficjalnego rozkładu zajęć, ale chciałbym przystąpić do pracy możliwie jak najprędzej.

Dziękuję za uwagę.

Szczerze oddany,

Woodrow Wilson Moreland, M. D.

Powolne tempo życia... Nic w tym liście nie zapowiadało zawodowego wyzwania i w normalnych okolicznościach uprzejmie odmówiłbym. Od lat nie zajmowałem się terapią, byłem zajęty konsultacjami sądowymi, a praca Robin – konstruowanie instrumentów strunowych na zamówienie – pozostawiała jej niewiele czasu na wakacje, nie mówiąc już o takiej czteromiesięcznej idylli.

Czasem jednak, półżartem, rozmawialiśmy o ucieczce na bezludną wyspę.

Rok temu jakiś psychopata spalił nasz dom i usiłował nas zamordować. W końcu przystąpiliśmy do odbudowy i znaleźliśmy sobie tymczasowe lokum w wynajętym domu w zachodnim krańcu Malibu.

Kiedy główny wykonawca nawiał, Robin sama doglądała budowy. Szło jej dobrze, aż do momentu, gdy wszystko, jak zwykle w takich przypadkach, zaczęło się sypać. Nasz nowy dom wymagał jeszcze całych miesięcy pracy, a ona nie mogła podołać podwójnemu obciążeniu.

Wynajęła do nadzorowania budowy kolegę lutniarza, który nabawił się uczulenia na drewno, a sama powróciła do snycerstwa.

I wtedy odmówił posłuszeństwa jej prawy nadgarstek – poważne naciągnięcie ścięgna.

Lekarze orzekli, że nie ma innej rady prócz długiego odpoczynku. Robin popadła w depresję

i całymi dniami przesiadywała na plaży twierdząc, że się przystosowuje do nowego życia.

Ku memu zdumieniu wkrótce tak się właśnie stało i każdego ranka pędziła nad morze, nawet gdy wraz z jesienią nastąpiły wichury, a niebo nabrało stalowej barwy. Odbywała długie samotne spacerunki, przyglądając się pelikanom polującym na ryby.

– Wiem, wiem – powiedziała wreszcie. – Sama jestem zaskoczona, ale dopiero teraz naprawdę dobrze się czuję.

Na jesieni kończył się okres wynajmu naszego domu przy plaży i właściciel poinformował nas, że oddaje go swemu synowi pisującemu scenariusze, aby zachęcić go do pracy.

Na trzydzieści dni przed wygaśnięciem umowy.

Wkrótce potem nadszedł list od Morelanda. Pokazałem go Robin, spodziewając się kpiny z jej strony.

– No to od tej chwili możesz mnie nazywać Robin Crusoe – powiedziała.

Obudziły ją jakieś hałasy. Ludzie kłócący się za ścianą. Mężczyzna i kobieta. Ich głosy były przygłuszone grubymi ścianami, ale ton nie pozostawiał wątpliwości. Przemawiali do siebie z nieustępliwą złością, wskazującą na długoletnią praktykę. Robin usiadła, odgarnęła włosy z twarzy i przymrużyła oczy. Głosy przycichły, a potem rozległy się na nowo.

– Która godzina, Alex?

– Za dwadzieścia szósta.

Odetchnęła głęboko. Usiadłem na łóżku i objąłem ją. Miała wilgotne ciało.

– Za dwadzieścia minut kolacja – powiedziała. – Woda na pewno wystygła.

– Napuszczę ci nową.

– Kiedy wstałeś?

– O piątej. – Opowiedziałem jej o jaszczurce. – Więc nie przestrasz się, jeśli znów tu przyjdzie.

– Był ładny?

– A kto powiedział, że to on?

– Dziewczyny nie zagłądają ludziom przez okno.

– Teraz wydaje mi się, że strzelał okiem w twoją stronę. – Zmrużyłem oczy i cmoknąłem. –

Najwyraźniej amator kobiet.

Roześmiała się i wyskoczyła z łóżka. Włożyła szlafrok i przeszła się po pokoju, poruszając dłonią w nadgarstku.

– Boli?

– Jest dużo lepiej. Dzięki ciepłu.

– I nieróbstwu.

– Tak – powiedziała. – Uzdrawiająca siła bezczynności.

Włożyła białą suknię bez rękawów, kontrastującą z jej oliwkową skórę. Kiedy zbliżaliśmy się do schodów, ktoś zawołał:

– Dzień dobry!

Z sąsiedniego pokoju wyszła para. Kobieta zamknęła drzwi na klucz. Mężczyzna powtórzył powitanie.

Obydwoje byli wysocy, po czterdziestce, ubrani w stroje koloru khaki, z krótkimi rękawami i naramiennikami. Strój mężczyzny sprawiał wrażenie znoszonego, ale kobiety był prosto ze sklepu.

On miał czerwony, łuszczący się nos, na którym tkwiły okulary w grubej oprawie, długą, sięgającą piersi, siwiejącą brodę i nieco ciemniejsze, cienkie, przygładzone włosy na głowie.

Kieszenie bluzy odstawały wypchane. Ona była piersiasta i barczysta, o brązowych, zaczesanych do tyłu włosach i okrągłej twarzy.

Ruszyli w naszą stronę, trzymając się za ręce. A nie dalej jak pół godziny temu lżyli się nawzajem.

– Doktor i pani Delaware, jak się domyślam? – Jego głos był niski i szorstki. Oddech czuć było alkoholem. Z bliska skóra tego człowieka wyglądała jak piegowate suszone mięso, a nos zawdzięczał swoją czerwień spękanym naczyńkom, a nie działaniu słońca.

– Robin Castagna i Alex Delaware – powiedziałem.

– Jo Picker i Lyman Picker. Doktor Jo Picker i Lyman Picker.

– Prawdę powiedziawszy doktor Lyman Picker, ale któż by dbał o takie bzdury – dodała kobieta. Mówiła kontraltem. Jeżeli mieli dzieci, z pewnością ryczały jak syreny holowników. Z szerokim uśmiechem przyjrzała się badawczo Robin. Jasnobrązowe oczy, prosty nos, nieco zbyt wąskie usta. Jej opalenizna była tak świeża jak ubranie.

– Słyszałam, że zajmuje się pani rzemiosłem – powiedziała. – Fascynujące.

– Nie mogłem się doczekać, żeby was poznać – dodał Picker. – Wypełnicie pustkę przy stole, zastąpicie gospodarza.

– Często jest nieobecny? – spytałem.

– Cały czas pracuje, nie zabawia się. Nie mam pojęcia, kiedy ten człowiek sypia. Jesteście wegetarianami tak jak on? Bo my nie. W mojej pracy jada się wszystko, albo umiera się z głodu.

– Co to za praca? – spytałem, czując, że tego oczekuje.

– Epifytologia. Botanika. Tropikalne zarodniki.

– Prowadzi pan badania z doktorem Morelandem? Roześmiał się bryzgając śliną.

– Nie, rzadko opuszczam równik. To tylko krótka przejażdżka w chłodniejsze okolice. –

Objął żonę ramieniem. – Dotrzymuję towarzystwa połowicy. Obecna tu doktor Jo jest cenionym meteorologiem. Bada prądy powietrzne. Wuj Sam przepada za tym, a więc ma zagwarantowane pieniądze.

Jo uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Badam wiatry. Jak minęła podróż?

– Była długa, ale spokojna.

– Przyplłynęliście łodzią dostawczą? – spytał Picker.

– Tak.

– Z Saipan czy z Rota?

– Z Saipan.

– My także. Piekielnie nudne. Samolotem, to co innego. Dziwne, mają tu wielkie lotnisko w Stanton, a marynarka nie pozwala go używać.

– Doktor Moreland napisał w liście, że lotnisko jest nieczynne.

– Bo używa go marynarka. Przeklęte łodzie.

– Och, nie było tak źle, Ly – powiedziała Jo. – Pamiętasz rybę latającą? Piękne zjawisko.

Skierowaliśmy się w stronę schodów.

– Typowa głupota tych bubków z rządu – powiedział Picker. – Taki wielki szmat ziemi i nikt go nie używa. Pewnie to zasługa jakiegoś komitetu. Prawda, kochanie? Ty się znasz na metodach rządowych.

– Chciałabym – odparła Jo z wymuszonym uśmiechem.

– Byliście na Guam? – dopytywał się jej mąż. – Czytaliście te turystyczne foldery? Rozwijać Oceanię, wykorzystywać talenty tubylców. A co robią tutaj? Blokują jedyne ogniwo łączące bazę wojskową z resztą wyspy.

– Co to za ogniwo? – spytałem.

– Południowa droga wzdłuż wybrzeża. Strona zawietrzna jest niedostępna od północy, wszędzie są skalne ściany, począwszy od Norm Beach aż po wygasłe wulkany. Jedyne drogi wiodły wzdłuż południowego wybrzeża i przez las figowcowy. Marynarka zamknęła tę drogę w ubiegłym roku. Dla mieszkańców wioski oznacza to: żadnych kontaktów z wojskiem, żadnego handlu. Tutejsza gospodarka została doszczętnie zrujnowana.

– A co z drogą przez las?

– Japończycy nafaszerowali ją minami.

Żona Pickera wyswobodziła się spod jego ramienia.

– Co pani robi, Robin? – spytała.

– Instrumenty muzyczne.

– Bębny?

– Gitary i mandoliny.

– Lyman gra na gitarze. Picker poskrobał się po brodzie.

– Zabrałem gitarę w hoyos środkowego Ekwadoru – to dopiero było miejsce – oceloty, tapiry, szopy południowoamerykańskie. Tutejszym stworzeniom brak kręgosłupa, a moja ptaszyna pogardza bezkręgowcami, prawda?

– Gra bardzo dobrze – zapewniła Jo.

– Prawdziwy Segovia. – Picker udał, że brzdąka na gitarze. – Siedziałem przy ognisku z Indianami Auca i próbowałem ich zachęcić, żeby zaprowadzili mnie do *Cordyceps militaris* – grzyba pasożytującego na larwach owadów. Wilgoć rozpuściła klej gitary i następnego ranka miałem już tylko kupkę rozmokłych desek. – Roześmiał się. – Struny przydały się, żeby udusić coś na kolację, a reszta nadawała się tylko na wykałaczki.

Zeszliśmy na dół. W pokoju frontowym był Ben Romero z KiKo na ramieniu. Picker przyjrzał się zwierzątku.

– Takie także jadałem. Mają kruche mięso. Nie dają się udomowić, wie pan o tym?

– Dobry wieczór, Ben – powiedziała Jo. – Jak zwykle na świeżym powietrzu?

Ben skinął głową.

– Doktor Bill trochę się spóźni.

– A to ci niespodzianka – powiedział Picker.

Przeszliśmy przez hol. Ściany obite surowym jedwabiem, a na nich blade akwarele, realistycznie przedstawiające pejzaże. Na wszystkich ten sam podpis: „B. Moreland”. Jeszcze jeden talent doktora?

Ben poprowadził nas poprzez duży żółty salon z kominkiem z wapienia, brokatowymi

kanapami, chińskimi stolikami i porcelanowymi lampami z pergaminowymi abażurami. Nad kominkiem wisiał portret olejny czarnowłosej kobiety. Jej wyniosła uroda przypominała malarstwo Sargenta.

Okna pokoju wychodziły na taras z nakrytym stołem – jaskrawoniebieski obrus, serwis ze starej porcelany na siedem osób.

Słońce muskało horyzont, zalewając purpurą niebo i wodę, która wyglądała jak krwawiąca rana. Poniżej, we wsi, dachy domów lśniły pomiędzy drzewami niczym maleńkie pieniążki.

Droga wiodąca do posiadłości przypominała uspiętego szarego węża z głową spoczywającą przy głównych wrotach. Pomyślałem o jeńcach, szturmujących dom od strony baraków.

O przyglądających się im japońskich generałach, bezsilnych, zdających sobie sprawę, że to koniec.

Lyman Picker dotknął gardła i mrugnął na Bena.

– Burbon – powiedział Ben bez uśmiechu. – Czysty.

– Doskonała pamięć, przyjacielu.

– A dla pani, Mrs Picker?

– Tylko woda sodowa, jeśli nie sprawi to kłopotu.

– Bardzo proszę, panna Castagna? Doktor Delaware?

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem. Robin spojrzała na mnie.

– Ja także.

– Na pewno?

– Tak. Ben wyszedł.

– Bardzo skrupulatny – powiedział Picker.

Jo zaczęła oglądać sztuce. Robin i ja podeszliśmy do sosnowej poręczy.

– A więc przyjechał pan pracować ze starym – odezwał się Picker. Dobry odpoczynek na

słońcu. Miał szczęście, że udało mu się pana zwabić. Tutaj nie uświadczysz poważnego naukowca.

Roześmiałem się.

– Kiedy mówię coś poważnego, mam na myśli nas, oderwanych od tematu teoretyków.

Utytułowanych żebraków, podzwaniających zlewkami i błagających o zasiłek. Jeśli ktoś chce dostać stypendium, nie bada tej części globu, tylko Melanezję albo Polinezję. Wielkie, żyzne wyspy, pełne fauny i flory, sympatycznych, kolorowych plemion, z własną mitologią dla lubiących folklor tłumów.

– Aruk nie ma tego wszystkiego? Odkaslnął nie zakrywając ust.

– Mikronezja, przyjacielu, to dwa tysiące plamek na trzech milionach mil kwadratowych wody, większość z nich to nie zamieszkane wybrzuszenia z koralowca. To wybrzuszenie należy do najbardziej dziwacznych. Czy wie pan, że nie było tu ludzi, dopóki Hiszpanie nie przywieźli ich do uprawiania trzciny cukrowej? Z tych upraw nic nie wyszło i Hiszpanie wynieśli się, zostawiając pracowników na pastwę losu. Wtedy przybyli Niemcy, którzy nie mieli pojęcia o życiu w koloniach. Całymi dniami przesiadywali czytając Goethego. A potem pojawili się Japończycy i znów próbowali szczęścia z tą cholerną trzcina, używając do pracy niewolników. – Roześmiał się. – I co osiągnęli? Bomby MacArthura wysłały ich na tamten świat, a niewolnicy orzekli, że nadeszła pora zapłaty. Noc drugich noży. – Przejechał palcem po brodzie.

Podeszła Jo.

– Często je was opowieściami o swoich przygodach z krańców świata?

– Nie – odparł gderliwie Picker. – Wspominam tutejszą historię. – Znów zakaszał. – Gdzie ten drink?

– Zaraz będzie, Ly. Co panią skłoniło, by zostać rzemieślnikiem, Robin?

– Kocham muzykę i lubię pracować rękami. A może pani powie nam coś o swoich

badaniach, Jo?

– To nic specjalnie interesującego. Wysłano mnie, abym obserwowała wiatry na wyspach kompleksu Mariańskiego, i Aruk jest ostatnią z nich. Wynajmowaliśmy małe mieszkanie, ale Bill był tak miły i zaprosił nas do siebie. Za tydzień wyjeżdżamy.

– Nie przedstawiaj swojej pracy jako ustalania prognozy pogody, dziewczyno. Jej rachunki reguluje Departament Obrony. Jest ważnym dla kraju pracownikiem. Jak się człowiek z taką ożeni, od razu ma opłacone wakacje.

Klepnął żonę po plecach, niezbyt lekko. Zesztywniała, ale zmusiła się do uśmiechu.

– Mieszkacie w Waszyngtonie? – spytała Robin.

– Mamy dom w Georgetown – odparła Jo – ale większość czasu spędzamy na wyjazdach.

Odskoczyła gwałtownie. Mała jaszczurka, taka sama jak ta, którą widziałem przez okno, przebiegła po poręczu. Mąż Jo połaskotał jaszczurkę palcem i roześmiał się, gdy umknęła.

– Wciąż się boisz? – zapytał z wyrzutem. – Mówiłem ci, że są nieszkodliwe. Hemidactylus frenatus. Gekon domowy, na wół udomowiony. Ludzie karmią je w pobliżu domostw, więc kręcą się tu i zjadają całe robactwo.

Pokiwał palcem przed twarzą żony. W szkole ciągnął pewnie dziewczynki za warkocze.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Jakoś nie mogę przywyknąć, że łażą po moim parawanie.

– Jest przeczulona – oświadczył nam Picker. – A oznacza to, że nie mogę przynosić mojej pracy do domu.

Jo zarumieniła się pod opalenizną.

Nadeszła służąca Cheryl. Przyniosła tacę z napojami dla Pickerów i wodą mineralną dla Robin i dla mnie.

– Zapóźniona w rozwoju – poinformował nas Picker, gdy wyszła. Wzniósł szklanekę. – Za

bezkęgowce.

Czerwone światło, odbite od oceanu, padło na jego brodę. Jo napiła się, odwracając od niego wzrok. Robin odciągnęła mnie na bok.

– Czarujący, prawda? – spytałem.

– Dlaczego nie chciałeś zamówić drinków?

– Bo widziałem wyraz twarzy Bena. Jest pielęgniarzem i nie chce, by go traktowano jak lokaja. Zauważ, że przysłał Cheryl z tacą.

– Och, ty mój psychologu. – Objęła mnie i położyła mi głowę na ramieniu.

– Sekrety zakochanych? – zawołał w naszą stronę Picker? – Jego szklanka była pusta.

– Daj im żyć, Ly – powiedziała Jo.

– Wygląda na to, że żyją sobie zupełnie dobrze.

– Witamy w raju – mruknąłem.

Robin stłumiła śmiech. Zabrzmiało to jak czkawka.

– Za dużo piłaś? – wyszeptałem.

– Przestań – powiedziała, przygryzając usta. Pochyliłem się nad nią.

– Czeką nas wspaniała zabawa, dziewczyno. Przypiekane mięso i dusze, a po kolacji on uraczy nas bajdami o wielkich członkach członków plemienia Matahuaxl. Ludzie na trzech nogach. Bardzo męscy.

Oblizwała się i wyszeptała:

– O, tak. Wyrastają im z pomalowanego na barwy wojenne krocza.

– Kochanie! – zawołał Picker z przeciwległego końca tarasu. – Wiesz, jeszcze bym się napił.

Jednakże jego żona nawet nie drgnęła. W ciszy, która zapanowała, rozległy się lekkie kroki.

Odwróciłem się i zobaczyłem idącą ku nam blondynkę o miłej aparycji.

Około trzydziestki, szczupła talia, chłopiące biodra, małe piersi, długie nogi. Ubrana była

w jedwabną bluzkę brzoskwiowego koloru i czarne spodnie z krepy. Przytrzymywane czarną opaską włosy opadały jej na ramiona. Rysy miała drobne i regularne: szerokie usta, gładki podbródek, delikatne uszy. Niebieskie skośnawe oczy nadawały jej twarzy wyraz smutku. Gdyby nie jasna karnacja, mogłaby uchodzić za kobietę z portretu nad kominkiem.

– Doktor Delaware i panna Castagna? Jestem Pam, córka doktora Morelanda. – Łagodny, melodyjny, brzmiący nieco powściągliwie głos. Uśmiechała się ujmująco, ale podając nam rękę odwróciła wzrok. Miewałem takich pacjentów, unikających patrzenia w oczy; wszyscy jako dzieci byli chorobliwie nieśmiali.

– I także doktor – wyjaśnił Picker. – Ach, te wszystkie zrealizowane kobiety i ich udawana skromność.

Pam Moreland spojrzała na niego z pobłażliwym uśmiechem.

– Dobry wieczór, Lyman. Cześć, Jo. Przepraszam, że się spóźniłam. Tatuś powinien wkrótce nadejść. Jeśli nie, zaczniemy bez niego. Gladys przyrządziła doskonałe kurczęta. Tatuś jest wegetarianinem, ale toleruje nas, barbarzyńców.

Uśmiechnęła się pięknie, ale jej oczy pozostały smutne i zacząłem wątpić, czy jedynym tego powodem była anatomia.

– Właśnie dałem naszym nowym kolegom lekcję historii, pani doktor. Powiedziałem im, że naukowcy unikają tego miłego zakątka, ponieważ Margaret Mead wykazała, że kluczem do popularności są szamani, rytuały związane z dojrzewaniem i śniade dziewczyny o nagich piersiach. – Skierował wzrok na biust Pam.

– Interesująca teoria. Czy podać kawę?

– Nie, dziękujemy, moja droga. Jednak można by jeszcze raz nappełnić tę szklanekę.

– Ly – odezwała się Jo, nie ruszając się ze swego kąta.

– Słucham cię, kochanie? – powiedział zwrócony do niej plecami Picker.

– Chodź tutaj i spójrz na zachód słońca. Szarpnął wąsy.

– Stara metoda odwracania uwagi? Niepokoisz się o moją wątrobę?

– Ja tylko...

Zwrócił się do niej twarzą.

– Skoro zawiodły *Entamoeba histolytica* i *Fasciola hepatica*, naprawdę sądzisz, że poskutkuje odrobina Wild Turkey, Josephine? Jo zbyła go milczeniem.

– Całymi miesiącami żyłem na metronodizolu i bithionolu – Picker zwrócił się do Pam. –

Mam duże zaległości w ćwiczeniach gimnastycznych. – Czy są jakieś rady?

– Nie, chyba że wybiera się pan do Filadelfii.

– Ach, miasto braterskiej miłości – odparł Picker. – Nie mam brata. A czy kochałbym go, gdybym miał? – Odszedł, rozważając tę kwestię. – A jednak bym się napił, doktor Pam – zawołał przez ramię.

– Tak właśnie wygląda jego kolacja – powiedziała Pam bardzo cicho. – Przepraszam.

Wróciła z butelką Wild Turkey, podała ją zaskoczonemu Pickerowi i powróciła do nas.

– Tatuś przeprasza, że nie może was należycie powitać.

– Meduzy – powiedziałem.

Skinęła głową. Rzuciła okiem na swój lady rolex.

– Myślę, że powinniśmy zaczynać.

Usadziła nas z Robin na miejscu z widokiem na zachód słońca, Pickerów po przeciwnej stronie, a sama usiadła z boku. Pozostały dwa puste krzesła. Po chwili nadszedł Romero i zajął jedno z nich. Miał teraz na sobie brązową sportową marynarkę.

– Zazwyczaj wracam do domu koło szóstej – powiedział rozkładając serwetkę – ale żona zaprosiła gości na karty, nasze niemowlę śpi, a starsze dzieci są poza domem.

– Następnym razem zaprosimy Clarę – powiedziała Pam. – Jest doskonałą skrzypaczką.

Dzieci także. Ben roześmiał się.

– To będzie świetny relaks.

– Masz wspaniałe dzieciaki, Ben.

Wniesiono jedzenie. Całe mnóstwo.

Sałatka z rukwi wodnej z sosem z awokado, puree z marchwi, potrawka z grzybów z orzechami włoskimi i laskowymi. A wreszcie kurczęta, kruche i soczyste.

Butelka białego burgunda pozostała nietknięta. Picker nalał sobie reszkę burbona. Jego żona odwróciła głowę, woląc tego nie widzieć.

– Chyba Gladys nie nauczyła się tak gotować w bazie wojskowej – rzekła Robin.

– Komendant lubił smacznie zjeść – odparła Pam. – A ona jest bardzo pomysłowa, na szczęście dla taty.

– Czy zawsze był wegetarianinem?

– Odkąd skończyła się wojna z Koreą. To, co tam widział, sprawiło, że postanowił nigdy więcej nie zabijać. Picker chrząknął.

– Jednak zawsze był tolerancyjny – powiedziała Pam. – Kiedy przyjechałam, sprowadził dla mnie mięso statkiem.

– Pani tu stale nie mieszka?

– Nie, przyjechałam w październiku zeszłego roku. Miał to być tylko przystanek w drodze na zjazd lekarzy w Hongkongu.

– W czym się pani specjalizuje? – spytałem.

– Interna i zdrowie publiczne. Pracuję w przychodni dla studentów przy Uniwersytecie

Tempie. – Zamilkła na chwilę. – Prawdę powiedziawszy, była to podróż służbowa i zarazem chwila wytchnienia. Właśnie się rozwiodłam.

Nalała sobie wody do szklanki i wrzuciła ramionami.

– Czy tutaj spędziła pani dzieciństwo? – spytała Robin.

– Nie całkiem. Możemy przystąpić do deseru? Picker spojrział za nią, gdy wychodziła.

– Tęskni za jakimś głupkiem z Filadelfii. Ben zmierzył go wzrokiem.

– Jeszcze jedna butelka, panie Picker? Picker spojrział na niego.

– Nie, dziękuję, amigo. Wolę zachować przytomność. Jutro lecę. – Jo odłożyła widelec.

Picker wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Tak, kochanie, postanowiłem się ruszyć.

– Czym pan leci? – zapytał Ben.

– Samolotem do opryskiwania roślin, ale w bardzo dobrym stanie. Należy do faceta o nazwisku Amalfi.

– Jeden z tych gruchotów Harry’ego Amalfi? Nie latały od lat.

– Są zupełnie w przyzwoitym stanie, przyjacielu. Sam je oglądałem. Latały nad dżunglą przez piętnaście lat i mam zamiar polecieć na jednym z nich jutro rano. Ja i pani doktor. Zrobię trochę zdjęć lotniczych, żeby udowodnić chłopakom z instytutu, że naprawdę tu byłem i nic nie znalazłem.

Jo zmięła palcami obrus.

– Ly...

– To nie jest dobry pomysł, doktorze Picker – powiedział Ben. Picker spojrział na niego z pełnym wyrozumiałości uśmiechem.

– Pańska uwaga została uznana za nudziarstwo, przyjacielu.

– Las należy do marynarki. Aby tam lecieć, musi pan mieć urzędowe pozwolenie.

– Nieprawda – powiedział Picker. – Do marynarki należy tylko wschodnia część. Część zachodnia jest dostępna dla wszystkich, marynarka nigdy nie rościła do niej pretensji.

Przynajmniej tak twierdzi moja pani doktor na podstawie posiadanych map.

– To prawda – powiedziała Jo – ale i tak...

– A co, wolałabyś może, żebym się tu zanudził na śmierć?– krzyknął Picker.

– Las ma zaledwie półtora kilometra szerokości – powiedział Ben. – Trudno będzie utrzymać kurs...

– Troszczysz się o mnie, amigo? – zapytał Picker z niespodziewaną szorstkością. Uniósł butelkę po burbonie, jakby zamierzał ją stłuc. A potem odstawił z przesadną ostrożnością i wstał.

– Wszyscy tak się o mnie troszczą. Wzruszające. – Brodę miał pokrytą okruchami. – Są tacy uprzejmi, a poza moimi plecami mówią, że jestem pijanym bufonem. – Spojrzał na żonę. –

Idziesz, aniele?

Usta jej zadrżały.

– Wiesz, co sądzę o małych samolotach, Ly...

– Czy idziesz wreszcie?

Nie spuszczał z niej wzroku, wziął z talerza kawałek kurczaka i ugryzł. Żując z otwartymi ustami, spojrzał ponuro na Romero.

– To metafora, przyjacielu.

– Co? – spytał Ben.

– To miejsce. I inne cholerne wybrzuszenia, sterczące z oceanu. Wulkany wybuchają, a potem wygasają. Przybywają pełni nadziei zdobywcy, żeby wkrótce wynieść się chyłkiem lub umrzeć, i wszystko porasta ten przeklęty koralowy pasożyt. Entropia.

Jo odłożyła widelec.

– Proszę nam wybaczyć.

Picker odłożył kurczaka na talerz i brutalnie chwycił ją za ramię.

– Wszystko tonie – powiedział.

Pam powróciła, niosąc ogromną misę pełną owoców. Spojrzała na puste krzesła.

– Wyszli – wyjaśnił Ben. – Mają zamiar wynająć jutro rano jeden z gruchotów Harry’ego i latać nad dżunglą.

– W takim wraku? Czy to bezpieczne?

– Próbowałem mu wyperswadować, ale wie wszystko lepiej. – Ben zmarszczył brwi.

Pam postawiła miskę na stole i usiadła.

– Doktor Picker bywa czasem nieco... trudny.

– Miło ze strony pani ojca, że tyle czasu ich gości – powiedziałem. Pam i Ben spojrzeli po sobie.

– Sami się tu wprosilili – odparła Pam. – Tata nie sprzeciwiał się. Najwyraźniej to ona jest prawdziwym naukowcem.

– Aon?

– Pracuje na kawałek etatu w jakiejś ubogiej organizacji działającej na rzecz ochrony dzikich zwierząt. Bada jakieś grzyby, czy coś takiego. Odnoszę wrażenie, że ma trudności finansowe. To chyba nie jest przyjemne... Tata powinien nadejść lada chwila.

Poczęstowała nas owocami.

– Czy to prawda – spytałem – że marynarka odcięła się blokadą od wioski?

Pam skinęła głową.

– Dlaczego?

– To jest wojsko – odparł Ben. – Żyje w swoim własnym małym świecie.

– Tata stara się temu przeciwdziałać – wtrąciła Pam. – Napisał do senatora Hoffmana, z którym znają się z dawnych lat. Hoffman był komendantem Aruk podczas wojny koreańskiej.

– Ten smakosz? Pam skinęła głową.

- Przyjeżdżał tu ze swoją żoną, siadywał na tym tarasie i grał w brydża.
- Cenna znajomość – stwierdziłem. Senator stanu Oregon był brany pod uwagę jako kandydat na prezydenta. Ben odłożył serwetkę i wstał.
- Przepraszam, ale muszę odebrać dzieci. Potrzebujesz czegoś na jutro, Pam?
- Tylko trochę igieł. I szczepionki, jeśli ta się kończy.
- Już jest – powiedział Ben. – Przyniosłem przed kolacją. Uścisnął nam dłonie i szybko wyszedł.
- Jest nadzwyczajny – powiedziała Pam. – Naprawdę zna się na tym, co robi. Znalazł KiKo w doku, umierającą z zakażenia krwi, i pielęgnował, dopóki nie doszła do zdrowia. – Uśmiechnęła się. – KiKo to skrót od King Konga. Sypia w kołysce w domu Bena.
- Doktor Picker powiedział, że małpy nie można udomowić.
- Czasami wydaje mi się, że zwierzęta są o wiele łatwiejsze we współżyciu niż ludzie.
- Od strony drogi doleciał warkot silnika. Przez ciemności przebiły się światła reflektorów.
- Tata nie miałby nic przeciwko temu, żeby Ben poszedł na medycynę, gdyż na wyspie potrzebny jest młody lekarz – ciągnęła Pam. – Jednak on nie ma czasu na studia, musi utrzymywać dużą rodzinę.
- W swoim liście pani ojciec wspomina o przejściu na emeryturę. Uśmiechnęła się.
- Nie wyobrażam sobie, by kiedykolwiek wycofał się w zupełności, ale mając na wyspie trzy tysiące ludzi, przydałaby mu się jakaś pomoc. Zachęcałam go, jednak... – Odłożyła łyżkę. – Pytał pan, czy wychowałam się na wyspie, i odpowiedziałam, że niezupełnie. Tutaj się urodziłam, ale bardzo wcześnie wysłano mnie do szkoły z internatem. Potem pojechałam studiować medycynę w Tempie i zostałam w Filadelfii. Myślałam, że powinnam tu wrócić, ale stałam się miastową dziewczyną i polubiłam miasto.
- Wiem, co ma pani na myśli – powiedziała Robin. – Małe miasta są dobre w teorii, ale

bardzo ograniczają życie.

– Otóż to. Aruk jest cudowne; spędzicie tu wspaniałe chwile. Jednak jako stałe miejsce pobytu jest... Jakby to wyrazić, żeby nie okazać się snobką? Jest po prostu za małe. A dookoła woda. Człowiek stale przypomina sobie, że jest tylko pyłkiem we wszechświecie.

– W zeszłym roku mieszkaliśmy przy plaży – powiedziała Robin. – Bywały chwile, że z powodu oceanu czułam swą kompletną nicość.

– Właśnie. Gdziekolwiek się zwrócić, napotykam na ocean. I to tempo życia. Wszystko dzieje się tak powoli. A ja nie jestem zbyt cierpliwa.

Nadeszły Gladys i Cheryl, popychając barek na kółkach, sprzątnęły brudne naczynia i nalały kawę.

– Wszystko było przepyszne, Gladys – powiedziała Pam.

– Proszę powiedzieć ojcu, żeby przyszedł na kolację. Powinien bardziej dbać o siebie.

– Powtarzam mu to, odkąd tu przyjechałam, Gladys.

– A ja to lekceważę z uporem muła – rozległ się głos z wnętrza domu.

W otwartych na taras drzwiach stał bardzo wysoki, bardzo brzydki mężczyzna.

Przygarbiony, gładko ogolony, łysy za wyjątkiem kępek włosów nad uszami. Miał wąskie usta, gruby mięsisty nos i długą twarz, zakończoną niekształtnym, pomarszczonym podbródkiem, który przywodził na myśl wielbłąda, zapadnięte i obwisłe policzki oraz worki pod zapadniętymi oczami. Smutne niebieskie oczy – to było jedyne, co przekazał córce.

Ubrany był w białą koszulę, wypuszczoną na workowate brązowe spodnie, i sandały. Piers miał zapadniętą, skórę na niezgrabnych ramionach piegowatą od słońca, a ciało obwisłe.

Plastikowe okulary na łańcuszku. Z kieszeni na piersi wystawały długopisy, latarka, okulary słoneczne i mała plastikowa linijka. W rękę trzymał wysłużoną torbę lekarską z czarnej skóry.

Podniosłem się, a on pomachał mi ręką i ruszył ku mnie niezręcznymi susami z wysuniętą do

przodu głową.

Teraz przypominał nie wielbłąda, lecz flaminga.

Musnął ustami policzek Pam i powiedział:

– Dobry wieczór, kotku.

– Cześć, tato.

Wąskie usta poszerzały o milimetr.

– Miss Castagna. Miło mi, moja droga. – Ujął na chwilę palce Robin w obie dłonie, a potem uściskał moją dłoń wzdychając, jakby już od dawna nie mógł się tego doczekać.

– Witam, doktorze Delaware.

Jego sucha i miękka dłoń uścisnęła słabo mą rękę, a następnie ześliznęła się jak zdmuchnięty wiatrem liść.

– Przyniosę panu kolację – powiedziała Gladys. – I niech mi pan nie mówi, że jadł pan na mieście.

– Nie jadłem – zapewnił ją Moreland, składając dłonie. – Naprawdę, Gladys. – Usiadł i obejrzał serwetkę, zanim ją rozłożył. – Mam nadzieję, że dobrze się wami zaopiekowano. Nic wam nie dolega?

Potrząsnęliśmy głowami.

– W porządku. „Madeleine” jest dobrą łodzią, a Alwyn to najlepszy kapitan. Jego łódź dobrze chodzi pod żaglami, a w dodatku Alwyn ulepszył jeszcze silniki.

– Ile jest łodzi dostawczych? – spytałem.

– Trzy do sześciu, zależnie od zamówień krążą pomiędzy mniejszymi wyspami. Przeciętnie miewamy jedną do dwóch dostaw miesięcznie.

– To musi być kosztowne.

– Bardzo podnosi ceny towarów.

Cheryl wniosła dwa talerze, na których było wszystko to, co jedliśmy, za wyjątkiem kurcząt.

Za to do ryżu dodano fasoli. Postawiła jedzenie przed Morelandem, a on uśmiechnął się do niej.

– Dziękuję, moja droga. Mam nadzieję, że twoja matka nie oczekuje, że zjem to wszystko.

Cheryl zachichotała i wybiegła.

Moreland zaczerpnął powietrza i uniósł widelec.

– Jak zniósł podróż wasz mały buldożek?

– Przespał całą drogę – powiedziałem.

– No właśnie – przypomniała sobie Robin. – Lepiej pójde i sprawdzę, jak się miewa.

Przepraszam.

Odprowadziłem ją do schodów. Kiedy wróciłem, Moreland spoglądał na swój talerz, ale nawet nie tknął jedzenia. Pam siedziała nieruchomo, tam gdzie przedtem.

Oczy Morelanda powędrowały ku czarnemu niebu. Przez chwilę wydawały się zamglone.

Zamrugnął powiekami. Pam bezmyślnie bawiła się kółkiem do serwetki.

– Chyba pójde się przejść – powiedziała wstając.

– Dobranoc, kotku.

– Miło mi było pana poznać, doktorze Delaware.

– Cieszę się, że panią poznałem.

Jeszcze jedno muśnięcie wargami i wyszła. Moreland nabrał ryżu na widelec, włożył do ust i zaczął powoli przeżuwać popijając wodą.

– Jestem bardzo szczęśliwy, że w końcu spotkaliśmy się.

– Ja także, doktorze.

– Proszę mi mówić Bill. Czy mogę zwracać się do pana per Alex?

– Oczywiście.

– Jak tam wasze pokoje?

- Wspaniałe. Dziękuję za wszystko.
- Co sądzisz o moim cytacie ze Stevensona? Zaskoczył mnie tym pytaniem.
- Miłe powitanie. Doskonały pisarz.
- Dom żeglarza jest od strony morza – powiedział. – Cieszę się, że goszczę pana pod swoim dachem. Stevenson nigdy nie dotarł do północnej części Marianów, ale czuł wyspiarskie życie. Wielki myśliciel i wspaniały pisarz. Wielcy myśliciele mają mnóstwo do ofiarowania... Wiążę wielkie nadzieje z naszą współpracą, Alex. Kto wie, co wyniknie, gdy zanalizujemy wszystkie dane. – Odłożył widelec. – Jak już wspominałem, szczególnie interesują mnie problemy zdrowia psychicznego, ponieważ stanowią zawsze największą zagadkę. A widziałem kilka fascynujących przypadków. – Utkwił we mnie zapuchnięte oczy. – Na przykład, wiele lat temu, natknąłem się na coś w rodzaju wilczego obłądu.
- Mężczyzna-wilk?
- Kobieta-kot. Widziałeś coś takiego?
- Podczas studiów widywałem schizofreników z halucynacjami zwierzęcymi.
- To było coś więcej niż zwykłe halucynacje. Trzydziestojednoletnia kobieta, atrakcyjna, miła. Wkrótce po trzydziestych urodzinach zaczęła stronić od ludzi i włóczyć się po okolicy, podpatrując koty. A potem zaczęła polować na myszy – raczej bezskutecznie. Miauczała, lizała się, jadła surowe mięso. Wtedy właśnie trafiła do mnie, gdyż pod wpływem tej diety gwałtownie rozmnożyły się w jej organizmie pasożyty jelitowe.
- Czy stale znajdowała się w takim stanie psychicznym?
- To były ostre ataki, ale trwały coraz dłużej. W okresach między atakami cierpiała na brak apetytu, miała słabą koncentrację, stale płakała. Gdyby to wszystko opowiedzieć psychiatrze, prawdopodobnie stwierdziłby depresję psychotyczną lub dwubiegunowy rozstrój nerwowy. Antropolog z kolei dopatrywałby się przyczyn w rytuałach plemiennych. Problem polega na tym,

że na Aruk nie ma żadnych halucynogennych roślin ani przedchrześcijańskiej kultury szamańskiej. – Zjadł jeszcze trochę ryżu, ale chyba nie czuł jego smaku. – Interesujące z diagnostycznego punktu widzenia, nie sądzisz?

– Czy ta kobieta nadużywała alkoholu?

– Nie. I nie wykazywała niedoboru witaminy B, a więc w grę nie wchodził także samoistny syndrom Korsakoffa.

– A co z pasożytami? Czy nie przeniknęły do jej mózgu?

– Dobre pytanie. Także się nad tym zastanawiałem, ale jej objawy uniemożliwiały choćby pobieżne badanie neurologiczne. Zrobiła się agresywna – fukała, gryzła i drapała, tak że jej mąż związywał ją w domu. Stała się naprawdę kłopotliwa.

– Okropne.

– W każdym razie objawy nie pasowały do żadnej znanej mi choroby, spowodowanej przez pasożyty, a z odrobaczeniem nie było kłopotu. Po jej śmierci mąż nie pozwolił na sekcję zwłok i określił przyczynę zgonu jako atak serca.

– Jak umarła? Odłożył widelec.

– Całą noc krzyczała un cri du chat, jak kot. Głośniejsze niż zwykle, więc mąż przyszedł, żeby sprawdzić, co się dzieje. Został ją leżącą w łóżku, z otwartymi oczami, martwą.

– Żadnych śladów zatrucia?

– W tamtych czasach moje laboratorium było dość prymitywne, ale mogłem wykonać analizę krwi na obecność podejrzewanych składników i nic nie znalazłem.

– Jakie były ich stosunki z mężem? Spojrzał na mnie.

– Masz jakiś szczególny powód, żeby o to pytać?

– Jestem psychologiem. Uśmiechnął się.

– Powiedziałeś także, że stała się ciężarem. I, że wszedł do jej pokoju tylko dlatego, że jej

kocie wrzaski stały się głośniejsze. To wskazuje na to, że zwykle ją bagatelizował. A to nie wygląda na miłość małżeńską.

Spojrzał w górę i w dół, a potem rozejrzał się, jakby sprawdzając, czy jesteśmy sami.

– Wkrótce po jej śmierci – powiedział – jej mąż wziął sobie nową kobietę i opuścił wyspę.

Wiele lat później dowiedziałem się, że był z niego prawdziwy Don Juan. – Spojrzał w talerz. –

Muszę się z tym uporać, bo inaczej Gladys urwie mi głowę. Skłamałem – dodał przeżuając

jarzyny. – Przekąsiłem coś w klinice. Zostałem tam z powodu nagłego przypadku – przyplływ

meduz na North Beach.

– Pam wspomniała o tym. Co z dziećmi?

– Obolałe, pokryte pręgami... Masz jeszcze jakieś pomysły na temat kobiety-kota?

– Czy zdarzały jej się omdlenia lub utrata przytomności?

– Arytmia serca mająca wyjaśnić nagłą śmierć? Nic o tym nie wiem. I nikt z rodziny nie

chorował na serce. Jednak śmierć była nagła, jej serce stanęło, więc określiłem to jako chorobę

serca.

– Alergie? Pokręcił głową.

– Nie nadużywała alkoholu – powiedziałem. – A narkotyki?

– Nie miała żadnych nałogów, Alex. Bardzo miła kobieta. Aż nagle nastąpiła ta zmiana.

– Jak ją związywano na czas snu?

– Krępowano ręce i stopy.

– Nieźle.

– Uważali, że jest niebezpieczna.

– I tej nocy, kiedy zmarła, także była związana?

– Tak.

– Może się czegoś zlekła? Tak bardzo, że serce nie wytrzymało.

– Na przykład czego?

– Może miała jakieś szczególnie silne przywidzenia, koszmarny sen. Nie odpowiedział.

– Albo – ciągnąłem – przestraszyła się czegoś realnego. Zamknął oczy.

– A może – powiedziałem – jej mąż Don Juan wziął sobie inną kobietę, zanim umarła.

Skinął powoli głową, nie otwierając oczu.

– Związana na noc – powiedziałem. – A mąż z przyjaciółką w pokoju obok. Może kochali się w jej obecności? Otworzył oczy.

– Proszę, proszę. Jesteś naprawdę bardzo domyślny.

– Tylko zgaduję.

– Jak już wspominałem, usłyszałem o nim po wielu latach tylko dzięki temu, że leczyłem jego kuzyna, który mieszkał na innej wyspie i przyszedł do mnie z półpaścem. Dałem mu lekarstwo uśmierzające ból. Pewnie wydawało mu się, że jest mi coś winny. Dlatego powiedział mi, że mąż kobiety-kota zmarł niedawno, wspominając mnie na łożu śmierci. Był jeszcze trzykrotnie żonaty.

– Jakieś tajemnicze zgony?

– Nie, trzy rozwody. Wszystko dlatego, że nie umiał przestać romansować. Leżąc zżerany przez raka płuc wyznał, że znęcał się nad pierwszą żoną. Od samego początku. W dzień po ślubie zabił kota, który dostał się na ich podwórko i podusił kurczęta. Urwał mu głowę i śmiejąc się rzucił w żonę ścierwem. Wkrótce potem dowiedziała się o jego niewierności. Kiedy się skarżyła, nazywał ją kocicą i kazał czyścić kurnik. Tak kończyły się wszystkie kłótnie między nimi. Po kilku latach zaczęły się jej objawy chorobowe. Im większe wykazywała zaburzenia, tym bardziej obnosił się ze swymi romansami. Na kilka miesięcy przed jej śmiercią zamieszkała u nich pewna kobieta, rzekomo po to, aby sprzątać. W noc jej śmierci mąż rzeczywiście bez żenady kochał się z tą dziewczyną. Żona protestowała krzykiem, a oni śmiali się z niej. Potem żona zaczęła

miauczeć, fukać, wrzeszczeć. – Dotknął obwisłego policzka. – Przyszli do jej pokoju i robili to...

na jej oczach. Wrzeszcząc wyprężyła się w swoich pętach i wyzionęła ducha. – Odsunął talerz. –

Wyznanie na łożu śmierci – powiedział. – Poczucie winy bywa silnym bodźcem.

– Niewierny mąż – rzekłem. – Włóczył się jak kot marcowy.

– Dobrze powiedziane. Więc jaka będzie diagnoza? Depresja maniakalna z oznakami identyfikacji z kotem? Czy też schizofrenia w pełnym rozkwicie?

– Albo silna reakcja na stres. Czy w jej rodzinie zdarzały się choroby psychiczne?

– Jej matka była... bardzo ponura. – Pochylił się ku mnie. Łysa głowa zaśniła niczym strusie

jajo. – Taka śmierć. Ze strachu? Wstydu? Czy frustracja naprawdę może stać się przyczyną

śmierci? A może cierpiała na jakąś dolegliwość fizyczną, której nie umiałem rozpoznać? Oto co

mam na myśli, mówiąc o zagadkach. Sporządzimy dokumentację przypadku.

– Fascynujące – powiedziałem, myśląc o agonii kobiety-kota.

– Mam tego więcej, synu. O wiele, wiele więcej. – Wyciągnął ku mnie rękę. Przez chwilę

wydawało mi się, że położy ją na mojej dłoni, ale oparł się o stół. Palce lekko mu drżały. Tak się

cieszę, że mam cię tu do pomocy.

– Ja także się cieszę.

Usłyszeliśmy szczeknięcie i obejrzelśmy się. Wróciła Robin ze Spike'em na smyczy.

Moreland poweselał.

– Och, spójrzcie na niego.

Spike sapnął, podbiegł i obwąchał spodnie doktora.

– Śliczny jesteś – powiedział Moreland, wstając. – Dostał obiad?

– Właśnie skończył jeść – powiedziała Robin. – I zrobiliśmy krótki spacer.

– Doskonale – rzekł w roztargnieniu Moreland. – Macie jakieś plany na jutro? Możecie

ponurkować na South Beach. Rafy są piękne, a ryby podpływają na płyciznę tak, że można się

obejść bez zbiorników powietrza. Mam dla was drugiego dżipa.

Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął kluczyki i podał mi je.

– Dziękuję – powiedziałem. – Kiedy chcesz zacząć pracować? Uśmiechnął się.

– Już zaczęliśmy.

Wracaliśmy przez obitą jedwabiem galerię. Ponieważ Moreland poruszał się wolno, Robin i ja zwolniliśmy kroku.

– Podobają mi się twoje obrazy – powiedziałem. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Ach, te. Namalowała je moja żona.

Nie rzekł nic więcej, dopóki nie doszliśmy do holu. Na górze, w pobliżu apartamentu Pickerów, trzasnęły drzwi.

– Słyszałem o zachowaniu Lymana podczas kolacji – powiedział, zatrzymując się. –

Przepraszam.

– Nie ma za co.

– Zostaną tu jeszcze tylko tydzień. Ona prawie skończyła to, co miała do zrobienia. On nie ma nic do roboty i to go męczy. Jest nieszczęśliwy z powodu braku egzotycznych pleśni i odrażających roślin.

– Ma nadzieję, że coś znajdzie – odparłem. – Jutro rano chce się przelecieć ponad figowcami.

– Jutro? – spytał skrzyżowawszy na piersi chude ramiona.

– Tak powiedział.

– Czym lecą?

– Samolotem niejakiego Harry'ego Amalfiego.

– Boże. Toż to graty ze złomowiska. Harry przywiózł je wiele lat temu z demobilu, mając nadzieję, że użyję ich do spryskiwania upraw. A ja zdecydowałem się wyłącznie na naturalne tępienie chwastów, co już przedtem usiłowałem mu wytłumaczyć. Jest przekonany, że go zrujnowałem, chociaż zwróciłem mu koszty.

– Zapłaciłeś mu mimo wszystko? – spytała Robin.

– Dałem mu coś niecoś, bo wykazał inicjatywę. Sugerowałem mu, żeby przeznaczył te

pieniądze na otwarcie warsztatu samochodowego. On i jego syn znają się na tym. Jednak roztrwonil całą sumę i nie kiwnął palcem. Latanie na tych gruchotach nie ma najmniejszego sensu. Co oni chcą oglądać?

– Las.

– Tam nie ma nic do oglądania. Teren należy głównie do marynarki. A reszta jest niebezpieczna. Japończycy pozostawili wiele min. I kto będzie pilotem? Harry nie latał od lat. A poza tym on pije.

– Picker ma licencję pilota. Potrząsnął głową.

– Muszę z nim porozmawiać. Te miny stanowią poważne niebezpieczeństwo, gdyby zechciał lądować. Wzdłuż wschodniej części muru ogradzającego moją posiadłość zainstalowałem drut kolczasty, żeby mieć pewność, że nikt tam nie wejdzie. Lepiej porozmawiam z nim od razu.

– Teraz może okazać się niezbyt pojętny – powiedziałem.

– Och... tak, chyba masz rację. A więc jutro rano... A co do rozrywek w domu, nie mamy tu telewizji, ale radio w waszym pokoju powinno działać. Do jadalni przylega biblioteka. – Wskazał ręką. – Przerobiony pokój kredensowy. Jednak nie znajdziesz tam nic specjalnie interesującego.

Przeważnie skrócone wersje i biografie. Jest za to dużo książek w twoim i w moim biurze.

Zamawiamy czasopisma. Jeżeli masz jakieś specjalne zainteresowania, postaram ci się to

wyszukać. – Schylił się powoli i pogłaskał Spike'a. – Już was nie zatrzymuję. Potrzebujecie czegoś?

– Na dworze jest tak przyjemnie, że chyba jeszcze pospacerujemy – powiedziała Robin.

Moreland skinął głową z zadowoleniem.

– Zauważyłaś tę słodycz w powietrzu? Sadzę rośliny dla ich zapachu. Uroczyn czerwony, jaśmin, stare róże i wiele innych.

– Picker mówi, że ziemia jest uboga – rzekłem.

– I ma rację. Cały pył wulkaniczny został spłukany do dżungli, a pozostała część wyspy ma w glebie wielkie stężenie soli i krzemionki. W niektórych miejscach kilka metrów w głąb zaczyna się już rafa koralowa. Kiedy kupiłem tę posiadłość, wszędzie były tylko zarośla, z wyjątkiem kilku sosen, które posadzili Japończycy. Zwoziłem łodziami próchnicę. Zabrało mi to całe lata. Jednak poskutkowało. Może chcecie obejrzeć? Nie, wybaczcie mi, nie chcę wam przeszkadzać w spacerze.

– Ależ z całą przyjemnością – powiedziała Robin. Zamrugła oczami.

– Domyślam się, że chcesz być uprzejma dla starego nudziarza, ale w moim wieku bierze się to, co dają – chodźmy, piesku.

Za domem znajdowały się otoczone ligustrem ogrody różane i starannie wytyczone grządki kwiatowe. Duże drzewa iglaste, w przerwach trochę śliw. Pełen wdzięku styl japoński. A dalej palmy i paprocie oraz zwirowane ścieżki, obsadzone niskimi liliami. Pomysłowo rozmieszczone reflektory dawały tylko tyle światła, żeby przejść bezpiecznie. Zmieszane wonie roślin tworzyły dziwną kombinację. Chwilami odczuwało się przesytność tego.

– Sięgają aż tam – powiedział Moreland, wskazując drzewa w końcu trawnika. Z boku widać było oświetlony przez mocne reflektory kort tenisowy bez siatki, a dalej znów trawnik. Po lewej stronie stał zespół budynków z płaskimi dachami: jedna wielka budowla podobna do hangaru oraz kilka mniejszych budek.

– Teraz jest zbyt ciemno, ale rosną tam cytrusy, śliwy, brzoskwinie, winogrona, bananowce i warzywa. Zrywajcie jutro, na co będziecie mieli ochotę. Wszystko nadaje się do jedzenia.

– Jesteś samowystarczalny? – spytałem.

– W dużej części. Dla służby i gości kupuję mięso, ryby i nabiał. Hodowałem kozy dla mleka, ale nie byliśmy go w stanie zużyć. Jak już pisałem w moim liście, prowadzę badania nad żywieniem. Czasami mam nadwyżki dla wioski.

– Czy tutejsi ludzie prowadzą jakieś uprawy?

– Niewiele – odparł. – Nie ma tu tradycji rolniczych. Oto moje biura, laboratorium i magazyny – wyjaśnił, gdy podeszliśmy bliżej. – W najbliższym pawilonie mieści się twoje biuro, a obok pracownia dla ciebie, Robin. Przyjemne pomieszczenie z widokiem na pomoc i świetlikiem w dachu. Moja żona właśnie tam malowała. Jak twój nadgarstek?

– Lepiej. Zatrzymał się.

– Mogę zobaczyć? – zapytał. Wziął rękę Robin i bardzo delikatnie poruszył w stawie. – Nie trzeszczy. To dobrze. Okłady z lodu na ostre zapalenie, a potem kuracja cieplna przeciw bólowi. Jeśli będziesz oszczędzała rękę, ścięgno powinno się ładnie zrosnąć. Południowa laguna jest bardzo przyjemna przez cały rok. Pływanie i lekkie ćwiczenia wzmocnią mięśnie, nie obciążając nadmiernie stawu.

Opuścił jej rękę i zapatrzył się w ciemność.

– Powiniennem chyba skopać ten trawnik. Ciężka praca, ale dorastałem na farmie i zapach świeżej trawy przenosi mnie w czasy dzieciństwa.

– Gdzie była ta farma? – spytałem.

– W Sonomie w Kalifornii. Ojciec uprawiał śliwy odmiany Santa Rosa i ciemne winogrona. Poszliśmy dalej.

– Przyjmujesz tutaj pacjentów? – spytałem.

– Nie, w klinice w mieście. Mamy tam aparat rentgenowski, a poza tym tak jest wygodniej dla ludzi.

– Więc jakie masz tutaj laboratoria?

– Badawcze. Od dawna interesuję się alternatywnymi środkami do tępienia owadów. Boicie się?

– Czego? – spytała Robin.

– Drapieżników. – Zamrugał. – Bezkręgowców.

– Boję się, jeżeli po mnie pełzają. Roześmiał się.

– Mam nadzieję, że się bez tego obejdzie, moja droga. Jeżeli bylibyście zainteresowani, mam tutaj kilka bardzo interesujących egzemplarzy.

– Trzymasz je tutaj żywe?

Odwrócił się, żeby poklepać Robin po ramieniu.

– Pod kluczem, w tym dużym budynku. Przepraszam, moja droga. Powinienem cię był uprzedzić. Czasami zapominam, że ludzie za nimi nie przepadają.

– Wszystko w porządku – odparła Robin. – Jako dziecko hodowałam tarantulę.

– Nie wiedziałem o tym – wtrąciłem. Roześmiała się.

– Moi rodzice także nie. Dostałam ją od przyjaciółki, której matka kazała ją wyrzucić. Przez kilka tygodni ukrywałam tarantulę w szafie, w pudełku po butach. A potem odkryła ją moja matka. Jeden z najbardziej pamiętnych epizodów z czasów dzieciństwa.

– Mam tarantule – powiedział Moreland. W jego głosie brzmiało podniecenie. – Są naprawdę cudowne, kiedy się je lepiej pozna.

– Moja nie była bardzo duża, miała pewnie z dwa i pół centymetra długości. Myślę, że pochodziła z Włoch.

– Prawdopodobnie włoski pająk wilk. Lycosa tarantula. A teraz coś dla ciebie, Alex: kiedyś uważano, że ukąszenie włoskiego pająka powoduje szaleństwo – płacz, płasawicę. Stąd nazwa tańca tarantella. To oczywiście bzdury. Maleństwa są nieszkodliwe.

– Szkoda, że cię tam nie było, żeby przekonać moją matkę – powiedziała Robin. – Spuściła ją z wodą. Moreland wzdrygnął się.

– Gdybyś chciała obejrzeć moją, byłbym zobowiązany.

– Pewnie – powiedziała Robin. – Jeśli Alex nie ma nic przeciwko temu.

Spojrzałem na nią. W domu wołała mnie, żebym to ja zabijał packą komary i muchy.

– Z przyjemnością – odparłem.

– Ale jego lepiej zostawcie na zewnątrz – poradził Moreland, spoglądając na Spike'a. – Psy pochodzą w większości od wilków, a wilki są drapieżnikami, wydzielającymi specjalne hormony.

Te małe stworzonka mogą odpowiedzieć agresją. Nie chcę, żeby się zdenerwował. Ani one.

– Ludzie to także drapieżniki – powiedziałem.

– Jak najbardziej – zgodził się Moreland. – Jednak my odczuwamy przed nimi naturalny strach i one to czują.

Przywiązaliśmy Spike'a do drzewa, daliśmy mu psiego krakersa o smaku serowym i zapewniliśmy, że wkrótce wrócimy.

Moreland zaprowadził nas do budynku przypominającego hangar. Wchodziło się tam przez drzwi z szarego metalu.

– Łaźnia dla oficerów japońskich – wyjaśnił, otwierając zasuwę. -

Mieli tutaj wanny do kąpieli w ziołach, parówki, baseny ze słodką i słoną wodą. Słoną wodę dowożono ciężarówkami z plaży.

Nacisnął kontakt i pozbawione okien pomieszczenie rozbłysło światłem. Ściany i sufit pokryte były białymi kafelkami. Pusto. Jeszcze jedne szare metalowe drzwi, zamknięte. Bez zasuw.

– Teraz uwaga – powiedział. – Muszę ściemnić światło. Trzynaście stopni w dół.

Otwierając drugie drzwi, przycisnął kilka włączników i zamigotało bladoniebieskie zamglone światło.

– Trzynaście stopni – powtórzył i liczył głośno w miarę jak schodziliśmy po kamiennych schodach, trzymając się metalowej poręczy.

Na dole było znacznie chłodniej. Pomieszczenie miało około dwudziestu metrów długości.

Betonowe ściany i także podłoga. Na podłodze widoczne były prostokąty. Zalane betonem wanny.

Wąskie okna znajdowały się tak wysoko, że prawie dotykały sufitu. Sączyło się przez nie słabe światło księżycowe. Półprzezroczyste szyby wzmocnione drucianą siatką. Niebieskie światło fluoryzujących jarzeniówek sączyło się po ścianach. Gdy moje oczy przywykły do półmroku, zauważyłem w odległym końcu jeszcze jedne schody. Wiodły na przeznaczone do pracy podwyższenie z biurkiem, krzesłem, półkami i stołami laboratoryjnymi.

Po obu stronach poniżej znajdowało się dziesięć rzędów żelaznych, przytwierdzonych do betonu, stołów. Wyglądały jak metalowe żebra.

Na stołach poustawiano terraria, przykryte wiekami z drucianej siatki. Niektóre pojemniki były zupełnie ciemne. Inne jarzyły się na różowo, zielono, lawendowo, niebieskawo.

Dochodziły z nich różne odgłosy: trzepotanie, skrobanie, stuki czegoś twardego, uderzającego w szyby terrariów.

Paniczne próby ucieczki.

Poczułem mieszaninę dziwnych woni. Gnijące warzywa, odchody, torf. Wilgotne ziarna, gotowane mięso. I jeszcze coś słodkawego – psujące się owoce.

Ręka Robin w mojej dłoni była zimna jak metalowa poręcz.

– Witajcie – powiedział Moreland – w moim małym zoo.

Minęliśmy dwa pierwsze rzędy stołów i zatrzymaliśmy się przy trzecim. – Przydałby się tu jakiś system klasyfikacji, ale ja i tak wiem, gdzie które jest, a tylko ja je karmię.

Zwrócił się w lewą stronę i zatrzymał przy nie oświetlonym pojemniku. Wewnątrz była podłoga z mierzwy i liści, a na niej splątane nagie gałęzie. Nic więcej nie zauważyłem.

Moreland wyjął coś z kieszeni i trzymał w palcach. Kulka, podobna do karmy Spike'a.

Druciana pokrywka była zatrzaśnięta; Moreland zwolnił zamek i uchylił wieko. Wsunął dwa

palce i nęcił trzymaną w nich pigułką.

Z początku nic się nie działo, a potem z trudną do wyobrażenia szybkością mierzwa uniosła się jakby od miniaturowego trzęsienia ziemi i coś wystrzeliło w górę.

Po sekundzie z jedzenia nie pozostało ani śladu.

Robin przytuliła się do mnie.

Moreland ani drgnął. To, co wzięło kulkę, zniknęło.

– Australijski wilk ogrodowy – powiedział Moreland, umocowując nakrywkę. – Kuzyn twojego włoskiego przyjaciela. Tak samo jak tarantula zagrzebuje się w ziemi i czeka.

– Wygląda na to, że dobrze wiesz, co lubi – powiedziała Robin nieswoim głosem, ale ktoś, kto jej nie znał, mógł tego nie zauważyć.

– Ona, bo to prawdziwa dama, lubi białko zwierzęce. Najlepiej w formie płynnej. Pająki zawsze upłynniają swoje pożywienie. Mieszam owady, robaki, myszy, co się da, i sporządzam wywar, który zamrażam i odmrażam. To na sucho. Robię tak, żeby się przekonać, czy przestawia się na stałe pożywienie. Na szczęście wiele z nich przestawiło się. – Uśmiechnął się. – Dziwne zajęcie dla wegetarianina, prawda? Co mi jednak pozostaje? Jestem za nie odpowiedzialny...

Chodź, może obudzą się w tobie jakieś wspomnienia.

Otworzył inne terrarium na końcu rzędu. Tym razem wsunął rękę do środka, wyjął coś i posadził sobie na przedramieniu. W świetle żarówki można było dostrzec, że to pająk. Ciemny, owłosiony, nieco powyżej dwóch i pół centymetra długości. Laźł powoli w kierunku barku.

– Wygląda jak ten, którego znalazła twoja matka, kochanie? Robin oblizwała wargi.

– Tak.

– Na imię ma Giną. – I rzekł do pająka, który był już przy jego kołnierzu: – Dobry wieczór, señora. Robin, czy chcesz ją potrzymać?

– Tak.

– Giną, oto twoja nowa przyjaciółka. – Pająk zatrzymał się, jakby go zrozumiał. Moreland podniósł go czule i umieścił na dłoni Robin.

Pająk nie poruszał się, a potem uniósł głowę i wyglądało na to, że przygląda się Robin.

– Jesteś milutka, Giną.

– Moglibyśmy wysłać jednego twojej matce – powiedziałem. – Na pamiątkę dawnych czasów.

Roześmiała się i pająk znów się zatrzymał. A później, poruszając się z mechaniczną precyzją, doszedł do końca dłoni Robin i wyrzwał poza jej krawędź.

– Nic tam nie ma poza podłogą – powiedziała Robin. – Chyba chcesz wrócić do tatusia.

Moreland odebrał go, pogłaskał po brzuchu, umieścił w klatce i ruszył dalej.

Używając latarki w kształcie długopisu, wskazywał nam różne okazy.

Bezbarwne pajęczki wielkości mrówki. Pająki, które wyglądały jak mrówki. Delikatne

stworzonka o półprzeźroczystych odnóżach. Australijskie patyczaki hygropoda. („Cud gospodarki energetycznej. Ich wiotka budowa zapobiega przegrzewaniu”). Pajęczak

o ogromnych szczękach, którego ceglastoczerwony pancerz i cytrynowożółty odwłok wyglądały jak tania biżuteria. Skoczek z Borneo o czarnych oczach i włochatym obliczu, które upodabniało go do starego czarownika.

– Spójrzcie na to – powiedział Moreland, wskazując zygzakowatą konstrukcję,

przypominającą zmięty papier. – Jestem pewien, że nigdy nie widzieliście takiej pajęczyny. –

Robi ją argiope, żeby skusić pszczoły, za którymi przepada. Umieszczony centralnie „X” odbija promienie ultrafioletowe, co je przywabia. Wszystkie pajęczyny mają odrębne zastosowania i są niewiarygodnie rozciągliwe. Wiele pajaków produkuje kilka rodzajów włókna; niektóre zabarwiają je ze względu na określoną zdobycz. Większość modyfikuje pajęczyny zależnie od zmieniających się z każdym dniem warunków. Niektóre są używane jako miejsce do kopulacji.

Wszystkie stanowią piękne pułapki.

Gestykulował i potrząsał głową. Z każdym zdaniem stawał się bardziej podniecony. Wiem, że atropomorfizuję, ale owady również sprawiały wrażenie podekscytowanych. Wyłaniały się z mroku, aby się pokazać.

Panika, którą wyczuwałem tu wcześniej, minęła bez śladu. Spokojne, niespieszne ruchy.

Taniec wzajemnego zainteresowania?

– Dlaczego skoncentrowałem się na drapieżnikach? – ciągnął Moreland. – Dlaczego tak mi zależy, by się przystosowały? – Na jego kościstej dłoni spoczywało błyszczące, różowe, podobne do kraba stworzenie. – Oczywiście wrodzona drapieżność nie jest niczym nowym. W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym ćmy levuana zagroziły całkowitym zniszczeniem zbiorów orzecha kokosowego na Fidżi. Sprowadzono pasożyty tachinida, które doskonale sobie z nimi poradziły. W rok później wielkie szkody wyrządził żarłoczny chrząszcz coccinelid. Na pewno słyszeliście o tym, że ogrodnicy przez całe lata używali biedronek do likwidowania mszyc. A ja hoduję je dla ochrony moich drzew cytrusowych. – Wskazał nam terrarium jakby wysłane czerwonym dywanem. Palec na szybie sprawił, że dywan poruszył się. Tysiące miniaturowych volkswagenów, korek uliczny biedronek. – Jakie to proste i jakie praktyczne. Nie należy ich jednak przekarmiać. – Ruszył dalej, a potem zatrzymał się i westchnął głęboko. – Gdyby nie szeroko rozpowszechnione uprzedzenia, widoczne tu cudo i jego krewni odszczurzyliby wszystkie domostwa.

Wydobył z mroku coś ukrytego wśród liści.

Wypełzło powoli i żołądek podjechał mi do góry.

Siedem centymetrów szerokości i dwa razy tyle długości, odnóża grubości ołówka, pokryte włosami jak szczecina odyńca. Znieruchomiał, a potem rozwarł otwór gębowy na całą szerokość i potarł go szponiastymi szczypcami.

Moreland rozsunął mierzwę, a ja cofnąłem się. W jego dłoni pojawiła się następna kulka.

W przeciwieństwie do wilka australijskiego, stworzenie wzięło ją leniwie, nieomal nieśmiało.

– To Emma, jest rozpieszczona. – Jedno z odnóży pająka otarło się o palec Morelanda. –

W kiepskich filmach grywa tarantulę, ale w rzeczywistości jest to grammostola z Amazonii.

W swoim naturalnym otoczeniu żywi się małymi ptakami, jaszczurkami, myszami a nawet jadowitymi wężami, które unieruchamia, a potem miażdży. Widzicie, jaka może być przydatna do zwalczania zarazy?

– Dlaczego nie posługuje się jadem? – spytałem.

– Jad większości pajaków działa wyłącznie na maleńkie stworzenia. Możecie być pewni, że rozpieszczona madame Emma nie będzie miała cierpliwości, aby czekać, aż jad zacznie działać.

Pomimo pozornego lenistwa, kiedy jest głodna, staje się bardzo aktywna. Jak wszystkie wilki; nazwano je tak, bo ścigają swoją zdobycz. Muszę wyznać, że to moi ulubieńcy. Są takie bystre.

Szybko się uczą rozpoznawać ludzi. I są wrażliwe na dobroć. Jak wszystkie tarantule. Dlatego twoja mała lycosa tak dobrze nadawała się do domowej hodowli, Robin.

Robin nie spuszczała oczu z potwora.

– Podobasz się jej – powiedział Moreland.

– Mam nadzieję.

– O tak, z całą pewnością cię lubi. Kiedy ktoś jest jej obojętny, odwraca głowę. Co nie znaczy, że często sprowadzam tu ludzi. Mieszkańcy zoo potrzebują spokoju. – Pogłaskał ogromnego pająka, cofnął rękę i przykrył terrarium. – Owady i pajęczaki są doskonałe pod względem budowy i możliwości życiowych. Z pewnością słyszeliście te wszystkie oklepane bzdury o tym, jak z nami rywalizują, a w końcu doprowadzą do naszej zagłady. Głupoty.

Niektóre gatunki dobrze sobie radzą, ale inne są delikatne i wyginą. Entomolodzy od lat starają się odpowiedzieć na pytanie, co prowadzi do sukcesu. Popularnym wśród naukowców gatunkiem

jest monomorium pharaonis – mrówka pospolita. Aby ustalić, co jest powodem sukcesu monomorium, ufundowano niejedno stypendium naukowe. Najbardziej powszechne jest przekonanie, że są trzy główne czynniki: odporność na odwodnienie, współpracujące ze sobą kolonie z wieloma płodnymi królowymi, oraz zdolność do szybkiego i skutecznego przenoszenia kolonii. Mimo to istnieją owady, mające te cechy i umiejętności, a jednak ustępujące innym, na przykład mrówce drzewnej. – Wzruszył ramionami. – Prawdziwa zagadka.

Ruszył dalej, wskazując nam patyczaki, modliszki o piłkowanych szczękach, pokryte chitynowym pancerzem, wielkie syczące karaluchy madagaskarskie, żuki gnojaki, toczące swoje cuchnące skarby, jakby to były wielkie piłki lekarskie, grube, czarne żuki ścierwojady.

(„Mogłyby rozwiązać problem zanieczyszczenia naszej planety.”) I tak, zbiornik za zbiornikiem, stworzenia pełzające, wspinające się, pędzące, chrzęszczące, ślizgające się.

– Unikam motyli i ciem. Żyją zbyt krótko i konieczna im jest przestrzeń do latania. Wszyscy moi goście dobrze przystosowują się do życia w zamknięciu, i wiele z nich osiąga zadziwiającą długowieczność – lycosa ma dziesięć lat, a niektóre pająki dwa i trzy razy więcej... Nie nudzę was?

– Nie – odparła Robin. Oczy miała ogromne z ciekawości. – Wszystkie robią wrażenie, ale Emma... jest tak wielka.

– Tak. – Podeszedł szybko do zbiornika w ostatnim rzędzie. Większego od pozostałych, mającego co najmniej osiemdziesiąt litrów pojemności. Wewnątrz kilka okruchów skał tworzyło jaskinię, w której widoczna była podłoga z kawałków drewna.

– Mój brontozaur – powiedział wskazując coś, co wyglądało jak przedłużenie skał. – Jego przodkowie prawdopodobnie byli współcześni dinozaurom.

Cofnąłem się, oczekując na jakiś ruch.

Nic.

A chwilę potem już tam był. Po prostu nabrał kształtów: to, co uznałem za kawałki skały, było żywe. Wystawało z jaskini.

Płaskie, segmentowane ciało. Jak bicz upleciony z brązowej skóry.

Dwadzieścia centymetrów długości.

Na każdym segmencie odnóży.

Czułki grubości strun wiolonczeli.

Poruszające się czułki.

Cofnąłem się jeszcze trochę czekając, że Moreland zacznie go karmić. Przyłożył twarz do szyby.

Z jaskini wypełzło jeszcze więcej tego dziwnego stworzenia. Co najmniej trzydzieści centymetrów długości. Kolce na końcu ogona drżały.

Moreland postukał w szkło i w powietrzu zamachało kilka par odnóży, A potem rzut do przodu i dźwięk, jakby ktoś strzelił palcami.

– Co... to jest? – spytała Robin.

– Ogromna stonoga ze wschodniej Azji. Ukryła się w zeszłym roku na jednej z łodzi dostawczych – ściślej mówiąc na łodzi Brady’ego. W ten sposób zdobyłem wiele okazów.

Przypomniała mi się nasza podróż na „The Madeleine. Jak spaliśmy pod pokładem w samych kostiumach kąpielowych.

– Jest znacznie bardziej jadowita niż większość pajaków – powiedział Moreland. – Jeszcze jej nie nazwałem. Nie uczyłem jej, żeby mnie polubiła.

– Na ile jest groźna?

– Zanotowano tylko jeden śmiertelny przypadek. Zmarł siedmioletni chłopiec na Filipinach.

Najczęstszym problemem jest wtórne zakażenie, gangrena. Można w ten sposób stracić kończyny.

– Zostałeś kiedy ukąszony? – spytałem.

– Wiele razy. – Uśmiechnął się. – Ale tylko przez dzieci, które nie chciały się dać zaszczepić.

– Zdumiewające – powiedziałem, mając nadzieję, że to już koniec. Jednak w palcach

Morelanda pojawiła się następna kulka i zanim się spostrzegłem, uchylił wieko.

Tym razem obyło się bez nęcenia. Moreland rzucił kulkę z wysokości trzydziestu centymetrów.

Stworzenie nie zareagowało.

– Jak sobie chcesz – powiedział i umocował wieko. Ruszył dalej, a my za nim.

– To wszystko. Mam nadzieję, że nie wywarło to na was przykrego wrażenia.

– A więc twoje badania dotyczą pożywienia dla nich – powiedziałem.

– Przede wszystkim. Możemy się przy tym wiele nauczyć. Badam również wzory pajęczyn i różne inne rzeczy.

– Fascynujące – powiedziała Robin.

Spojrzałem na nią. Uśmiechnęła się. Rękę miała ciepłą. Połaskotała palcami moją dłoń, a potem wewnętrzną stronę nadgarstka. Spróbowałem się jej wywinąć, ale chwyciła mocno.

– Cieszę się, że tak to odbierasz, moja droga – odparł Moreland. – Niektórzy ludzie czują do nas obrzydzenie.

Później, w naszym apartamencie, spróbowałem się jej zrewanżować. Zaszedłem ją od tyłu, gdy ścierała makijaż, i leciutko połaskotałem ją w kark.

Pisnęła, zerwała się na równe nogi, schwyciła mnie i wylądowaliśmy na podłodze.

Znalazłem się na wierzchu i znowu ją połaskotałem.

– Fascynujące? Nagle okazuje się, że żyję z kobietą-pajakiem? Czy po powrocie oddamy się nowemu hobby? Roześmiała się.

– Najpierw musimy poznać recepturę na te kuleczki... To naprawdę było fascynujące, Alex.

Chociaż teraz, kiedy o tym myślę, chodzą mi po grzbiecie ciarki.

– Co za potworne rozmiary – powiedziałem.

– Jedno jest pewne: to był niezwykły wieczór.

– Co sądzisz o naszym gospodarzu?

– Bardzo ekscentryczny, ale rycerski. Miły.

– Ejże!

– Nie mam mu tego za złe. Należy do innego pokolenia. Pomimo swego wieku wciąż jest namiętny. Lubię, kiedy mężczyzna jest namiętny. Połaskotałem ją.

– Ach, moja mała Lycosa, ja także jestem namiętny! Objęła mnie.

– Na to wygląda, Wyszczrzyłem zęby.

– Przytul mnie i zmiażdż, upłynnij mnie!

– Pomyśl tylko, co mogłabym zrobić dodatkowymi sześcioma rękami – powiedziała.

Następnego ranka na nakrytym do śniadania stole czekały na nas płetwy, rurki, maski i ręczniki.

– Dżip czeka na dole – poinformowała nas Gladys.

Szybko uporaliśmy się ze śniadaniem i przed domem znaleźliśmy nasz pojazd. Jeden z tych krytych brezentem samochodów, którymi jeżdżą młodziaki z Beverly Hills i San Marino, kiedy chcą uchodzić za wieśniaków. Ten był autentyczny: zamglone szyby z plastiku, zwyczajna biała farba, żadnego stereo.

Włączyłem już silnik, gdy z domu, machając rękami, wypadli Pickerowie.

– Podwieziecie nas do miasta? – krzyknął Lyman. Tak jak poprzedniego dnia mieli na sobie stroje koloru khaki, a na głowach kaski. Na szyi Lymana wisiała lornetka. – Wziąwszy pod uwagę, że dotychczas ten pojazd służył nam, nie wyobrażam sobie, abyście mogli odmówić.

– Ani mi to w głowie – odparłem. Usiedli z tyłu.

– Dzięki – powiedziała Jo. Oczy miała zaczerwienione, usta zaciśnięte. Leżący na kolanach Robin Spike warknął niechętnie.

– Tak to jest, jeśli ma się krótkogłowie – odezwał się Picker. – Czy on w ogóle może oddychać?

– Jak widać – odparła Robin.

– Dokąd was podzucić? – spytałem.

– Pokażę drogę. Okropnie trzęsie, uważaj na wyboje.

Wyjechałem poza bramę i dżip pomknął po asfaltowej nawierzchni. Wkrótce ujrzeliśmy ocean, idealnie błękitny, nie poprzecinany żadnymi falochronami. Kiedy zbliżaliśmy się do przystani, czuliśmy się tak, jakbyśmy się zagłębiali w puzderku pełnym szafirów.

– Zauważyliście telefony z obrotową tarczą? Dziękujmy Bogu, że to nie dwie puszk

połączone żyłką.

Robin położyła mi dłoń na nodze i zwróciła się ku niemu z uśmiechem.

– Skoro się wam tu nie podoba, to czemu zostaliście?

– Ależ podoba się nam – zapewniła ją szybko Jo.

– Doskonałe pytanie, panno rzemieślniczko – powiedział jej mąż. – Gdyby to zależało ode mnie, nie zostalibyśmy. Trzymalibyśmy się tysiące kilometrów od tej wyspy. Jednakże Doktor Żona prowadzi pilne badania. Słyszałem, że zwiedzaliście wczoraj ogródek zoologiczny. Żadnej systematyki. Z punktu widzenia nauki, strata czasu.

Spike obejrzał się. Picker chciał go pogłaskać, ale pies odsunął się i ponownie zwinął się w kłębek na kolanach Robin.

– Samce psów – stwierdził Picker – zawsze wolą kobiety.

– To nieprawda – zaproponowała jego żona. – Kiedy byłam mała, mieliśmy miniaturowego sznaucera, który wolał mego ojca.

– Ponieważ miał do czynienia z twoją matką, najdroższa. – Roześmiał się. – Hormony. Psy wolą kobiety, mężczyźni uganiają się za sukami. – Zaczął nucić. Spike zawarczał. – Nie jest entuzjastą muzyki – stwierdził Picker.

– Wprost przeciwnie – odparła Robin. – Lubi muzykę, ale nie znosi fałszowania.

– Teraz w prawo – powiedział Picker przy ulicy Plażowej.

Pojechałem na pomoc, równoległe do wybrzeża. Przy pomoście nie było łodzi, na pompie nieczynnej stacji benzynowej wisiała tablica o racjonowaniu paliwa. Wzdłuż brzegu jeździły dzieciaki na rowerach, jakaś kobieta popychała wózek. Mężczyźni siedzieli z nogami w wodzie, a jeden spał wyciągnięty na pomoście.

– Gdzie jest lotnisko?

– Jedź prosto.

Minęliśmy sklepy. W powietrzu wisiała woń słonej wody. Okna placówki handlowej ciotki Mae zawieszane były wyblakłymi podkoszulkami i pamiątkami, a napisy nad wejściem informowały o usługach pocztowych i realizacji czeków. Można tu również było coś przekąsić. Tuż obok znajdował się Aruk Market – dwa stragany z owocami i warzywami. Kilka kobiet obmacywało owoce i pakowało do toreb zakupione towary. Uśmiechnęły się do nas. Na następnym białym budynku znajdowała się reklama budweisera i napis: SLIM'S ORCHID BAR. Przesiadywały przed nim wychudzone typy w łachmanach. Fasada The Chop Suey Pałace była czerwona ze złotymi literami, a drzwi strzegły kamienne psy. Na zewnątrz stały trzy nakryte stoliki. Przy jednym z nich siedział ciemnowłosa mężczyzna popijający piwo i jedzący coś za pomocą pałeczek. Spojrzał na nas obojętnie. Dalej było jeszcze kilka sklepów, wszystkie puste, niektóre z oknami zabitymi deskami, i świeżo otynkowany, klockowaty budynek, przed którym parkowało kilka samochodów z napisem: RADA MIEJSKA. A potem ukazała się North Beach z rafami koralowymi, palmami i wydmami, na których kwitły białe śliwy plażowe. Z prawej strony wiała się, wspinając na wzgórze, brukowana droga. Pokryte stiukiem domy na wzgórzu wyglądały w porannym słońcu jak cukierki waniliowe. Dostrzegłem wieżę i miedziany dach kościoła.

– Czy to tam jest klinika? – spytałem.

– Tak – odparł Picker. – Jedź prosto.

Dalej kończyła się już zabudowa. Woda była tu bardziej wzburzona i kąpało się niewiele ludzi, a plażowicze wyglądali jak okruchy ciastek.

Dotarliśmy do płatnego parkingu. Od wschodu wznosiła się na wysokość pięciu metrów palisada nie przycinanych bambusów. Wypisane ręcznie wywieszki oznajmiały: WŁASNOŚĆ PRYWATNA; ZAKAZ WJAZDU; ŚLEPA ULICA.

Picker pochylił się do przodu i ponad moim ramieniem wskazał lukę między bambusami.

– Tędy.

Skręciłem w polną drogą, tak wąską, że bambusy z obydwu stron ocierały się o dziapa.

Przejechaliśmy sto metrów i naszym oczom ukazał się dom.

Bardziej w stylu Cape Cod niż Tahiti, zbudowany z desek pokrytych niszczącą się farbą, z zagraconą werandą. Ze smołowanego dachu wystawał blaszany komin.

Posiadłość była rozległa i płaska, ogrodzona bambusami, które sprawiały wrażenie karłowatych na tle wznoszącej się za nimi siedemdziesięciometrowej, czarnej litej skały.

Zachodnia krawędź pasma wulkanicznego. Góry rzucały cień tak ostry, że wyglądał jak rozlana farba.

Piętnaście metrów dalej, przycupnął drugi, mniejszy dom. O tej samej konstrukcji i tak samo zaniedbany, miał dziwnie wyglądające, nie pasujące do reszty drzwi, jakby ulepione z jaskrawobiałego ciasta.

Pomiędzy dwoma budynkami leżał równiutko przepołowiony kadłub samolotu śmigłowego.

Resztę terenu stanowił ponury ogród, w którym rozsiane były szczątki kadłubów i innych części samolotów. Stało tu też kilka samolotów w całości.

Z większego domu wyszedł mężczyzna w samych tylko brudnych płóciennych spodniach z uciętymi nogawkami. Przecierał oczy i odgarniał z twarzy rzadkie żółte włosy. Młodszy oprawca rekinów, którego widzieliśmy wczoraj.

Picker uniósł plastikową osłonę okna.

– Gdzie twój ojciec, Skip? Mężczyzna jeszcze raz przetarł oczy.

– Gdzieś tu się kręci. – Jego głos był gruby, ochrypły i opryskliwy.

– Pożyczamy dziś samolot.

Skip milczał chwilę, a potem powiedział:

– Aha.

– Gdzie jest pas startowy, Ly? – spytała Jo.

– Gdzie zechcemy; to nie są jumbo jety. Chodźmy. Wyszli z dżipa. Picker podszedł do Skipa i zaczęli rozmawiać. Jo trzymała się z daleka, nucąc coś pod nosem i szarpiąc nerwowo żakiet.

– Biedactwo – powiedziała Robin. – Jest przerażona.

Zacząłem właśnie zakręcać, gdy z domu wyszedł jeszcze jeden mężczyzna. Z nagim torsem. Kwieciste szorty. Podobny do Skipa, ale o trzydzieści lat starszy. Pochyłe ramiona i ogromny brzuch. Siwawe resztki włosów. Podejrzanego oblicza przysłaniał dwutygodniowy zarost. Machnął do nas ręką i podszedł do dżipa.

– To wy jesteście tymi nowymi gośćmi doktora? – Głos ochryply jak u syna, ale mniej ospały. – Jestem Amalfi. – Jego małe niebieskie oczka były przekrwione, ale czujne, nos tak płaski, że prawie nie wystawał z twarzy. Broda rosła kępkami, prześwitująca skóra przedstawiała obraz nędzy i rozpaczki – same guzy i zmarszczki. – Co to takiego?

– Buldożek francuski.

– Nie widziałem we Francji niczego takiego. Robin pogłaskała Spike’a.

– Podoba się wam tu, panienko? – spytał ją Harry Amalfi.

– Wspaniale.

– Doktor traktuje was dobrze? Skinęła głową.

– Cóż, to się może w każdej chwili zmienić. – Poślinił palec i nastawił na wiatr. – Też chcecie polatać?

– Nie, dziękujemy.

Roześmiał się, zakaszłał i splunął na ziemię.

– Boicie się?

– Może innym razem.

– Spokojnie, panienko, moje samoloty są dobrze utrzymane. Tylko na nich można tutaj polatać.

– Dziękujemy za propozycję – powiedziałem i wykręciłem samochód. Amalfi oparł ręce na biodrach i przyglądał się nam, podciągając szorty. Pickerowie wraz ze Skipem zniknęli we wnętrzu domu.

W drodze powrotnej przyjrzałem się mniejszemu z domów. Biała listwa dookoła drzwi była wykonana ze szczęk rekinów.

Wróciłem na ulicę Plażową i pojechałem w kierunku South Beach. Mężczyzna z pałeczkami nadal siedział przed Pałace. Tym razem wstał na nasz widok i zamachał rękami, jakby zatrzymywał taksówkę.

Podjechałem, a on podreptał do krawężnika. Około czterdziestki, średniego wzrostu, szczupłej budowy, z czarnym wąsikiem, tak wąskim, że nie zauważyłem go z daleka. Reszta twarzy bladożółta i gładka, prawie bezwłosa. Miał na sobie duże, czarne okulary przeciwsłoneczne, niebieską, zapinaną na guziki koszulę z krótkimi rękawami, prążkowane spodnie z kory i mokasyny. Na jego stoliku obok talerza leżał gruby notes.

– Tom Creedman – powiedział takim tonem, jakby się spodziewał, że rozpoznamy to nazwisko. Kiedy nie zareagowaliśmy, uśmiechnął się ze smutkiem i cmoknął. – Z Los Angeles, prawda?

– Prawda.

– Nowy Jork – powiedział wskazując siebie palcem. – A przedtem Waszyngton. Trudniłem się dziennikarstwem. – Zamilkł, a potem rzucił nazwę programu telewizyjnego i dwóch dzienników.

– Ach tak – powiedziałem, jakby wszystko stało się jasne, a on uśmiechnął się zadowolony.

– Napijcie się ze mną piwa?

Spojrzałem na Robin. Skinęła głową.

Wysiedliśmy i podeszliśmy do stolika, ciągnąc za sobą Spike'a. Tom spojrzał na psa bez słowa. A potem wetknął głowę w otwarte drzwi restauracji i zawołał:

– Jacqui!

Na zewnątrz wyszła kobieta posągowych kształtów ze ścierką w dłoni. Jej długie ciemne, faliste włosy, okalały złocistą twarz o pełnych ustach. Kilka zmarszczek, ale młoda skóra. Trudno było odgadnąć jej wiek. Może dwadzieścia pięć, a może czterdzieści pięć lat?

– Nowi goście z Knife Castle – poinformował ją Creedman. – Kolejka dla wszystkich.

Jacqui uśmiechnęła się do nas.

– Witamy w Aruk.

– Zjecie coś? – spytał Creedman. – Wiem, że jeszcze wcześniej, ale odkryłem, że chińszczyzna na śniadanie wspaniale poprawia nastrój. Prawdopodobnie z powodu sosu sojowego, który podnosi ciśnienie.

– Nie, dziękujemy.

– Dobra – powiedział Creedman. – A więc tylko piwo – zwrócił się do Jacqui.

Jacqui wyszła.

– Knife Castle? – spytała Robin.

– Nazwa waszego lokum. Nie wiedzieliście o tym? Gdy wyspa należała do Japończyków, w rezydencji Morelanda mieściła się kwatery ich dowództwa. Tubyłcy służyli im za niewolników do czarnej roboty. A potem MacArthur zaatakował i urządził im istne piekło. Gdy żołnierze japońscy, którzy uniknęli bombardowań, usiłowali się okopać, niewolnicy schwycili wszelkie ostre narzędzia, jakie im wpadły w ręce, i dokończyli dzieła. Knife Island. Wyspa Nóż.

– Doktor Moreland powiedział, że to z powodu jej kształtu – zaprotestowałem.

Creedman roześmiał się.

– Wygląda na to, że nie tracisz czasu – powiedziałem.

– Stare nawyki.

Jacqui przyniosła piwo i Creedman rzucił jej dolara napiwku. Spojrzała na niego gniewnie i szybko odeszła. Creedman wziął do ręki butelkę.

- Po co tu przyjechałeś? – spytałem.
- Mała ucieczka od rzeczywistości. Zbyt wiele czasu spędziłem wśród animatorów życia.
- Zajmowałeś się polityką?
- Z całą jej marnością i splendorem. – Uniósł butelkę. – Za senne życie na wyspie.

Piwo było lodowato zimne, wspaniałe.

Robin wzięła mnie za rękę. Creedman sięgnął po notes.

- Pracuję nad książką. Zmiany warunków życia na wyspie, izolacja, rewolucja wewnętrzna.

Stosunek do charakterystycznego dla końca stulecia Zeitgeist. – Uśmiechnął się. – Naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej.

- Ciekawe – stwierdziłem.

– Mój wydawca także spodziewa się, że wyjdzie z tego ciekawa książka. Zapłacili mi tyle, że teraz wyjdą ze skóry, żeby ją rozreklamować.

- Piszesz tylko o Aruk, czy byłeś również na innych wyspach?

– Podróżowałem ponad rok. Tahiti, Fidzi, Tonga, Wyspy Marshalla, Guam, pozostała część Marianów. Na Arak przyjechałem w zeszłym roku, żeby pisać, bo nie dzieje się tu nic takiego, co mogłoby mnie rozpraszać. – Roześmiał się popijając piwo. – A wy jak długo tu zostanieiecie?

- Prawdopodobnie kilka miesięcy – odparłem.

- Właściwie po co tu jesteście?

– Żeby pomóc doktorowi Morelandowi porządkować dane.

- Dane związane z medycyną?

- Wszystko, co ma.

- Interesują was jakieś specjalne schorzenia?

- Nie, robimy ogólny przegląd.

- Żeby napisać książkę?

- Jeśli starczy materiału.
- Jesteś psychologiem, prawda?
- Tak.
- Więc on chce, żebyś analizował jego pacjentów pod kątem psychologii?
- Na razie omawiamy przypadki. Uśmiechnął się.
- Odmawiasz komentarza?
- Mówię tylko, że na razie omawiamy przypadki – odparłem z uśmiechem.
- A ty, Robin? Nad czym pracujesz?
- Jestem tu na wakacjach.
- Masz szczęście. – Znow zwrócił się do mnie. – Jeszcze jedno piwo?
- Nie, dziękuję.
- Niezłe, prawda? – Większość towarów sprowadza się tu z Japonii. Po cenach kilkakrotnie wyższych – oto zemsta Japończyków. – Odstawił pustą butelkę. – Chciałbym zaprosić was do siebie na obiad.
- A gdzie mieszkasz? – spytałem.
- Tam. – Wskazał głową zbocze góry. – Spędziłem kilka dni u Morelanda, ale nie mogłem dłużej wytrzymać. To nie dla mnie. Facet jest niezwykle energiczny, prawda?
- Sprawia wrażenie bardzo oddanego wyspie.
- Nie sztuka być oddanym, gdy się jest nadzianym. Wiecie, że jego ojciec był wielką szychą w San Francisco? Przecząco pokręciłem głową.
- Wielki szmal. Miał dom maklerski, kilka banków, winnice. Moreland był jedynym dzieckiem, odziedziczył cały majątek. Inaczej nic by tu nie działał. Chociaż nie na wiele się to zdało. Stracona sprawa.
- Niby co? – spytała Robin.

- Ratowanie tej wyspy. Nie chcę źle wróżyć, ale Arak kończy się. Brak bogactw naturalnych, brak przemysłu. Ci ludzie to próżniacy. Wystarczy spojrzeć na plażę. Nie mają nawet dość energii, żeby popływać. Co sprytniejsi wynoszą się stąd. Jeszcze trochę, a Arak zmieni się w bezludną wyspę z komiksu, z rozbitkiem pod palmą.
- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – powiedziała Robin. – Tak tu pięknie.
- Może i pięknie, Robin – powiedział, przysuwając się do niej. – Spójrzmy jednak prawdzie w oczy, przyływ i odpływ są częściami rytmu życia – to właśnie temat mojej książki.
- W jakim stopniu do upadku wyspy przyczyniła się blokada południowej drogi przez marynarkę? – spytałem.
- Byliście w Stanton?
- Nie.
- Jeśli to ma być baza, to ja jestem Chińczykiem. Lądują tam tylko samoloty z dostawami żywności i ekwipunkiem dla szczątkowej załogi. Gdyby nawet wpuszczono do miasta tych kilku marynarzy, żeby się tu spili i przespali, gospodarka nie odżyłaby.
- Co się stanie ze Stanton, gdy wyspa opustoszeje?
- Kto wie? Może marynarka odsprzeda wyspę? A może ją po prostu porzuci?
- Baza nie ma znaczenia strategicznego?
- Straciła je, gdy skończyła się zimna wojna. Najważniejsza sprawa, że brak tu wyborców. Mewy nie mają prawa głosu.
- Więc nie odnosisz wrażenia, że marynarka celowo likwiduje życie na wyspie?
- Kto ci tak powiedział?
- Jeden z gości w domu Morelanda zasugerował coś takiego.
- Doktor Picker. – Zachichotał. – Niezły dupek, no nie? Jeszcze kilka tygodni na słońcu, a zacnie mu się zwidywać Amelia Earhart, nurkująca w lagunie z sędzią Craterem. Na pewno

nie chcecie już piwa? Potrząsnąłem głową.

– Właśnie się wybieramy trochę ponurkować – powiedziała Robin, głaszcząc Spike’a.

Wstaliśmy i chcieliśmy zostawić na stole pieniądze.

– Ja stawiam – powiedział Creedman. – Nieczęsto miewam okazję odbycia inteligentnej rozmowy. I wasz kundel także jest w porządku. Nie obsikał mnie. – Odprowadził nas do dżipa. –

Lubię gotować. Zaproszę was kiedyś na obiad.

Gdy wsiedliśmy do samochodu, wsunął głowę w okno od strony Robin i zdjął okulary przeciwsłoneczne. Jego małe oczy były bardzo ciemne i spoglądały badawczo.

– Mieli swoje powody, żeby zablokować południową drogę – powiedział. – Dla zapewnienia bezpieczeństwa publicznego.

– Choroby? – spytałem.

– Jeżeli można uznać morderstwo za chorobę. To się zdarzyło pół roku temu. Znalezione na plaży miejscową dziewczynę, właśnie tam dokąd się wybieracie. Zgwałcona i niezłe poharatana.

Szczegółów nigdy nie ujawniono. Możecie je dostać od Morelanda, to on robił sekcję. Wieśniacy

byli pewni, że to sprawka jakiegoś marynarza, bo tego rodzaju rzeczy po prostu tu się nie

zdarzają. Przynajmniej od czasu, kiedy zmasakrowali Japończyków. – Zachichotał. – Kilku

młodych zabijaków popiło sobie i wybrało się autostopem do Stanton, żeby pogadać szczerze

z kapitanem Ewingiem. Wartownicy zatrzymali ich, co spowodowało niewielkie zamieszki.

Wkrótce potem marynarka zrobiła tę blokadę. – Wzruszył ramionami. – Przykro mi, że zepsułem

wam dzień, ale nauczyłem się jednej rzeczy: tak naprawdę uciec można tylko w głąb siebie.

Włożył okulary i wrócił do swego stolika. Wziął notatnik i wszedł do restauracji.

Włączyłem silnik i ruszyłem na pierwszym biegu.

Akurat w chwili, gdy przełączałem na dwójkę, rozległ się huk – jakby ktoś strzelił

z gigantycznej papierowej torby. A potem ponad szczytami wulkanów ukazała się spirala

czarnego dymu, która unosiła się coraz wyżej, kalając idealny błękit nieba.

Spike wygiął szyję w łuk. Warczał i węszył, a potem zaczął szczekać. Ludzie na pomoście wskazywali na niebo. Robin kurczowo ścisnęła mi rękę.

– Może to manewry wojskowe? – powiedziałem.

– W nieczynnej bazie?

Szybko zawróciłem samochód. Kiedy przejeżdżałem obok Chop Suey Pałace, wyszła z niego Jacqui ze ścierką w ręce. W drodze na lotnisko miałem przed oczami jej zaciekawioną i przestraszoną twarz.

Harry Amalfi stał koło swojego domu i wpatrywał się w czarny dym, jakby odczytywał wiadomość.

Zatrzymałem się tuż obok. Wysiedliśmy, ale Amalfi nie poruszył się. A potem usłyszeliśmy krzyki.

Skip Amalfi i drugi oprawca rekinów biegli w naszą stronę. Starszy z mężczyzn miał na sobie zbyt długie spodenki kąpielowe.

– To jest dobry samolot – powiedział Harry Amalfi.

– Był – poprawił go towarzysz Skipa Amalfiego. Miał łagodnie brzmiący głos i oczy bardzo blisko osadzone, szare jak deszczówka.

– Pewnie coś spieprzył i zalał silnik, tato – powiedział Skip. Amalfi znów zapatrzył się w niebo. Dym rozwiewał się i przeredzał. Trzeci mężczyzna osłonił oczy dłonią i również spojrzał w górę.

– Wygląda na to, że mógł spaść na Stanton.

– Możliwe – powiedział Skip. – Prawdopodobnie spadł prościutko na ich pieprzone pole startowe.

Jego ojciec chciał coś odpowiedzieć, a potem odwrócił się i ruszył w stronę ganku swego

domu.

– Chcesz, żebym do nich zadzwonił? – zapytał Skip. – I dowiedział się, czy tam doleciał?

Amalfi nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni bandanę, otarł twarz i w dalszym ciągu szedł wolno w stronę domu.

– Gówniana sprawa – odezwał się towarzysz Skipa. Zerknął na Robin, a potem sprawdził, czy to zauważyłem. Zauważyłem. Skinął głową.

– Totalne gówno – powiedział Skip.

– Chyba rzeczywiście zalał silnik. Skip zwrócił się do nas.

– Pieprzony głupek, twierdził, że zna się na lataniu, prawda?

– Wczoraj widziałem go po raz pierwszy – powiedziałem. Pokręcił głową z niesmakiem.

– Na pewno zalał silnik – powiedział szarooki mężczyzna, przeciągając dłonią po skołtunionych włosach.

– I ta jego biedna żona... – powiedziała Robin. – Nie chciała z nim lecieć.

– Dupek twierdził, że wie, co robi – odezwał się Skip. – A wy czego tu szukacie?

Wróciliśmy do dzipa i podjechałem w kierunku bambusów. Już miałem zawrócić na polną drogę, kiedy wybiegła stamtąd Jo Picker, bez kapelusza, z wielką torbą objającą się o biodro.

Miała otwarte usta i wybałuszone oczy. Biegła w naszą stronę. Nacisnąłem hamulec. Oparła ręce na masce i spojrzała na nas przez przednią szybę.

Robin wyskoczyła z samochodu i objęła ją. Spike chciał wysiąść także, ale go przytrzymałem. Od czasu wybuchu jeszcze się nie uspokoił.

Na niebie pozostały już tylko szare smugi.

– Nie, o Boże, nie! – powtarzała Jo. Wyrwała się Robin i zobaczyłem konwulsyjny grymas na jej ustach.

Skip i szarooki mężczyzna przyglądali się z daleka.

W końcu załadowali ją do dzipa i pojechaliśmy do domu. Popłakiwała cicho, a kiedy zbliżaliśmy się do domu, powiedziała:

– Miałam zamiar polecieć, ale się przestraszyłam!

Z domu wybiegł Ben z KiKo na ramieniu, a za nim Gladys i mężczyźni w roboczych ubraniach. Stąd wciąż jeszcze było widać smugi dymu. Huk także musiał tu być głośniejszy.

Jo przestała płakać i rozglądała się zdumiona. Robin pomogła jej wysiąść z samochodu i razem z Gladys odprowadziły ją do domu.

– A więc to był on – powiedział Ben. – Nie byłem pewien. Nie utrzymał się długo w powietrzu.

– Bardzo krótko.

– Widzieliście samolot?

– Widzieliśmy kilka, kiedy podwieźliśmy ich na lotnisko.

– Szelc – powiedział Ben. – Głupi pomysł. Od samego początku.

– Amalfi i jego syn uważają, że mógł spaść na bazę.

– Albo tuż obok. Nie wydostaniemy ciała. Chyba że zaczniemy pertraktować z marynarką.

Sam już nie wiem, co gorsze. – Zwrócił się w stronę domu. – Czemu z nim nie poleciała? Cykor?

Skinąłem głową.

– Cóż, miała więcej rozumu – stwierdził. – Doktor Bill rozmawiał z Pickerem dziś rano.

Zachowywał się bardzo niegrzecznie.

– Czy doktor Bill już wie? – spytała Robin. Ben skinął głową.

– Zadzwoń do kliniki. Jest w drodze do domu.

– W pierwszej chwili myślałem, że to jakieś manewry wojskowe – powiedziałem. – Czy marynarka strzela do celów powietrznych?

– Tu latają jedynie duże samoloty dostawcze. Gdyby wybuchł któryś z nich, spowodowałoby

to efekt podobny do erupcji wulkanu.

Przez bramę wjechał płaski biały samochód i zatrzymał się gwałtownie, rozpryskując żwir.

Na jego drzwiach widniał niebieski napis POLICJA. Za kierownicą siedział jakiś mężczyzna, a obok niego Pam Moreland.

Wysiedli obydwój. Pam wyglądała na wystraszoną. Mężczyzna był przystojny, pod trzydziestkę, bardzo wysoki i dobrze zbudowany. Miał miedzianą skórę i wyspiarskie rysy, ale jego włosy były jasnobrązowe, a oczy orzechowe.

Ubrany był w błękitną koszulę z krótkimi rękawami, zaprasowane na kant niebieskie spodnie i wojskowe sznurowane buty. Nosił srebrną odznakę, ale nie miał przy sobie pałki ani broni. Pam dotrzymywała mu kroku.

– To straszne – powiedziała. Policjant uścisnął dłoń Bena.

– Cześć – powiedział głębokim głosem.

– Cześć, Dennis – odparł Ben. – Mamy kłopoty. To jest Dennis Laurent, nasz komendant policji.

Laurent uścisnął nam dłonie, zauważył Spike'a i ledwie powstrzymał uśmiech.

– Czy wiecie, ile osób znajdowało się w samolocie? – zapytał.

– Tylko Lyman Picker – odparłem. – Jego żona także zamierzała polecieć, ale zmieniła zdanie. Jest w domu. Pokręcił głową.

– Coś takiego jeszcze się tu nie zdarzyło.

– Nie zdarzyło się – powiedział Ben. – Bo nikt nie lata na gratach Harry'ego. Myślisz, że rozbił się w Stanton?

– Albo tam, albo tuż obok wschodniej granicy. Dzwoniłem do Ewinga. Najpierw go nie zastałem, a potem jego zastępca powiedział, że jest zajęty, ale zadzwoni później.

– Zajęty – powtórzył szyderczo Ben.

– Żona pewnie zechce poznać szczegóły – powiedział Laurent. – Włożył okulary słoneczne i rozejrzał się wokół. – Teraz jednak z pewnością nie jest w odpowiednim nastroju.

– Jest w szoku – powiedziała Robin.

– Taak – powiedział Laurent. – Dajcie mi znać, jeśli zechce ze mną rozmawiać, albo jeżeli będę mógł coś dla niej zrobić. Czy oni nie zamierzali wkrótce wyjechać?

– Za tydzień lub coś w tym rodzaju – wyjaśniła Pam. – Pani Picker prawie ukończyła swoją pracę. Laurent skinął głową.

– Badania nad pogodą. Kilka tygodni temu przysłała do nas z laptopem i chciała się dowiedzieć, czy prowadzimy notatki dotyczące burz. Powiedziałem jej, że nigdy nie miewamy poważnych burz, więc niczego nie zapisujemy. Dlaczego jej mąż wpadł na pomysł, żeby latać?

– Chciał sfotografować dżunglę – powiedział Ben. – Żeby udowodnić kolegom, że naprawdę tu był.

– On także był naukowcem, prawda?

– Botanikiem.

– Więc co tu badał, figowce?

– Tak naprawdę wcale tu nie pracował – powiedziała Pam. – Mówił nam, że się nudzi. Łaził za nią jak cień i prawdopodobnie czuł się jak piąte koło u wozu. Może po prostu chciał sobie polatać dla przyjemności?

Laurent zastanowił się.

– Cóż, źle się stało, że wybrał tę porę i to miejsce... A Harry powinien zamknąć swoje lotnisko. Mam nadzieję, że żona nie spodziewa się, że przeprowadzimy wielkie śledztwo. Jeżeli spadł w dżunglę, trzeba wielkiego szczęścia, żeby odnaleźć zwłoki. – Znowu potrząsnął głową.

Pam, która stała blisko niego, przysunęła się jeszcze bliżej. Musnął ją spojrzeniem orzechowych oczu. Włożył ręce do kieszeni. A potem spojrzął na dżipa i sprzęt do nurkowania. – Ktoś z was

nurkuje?

– Jechaliśmy na plażę, kiedy to się stało – wyjaśniła Robin.

– A my szczepiliśmy dzieci – powiedziała Pam.

– Jak zareagowały dzieci w klinice? – zapytałem.

– Nie wiedzą jeszcze, co właściwie zaszło – odpowiedziała. – Niektóre z nich spojrzały na niebo, kiedy rozległ się huk, ale zbyt były przejęte zastrzykami. Przez jakiś czas szczepiliśmy, jakby nic się nie stało, a potem zrobiliśmy przerwę na drugie śniadanie.

– Ile szczepień wykonałaś? – zapytał Ben.

– Prawie połowę. Mieliśmy skończyć dziś po południu, ale chyba się nie uda.

– Mieliście zamiar nurkować w lagunie przy South Beach? – zwrócił się do nas Laurent.

– Tak – odparła Robin.

– Piękne miejsce – powiedział. – Pojedźcie tam kiedyś. Zwykle jest tam bardzo spokojna woda.

Pam odprowadziła go do samochodu i rozmawiali przez chwilę, gdy siedział już za kierownicą.

Ben przywołał KiKo i małpka razem ze Spike'em pobiegły za nami do domu. Cheryl myła wielkie frontowe okna i nie odwróciła się w naszą stronę. Z wyjątkiem syku rozpylacza do mycia szyb w domu panowała cisza.

– Pójdę na górę i sprawdzę, jak się ma Jo – powiedziała Robin. Wbiegła po schodach.

– Napijesz się czegoś? – spytał mnie Ben.

– Nie, dziękuję. Wypiliśmy kilka piw w mieście. Postawił nam gość o nazwisku Creedman.

– Tak? A gdzie was dorwał? Przed Pałace?

– Ma zwyczaj tam dopadać ludzi?

– To jego stałe miejsce. Zapolował na was, bo jesteście tu nowi. Mieszkał tu przez pewien

czas.

– Wspominał o tym.

– Powiedział również, dlaczego został wyproszony?

– Nie. Powiedział, że dla niego atmosfera była tu zbyt napięta.

– Napięta? Można to tak nazwać. – Spojrzał mi w oczy. – Musisz zrozumieć, że doktor Bill jest najbardziej gościnnym człowiekiem, jakiego w ogóle można spotkać. Zaprasza każdego, kto przybywa na wyspę. Tak właśnie trafili tu Pickerowie. Poznałeś ich i musisz przyznać, że doktor Bill ma świętą cierpliwość. Creedman również nadużył gościnności. Był tu zaledwie trzy dni, kiedy nakryliśmy go na myszkowaniu.

– Gdzie myszkował?

– W biurze doktora. Przyłapałem go na gorącym uczynku. Nie ma tam nic szczególnego, ale informacje dotyczące pacjentów są objęte tajemnicą. Oczywiście nie dotyczy to pracy naukowej, jaką wykonujecie teraz z doktorem. Taka podzięką za gościnność.

– Próbował się tłumaczyć?

– Nie. – Zacisnął szczęki tak samo jak wtedy, gdy Picker zażądał drinków, i poprawił okulary na nosie. – Próbował obrócić to w żarty. Powiedział, że chciał znaleźć sobie coś do poczytania. Tylko że książki są w pokoju od tyłu, a on szukał we frontowym. Kiedy mu to powiedziałem, kazał mi się odpieprzyć. A potem poskarżył się doktorowi, że go napastuję. Doktor Bill może zniósłby to myszkowanie, ale nie podobało mu się, że Creedman oczernia mnie. Wygadywał na nas coś jeszcze?

– Nie – odparłem. – Powiedział jednak, że południowa droga została zamknięta z powodu morderstwa popełnionego pół roku temu. Zabito na plaży tutejszą dziewczynę, co wywołało wrogie nastroje przeciwko marynarce.

– Facet robi z siebie asa dziennikarstwa – prawdopodobnie wspomniał wam o swoich

sukcesach w mediach? Prawda jest taka, że był miernotą. I trzymaj go z daleka od panny

Castagna. Wyobraża sobie, że jest wielkim Don Juanem.

– Zauważyłem to, ale ona potrafi się obronić sama.

– Moja żona także, ale ciągle ją niepokoi. Zaraz po tym, jak go stąd wykopałem, podszedł do niej na rynku, zagadywał, proponował, że poniesie torby z zakupami. Taki usłużny. – Jeszcze raz poprawił okulary. – Poznaliście właścicielkę Pałace, taką wysoką kobietę o imieniu Jacqui?

Skinąłem głową.

– Ją także nachodził, dopóki nie dowiedział się, że jest matką szefa policji Laurenta.

– Nie za młoda?

– Ma powyżej czterdziestki, a urodziła Dennisa jako nastolatka. Ona i Dennis to dobrzy ludzie. Jest o parę lat młodszy ode mnie. Chodziliśmy razem do szkoły. Jacqui jest w połowie wyspiarką, w połowie Caue, pochodzi z Saipan. Tata Dennisa był Francuzem, kapitanem pływającym pomiędzy większymi wyspami. Umarł tuż przed narodzinami Dennisa. Matka dobrze go wychowała. W każdym razie według mnie Creedmana lepiej unikać. Obija się całymi dniami, strugając waźniaka.

– Mówił nam, że pracuje nad książką.

– Może nad książką o piwie. – Jego śmiech zabrzmiał bezlitośnie.

– A skoro mowa o nadszkiepcach – powiedziałem – to ten facet, co oprawiał rekina razem ze Skipem Amalfim, chyba także ma oko na Robin. Może nam sprawić kłopoty?

– To Anders Haygood. Także marna kreatura, ale jak dotąd nie było z nim problemów.

Przyjechał przeszło rok temu i zwykle trzyma się na uboczu. Mieszka u Harry'ego.

– Pracuje dla niego?

– Od czasu do czasu. Podrzucają mu sprzęt do naprawy, czy samochód do wyregulowania.

Najczęściej włóczą się ze Skipem po plaży. A Harry to stary nierób. – Roześmiał się. – Jestem

kopalnią wiedzy, co? Teraz pewnie pomyślisz, że Arak to siedlisko nicponi, gdy tymczasem Skip, Harry, Haygood i Creedman wyczerpują tę listę. Wszyscy inni są wspaniali. Spędzicie tu przyjemne chwile.

– Nie był szczególnie miły – stwierdziła Robin – ale odejść w taki sposób... Siedzieliśmy na górze, w salonie naszego apartamentu. Z pokoju Jo Picker nie docierały do nas żadne dźwięki.

– Jak się czuje Jo? – spytałem.

– Wykończona. Postanowiła zawiadomić jego rodzinę. Wysłałam, kiedy usiłowała uzyskać połączenie... Dziwne to, że człowiek rozmawia z kimś, a chwilę potem już go nie ma.

Położyła mi głowę na piersi, a ja pogłaskałem ją po policzku.

– A ty, jak się czujesz? – spytałem.

– Pod jakim względem?

– Wakacji. Roześmiała się.

– W porządku. Czekają na nas teraz wyłącznie dni pełne słońca i słodczy.

– Ben zapewniał mnie, że już poznaliśmy wszystkich tutejszych niegodziwców.

Opowiedziałem jej o myszkowaniu Creedmana i o jego zapędach w stosunku do Jacqui i Claire Romero.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparła. – Kiedy siedzieliśmy przy jego stoliku, położył mi łapę na kolanie.

– Co?!

– Wszystko w porządku, kochanie, poradziłam sobie.

– Nic nie zauważyłem!

– Zaraz na początku, kiedy Jacqui przyszła przyjąć zamówienie. Przez chwilę spoglądałeś na nią i on wtedy to zrobił. Nie bój się – dałam mu nauczkę.

– Jaką?

– Uszczypnęłam go w wierzch dłoni. – Uśmiechnęła się. – Mocno. Paznokciami.

– Nie dał nic po sobie poznać – powiedziałem.

– Nie, kontynuował rozmowę i tylko chłodził sobie rękę butelką z piwem. To pamiętałem.

– Łajdak.

– Nie przejmuj się, Alex. Znam ten typ mężczyzn. Więcej się nie odważy.

– Ktoś jeszcze zwrócił na ciebie uwagę – powiedziałem. – Na lotnisku. Kumpel Skipa Amalfiego, ten facet z potarganymi włosami. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że obydwaj przyglądali ci się, kiedy wysiedliśmy z łodzi.

– Prawdopodobnie cierpią tu na niedobór kobiet. Nie martw się, będę się trzymać w pobliżu domu. I wprawiać się w szczypaniu.

– Nie wydaje ci się, że zachowanie Creedmana jest cokolwiek ryzykowne jak na takie małe miasteczko? Trzeba było widzieć minę Bena, kiedy mi opowiadał, jak Creedman narzucał się jego żonie.

– Może go to podnieca. Dreszczyk myśliwego na polowaniu – powiedziała. – A może Aruk jest takie spokojne, że miejscowi tylko się śmieją z jego głupoty.

– Najwyraźniej nie ma tu wielkiej przestępczości. Szeryf chodzi nie uzbrojony.

– Zauważyłam. Pewnie dlatego wszyscy byli tacy pewni, że tę dziewczynę zamordował marynarz.

– Czy to morderstwo bardzo cię gnębi?

– Nie przepadam słuchać o czymś takim, ale z jednym zabójstwem rocznie to jest prawdziwy raj w porównaniu do L. A., prawda?

– Według Bena nie to zabójstwo spowodowało blokadę.

– A co?

– Nie powiedział.

– To interesujący facet – powiedziała.

– Pod jakim względem?

– Miły, ale trochę... twardy, nie sądzisz? Na przykład sposób, w jaki zareagował na ten wypadek. Złość na Pickera, żadnego współczucia.

– Picker dał mu się we znaki – oparłem. – Masz jednak rację, zareagował chłodno. Może dlatego, że został wyszkolony na pielęgniarza. Walczy o życie ludzkie, a tu widzi, jak ktoś tak głupio ryzykuje. A może jest po prostu jednym z tych perfekcjonistów, którzy nie znoszą durniów. Sprawia wrażenie niesłuchanie skrupulatnego. A także odpowiedzialnego za Morelanda i całe Aruk. Teraz Moreland zaczął się starzeć, a Aruk ma problemy, i to go stresuje.

– Może. Aruk rzeczywiście ma kłopoty – powiedziała. – Te wszystkie zabite dechami sklepy. Widziałeś napis o racjonowaniu benzyny? Jak myślisz, z czego ci ludzie żyją?

– Moreland napisał mi, że z rybołówstwa i rzemiosła. Nie zauważyłem jednak niczego takiego. Ben jest wykształcony, może żyć gdziekolwiek bądź, więc może został tu z powodu jakiegoś specjalnego zobowiązania.

– Tak, nie jest mu lekko – Przytuliła się do mnie. – Jak tu jednak jest ślicznie. Spójrz na te góry.

– Chciałabyś jutro ponurkować?

– Może. – Zamknęła oczy.

– Chciałbym, żebyś była zadowolona.

– Nie martw się. Wspaniale spędzam czas.

– A jak twój nadgarstek? Roześmiała się.

– O wiele lepiej. I obiecuję chodzić wcześniej spać i pić mleko.

– Wiem, wiem.

– Wszystko w porządku, kochanie. Lubię, gdy się o mnie troszczysz.

– Z jakiegoś powodu, po tych wszystkich latach, nadal muszę się do ciebie zalecać.

– Wiem o tym – powiedziała i wsunęła mi dłoń pod koszulę.

Obudził nas telefon.

– Spaliście? Strasznie mi przykro – powiedział Moreland.

– Nic się nie stało – odparłem. – O co chodzi?

– Ten wypadek Pickera... po prostu chciałem sprawdzić, czy u was wszystko w porządku.

– Jesteśmy wstrząśnięci, ale nic nam nie dolega.

– Próbowałem go ostrzec... Zapewniam was, że to całkowicie odosobniony przypadek.

Ostatnią katastrofę mieliśmy tu w sześćdziesiątym trzecim roku, kiedy zatonął okręt transportowy. Okropnie mi przykro, że coś takiego zdarzyło się akurat na wasz przyjazd.

– Nie przejmuj się tym, Bill.

– Wstąpiłem do pani Picker, dałem jej trochę brandy. Teraz sobie odpoczywa.

– To dobrze.

– No, to w porządku, Alex. Jeszcze raz przepraszam, że zakłóciłem wam sen. – Zamilkł. –

Możemy zacząć pracować, kiedy tylko zechcesz. Po prostu zadzwoń do mnie.

Robin usiadła i ziewnęła.

– Kto to? Nakryłem słuchawkę.

– Bill. Masz coś przeciwko temu, żebym teraz trochę popracował? Potrząsnęła głową.

– Ja też już wstaję.

– Akurat mam trochę czasu – powiedziałem Morelandowi.

– Świetnie – odpowiedział. – Pokażę ci twoje biuro. Zejdź na dół, jak będziesz gotowy.

Czekam.

Siedział na dole w fotelu przy oknie, popijając sok pomarańczowy. Ubrany był w taką samą białą koszulę jak poprzednio. Tym razem miał szare spodnie. Okulary zsunęły mu się na czubek nosa. Wstał, zamknął i odłożył książkę. Oprawne w skórę wydanie Szkoły uczuć Hauberta.

– Czytałeś to, synu?

– Tylko Panią Bovary, wiele lat temu.

– Wspaniała powieść realistyczna – stwierdził. – Flaubert był za ten realizm ostro krytykowany. – Schylił się powoli i pogłaskał Spike’a. – Urządziłem mu wybieg w cieniu, w ogrodzie różanym. Na wypadek, gdybyście go chcieli zostawić samego.

– Czy sprawiamy kłopot, zabierając go ze sobą?

– Nie. Dziś nie zwiedzamy zoo. Chodźcie, pokażę wam mniejszą bibliotekę.

Poprowadził nas przez bladoniebieską jadalnię umeblowaną w stylu Chippendale.

– Rzadko tu jadamy – powiedział. – Gdy tylko to możliwe, wychodzimy na zewnątrz.

Dawny pokój kredensowy znajdował się za mahoniowymi drzwiami. Otworzył jedno skrzydło. Ściany obite łososiowego koloru morą, dwa regały z ciemnego drewna, rzeźby, kryształowe żyrandole. Suszone kwiaty w wielkim zielonym wazonie.

Zaniknął drzwi.

– Jak już mówiłem, nie na wiele się wam przyda.

Przeszliśmy przez pokój śniadaniowy z wywoskowanym parkietem, przez żółtą spiżarnię, zautomatyzowaną kuchnię, minęliśmy wbudowane w ścianę lodówki, i wyszliśmy tylnymi drzwiami na jedną z kamiennych ścieżek. Najbliższy pawilon był tego samego, jasnobrązowego koloru, co budynek główny. Dachówki zastąpiono gontem.

Wewnątrz pawilonu znajdował się mały, chłodny pokój, z piękną boazerią z czerwonozłotej akacji hawajskiej, wyposażony w stare, ale w doskonałym stanie biurko z drewna orzechowego, ze skórzanym bibularzem, srebrnym kałamarzem i elektryczną maszyną do pisania.

U sufitu obracał się zdezelowany wentylator. Przy przeciwległej ścianie stała brązowa kanapa i takiż fotel, kilka stolików i lamp. Górę boazerii zdobił japoński rzeźbiony motyw.

Wysoko, na półkach leżały muszle i kawałki koralowca. Poniżej wisiały akwarele pani Moreland.

Przez dwa małe, wychodzące na podjazd, okna wpadał lekki wietrzyk. Fontanna lśniła

niczym światła Tivoli. Ciszę mąciło tylko ciężkie sapanie Spike'a.

– Bardzo tu przyjemnie – powiedziałem.

Moreland otworzył znajdujące się za biurkiem drzwi. Naszym oczom ukazało się większe pomieszczenie z sięgającymi sufitu półkami na wszystkich czterech ścianach. Podłoga zastawiona była stosami kartonowych pudeł, które wyglądały jak brązowe kolumny.

Setki pudeł prawie całkowicie wypełniały ów pokój.

Moreland wzruszył przepaszająco ramionami.

– Jak sam widzisz, czekałem na ciebie.

Jego przypominająca flaminga niezręczność rozbawiła mnie w równym stopniu, co ogrom czekającej nas pracy.

– Naprawdę mi wstyd, Alex. Nie masz pojęcia, ile razy zasiadałem tu, próbując wymyślić jakiś system klasyfikacji, ale zawsze dawałem za wygraną.

– Czy są ułożone alfabetycznie?

– Po kilku pierwszych latach praktyki spróbowałem je ułożyć alfabetycznie. I powtarzałem cały proces co parę lat. Jednak działało się to wszystko tak jakoś... przypadkowo. Będzie tu pewnie tuzin oddzielnych serii. – Wzniósł ręce. – Nie będę udawać: wszystko jest zrobione na chybił trafił, ale przynajmniej charakter pisma mam nie tak zły jak na lekarza.

Robin uśmiechnęła się i wiedziałem, że myśli o moich bazgrołach.

– Nie oczekuję cudów – ciągnął Moreland. – Czytaj uważnie, przerzucaj, rób, co przyjdzie ci do głowy. Po prostu starałem się zebrać dane dotyczące psychologii i warunków życia... A teraz, moja droga, pozwól, że pokażę ci twoją pracownię.

Sąsiedni pawilon był identyczny, ale ściany od wewnątrz miał pomalowane na białą. Trochę starych, ładnych mebli, stół do szkicowania, stołek, sztalugi, szafka z szufladami. Na szafce palety w plastikowych opakowaniach, tace z tubami farb olejnych, akryli i akwareli. Flaszeczki

z tuszem, piórka, węgiel, pędzle wszelkich kształtów i rozmiarów. Wszystko nowiuteńkie. Metki z cenami na pędzlach mówiły, że pochodzą ze sklepu zaopatrującego artystów w Honolulu.

Z boku stał stolik zastawiony lśniącymi przedmiotami.

– To muszle – powiedział Moreland. – Ślimaki porcelanka monetka, słuchotka kalifornijska, macica perłowa. A także trochę twardego drewna. Narzędzia do strugania. Kupiłem je od pewnego starego człowieka, który specjalizował się w skaczących delfinach, kiedy jeszcze kwitło tu pamiątkarstwo.

Robin wzięła w rękę piłę.

– Dobra jakość.

– To był przybytek Barbary... mojej żony. Wiem, że teraz nie rzeźbisz w drewnie, ale Alex opowiadał mi, jaka jesteś zdolna, więc pomyślałem sobie, że może zechciałabyś...

– Z przyjemnością – powiedziała Robin.

– Oczywiście tylko na tyle, na ile pozwoli ci nadgarstek. Szkoda, że nie udało się wam popływać.

– Spróbujemy kiedy indziej.

– To dobrze, dobrze... Chciałabyś się tu teraz rozejrzeć, moja droga? Czy wolisz być obecna przy tym, jak Alex będzie się przekonywał, do jakiego stopnia jestem bałaganiarzem?

Była to grzecznie wyrażona prośba, żeby zostawiła ich samych.

– Widzę tu mnóstwo ciekawych rzeczy. Alex, wpadnij po mnie, kiedy skończycie.

– A ty? – Moreland zwrócił się do Spike'a.

– Zaraz zobaczysz – powiedziałem. Idąc do drzwi zawołałem: – Chodź, Spike! – Pies natychmiast podbiegł do Robin i rozpląszczył się u jej stóp.

– Ma doskonały gust – roześmiał się Moreland. A kiedy wyszliśmy z pawilonu, stwierdził: –

Jakaż to miła dziewczyna. Szczęściarz z ciebie. To dobrze, że po tylu latach ktoś znowu korzysta

z pracowni Barbary.

– Ile to już lat?

– Tej wiosny minęło trzydzieści. – Po chwili dodał: – Utonęła. Nie tutaj. Na Hawajach.

Pojechała tam na wakacje. Ja musiałem zostać z pacjentami. Wczesnym rankiem poszła się wykąpać na Waikiki Beach. Doskonale pływała, ale wciągnęły ją wzburzone fale.

Zatrzymał się, pogrzebał w kieszeni i wyciągnął fotografię z wypchanego portfela ze skóry węgorza.

Czarnowłosa kobieta z portretu nad kominkiem, stojąca samotnie na plaży w czarnym kostiumie jednoczęściowym. Włosy krótsze niż na obrazie, surowo ściągnięte do tyłu. Wyglądała najwyżej na trzydzieści lat. Moreland miał wtedy ze czterdzieści.

Odbitka była wyblakła: szary piasek, seledynowe niebo, białe ciało kobiety. Ocean, który ją zagarnął, widoczny jedynie jako cienka wstążka piany.

Była pięknie zbudowana i ładnie się uśmiechała, ale jej poza – zsunięte nogi, opuszczone wzdłuż ciała ręce – świadczyła o zmęczeniu lub raczej rezygnacji.

Moreland zamrugał powiekami.

Zwróciłem mu odbitkę.

– Może zaczniemy od góry – powiedział, biorąc pierwsze pudło z jednej z kolumn. Zaniósł je do biura i ustawił na podłodze pomiędzy kanapą a fotelem.

Pudło było zalepione taśmą. Rozciął ją nożem wojskowym i wyjął kilka niebieskich teczek.

Włożył okulary i odczytał napis na jednej z nich.

– Ta nie jest z Aruk, ale dotyczy przypadku, który miałam.

Wewnątrz były sztywne, pożółkłe papiery, zapisane atramentem koloru indygo eleganckim pismem, takim samym, jak pozostawiona na moim łóżku kartka. Dane sprzed czterdziestu lat, dotyczące mężczyzny określonego jako „Samuel H”.

– Nie posługujesz się pełnymi nazwiskami? – spytałem.

– Zazwyczaj tak, ale to było coś... innego.

Zacząłem czytać. Samuel H. uskarżał się na kłopoty z trawieniem i tarczycą, które Moreland przez jedenaście miesięcy leczył hormonami syntetycznymi. Następnie pojawiło się kilka małych guzów i Moreland rozważał możliwość podróży na Guam w celu postawienia diagnozy i zoperowania. Samuel H. nie był pewien, jak postąpić, ale zanim się zdecydował, kosztu wybuchów. – Usiadł i oparł dłonie na kościstych kolanach. Jego wysokie czoło było białe i wilgotne jak świeżo ugotowane jajko. – Brałem udział w tym programie. Ktoś na górze wymyślił, że przydadzą się do tego moje umiejętności. Załatwialiśmy to nocą, pływając od wyspy do wyspy na małych motorówkach. Dobijaliśmy do brzegu, wzywaliśmy ludzi przez tuby, a potem dawaliśmy im czeki i odpływaliśmy. – Potrząsnął głową. – Dwadzieścia pięć tysięcy za życie ludzkie. Triumf przedsiębiorstwa ubezpieczeniowego. – Zdjął okulary i przetarł oczy. – Kiedy zrozumiałem, jakie szkody zostały wyrządzone przez wybuch, robiłem dla tych ludzi, co mogłem. Samuel był miłym człowiekiem. Bardzo dobrym cieślą.

– Jak ludzie reagowali na wypłaty? – spytałem.

– Niektórzy bali się i byli na nas źli. Wielu jednak okazywało wdzięczność. Stany Zjednoczone podawały pomocną dłoń. – Włożył okulary. – Cóż, sięgnijmy po następne pudło. Miejmy nadzieję, że trafi się coś bardziej zwykłego.

– Przynajmniej próbowałeś im pomóc – powiedziałem.

– To, że się tam kręciłem, synu, bardziej pomogło mnie samemu, niż im. Do tamtej pory sądziłem, że medycyna ogranicza się do rozpoznania choroby, przepisywania leków, wycinania. Moja własna niemoc uzmysłowiła mi, że to o wiele więcej. A jednocześnie mniej. Pracujesz na onkologii dziecięcej, więc znasz to doskonale.

– Gdy tam trafiłem, rak przestał być wyrokiem śmierci. Widziałem wystarczająco wiele

przypadków wyzdrowienia, by nie czuć się jak pracownik zakładu pogrzebowego.

– Tak. To wspaniałe. Jednak mimo wszystko wciąż spotykasz się z cierpieniem. Twoje artykuły o panowaniu nad bólem są naukowe, a jednocześnie pełne współczucia. Znam je wszystkie. Czytałem między wierszami. To jeszcze jeden powód, że poczułem, iż jesteś kimś, kto potrafi zrozumieć.

– Co zrozumieć?

– Dlaczego stary wariat chce nagle uporządkować swoje życie.

Następne przypadki rzeczywiście okazały się mniej niezwykłe. Kiedy przeglądałem kartę kobiety chorej na cukrzycę, Bill powiedział:

– Zostawiam cię samego. Nie pracuj zbyt długo, spędź przyjemnie resztę dnia.

Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Chcę cię o coś zapytać, Bill.

– Słucham?

– Dziś rano spotkałem w miasteczku Toma Creedmana. Wspomniał coś o morderstwie, które miało miejsce pół roku temu, i o jakichś niepokojach społecznych, które doprowadziły do blokady.

– Co jeszcze mówił?

– Tylko tyle. Ben powiedział mi, że Creedman mieszkał u ciebie i były z nim jakieś kłopoty.

– Tak, to prawda.

– Czy to tutaj został przyłapany na myszkowaniu? – spytałem, wskazując na sąsiednie pomieszczenie.

– Nie – odparł. – To było w moim biurze. Dwa pawilony dalej. Creedman twierdził, że zabłądził i właśnie wychodził, gdy został nakryty przez Bena. Nie robiłbym z tego sprawy, ale obraził Bena. A tego nie toleruje. Zażądałem, by opuścił mój teren. Teraz chętnie krytykuje mnie

i Aruk.

– Nazwał to miejsce Knife Castle.

– I prawdopodobnie opowiedział tę historię o niewolnikach wyrzynających niedobitki Japończyków.

– A to nieprawda?

– Bomby aliantów prawie całkowicie wybiły żołnierzy japońskich. Trzy dni nieustającego bombardowania. Trzeciej nocy Amerykanie ogłosili przez radio zwycięstwo. Wtedy niektórzy z przymusowych robotników opuścili baraki i zaczęli plądrować dom – co jest w pełni zrozumiałe po tym, co przeżyli. Trafili na kilku Japończyków i doszło do walki wręcz. Japończycy ustępowali im liczebnością. Pan Creedman uważa się za dziennikarza, ale najwyraźniej pociąga go fikcja – co nie oznacza, że te dwie dziedziny bardzo się od siebie różnią, przynajmniej w dzisiejszych czasach.

– Powiedział mi także, że robiłeś sekcję zamordowanej. Czy zgadzasz się, że mordercą był marynarz?

– Jestem zaniepokojony, Alex.

– Czym?

– Wypadek Pickera, a teraz to. Trudno się dziwić, jeśli uznasz Aruk za okropne miejsce, ale nie mieliśmy tu od dawna żadnych wypadków. A coś podobnego nie zdarzyło się od trzydziestu lat.

– Podobnego?

Złożył ręce i spojrzał na obracający się u sufitu wentylator.

Nagle otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

– Zaraz wrócę.

Wrócił, niosąc brązową teczkę z białą nalepką.

POLICJA W ARUK

ŚLED CZY: D. LAURENT

SPRAWA NR 00345

Cztery pierwsze strony zajmował napisany na maszynie raport szefa policji.

Ciało dwudziestoczteroletniej AnneMarie Valdosa zostało znalezione przez dwóch łowców krabów o trzeciej w nocy na South Beach. Zaklinowane było między skałami ponad wodą. Rany wskazywały na gwałtowną śmierć w wyniku przemocy.

O dziewiątej wieczorem w tym samym miejscu przebywał inny rybak, co pozwoliło Laurentowi bliżej określić czas, kiedy zwłoki tam się znalazły.

Pomimo że ptaki i rekiny padlinożercy zrobiły swoje, Laurent był w stanie odróżnić zewnętrzne otarcia i powierzchowne skaleczenia od licznych głębokich ran zadanych nożem, które doprowadziły do wykrwawienia i śmierci.

Ofiara mieszkała na Aruk od dwóch lat, kiedy to przybyła z Saipan, aby pracować jako kelnerka w Slim, ale po trzech miesiącach straciła to zajęcie z powodu chronicznego pijaństwa.

Wynajmowała pokój w miasteczku i zalegała z opłatami za dwa miesiące. Znano ją z tego, że spoufalala się z marynarzami. Jediną jej żyjącą krewną była mieszkająca na Guam matka alkoholiczka, która nie miała pieniędzy, aby przyjechać na pogrzeb ani go opłacić.

Przesłuchiwanie miejscowej ludności nie doprowadziło do znalezienia świadków, ale panuje powszechne przekonanie, że okrucieństwo, z jakim popełniono zbrodnię, wskazuje na to, że mordercą był marynarz.

W ostatnim fragmencie sprawozdania Laurent pisał: „Policjant prowadzący śledztwo wielokrotnie bezskutecznie próbował skontaktować się z kapitanem E. Ewingiem, komendantem

bazy w Stanton, aby przesłuchać tamtejszych ludzi w związku z powyższą zbrodnią”.

Kiedy chciałem odwrócić kartkę, Moreland powiedział:

– Może lepiej nie. Tam są fotografie.

Zawahałem się, ale odwróciłem kartkę.

Zdjęcia nie były gorsze od tych, które pokazywał mi Milo, co oznaczało, że będą stanowiły przyczynek do dręczących mnie koszmarów.

Przejrzałem je i zabrałem się do sprawozdania Morelanda.

Badał, robił sekcję i opisywał każdą ranę.

Było ich co najmniej pięćdziesiąt trzy, nie licząc tych, które mogły znajdować się w miejscach rozszarpanych przez padlinożerców.

Śmierć spowodował prawdopodobnie cios zadany w szyję.

Wbrew temu, co twierdził Creedman, nie stwierdzono penetracji seksualnej.

Wszystkie rany zadano prawdopodobnie tą samą bronią, bardzo ostrym, pozbawionym ząbków ostrzem.

Następna strona była zapisana eleganckim charakterem pisma Morelanda:

„Dennis: jeśli chcesz, możesz to zachować dla siebie.

WWM

Okaleczenia stwierdzone podczas sekcji zwłok.

A. Lewa noga całkowicie oderwana w stawie kolanowym.

B. Lewa kość udowa złamana w trzech miejscach, duży ubytek szpiku kostnego.

C. Podłużna rana cięta głębokości 26 cm od łona do mostka.

D. Wypatroszone trzewia, jelito cienkie i grube leżące na klatce piersiowej i przykrywające obie piersi. Piersi nie naruszone. (Stwierdzono tam również silne działanie skorupiaków).

E. Obydwie nerki i wątroba wyjęte i nieobecne.

F. Głowa obcięta pomiędzy trzecim a czwartym kręgiem szyjnym i umieszczona obok ciała, po lewej stronie, w odległości jedenastu centymetrów.

G. Poniżej i powyżej cięcia widoczne głębokie, poprzeczne szramy, prawdopodobnie od uderzenia skierowanego ku dołowi od lewego ucha poprzez szyję, wskazującego na osobę praworęczną, zadającą cios od tyłu. Tchawica i żyła szyjna oderwane.

H. Znaczny otwór w czaszce. Część potyliczna zgruchotana, prawdopodobnie za pomocą tępego narzędzia.

I. Obydwie półkule mózgowie usunięte, mózdzek i rdzeń przedłużony – nietknięte”.

Zamknąłem teczkę i odetchnąłem starając się opanować mdłości.

– Przepraszam – powiedział Moreland – ale chciałem cię przekonać, że nic przed tobą nie ukrywam.

– Morderca nie został ujęty?

– Niestety nie.

– Skąd ta teoria, że to jakiś marynarz?

Moreland zamrugał oczyma i nerwowo poprawił okulary.

– Odkąd tu mieszkam, tubylcy ani razu nie byli zamieszani w żadną poważną zbrodnię.

Przypuszczam, że to mógł być majtek z łodzi transportowej, chociaż większość z nich poznałem i wszyscy byli porządnymi ludźmi. A Dennis ich przesłuchiwał. Czego nie zdołał uczynić z marynarzami.

– Nie dopuszczono go do bazy? – spytałem, myśląc o pozostawionym bez odpowiedzi telefonie Laurenta do Stanton.

– Nie.

– Dlaczego przechowujesz teczkę? Czy śledztwo trwa?

– Dennis miał nadzieję, że coś wymyślę, jeśli nad tym popracuję. Jednak nie wymyśliłem.

Masz jakiś pomysł?

– To nie jest typowy mord o podłożu sadystycznym – powiedziałem. – Nie było gwałtu.

Chociaż Creedman twierdził, że tak.

– Sam widzisz – odparł Moreland. – Facet jest niewiarygodny.

– Okaleczenie głowy, pleców i nóg, a nie genitaliów czy piersi. Brak licznych organów, wydrążenie kości udowej, żeby wydobyć szpik. Upiorne, wręcz rytualne.

Uśmiechnął się gorzko.

– Coś w guście prymitywnych tubylców?

– Myślałem raczej o rytuałach satanistycznych... Czy pozostawiono jakieś satanistyczne symbole?

– Nic takiego nie znaleźliśmy.

– Czy sposób pozbawienia życia nosi jakiegokolwiek ślady mordu rytualnego?

Potarł łysą czaszkę, wyjął z kieszeni czarne, grube wieczne pióro, zdjął nasadkę i przyjrzał się stalówce.

– Wiesz coś o kanibalizmie?

– Na szczęście niewiele.

– Robiąc sekcję, przypomniałem sobie to, co słyszałem na ten temat, gdy pod koniec lat pięćdziesiątych stacjonowałem w Melanezji. – Schował pióro, wyprostował nogi i roztarł kościste kolano. – Smutna prawda polega na tym, że z perspektywy dziejów jedzenie mięsa ludzkiego nie jest kulturową aberracją. Wprost przeciwnie, jest kulturowo obwarowane. I to wcale nie na tak zwanych prymitywnych kontynentach. Dawni Teutonowie mieli swoich Menschenfressers; w grocie w Chavaux we Francji, na terasach Mozy, archeolodzy znaleźli kawałki wydrążonych kości ludzkich nóg i ramion – tacy to byli ówczesni galijscy smakosze. Starożytni Rzymianie, Grecy i Egipcjanie chętnie spożywali jedni drugich, a niektóre plemiona

szkockie przez całe stulecia zjadały pasterzy zamiast ich trzodę. – Odchylił się na oparcie i skrzywił się boleśnie.

– Źle się czujesz? – spytałem.

– W porządku, w porządku. – Roztarł kark. – Skurcz, źle spałem... O czym to mówiłem? –

Ach, tak, przykłady ludożerstwa. Najczęstszą jego przyczyną było zapotrzebowanie na białko.

Chociaż czasami zdarzało się, że jadano ludzi, gdy pojawiały się inne źródła pożywienia.

„Delikatne jak mięso ludzkie” było kiedyś najwyższą pochwałą u plemion Fidżi. Kanibalizm

może mieć również znaczenie mistyczne: zjada się własnych przodków, żeby przejąć ich

dobroczynne duchy. Spożycie mózgu wroga gwarantuje mądrość, serca – odwagę. Pomimo całej

tej różnorodności pozostaje pewien schemat postępowania: obcięcie głowy, wyjęcie

najważniejszych organów, rozłupanie kości długich w celu wydobycia szpiku. Jak mówi Biblia:

„Krew jest duszą”.

Poklepał teczkę leżącą na kolanach i spojrzał na mnie wyczekująco.

– Myślisz, że zabito tę kobietę, żeby ją zjeść? – spytałem.

– Mówię tylko, że jej rany wskazują na praktyki kanibalistyczne. Są jednak także pewne

niekonsekwencje: serce, uważane zwykle za delikates, pozostało nietknięte. Czaszki są często

kolekcjonowane jako trofea, a jej głowę pozostawiono na miejscu. Sądzę, że można to

wytłumaczyć pośpiechem – zabójca został zmuszony do opuszczenia plaży nie dokończywszy

działa. Albo – i to jest chyba najprawdopodobniejsze – był to psychopata naśladowający jakiś

dawny rytuał.

– A może ktoś, kto obejrzał nieodpowiedni film – podsunąłem. Skinął głową.

– Świat, w którym żyjemy... „Nie dokończywszy działa”.

Wyobraziłem sobie łagodne fale laguny, błysk długiego noża w świetle księżyca.

– To, co zrobił, musiało mu zabrać sporo czasu.

- Co najmniej godzinę. Ludzkie kości udowe są twarde. Wyobrażasz sobie, jak siedział tam i piłował? – Potrząsnął głową. – Okropne.
- Dlaczego sugerowałeś Laurentowi, żeby nie publikował szczegółów?
- Z dwóch powodów. Żeby nie ujawniać faktów, które zna tylko morderca, i dla zachowania bezpieczeństwa publicznego. Nastroje bardzo się zaogniły, krążyły różne plotki. Wyobrażasz sobie, co by się stało na wieść o marynarzu ludożercy?
- A więc mieszkańcy nadal nic nie wiedzą?
- Nie wie nikt poza tobą, Dennisem i mną.
- I mordercą. Wzdrygnął się.
- Wiem, że mogę ci zaufać. Pokazałem ci teczkę, bo cenię sobie twoje zdanie.
- Kanibalizm nie jest moją specjalnością.
- Rozumiesz motywy ludzkich działań. Po latach pracy odkryłem, że ludzie stają się coraz bardziej pogmatwani. Z czego to wynika, Alex?
- Bóg jeden wie – odparłem. – Wspomniałeś, że tubylcy nie są okrutni. A marynarze? Czy zdarzały się jakieś przypadki przemocy?
- Burdy, bijatyki, nic poważniejszego.
- A więc opowieść Creedmana o tym, jak tubylcy szturmowali południową drogę, jest prawdziwa?
- Jeszcze jedna przesada. Nikt nie szturmował. Kilku młodych ludzi, oszołomionych piwem, usiłowało dotrzeć do bazy, żeby zaprotestować. Wartownicy zawrócili ich, więc było trochę krzyków i przepychanek. Naiwnością byłoby przypuszczać, że marynarka po dwóch dniach ustawiła blokadę, aby powstrzymać garstkę dzieciaków. Spędziłem dość czasu na służbie i wiem, że w wojsku nic nie dzieje się tak szybko. Blokada musiała być planowana od miesięcy.
- Po co?

Zmarszczył brwi. Zawahał się.

– Obawiam się, że może to być pierwszy krok do zamknięcia bazy.

– Bo nie ma znaczenia strategicznego?

– Nie w tym rzecz. Aruk zostało stworzone przez siły kolonialne i nie można tak po prostu wszystkiego porzucić.

– Czym się trudnią tubylcy?

– Drobnymi pracami i handlem wymiennym. Korzystają też ze stanowej pomocy społecznej

– odparł ze smutkiem.

– Czeki pomocy społecznej przywożone są łodziami dostawczymi? Skinął głową.

– Myślę, że obydwaj wiemy, do czego prowadzi taka sytuacja. Starłem się zachęcić ludzi do większej samodzielności, ale uprawa ziemi nie interesuje ich, a na jakikolwiek przemysł brakuje surowców naturalnych. Dawne umiejętności zostały zapomniane, a najlepsi uczniowie opuścili wyspę, żeby uczyć się w szkole średniej, i nigdy nie powrócili. Dlatego tak się cieszę, że Ben i Dennis zdecydowali się zostać.

– A teraz blokada przyspieszyła upadek wyspy?

– Tak, ale sytuacja nie musi być beznadziejna, synu. Wystarczy jedna dobra inwestycja – jakaś fabryka – i Aruk utrzyma się przy życiu. Próbowałem namówić na inwestowanie różnych przedsiębiorców, ale wycofywali się z powodu problemów z transportem.

– Pam wspomniała, że korespondowałeś z senatorem Hoffmanem.

– Tak, to prawda. – Odłożył teczkę dotyczącą morderstwa.

– Czy na Aruk istnieją tradycje kanibalistyczne? – spytałem.

– Nie, ponieważ nie było tu żadnej przedchrześcijańskiej kultury. Pierwsi mieszkańcy, przywiezieni przez Hiszpanów w piętnastym wieku, byli już katolikami.

– Kanibalizm istnieje tylko na bazie kultury przedchrześcijańskiej?

– Z tego, co wyczytałem, wynika, że tak właśnie jest. W najnowszych udokumentowanych przypadkach chrześcijaństwo miesza się z ideami przedchrześcijańskimi. Słyszałeś o „kulcie cargo”?

– Niewiele. Jest to sekta, która utożsamia dobra materialne ze zbawieniem duchowym.

– Sekta, która powstała dzięki zachętom samozwańczego proroka.

W kulcie cargo nawróceni na katolicyzm tubylcy zachowują niektóre z dawnych wierzeń.

Dostrzegają związek pomiędzy zdobywaniem dóbr a otrzymywaniem zbawienia, ponieważ podstawowa technika misjonarzy polega na łączeniu doktryny z podarkami. Wyspiarze są przekonani, że misjonarze mają klucz do wiecznego życia pozagrobowego i wszystko, co się z nimi wiąże, jest święte: biała skóra, europejskie rysy twarzy, zachodnie ubrania. Cudowni kahgo. Taki kult występuje coraz rzadziej, ale jeszcze w latach sześćdziesiątych czczono Lyndona Johnsona, bo ktoś wpadł na pomysł, że to on jest źródłem dostaw.

– Współzależność pomyłona z przyczynowością – powiedziałem. – W ten sam sposób rodzą się wszystkie przesady. Plemię łowi ryby w czasie pełni księżyca i osiąga rekordowy połów: księżyc posiada własności magiczne. Aktor ubrany w czerwoną koszulę podbija widzów: koszula staje się świętością.

– Otóż to. Pozbawione podstawy rytuały są dobre do czasu. Gdy misjonarze odjeżdżają i dostawy ustają, wyspiarz może sądzić, że to początek apokalipsy. Nawiązując do charyzmatycznego proroka: wiele lat temu zostałem wysłany do Pangii, w Southern Highlands Province, aby kontrolować rozprzestrzenianie się chorób zakaźnych. Rok pięćdziesiąty piąty, zaraz po wojnie. W trakcie badań usłyszałem o urzędniku państwowym niskiego szczebla, który nagle porzucił pracę i zaczął na placu miejskim głośno czytać Biblię przez dwadzieścia godzin na dobę. Młody, przystojny, inteligentny jegomość. Powiązania z klasą rządzącą podnosiły jego status. Pojawiła się grupka wiernych słuchaczy, a on roztaczał coraz bardziej krwawe wizje.

W końcu zarznął i zjadł własnego nieletniego syna, dzieląc się posiłkiem z wyznawcami, a wszystko po to, by sprowadzić samolot wylądowany żywnością. Tego samego ranka modlił się z Księgi Rodzaju. Fragment o Abrahamie, który poświęcił w ofierze syna Izaaka.

– Abraham nie spełnił ofiary.

– Ponieważ Bóg nie zezwolił mu na to. Inaczej niż jemu. – Moreland pobladł. – Wciąż widzę jego twarz. Uśmiechniętą, spokojną.

– Jakies podobieństwa do tutejszego morderstwa?

– Kilka.

– Występuje też kilka wymienionych wcześniej czynników. Uzależnienie od białego człowieka, a potem porzucenie.

– I tak nie ma w tym sensu – powiedział, pochylając się do przodu. – Bo brak innych czynników.

– Nie ma kultury przedchrześcijańskiej.

– Ani żadnych wcześniejszych kultów! – Postukał palcami w teczkę. – Nadal twierdzę, że ten ohydny czyn popełnił jakiś chory osobnik.

– Ktoś, kto czytał o kanibalizmie i starał się naśladować morderstwo kultowe?

– Możliwe. A co ważniejsze, ktoś, kto się stąd wyniósł.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Bo nic takiego się nie powtórzyło.

Był trupioblady. Nie miałem serca, by kontynuować rozmowę.

– Przez pewien czas myślałem, że przeniósł się, aby zrobić to samo gdzie indziej. Jednak

Dennis śledził międzynarodowe komunikaty i niczego takiego nie było. A teraz zostawmy te upiorne sprawy i weźmy się za coś innego.

Przez następne półtorej godziny beznamiętnie omawialiśmy przypadki medyczne oraz zastanawialiśmy się, w jaki sposób uporządkować dane.

– Zbliża się czas posiłku Emmy i jej przyjaciół – powiedział Moreland, spoglądając na zegarek. – Dziękuję za to popołudnie. Nieczęsto zdarza mi się okazja do takich dysput.

Pomyślałem o jego córce lekarce.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Bill.

– Wkrótce się ściemni, nie pracuj zbyt długo – powiedział Moreland. – Nie sprowadziłem cię tu, abyś tyrał jak niewolnik – dodał wychodząc.

Zostałem sam. Usiadłem i spojrzałem przez okno na fontannę.

Przypomniałem sobie zdjęcia AnneMarie Valdosa na miejscu zbrodni.

Białe ciało na czarnych skałach; szczegóły zachowane w tajemnicy przez Morelanda i Laurenta.

Prawdopodobnie właśnie tego szukał Creedman, gdy przyłapał go Ben: as reporterów przybywa na wyspę, znajduje krwawy kąsek i dzwoni do swego agenta („Ależ afera, Mell”).

I wtedy natrafia na Morelanda, który nie dostarcza mu informacji, więc ma do niego żal.

Moreland ukrywa prawdę przed swymi ukochanymi tubylcami, ale ujawnia ją mnie po trwającej zaledwie dwie doby znajomości.

Chce, żebym się wypowiedział... na temat kierujących ludźmi motywacji.

Czyżby się obawiał powtórki?

Wspólne dysputy dwóch facetów z doktoratami o dwunożnym pożywieniu.

Za oknem przeleciał barwnie upierzony ptak. Niebo nadal miało tę mieniącą się niebieskozieloną barwę, którą widywałem wyłącznie na ilustracjach.

Wstałem i poszedłem po Robin do jej pracowni. Cóż mogłem jej powiedzieć?

Zdecydowałem się na umiarkowaną szczerość: powiem, że rozmawialiśmy z Morelandem na temat morderstwa, i że on uważa je za odosobnioną zbrodnię, ale zaoszczędzę jej szczegółów.

W pracowni nie zastałem Robin. Na szafce leżały starannie ułożone okruchy muszli, kawałek drewna koa i dwa dłuta.

Żadnych trocin.

Wyszedłem na dwór i dostrzegłem ją w sadzie – biały motyl fruujący wśród drzew cytrusowych z uwijającym się niczym czarny cień Spike'em.

Pobiegłem w jej stronę, objęliśmy się i ruszyliśmy dalej.

– Jak się wam pracowało? – spytała.

– Bardzo metodycznie. A ty co robiłaś?

– Oglądałam pracownię, ale kiepsko się czułam nie mogąc rzeźbić, więc postanowiliśmy z naszym przystojniakiem trochę pospacerować. To jest ogromna posiadłość, Alex. Doszliśmy aż do dżungli. Bill musiał wydać majątek na ukształtowanie terenu; po drodze minęliśmy piękne uprawy – zioła, kwiaty polne, szklarnie, wyrastające z pni drzew orchidee. Nawet mury są tu ładne. Posadził przy nich różne odmiany pnącego wina. Jedyna rzecz, która szpeci, to drut kolczasty.

Zatrzymała się i podniosła pomarańczę, która właśnie spadła z drzewa.

– Jaka część dżungli jest widoczna spoza murów?

– Czubki drzew, i te korzenie powietrzne. Czuje się idący stamtąd chłód. Bez powiewu.

Choćby najłżejszego. Tylko delikatny prąd powietrza. Zaprowadziłabym cię, ale Spike źle się tam czuł i odciągnął mnie stamtąd.

– Nasz mały wykrywacz min.

– Albo jakichś zwierząt po drugiej stronie muru. Ja nic nie słyszałam, ale wiesz, jaki on ma słuch.

Schyliłem się i podrapałem psa pomiędzy uszami jak u nietoperza. Spike spojrzął na mnie z komicznie poważnym wyrazem płaskiej mordki.

– Nic dziwnego, kiedy ma się takie radary... Przynajmniej tym razem rozmiar pozostaje w zgodzie z jakością. Roześmiała się.

– Czujesz zapach kwiatów pomarańczy? Cudowny. Milczałem.

Następnego ranka postanowiliśmy ponurkować i zeszliśmy na wczesne śniadanie. Na tarasie zastaliśmy Jo Picker ubraną w czarny podkoszulek i luźne spodnie, z niedbale ściągniętymi do tyłu włosami i podbitymi oczami. Nie tknęła jedzenia.

Uśmiechnęła się blado, gdy Robin lekko dotknęła jej ramienia. Spike polizał ją po rękę.

Usiedliśmy.

– Ly nigdy nie lubił psów – powiedziała. – Zbyt wiele z nimi kłopotu. Zacisnęła drżące usta.

A potem zerwała się i wbiegła do domu.

Zostawiliśmy Spike'a na wybiegu razem z KiKo i pojechaliśmy na South Beach.

Wyjeżdżając z ulicy Plażowej, spojrzałem na drogę biegnącą wzdłuż brzegu. Na końcu widoczna była wzniesiona przez marynarkę blokada – szpetny, mierzący co najmniej siedem metrów wysokości mur z szarego betonu. Roiło się na nim od znaków ostrzegawczych. Wzdłuż zbocza wiły się ginące w zaroślach łańcuchy i druty kolczaste.

Z tego miejsca plaża wyglądała jak wąski paseczek przecięty murem, który schodził w głąb oceanu, sprawiając wrażenie zapory. Jednak woda była płytka i spokojna, chlupotała łagodnie o zanieczyszczoną wodorostami rafę. Nie opodal piętrzyły się kawałki wysuszonego na słońcu koralowca: gromadzono materiał do remontu muru.

Zaparkowałem powyżej miejsca, gdzie plaża była najszersza. Piasek był gładki i biały niczym świeżo zaścielone łóżko, laguna jak zwykle srebrzystzielona.

Kiedy wydostaliśmy z samochodu sprzęt, zauważyłem płaskie, gładkie skały powyżej wody.

Ółtarz, na którym złożono w ofierze KAnneMarie Valdos.

W ofierze komu?

Weszliśmy na piasek. Zgodnie z zapewnieniami Morelanda utrzymywała się umiarkowana temperatura powietrza. Zanurzyłem stopę w wodzie – była ciepła. Popłynąłem przed siebie. – Wspaniale! – zawołałem.

Założyliśmy płetwy, maski i rurki i weszliśmy po pas do wody, a potem zanurkowaliśmy i popłynęliśmy tuż ponad dnem. Dno opadało powoli i tam, gdzie pojawiał się czerwonobrzązowy pierścień rafy odgradzającej lagunę od oceanu, było już dwa i pół metra głębokości.

Kolonie koralowca tworzyły rozległe, płaskie warstwy. Pomimo braku prądów, żywe skały rafy zdawały się tańczyć upstrzone maleńkimi organizmami koralowców, współżyjących z jeżowcami, wielotarczowcami, pióroskrzelcami i kaczenicami o gęsich szyjach. Nie zważając na naszą obecność śmigwały maleńkie jaskrawo ubarwione rybki: niebieskie papugoryby, rogatnice i szczeciozęby, żółte barweny, nakrapiane kostery. Pomarańczowo-białe rybki sargasowe tkwiły w kłujących objęciach fluoryzujących liliowców.

Dno pokrywał drobnoziarnisty, nieomal mulisty piasek, usłany muszelkami, kawałkami skał i fragmentami koralowców. Światło słoneczne przenikało przez czystą wodę, rzucając na piasek złociste plamki.

Popłynęliśmy w przeciwnych kierunkach i przez chwilę badaliśmy dno każde z osobna.

Nagle usłyszałem, że Robin mamroce coś przez swoją rurkę. Odwróciłem się ku niej.

Podekscytowana wskazywała coś po drugiej stronie rafy.

Jakieś stworzenie o kształcie rakiety śmignęło pomiędzy nami i pomknęło w poprzek laguny.

Mały żółwik, długi na trzydzieści centymetrów, musnął rafę i wypłynął na pełne morze.

Patrzyłem, jak znika, a potem spojrzałem na Robin. Pomachała mi. Podpłynąłem do niej

i wyciągnąłem rękę. Stuknęliśmy się maskami, udając pocałunek, a potem popłynęliśmy razem,

radośni i leciutcy, zawieszani w ciepłej, słonej wodzie niczym bliźnięta w łonie matki.

Kiedy wróciliśmy, plaża nie była już pusta.

W odległości dziesięciu metrów od naszych ubrań Skip Amalfi i Anders Haygood rozłożyli derkę. Skip leżał na plecach z zamkniętymi oczami. Jego brzuch wznosił się i opadał w miarę jak zaciągał się i wydmuchiwał dym z papierosa. Haygood przykucnął obok. Owłosione uda miał grube niczym kłody. Przygryzał w skupieniu koniuszek języka. Ciągnął za kończyny jakieś wielkie, paskudne stworzenie.

Tak wielkiego kraba nie widziałem nigdy w życiu. Co najmniej dziesięć centymetrów pomiędzy kleszczami. Z guzowatym, niebieskim pancerzem, o szczypcach wielkości sideł na niedźwiedzia. Miałem tu szczęście do tych potwornych stawonogów.

Haygood spojrzął na nas i wyrwał odnóże, przyglądał się, jak wypływa posoka, a potem uniósł je w górę i pomachał nim w naszą stronę.

– Proszę pani, proszę pana. – Znów swymi szarymi oczami bacznie zlustrował Robin.

Zdałem sobie sprawę, jak pociągająco wygląda w dwuczęściowym kostiumie, z mokrymi włosami na nagich ramionach, z rozkołysanymi biodrami w skąpych majteczkach, z brązową skórą pięknie odcinającą się od białego nylonu.

Odwróciła się tyłem do nich akurat w chwili, gdy Skip usiadł. Obydwaj mężczyźni przyglądali jej się, gdy kołysząc biodrami brnęła przez piasek w kierunku koca.

– Duży krab – powiedziałem.

– Wspaniała wyzerka – odparł Haygood. – Mogę wam odpalić kilka nóg, jeśli chcecie.

– Nie, dziękuję.

– Na pewno?

– Daj spokój – wtrącił się Skip. – Staruszek Moreland nie jada zwierząt.

– Racja – zgodził się Haygood. – Szkoda. Takie kraby to doskonałe zarcie. Ten lubił orzechy

kokosowe – dlatego jest niebieski. Jak jedzą co innego, mogą być pomarańczowe. Widywałem jeszcze większe, ale ten jest zdrowiuteńki.

– Złośliwe stworzenia – powiedział Skip. – Może odgryźć palec. Najlepiej wrzucać do garnka żywe. Jak się pływało?

– Wspaniale.

– Widzieliście jakieś ośmiornice?

– Nie, tylko żółwia.

– Małego? Skinąłem głową.

– Tegoroczny wylęg. Przychodzą do brzegu, składają jaja na plaży i zakopują w piasku.

Tubylcy wykopują je – są wyśmienite na omlet. Maluchy uciekają gdzie pieprz rośnie, ale większość z nich też jest zjadana. Czasami jakiś głupol wraca. Takiego właśnie widzieliście.

– Ciągnie je na stare śmieci – powiedział śmiejąc się Haygood. Miał rzadko rozstawione białe zęby. Wyblakłe od słońca włosy na ciele wyglądały jak poskręcane miedziane druciki.

– Ośmiornice są sprytne – powiedział Skip. – Wytrzeszczają wielkie gały, jakby badały człowieka. – Łypnął okiem w stronę Robin.

– Według mnie najlepsze na omlet są jaja mewy – powiedział Haygood. – Różowe. Kiedy ludzie widzą je po raz pierwszy, wzdrygają się z obrzydzenia, bo myślą, że to krew. A to ich naturalny kolor. Różowy omlet. – Obliznął się. – Słony, tak samo jak z kaczych jaj.

– Dla mnie zbyt ciężkostrawny – wtrącił się Skip. Haygood uśmiechnął się.

– Obstaję przy różowym. Skip zachichotał.

– Rekiny też są dobre – ciągnął Haygood. – Jednak trzeba moczyć mięso w kwasie, bo inaczej smakuje jak papier. Na jak długo tu przyjechaliście, doktorze?

– Na kilka miesięcy.

– Podoba się wam?

– Jest tutaj pięknie.

Spojrzeni po sobie. Haygood wyrwał krabowi następne odnóże.

– Bogaci ludzie buliliby za takie miejsce, no nie? – spytał Skip.

– Chyba każdy, kto chce odpocząć i lubi pływać.

– A wy? Za co byście zabulili?

– Za różne rzeczy.

Odrzucił papierosa i zagrzebał niedopałek w nieskazitelnym piasku.

– Ja i mój kumpel Hay chcielibyśmy tu wybudować uzdrowisko. Jednak nie takie jak wszystkie. Chaty ze słomy. Płacisz z góry i dostajesz żarcie, napoje. Żadnych telewizorów, telefonów ani wideo. Pływanie i nurkowanie na plaży. Może sprowadzimy parę dziewczyn, żeby zatańczyły czy coś w tym rodzaju. No i jak?

– Dobry pomysł. Splunął na piasek.

– Myślę, że bogaci durnie z kontynentu waliłyby tu jak w dym. Bo jeżeli nie, to będziemy musieli zwozić Japońców, tak samo jak na inne wyspy. – Naciągnął palcami kąciki oczu, przygryzł dolną wargę i uklonił się. – Ja dostać skurczu – roześmiał się.

Haygood oglądał pozbawione odnóży ciało kraba.

– Pełno ikry – powiedział. – Samica.

– My wolimy Amerykanów – ciągnął Skip. – To jest Ameryka, nawet jeżeli w Ameryce gównem wiedzą o tej wyspie.

– Życzę powodzenia – rzuciłem i odszedłem.

– Chcecie zainwestować? – zawołał za mną.

Już miałem się roześmiać, ale spojrzałem na jego twarz i powstrzymałem się.

– Jaki tam ze mnie inwestor?

– Kiedyś trzeba zacząć. Im wcześniej, tym lepiej. Faceci, którzy zainwestowali po wojnie

w Hawaje, podcierają sobie tyłki studolarówkami.

– Eej, gość przyjechał, żeby się wygrzać – wtrącił Haygood. – Dajże mu spokój.

– Odpieprz się, człowieku. Tu się gada o interesach – mruknął Skip.

Haygood bez słowa rozerwał kadłub kraba.

Skip starał się go zmusić do spuszczenia oczu, ale bezskutecznie.

– Pomyśl nad tym, człowieku – powiedział Skip, wyładowując część swojej złości na mnie. –

Pogadaj ze swoją damulą. Wygląda na niegłupią.

Jeszcze jedno łypnięcie okiem w stronę Robin. Narzuciła ręcznik na plecy i siedziała

z podciągniętymi pod brodę kolanami, spoglądając na morze.

Za moimi plecami rozległ się głos:

– Witam panów.

Oczy Skipa zwęziły się. Haygood z kamiennym wyrazem twarzy otarł ręce w podkoszulek.

Odwróciłem się. Na piasku stał Dennis Laurent. Jego lustrzane okulary odbijały światło.

Wydawał się ogromny. Nie usłyszeliśmy, jak nadchodził.

– Dzień dobry, doktorze – powiedział. – Widzę, że złapałeś niezłego kraba, Hay. Będzie chyba ze trzy kilo mięsa?

– Co najmniej cztery – powiedział Skip.

– Ściągnąłeś go z kokosa?

– Nie musiałem – odparł Haygood. – Ten leniuch spał tutaj. – Wskazał pobliską kałużę.

– Nie ma jak łatwa zdobycz – skwitował Laurent. – Widzę, że w końcu dotarł pan do wody, doktorze. Przyjemna?

– Idealna.

– I tak jest zawsze. Miłego dnia, panowie. – Razem skierowaliśmy się w stronę Robin.

Dennis szedł po piasku pewnym krokiem. Natrafił na niedopałek Skipa, podniósł go i schował do

kieszeni.

– Naprzykrzali się wam?

– Nie, a bywają kłopotliwi?

– Zazwyczaj nie, ale mają za dużo wolnego czasu. Nie grzeszą też inteligencją. Skip chciał pana naciągnąć na ten pomysł z uzdrowiskiem, prawda?

– Tuż przed pana przyjściem.

– Wspólnik Skip! Dzwoni pan do swego maklera?

– A ma pan telefon komórkowy? Roześmiał się.

– Już widzę, jak Skip wita przybywających statkiem turystów: „Cześć, ludzie, witamy na pieprzonym Arak”.

– Powinien zostać zatrudniony przez Izbę Handlową.

– O, tak – powiedział. – Gdybyśmy ją mieli. Witam, panno Castagna. Jaka woda?

– Ciepła.

– Jak zawsze. Zawdzięczamy to brakowi prądów i izolacyjnym właściwościom koralowca.

Cieszę się, że nareszcie dobrze się bawicie. Zadzwonili z marynarki. Właśnie jadę porozmawiać z panią Picker. Znaleźli wrak samolotu w Stanton. Niewiele co zostało. Prześlą szczątki zwłok do Stanów, a ją obciążą kosztami.

– Pan chyba żartuje!

– Chciałbym. Kapitan Ewing uważa się za bardzo wyrozumiałego, bo samolot naruszył teren wojskowy. Mówi, że mógłby złożyć skargę i pani Picker zapłaciłaby wysoką karę.

– To podłość! – oburzyła się Robin.

Laurent stracił ziarnko piasku ze swojej odznaki.

– Zgadzam się z tą opinią. Jak się miewa pani Picker?

– Dziś rano wyglądała kiepsko.

– Chyba na razie nic jej nie powiem o kosztach. Znając wojskowych – a byłem kiedyś marynarzem – przewiduję, że sprawy papierkowe zajmą im ze dwa lata, jeżeli w ogóle z tego wybrną. Kłopot polega na tym, że ja nie jestem w stanie dostarczyć jej zwłok. Jeśli nawet Ewing zgodził się na współpracę, nie mamy tu prawdziwej kostnicy. Jest tylko paru grabarzy, którzy kopią groby na cmentarzu za kościołem. Przez najbliższe dziesięć dni nie zawinie tu żadna łódź dostawcza. Bez balsamowania zwłoki popsułyby się... – Zamilkł. – Przepraszam.

– Dlaczego Ewing jest tak wrogo nastawiony? Wzruszył ramionami.

– Może jest taki z natury, a może wolałby być gdzie indziej. Był zamieszany w Skipjack – ten skandal obyczajowy w Wirginii. I dlatego zesłano go tutaj. A może to tylko plotki...

W każdym bądź razie powiem pani Picker, że marynarka robi jej przysługę, przewożąc zwłoki. Ewing prosił mnie o podanie adresu. Niech pani Picker zleci komuś, żeby odebrał je w Stanach. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i zdmuchnął ze szkieł piasek. Jego jasne oczy zlustrowały plażę i zatokę. Na ułamek sekundy spoczęły na płaskich skałach ponad wodą. A może tak mi się tylko zdawało?

– Nie wiecie, czy doktor Bill jest w domu? – zapytał.

– Nie było go na śniadaniu.

– Zwykle wychodzi przed śniadaniem. I późno kładzie się spać. Nie widziałem człowieka, który by równie mało sypiał. Wciąż tylko pracuje, pracuje i pracuje. Jak go zobaczycie, pozdrówcie go ode mnie. I Pam też.

Kiedy wracaliśmy do dżipa, Skip i Haygood spacerowali wzdłuż brzegu paląc papierosy i strząsając popiół do wody.

– Pokręcimy się trochę tutaj, poznamy mniejsze dróżki – zaproponowała Robin.

Zawróciłem samochód i stanęliśmy frontem do blokady.

– Jakby się szczególnie starali, żeby wyglądała tak paskudnie.

– Moreland zgadza się z Pickerem co do tego, że zaczyna się stopniowe likwidowanie życia na wyspie. Pytałem go, z czego żyją mieszkańcy. Przyznał, że głównym źródłem utrzymania są zasiłki.

– Koniec pewnej ery – powiedziała Robin. – Może dlatego tak bardzo chce udokumentować to, co tu działo.

Skierowałem się w stronę przystani. Sklep był nieczynny. Na stacji benzynowej wisiał napis informujący o racjonowaniu paliwa.

– Rozmawialiście o morderstwie?

– Niewiele.

– I co?

– Moreland i Dennis zakładają, że to jednorazowy przypadek i morderca opuścił wyspę. Bo nic takiego nie powtórzyło się w okolicy. Więc z powodzeniem mógł to być marynarz, którego przeniesiono do innej bazy.

– A więc może powtórzyć to samo w innej okolicy.

– Dennis twierdzi, że dotąd nic się nie zdarzyło.

Zbliżaliśmy się do Chop Suey Pałace. Creedman, tak jak poprzednim razem, siedział na zewnątrz z butelką i kuflem. Patrzył przed siebie. Minąłem go i ostro skręciłem w prawo, przejeżdżając obok rozwalających się domów i pustych działek. Dalej był spłachetek kiepsko

utrzymanej

zieleni

z armatą

z czasów drugiej wojny światowej oraz pomnikiem

przedstawiającym przysłaniającego ręką oczy MacArthura wielkości naturalnej. Napis na drewnianej tablicy głosił: PARK ZWYCIĘSTWA, ZAŁ. 1945. O triumfie świadczyły jedynie ślady pozostawione na posągu przez ptaki.

Jeszcze trochę bud, przybudówek i kurzu, aż wreszcie wąski biały kościół. Zatrzymałem samochód. Dwie kondygnacje, stromy dach i źle pokryta miedzianą blachą wieża. Budynek wyraźnie odchyłał się od pionu. Balustrady po obu stronach schodów były powyginane i łuszczyła się z nich farba. Dziedziniec porastała wysoka trawa obramowana białymi petuniami. – Wczesnowiktorianański – stwierdziła Robin. – Fundamenty trochę osiadły, ale ma ładny kształt.

Umieszczona na trawniku tablica informowała: KOŚCIÓŁ KATOLICKI NAJŚWIĘTSZEJ MARIII PANNY, OPIEKUNKI PORTU. GOŚCIE MILE WIDZIANI. Kilka stóp dalej maszt ze zwisającą w nieruchomym powietrzu flagą.

Za kościołem jeszcze wyższa trawa, ogrodzona niskim płotem o spiczastych sztachetach.

Rzędy białych krzyży i drewnianych tablic nagrobnych. Kilka barwnych plam: wieńce z kwiatów, niektóre tak jaskrawe, że musiały być z plastiku.

Obok barak z blachy falistej z tabliczką LECZNICA KOMUNALNA W ARUK. Przy wejściu stał stary dżip, którym woził nas Ben, a obok jeszcze starszy turystyczny MG, niegdyś czerwony, obecnie spłowiały, koloru łososiowego. Na jego drzwiach wypisany był numer telefonu posiadłości Morelanda.

Miałem już odjechać, gdy z baraku, zdejmując stetoskop, wyszła Pam. Pomachała ręką, więc

znowu się zatrzymałem. Zabrała coś z MG i podeszła do nas. Była to garść lizaków

w plastikowych opakowaniach.

– Cześć. Poczęstujecie się?

– Nie, dziękujemy – odparła Robin.

– Na pewno? Są bez cukru. – Rozwinęła zielony lizak i wetknęła sobie do ust. – A więc pływaliście. I jak się udało?

Robin opowiedziała jej, jak nurkowaliśmy. Przez otwarte drzwi dostrzegłem dzieci, ich małe ściągnięte strachem buzie.

– Już zapomniały o katastrofie samolotowej, ale wciąż boją się zastrzyków. Zajdziecie do środka?

Weszliśmy za nią i poczuliśmy ostrą woń alkoholu. Na podłodze leżało niebieskie linoleum.

Pomieszczenie było podzielone ściankami ze sklejki na mniejsze części. Ściany pokrywały plakaty i tabele żywieniowe, ale gdzieniegdzie prześwitywało aluminium.

Przed długim składanym stołem stało w kolejce około piętnaścioro dzieci w wieku do ośmiu lat. Za stołem były dwa krzesła. Jedno puste, na drugim siedział Ben. Po jego lewej ręce znajdowały się stalowe tace z bandażami, wacikami, dezynfekującymi tamponami, strzykawkami oraz małe, szklane słoiki z gumowymi zatyczkami. Kosz na odpadki pełen był zużytych igieł i poplamionych krwią tamponów.

Przywołał palcem małą dziewczynkę w różowej koszulce i szortach w czerwono-białym misternym wzorze. Włosy sięgały jej do pasa, na nogach miała sandały plażowe. Z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Ben rozpakował tampon, sięgnął po butelkę i przebił igłą gumowy korek. Napelnił strzykawkę, wypuścił z niej kilka kropel w powietrze, a potem przycisnął dziewczynkę do siebie. Szybko potarł watką jej rękę, powiedział coś tak, że spojrzała prosto na niego, i wbił igłę.

Dziewczynka otworzyła buzię z grymasem bólu. Trysnęły łzy. Kilku stojących w kolejce chłopców zachichotało bez większego entuzjazmu. A potem Ben wyciągnął igłę i zabandażował ramię. Wszystko to nie trwało dłużej niż pięć sekund.

Dziewczynka nadal płakała. Ben spojrzał na nas. Pam podbiegła do dziewczynki i rozwinęła lizak. Kiedy to nie poskutkowało, przytuliła dziecko.

– Następny – powiedział Ben. Podszedł do niego mały, pyzaty chłopiec. Wpatrywał się we własne ramię. Zaciśniętymi pięściami uderzał się po udach. Ben sięgnął po tampon.

– Już po wszystkim, Angie – powiedziała Pam odprowadzając dziewczynkę do drzwi. –

Byłaś bardzo dzielna! – Dziewczynka pociągała nosem i ssała lizak, biały patyczek drżał w jej ustach. – Mamy gości z kontynentu, kochanie. Oto Angelina. Ma siedem i pół roku i jest bardzo dzielna.

– Zauważyliśmy – powiedziała Robin. Dziewczynka otarła jedno oko.

– Ci państwo przyjechali do nas aż z Kalifornii – powiedziała Pam. – Wiesz, gdzie to jest?

Angelina wybąkała coś, ssąc lizak.

– Co mówisz, kochanie?

– Disneyland.

– Właśnie. – Pam pogładziła ją po włosach i wyprowadziła na zewnątrz. Patrzyła, jak dziewczynka biegnie do kościoła.

Przez ten czas Ben zaszczepił dwoje następnych dzieci. Pracował szybko, rytmicznie jak maszyna. Pam stanęła koło nas, pocieszała dzieci i pilnowała, jak wychodziły.

– Jeszcze są lekcje – wyjaśniła nam.

– Kto je uczy? – spytałem. – Ksiądz?

– Nie, nie mamy tu księdza. Ojciec Marnot został odwołany zeszłej wiosny, a siostra June właśnie wyjechała na Guam – ma raka piersi. Zastępuje ją Claire – żona Bena. A kilka matek

pomaga jej od czasu do czasu.

Obok nas przeszło następne płaczące dziecko.

– Także powinnam zrobić jeszcze parę zastrzyków – powiedziała Pam – ale Ben tak sobie dobrze radzi. Ja nienawidzę zadawania bólu.

Cheryl zamiatała schody, ale gdy nas zobaczyła, przerwała pracę.

– Doktor Bill prosił, żebym wam to oddała. – Wręczyła mi skrawek żółtego papieru w linie.

Moreland napisał: „Dzwonił det. Milo Sturgis, o 11 rano czasu Aruk”. I numer zachodniego Hollywood. Jego numer domowy.

– To oznacza pierwszą w nocy czasu Los Angeles – stwierdziła Robin. – Ciekawe, o co mu chodzi.

– Wiesz, jaki z niego nocny marek. Pewnie coś z domem i próbował nas złapać w porze odpowiedniej dla nas.

Wzmianka o domu sprawiła, że jej twarz stężała. Robin zerknęła na zegarek.

– Mamy tu teraz wpół do pierwszej. Czy powinniśmy poczekać?

– Jeżeli był na nogach półtorej godziny temu, to prawdopodobnie nadal nie śpi.

Cheryl stała, przysłuchując się naszej rozmowie. Kiedy spojrzałem na nią, zarumieniła się i powróciła do zamykania.

– Czy możemy stąd zadzwonić do Stanów?

– Telefon jest w pokoju – odparła zaskoczona.

– Czy doktor Bill już wrócił?

– Tak – odparła po namyśle.

– Gdzie jest?

– W swojej pracowni.

Zawróciliśmy na wybieg po Spike'a. Natychmiast przerwał zabawę z KiKo i podbiegł do

Robin. Małpka wspięła się na gałąź” i lekko jak piórko wylądowała mi na ramieniu. Mała, sucha łapka chwyciła mnie za kark. Musiała być niedawno myta migdałowym szamponem, ale jej futerko i tak zachowało woń znaną mi z zoo.

Wszyscy razem skierowaliśmy się do domu.

– Chciałabym się odświeżyć – powiedziała Robin.

– A ja pójdę do Morelanda i zapytam, czy mogę zadzwonić do Los Angeles.

Robin weszła do domu. KiKo zeskoczyła z mego ramienia i pobiegła za nią i Spike’em.

Zapukałem do drzwi biura Morelanda.

– Proszę wejść – odpowiedział, ale drzwi były zamknięte i musiałem zaczekać, aż mi otworzy.

– Przepraszam – powiedział. – Jak się pływało?

– Fantastycznie.

Trzymał w ręku ogryzek ołówka i sprawiał wrażenie roztargnionego. Jego biuro było tej samej wielkości, jak to, które przeznaczył dla mnie, ale ściany miały kolor bladozielony, a meblowanie składało się wyłącznie z taniego metalowego biurka i krzesła. Luźno porozrzucone i związane papiery zaścielały połowę podłogi. Biurko także było nimi zarzucone, chociaż pośrodku zauważyłem jedną wysoką, starannie ułożoną stertę. Kserokopie z czasopism. Na samym wierzchu leżał artykuł, który napisałem wiele lat temu na temat leczenia dziecięcych fobii. Moje nazwisko zostało podkreślone na czerwono.

Drzwi do pracowni były otwarte. Stoły, zlewki, butelki, próbówki na stojakach, waga szalkowa i jakieś inne wyposażenie, którego nie znałem. Obok wagi stał wysoki słój pełen szarobrązowych kuleczek, którymi Moreland karmił swoje owady. Za nim mniejszy pojemnik z jakimś brązowym płynem.

– O co chodzi? – zapytał, zdejmując okulary. Najwyraźniej w czymś mu przeszkodziłem.

– Chciałem się upewnić, czy mogę zatelefonować do Los Angeles? Zaśmiał się.

– Do detektywa Sturgisa? Oczywiście. Pozdrów go ode mnie. Miły z niego facet.

Robin siedziała głaszcząc zwierzątka, a ja podszedłem do telefonu. Rozległy się dwa sygnały i opryskliwy głos wychrypiał:

– Sturgis.

– Cześć, to ja. Jeszcze nie śpisz?

– Alex! – głos Mila poweselał. Nie przyszło mi do głowy, że mógł za nami zatęsknić. – Nie zdążyłem się położyć. Jak tam Bali Hoo?

– Słonecznie i ciepło. Może wpadniesz tu do nas?

– Ja się nie opalam, tylko przypiekam.

– Chociaż jesteś czarnym Irlandczykiem?

– To cecha charakteru, nie karnacja. A więc zadomowiliście się?

– Bardzo nam tu dobrze. Właśnie wracamy z nurkowania na wspaniałej rafie koralowej.

– Prawdziwy rajski ogród, co?

– Bez wątplenia. Co robisz w środku nocy?

– Pracuję na dwie zmiany i buduję po godzinach. Dzwoniłem do was, bo gość, który zajmuje się waszym domem, ma kilka pytań. Skończyły się listwy podłogowe, które poleciła mu kupić Robin. Może dostać nieco szersze albo robić na zamówienie. Cena alarmu będzie trochę wyższa niż przewidywaliście. Trzeba go będzie podłączyć do sieci, co nie zostało uwzględnione w umowie. Pewnie jakiś dodatkowy tysiąc. Ciekawe, że nigdy się nie zdarza, żeby koszt okazał się niższy od przewidywanego. W każdym razie spytaj śliczną pannę C., czego sobie życzy, powiedz to mnie, a ja przekażę dalej.

– Dam ci ją do telefonu.

– Cześć! – powiedziała Robin, biorąc słuchawkę. Oczy KiKo stały się ogromne. Kiedy Robin

zaczęła rozmawiać, małpka przytknęła łepkę do słuchawki, coś do niej szczebiocząc.

– Co? Och... nie, to małpka, Milo... małpka. Nie, nie zastąpiła Spike'a. Nie, doskonale się ze sobą zgadzają... Tyle o ssakach... Co? Nie, trochę robactwa... Robactwa! Owady, pająki...

tarantule. Doktor Moreland prowadzi nad nimi badania... Więc o co chodzi, detektywie?

Porozmawiała z nim o budowie, o różnych innych sprawach, i oddała mi słuchawkę.

– Wyprowadzę zwierzęta, a potem wezmę kąpiel. Możesz się do mnie przyłączyć. Wyszła.

– Robactwo w raj? – zdziwił się Milo.

– Bóg je stworzył. Jaką macie pogodę?

– Jak kiepski żart. Właściwie czym się zajmuje ten facet?

– Badaniami nad żywnością. Zachowaniami drapieżników.

– Kiedy z nim rozmawiałem, sprawiał wrażenie kogoś trochę nie z tego świata.

– Jak to?

– Słuchał, co do niego mówię, ale był jakby nieobecny.

– Powiedział, że jesteś sympatycznym facetem.

– To rzeczywiście musiał być nieobecny. Roześmiałem się.

– Nad czym teraz pracujesz?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Umieram z ciekawości.

– Cztery napady z bronią w ręku, z czego jeden z zakładnikami zamkniętymi w lodówce na mięso, co omal nie skończyło się tragicznie. Jeden rozjechany handlarz narkotykami – sprawa, której prawdopodobnie nie wyjaśnimy, a szkoda, i coś pięknego, nad czym pracowałem po nocach: szesnastolatka z Palisades zastrzeliła ojca, gdy siedział na kiblu. Twierdzi, że od dawna ją napastował, ale jej matka zaprzecza. Od wielu lat jest rozwiedziona i przyjęła to obojętnie.

Dziewczyna źle się prowadziła, więc tatuś obiecał, że kupi jej nowiuteńki rangę rovera na

szesnaste urodziny, jeżeli zda do następnej klasy. Gdy nie zdała, powiedział że nic z tego. Jej koledzy twierdzą, że była nieźle wkurzona.

– Brak dowodów napastowania?

– Brak, a przyjaciółki mówią, że szlajała się z gówniarzami z Beverly Hills. Ma śnięte oczy, Alex, więc kto wie, co z nią zrobili. Jednak to nie moja sprawa. Dostała wygadane obrońcę za pieniądze zamordowanego tatusia... Masz szczęście, że uciekłeś z tego barbarzyńskiego świata.

– To prawda – odparłem. – Jednak nawet w rajach mają swoje kłopoty.

Opowiedziałem mu o morderstwie AnneMarie Valdosa.

Milczał.

– Jesteś tam?

– Rozłupał kości, żeby zjeść szpik?

– Taka jest hipoteza Morelanda.

– Jedziesz do rajów i napotykasz tam na takie okrucieństwo?

– Według Morelanda kanibalizm zdarza się bardzo często w najprzeróżniejszych kulturach.

Zetknąłeś się z tym kiedykolwiek?

– A on jest ekspertem, co? Szpik... Nie, dziękuję, mój drogi, pozostanę przy steku z frytkami i jarzynach.

– Zabawne, że to powiedziałeś. Moreland jest wegetarianinem. Jego córka mówi, że na wojnie w Korei widywał takie rzeczy, że nie może patrzeć na mięso.

– Jaki wrażliwy. Ja osobiście nie trafiłem na żadnego kanibala. Mam jeszcze parę lat do emerytury, więc kto wie?

– Jak się ma Rick?

– Zmieniamy temat? Zapracowuje się jak zwykle, bierze nocne zmiany... Szpik? A nie trafiłeś jeszcze na ugotowanych misjonarzy?

– Jeszcze nie, i Moreland twierdzi, że nie ma się czego obawiać. Kanibalizm nigdy się tu nie zdarzał. Obydwaj z szeryfem uważają, że to jakiś psychopata. Opinia publiczna wskazuje na marynarza, który został przeniesiony gdzie indziej.

– Moreland jest także detektywem?

– Jest jedynym lekarzem na wyspie, więc prowadzi wszystkie sekcje.

– Ludożerstwo – powtórzył. – Robin o tym wie?

– Wie o morderstwie, ale oszczędziłem jej szczegółów. Nie chcę z tego robić wielkiej sprawy. Od lat nie popełniono tu żadnego innego większego przestępstwa.

– Dlaczego marynarz?

– Bo tubylcy nie są brutalni, a wszystko wskazuje na to, że zabójca był tu przejazdem.

– No cóż – powiedział – służyłem w wojsku, więc nie będę się sprzeczał. Nie przejmuj się, nie jedz niczego nie znanego i trzymaj się z dala od dowcipnisiów z przekłutymi nosami.

– Zamierzamy jeszcze pożyć – odparłem. – Dziękuję za telefon i życzę ci powodzenia w śledztwach.

– Tak... pomijając tę historię, cieszę się, że tak się wam ułożyło. Po tym wszystkim, co przeżyliście w zeszłym roku. Odezwał się inny telefon.

– Dzwonią do mnie – powiedział. – Pewnie jakaś nowa rzeź. Jak zobaczysz brodatego Francuza malującego kobiety w kwiecistych sarongach, kupuj płótna bez wahania.

Robin zdrzemnęła się, a ja poszedłem na spacer. Przez ogród różany dostałem się na pokryte trawą zbocze. Po trawniku jeździły cztery kosiarki. Woń pachnącej skoszonej trawy przypomniła mi niedziele z czasów dzieciństwa.

Podobnie jak tutejszy park Zwycięstwa. Pomnik na cześć wojny w moim rodzinnym miasteczku w Missouri był niewiele większy. Każdej niedzieli matka wlokła mnie i moją siostrę do parku, podczas gdy ojciec wolał samotnie popijać w domu. Bułki i sok jabłkowy, wspinaczka na armatę, strzelanie na niby i słodki, wymuszony uśmiech matki. Kiedy umarła, tata przestał popijać i nie pił do końca życia.

Otrząsnąłem się z zadumy i poszedłem dalej przez sad, stąpając wśród leżących na ziemi pomarańczy, mandarynek i płatków opadających kwiatów. Łąki, które Moreland stworzył na nieużytkach, były zachwycające. Precyzyjnie strzyżone miniaturowe szpilkowce tworzyły labirynt równie zawily jak ten, który mieliśmy na uniwersytecie. Szklarnie o nieskazitelnie czystych szybach, drzewa pokryte orchideami, wyrastającymi z pni i gałęzi. Wreszcie doszedłem do sterty odłamków granitu i zwojów zardzewiałego drutu kolczastego.

Wschodnia granica. Porastające wysoki mur kaprifolium, ołownica i wisteria łagodziły nieco brzydotę drutów, ale nie ukrywały ich całkowicie.

Widoczne po drugiej stronie czubki figowców tworzyły szarozieloną palisadę. Ponad baldachimami koron sterczały korzenie powietrzne, podobne do macek jakichś dzikich, cierpiących z bólu, bestii. Pnie poskręcały się w walce o miejsce.

Przez chwilę wydawało mi się, że cały las porusza się, maszeruje na mnie. Omal nie straciłem równowagi.

Opanowałem się, ale gardło miałem ściśnięte strachem.

Jeszcze raz popatrzyłem na drzewa.

Robin wspomniała o napływającym zza muru delikatnym chłodzie. Ja czułem jedynie chłód wewnętrzny.

Poszedłem wzdłuż muru, mając nadzieję usłyszeć jakieś dźwięki z drugiej strony. Panowała cisza. Kiedy przystanąłem, wróciło to samo wrażenie ruchu. Oparłem się rękami o mur i oddychałem głęboko.

Pewnie miałem niski poziom cukru we krwi. Od śniadania nic nie jadłem.

Zawróciłem. W sadzie podniosłem pomarańczę, obrałem ze skórki i szybko zjadłem. Po brodzie spływał mi sok, jak wtedy, gdy byłem dzieckiem.

Wróciwszy do mego biura, zabrałem się za następny karton z dokumentacjami medycznymi.

Nic nadzwyczajnego. Jedyne psychologiczne diagnozy, jakie wystawił Moreland, było stwierdzenie napięcia nerwowego w wyniku dolegliwości fizycznych.

Zdjąłem ze sterty następne pudło i przeglądając je zacząłem się nudzić. Dopiero leżąca na samym dnie teczka wzbudziła moje zainteresowanie.

Na okładce Moreland wymalował ogromny, czerwony znak zapytania.

Pacjentem był liczący pięćdziesiąt jeden lat robotnik Joseph Cristobal, który nigdy przedtem nie cierpiał na zaburzenia psychiczne. Nagle zaczęły go prześladować halucynacje wzrokowe – „białe robaki” i „biali ludzie-robaki”. Okazywał oznaki podniecenia i paranoi.

Moreland leczył go środkami uspokajającymi i zanotował, że Cristobal „lubił sobie popić, ale nie był alkoholikiem”. Symptomy nie ustępowały.

Po dwóch tygodniach Cristobal zmarł nagle w czasie snu, na skutek ataku serca. Sekcja wykonana przez Morelanda nie wykazała żadnego uszkodzenia mózgu, lecz odkryła utajoną chorobę wieńcową.

W końcu następowała uwaga wypisana tym samym czerwonym kolorem, co znak zapytania:

„A. Tutalo”?

Pomyślałem, że to nazwa bakterii lub wirusa, ale żaden ze słowników medycznych nie zawierał takiego hasła.

Jakiś narkotyk? Nie występował w Spisie leków.

Przeszedłem do pokoju służącego za magazyn, przecisnąłem się między stosami pudeł i przejrzałem półki.

Biologia, archeologia, matematyka, mitologia, historia, chemia, fizyka, nawet zbiór starożytnych sprawozdań z podróży.

Cała półka poświęcona owadom.

Inna pełna ksiązek o patologii roślin i o roślinach trujących. Przejrzałem wszystkie bardzo uważnie.

Nigdzie wzmianki o „A. Tutalo”.

W końcu, w ciemnym, omszałym kącie – książki medyczne.

Nic.

Pomyślałem o kobiecie-kocie. O Morelandzie, opowiadającym mi o tym przypadku zaraz po naszym pierwszym spotkaniu.

A teraz następny przypadek nagłej śmierci.

Przejrzałem pewnie z sześćdziesiąt teczek. Dwie spośród sześćdziesięciu stanowi trzy procent.

Czyżby wylaniała się jakaś prawidłowość?

Czas na następną koleżeńską pogawędkę zawodową.

Zbliżając się do domu spostrzegłem Jo Picker, która stała obok fontanny, odprowadzając wzrokiem odjeżdżający samochód policyjny Dennisa Laurenta. Kropelki wody zrosiły jej twarz i włosy. Podeszedłem do niej. Otarła policzek i spojrzała na wilgotną dłoń. Woda nadal ją spryskiwała. Jo powoli odsunęła się od fontanny.

– Wstąpił, żeby mi opowiedzieć, jak się przedstawiają sprawy. Przetarła oczy. Świeża opalenizna ustąpiła miejsca trupiej bladości.

– Powiedział, że Ly spadł w bazie i jeszcze dzisiaj odeślą jego zwłoki... Pracując w Waszyngtonie, powinnam się była do tego przyzwyczaić. Kiedy jednak przydarza się to właśnie nam... Dzwoniłam do jego rodziny. – Zaciśnęła dłoń. – Wcale nie stchórzyłam – powiedziała. – Chociaż miałam powody. – Spojrzała na mnie, a ja skinąłem głową. – Prawdopodobnie byłabym wystarczająco głupia, żeby polecieć, chociaż miałam złe przeczucia. Ale on... rozżłościł się na mnie, wymyślał mi od... Więc powiedziałam, żeby dał mi spokój, i po prostu odeszłam. – Przybliżyła do mnie twarz. Jak do pocałunku, ale nie było w tym nic uwodzicielskiego. – Mimo wszystko pewno bym zawróciła. Jednak on nie ustąpił... Idąc między tymi bambusami usłyszałam, jak zapala silnik, i omal nie zawróciłam. Zmusiłam się, żeby pójść na plażę. Znalazłam sobie przyjemne miejsce na skałach, usiadłam i patrzyłam na ocean. Już się odprężyłam, kiedy usłyszałam ten huk. – Nasze nosy nieomal się stykały. Miała nieświeży oddech. – Brakuje mi go – powiedziała jakby z niedowierzaniem. – Jak się jest z kimś tak długo... Powiedziałam jego matce, że może go pochować w New Jersey obok jego ojca. Nigdy nie robiliśmy takich planów – miał czterdzieści osiem lat. Kiedy wrócę, urządzimy jakąś uroczystość.

Skinąłem głową jeszcze raz.

Zauważyła plamę na spódnicy i zmarszczyła brwi.

– Mój bilet z Guam jest ważny jeszcze dwa tygodnie. Powinnam pewnie powiedzieć, że nie mogę się doczekać, kiedy stąd odjadę, ale, prawdę mówiąc, równie dobrze mogę tu zostać i skończyć swoją pracę. – Pośliniła palec i potarła plamę. – Wydaję się panu zimna, prawda? – Grunt, żeby dobrze się pani poczuła.

– Najbardziej pomoże mi praca. To zwieńczenie trwających trzydzieści trzy lata badań –

dłaczego miałabym wszystko zaprzepaścić? – Cofnęła się i wyprostowała. – Dość tego mazgajstwa. Wracam do komputera.

Dochodziła piąta. Idąc przez ogród różany, patrzyłem na mężczyzn z kosiarkami, pozostawiającymi na trawniku szerokie pasy. Rozmyślałem na temat przypadków nagłej śmierci. Kobieta-kot. Białe robaki.

AnneMarie Valdos zabita i zjedzona.

Przypadki medyczne, zebrane w ciągu trzydziestoletniej praktyki.

Chyba zanadto się tym przejmuję. W końcu to ja zacząłem rozmowę na temat morderstwa AnneMarie Valdos.

Jednakże Moreland przyniósł zdjęcia z sekcji i nie pominął żadnego szczegółu.

Może ma silne nerwy i zakładał, że ja mam podobne.

Dało się to odczuć w czasie zwiedzania owadziego zoo.

Badania nad drapieżnikami.

Przypomniało mi się, z jakim ożywieniem rozprawiał o kanibalizmie.

Wcale nie jak zwykły prowincjonalny lekarz.

Milo uznał go za faceta nie z tego świata. Żartował na temat potworów Frankensteina.

Milo był samozwańczym sułtanem cynizmu, ale jednocześnie doskonałym detektywem i jego podejrzenia zwykle okazywały się słuszne...

„Neurotyk z ciebie, Delaware – powiedziałem sobie. – Zainstalowany na rajskiej wyspie, hojnie opłacany za wymarzoną pracę, a szukasz dziury w całym”.

Zawróciłem do domu, ale nie mogłem się pozbyć myśli o kobiecie-kocie.

Ależ się nacierpiała. Przywiązana do krzesła, gdy mąż kochał się z inną kobietą. Ostatni krzyk...

Tyle okrucieństwa.

Może o to właśnie chodzi.

Przez wszystkie te lata Moreland widział zbyt wiele okrucieństwa.

Promieniowanie radioaktywne, beznadziejna degeneracja mieszkańców Bikini.

Kobieta-kot. Joseph Cristobal. Przywódca kultu cargo.

Nasiąkał ich bólem, jak to często zdarza się wrażliwym ludziom.

Zdawał sobie sprawę z własnej bezsilności, ale mógł zapomnieć o niej w mroku swego zoo.

Swojej pracowni. Swego własnego, prywatnego raj.

Jednakże teraz, patrząc na degrengoladę Aruk, zbliżając się do kresu życia – stracił dotychczasową odporność.

Stara się znaleźć sens okrucieństwa.

Potrzebuje kogoś, z kim może się tym podzielić.

Tego wieczoru stół nakryto na pięć osób. Jako ostatnia zeszła Jo. Miała na sobie białą bluzkę i ciemną spódnicę; jej twarz wyglądała świeżo, włosy były lśniące i uczesane.

– Nie przerywajcie sobie. – Usiadła i rozłożyła serwetkę. – O, grejpfruty, moje ulubione owoce.

Moreland wygłaszał właśnie szczegółowy wykład na temat historii kolonizacji. Kilka razy stracił wątek.

Teraz zapadła cisza i Jo wpatrywała się w czubek zębatej łyżeczki do owoców. Odczęła cząstkę grejpfruta, a my sięgnęliśmy po sztucce.

Moreland posmarował bułkę masłem. Zamknął oczy i wolno przeżuwał.

– Tatusiu! – odezwała się Pam.

Otworzył oczy i rozejrzał się dookoła, jakby poszukując źródła dźwięku.

– Słucham, kochanie.

– Opowiadałeś o Hiszpanach.

– Ach, tak. Złoty wiek męskości. Gotowości podjęcia ryzyka i silne zaangażowanie religijne uczyniło z nich konkwistadorów. Kiedy się wierzy, że się ma Boga po swojej stronie, wszystko jest możliwe. – Skubnął bułkę. – Łupieżcze wyprawy w imię zbawiciela. Podróże senora Columbusa były opłacane z łupów Inkwizycji.

– Hormony, religia i pieniądze – szepnęła Pam. – Oto prawda na temat świata.

Moreland przyglądał jej się przez chwilę zaniepokojony. A potem szybko przeniósł spojrzenie na swoją bułkę.

– Dotarli na Pacyfik w szesnastym wieku, zdecydowani na dokonanie tego, czego dokonali...

Zamilkł i spojrzał na zbliżającą się Gladys.

– Jeszcze nie jesteśmy gotowi do następnego dania, moja droga.

- Telefon do pana, doktorze Moreland.
- Wezwanie do chorego?
- Nie, proszę pana.
- W takim razie przyjmij wiadomość.
- To kapitan Ewing, proszę pana. Moreland przygarbił się bardziej.
- Bardzo dziwne. Proszę mi wybaczyć.

Powtórzyłem to, co usłyszałem od Dennisa na temat skandalu obyczajowego, za który Ewing został zesłany na wyspę.

- Tak, także o tym słyszałem – powiedział Moreland.
- Zapakował i wysłał Lymana, jakby to był bagaż – powiedziała Jo. Pam pobladła.
- Tak mi przykro, Jo. Jo przytknęła palce do ust.
- Rząd zachowuje się niepoważnie.
- Może tatuś mógłby coś u nich wskórać.
- Wątpię – odparła Jo. – Myślę, że już go wysłali.
- Twoje stosunki na nic się nie zdały? – spytała Robin.
- Jakie stosunki?
- Praca dla Ministerstwa Obrony. Jo roześmiała się.
- Dla Ministerstwa Obrony pracują tysiące ludzi.
- Po prostu pomyślałam...
- Jestem nikim – przerwała jej Jo. – G-12 nie ma żadnego znaczenia. Wydobyła łyżeczką resztkę grejpfruta.

Zaległa ciężka, przygniatająca cisza. Śmigające po poręczy tarasu żabki byłyby dziś mile widziane, ale tego wieczoru nie wspinały się tak wysoko.

- Gładys upiekła jagnię – powiedziała Pam. – Bardzo apetycznie wygląda. Wrócił Moreland.

Wyglądał jak przygarbiony szkielet.

– Zaproszenie dla nas wszystkich. Kolacja w bazie, jutro wieczorem. Stroje nie obowiązujące. Włożę jednak krawat.

Obudziłem się o drugiej nad ranem i nie mogłem usnąć. Wstałem z łóżka. Włożyłem szorty i koszulę. Robin zwróciła się w moją stronę.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– Po prostu muszę na chwilę wstać – wyszeptałem.

– Nie możesz spać?

– Nie mogę.

Jeżeli nie była zbyt zaspana, na pewno pomyślała: „Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają”.

Schyliłem się i delikatnie ją pocałowałem.

– Może się trochę przespaceruję.

Okryłem ją kołdrą, wymacałem w kieszeni klucz od pokoju i wyszedłem z sypialni. Kiedy przechodziłem obok klatki, Spike mruknął coś na powitanie.

– Spij smacznie, przystojniaku.

Szedłem boso, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Schody były solidne, nie trzeszczały.

Na dole poczułem pod stopami chłód kamiennej podłogi. Wszystkie światła pogaszono, dom pogrążony był w ciszy. Otworzyłem frontowe drzwi i wyszedłem na zewnątrz.

Świecił lodowato zimny księżyc i migotały gwiazdy. W tym świetle drzewa sprawiały wrażenie oszronionych, fontanna tryskała gliceryną, a gargulce na dachu nabrały życia.

Podszedłem do bramy. Była otwarta. Spojrzałem na długą, opadającą w dół zbocza matowoczną drogę, która kończyła się onyksem oceanu.

Coś poruszyło się wśród przydrożnych traw.

Coś zaszeleściło w odpowiedzi.

Zawróciłem, całkowicie rozbudzony. Postanowiłem przejrzeć jeszcze kilka teczek.

Skierowałem się do mego pawilonu. Nagle usłyszałem odgłos zamykających się drzwi.

Za domem rozległy się kroki. Od strony kuchennego wyjścia.

Powolne, spokojne kroki. Ucichły. A potem znów je usłyszałam.

Ktoś wyszedł na odsłonięty teren i przystanął, spoglądając w niebo.

Charakterystyczna sylwetka Morelanda.

Nie miałem ochoty na rozmowę – ani z Morelandem, ani z nikim innym. Ukryłem się

w cieniu i patrzyłem, jak przechodzi ścieżką jakieś dziesięć metrów ode mnie.

Zauważyłem coś w jego ręce. Torba lekarska.

Miał na sobie to samo ubranie co w czasie kolacji, i jeszcze stary, rozciągnięty sweter.

Skierował się w stronę pawilonów. Minał moje biuro i przeszedł obok pracowni Robin.

Zatrzymał się przy swoim pawilonie.

Odłożył torbę, pogrzebał w kieszeni, wyciągnął z niej klucz, ale miał trudności z trafieniem

nim do zamka. Przesiane poprzez drzewa światło gwiazd wydobyło z mroku jego nos w kształcie ogórka i głębokie bruzdy okalające wygięte w dół usta.

Otworzył gwałtownie drzwi. Podniósł torbę i wszedł.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie.

W oknach pojawiło się światło. A chwilę potem zgasło.

Następnego ranka napłynęło od wschodu chłodniejsze powietrze. Pojawiły się obłoki podobne do strzępków waty.

– Będzie deszcz – powiedziała Gladys, nalewając nam kawę. – Za pięć lub sześć dni.

Obłoki były przejrzyste jak mgła. Wcale niepodobne do chmur deszczowych.

– Zbierają wodę po drodze – wyjaśniła Gladys, podając koszyk z pieczywem. – Wysysają z oceanu. Lubicie pieczywo gruboziarniste?

– Bardzo.

– Doktor Bill także, ale większość ludzi nie lubi. Kiedyś kazał mi upiec bułeczki dla dzieciaków ze szkoły. Prawie ich nie ruszyły.

Wygładziła róg żółtego obrusu. Na śniadanie zesłiśmy jako jedyni.

– Dzieci lubią białe pieczywo. Dawniej przywożono je łodziami dostawczymi. Teraz, jeżeli w ogóle coś nam dają, jest czerstwe. Macie zamiar znowu nurkować?

– Tak.

– Nie dajcie się zwieść tym obłokom i koniecznie nasmarujcie się kremem z filtrem przeciwsłonecznym. Pani ma ładną oliwkową skórę, ma'am, ale doktor z tymi niebieskimi oczami może się nieźle spiec.

– Zajmę się nim – powiedziała Robin z uśmiechem.

– Mężczyźni wyobrażają sobie, że są silni, ale trzeba o nich dbać. Macie ochotę na świeżo wyciśnięty sok?

Ryby w lagunie szybko się oswoiły, podpływały na odległość wyciągniętej ręki, ale widząc, że nic dla nich nie mamy, oddalały się. Robin zwabiła jednego dużego różowożółtego wargacza. Jednak on także przekonał się, że przyplynał na darmo, i szybko śmignął w kierunku koralowcowego wzgórza, a potem wpełzł do jamki i zniknął.

Robin popłynęła za nim, rozglądając się dookoła. Zatrzymała się, machając w miejscu płetwami, i skinęła mi ręką. Zbliżyłem się.

Ze szczeliny w skale wystawała małeńka łysa główka. Pozbawiona brody. Szarobrązowa czaszka. Ogromne, lśniące inteligencją oczy.

Dziecko ośmiornicy z odnóżami cienkimi i delikatnymi jak ugotowany makaron. Oglądało nas, a potem wycofało się, wciskając się w szczelinę.

Przysunęliśmy się bliżej.

Trysnęło na nas atramentem.

Roześmiałem się i nabrałem wody do rurki. Wynurzyłem się, żeby ją wylać. Plaża była pusta.

Zanurkowałem i popłynąłem wzdłuż ławicy żółtych rybek-cyrulików. Przyglądałem się, jak groźnie poruszają ostrymi wyrostkami kostnymi na płetwach piersiowych, i czułem na sobie spojrzenia ich spokojnych, pustych, czarnych oczu.

Raj.

Do domu wróciliśmy o drugiej. Drzwi pokoju Jo były zamknięte, na podłodze stała taca z nie tkniętym śniadaniem. Wyobraziłem sobie, jak pisze na laptopie, chcąc zapomnieć o smutku.

Badanie wiatru. Czegoś wymykającego się spod kontroli.

Moreland przeciwnie, manipulował drobnymi wytworami natury. Czyżby kiedyś miał wielkie plany dotyczące wyspy? Może opłakiwał je wczorajszej nocy, siedząc po ciemku w pracowni?

Wziąłem się do pracy. Żadnych medycznych ciekawostek, żadnego rozlewu krwi. Jedyłą przedwczesną śmiercią był zgon młodej kobiety z rakiem jajnika.

Następne dwa pudła. Żadnych nadzwyczajnych przypadków. Nagle mój wzrok natrafił na znajome nazwisko.

Pierre Laurent, dwudziestoczeroletni marynarz, zmyty z pokładu w czasie sztormu w pobliżu Rowu Mariańskiego. Ciało zostało odesłane do Aruk i Moreland wystawił świadectwo zgonu, odnotowując, że pozostała osiemnastoletnia wdowa w czwartym miesiącu ciąży.

Późniejszy szeryf Aruk.

Była tu też karta narodzin Dennisa. Czteroipółkilogramowy noworodek, zdrowy.

Dwie godziny nudy.

Zajrzałem do pokoju na zapleczu, aby przynieść następne pudło, gdy zapukawszy do drzwi wszedł Ben.

– Właśnie dzwoniono z bazy. Za godzinę helikopter marynarki zabierze was na południowe wybrzeże.

– W ten sposób traktują ważne osobistości?

– Wysyłają helikopter, kuter lub łódź wiosłową. – Spojrzał z dezaprobatą na rozgardiasz na moim biurku. – Potrzebujesz czegoś z łodzi dostawczej?

– Nie, dziękuję. Jedziesz z nami?

– Nie. Za godzinę odlatujecie.

– Poczekaj, wrócimy razem – powiedziałem widząc, że chce wyjść. Wzruszył ramionami, ale zatrzymał się.

– Jak przebiegają szczepienia? – spytałem po drodze.

– Skończone. Do przyszłego roku.

– Ciężka praca?

– Nie bardzo. To dla ich dobra.

– Miałeś wczoraj niezłe tempo.

– Taki już jestem – odparł. – To moje naturalne tempo. Nie spodobała mi się ta odpowiedź.

Szliśmy w milczeniu. Kiedy zbliżaliśmy się do fontanny, odezwał się.

– Przepraszam, że tak mi się jakoś powiedziało... Miałem na myśli to, że stale muszę się śpieszyć.

– Tak jak ja.

– Jestem wykończony. Dziecko płakało nam przez całą noc.

– W jakim jest wieku?

– Pół roku.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka. Wszystkie spały, tylko ona kaprysiła. Przepraszam.

– Nie ma za co. Doktor Bill powiedział, że stroje mają być nie obowiązujące. Co to właściwie znaczy, frak czy dżinsy? Uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Kto wie? Typowo po wojskowemu, wydać rozkaz bez żadnych wyjaśnień. Byłeś w wojsku?

– Nie – odparłem.

– Po miesiącu w Gwardii wiedziałem, że to nie dla mnie, ale było już za późno.

Powiedziałem im, że interesuję się medycyną, więc umieścili mnie w szpitalu na Maui, gdzie usuwałem kolce jeżowców. Ani razu nie byłem na wodzie. A kocham ocean.

– Nurkujesz?

– Kiedyś nurkowałem. A także żeglowałem. Miałem starego katamarana, którym wypływaliśmy kilka razy w roku razem z Dennisem. Gdy wiał dobry wiatr. Teraz z powodu dzieci nie mam czasu, i doktor Bill nie daje mi odetchnąć. Nie skarzę się, całkiem mi to odpowiada.

Uśmiechnął się serdecznie. Przy ganku zatrzymał się stary, poobijany datsun combi.

Wysiadła z niego Chinka.

Mała, z drobną porcelanową twarzą i bardzo krótkimi włosami. Miała na sobie czerwoną

bluzkę i dzinsy. Uśmiechnęła się i podała Benowi zawiniętą w papier kanapkę.

– Z tuńczykiem – powiedział, całując ją w policzek. – Pycha. Doktorze Delaware, oto moja żona, Claire. Claire Chang Romero, przedstawiam ci doktora Alexa Delaware.

Wymieniliśmy pozdrowienia.

– Wszystko w porządku? – spytał Ben. – Kolacja hibachi nadal aktualna?

– Po lekcjach – Cindy musi jeszcze poćwiczyć, a Ben Junior ma napisać wypracowanie.

Objął żonę ramieniem. Był niewysokiego wzrostu, ale przy niej wyglądał na dużego.

Odprowadził ją do samochodu i otworzył drzwiczki. Sprawiał wrażenie szczęśliwego. Wszedłem do domu.

Dla Robin strój nie obowiązujący oznaczał długą czarną suknię bez rękawów,

z pomarańczowym kołnierzem i rozcięciami po bokach. Włosy miała wysoko upięte, a w uszach, jak dwa małe księżycy, błyskały perłowe kolczyki.

Ja ubrałem się w lnianą marynarkę sportową, którą Robin przywiozła mi kiedyś z podróży, wełniane spodnie, białą koszulę i brązowy krawat.

– Ślicznie – powiedziała, poprawiając mi włosy. Spike wpatrywał się w nas wielkimi oczami.

– Czego chcesz? – zapytałem.

Zaczął narzekać: zwróć-na-mnie-uważę-nie-mogę-bez-tego – żyć. Robił tak zawsze, gdy ubieraliśmy się wizytowo.

– Oscar także z nami idzie – powiedziałem.

– Biedny dzidzius! – powiedziała Robin i nachyliła się, żeby go pocieszyć, a potem zwabiła go do klatki za pomocą wielkiego suchara i ucałowała poprzez kratę. Wydał z siebie basowe parsknięcie i zaskomlał.

– Co to znaczy, Spike?

– Prawdopodobnie: „chcę oglądać MTV” – powiedziałem. – Jego wewnętrzny zegarek mówi

mu pewnie, że w L.A. nadają teraz coś dla niego.

– Och – zmartwiła się Robin, nie odchodząc od klatki – tak mi przykro, dziecinko. Nie mamy tu telewizora. Jakoś musisz to znieść.

Wzięła mnie pod rękę.

Ani telewizji, ani codziennej prasy. Poczta nieregularna, przywożona dwa razy w tygodniu przez łodzie dostawcze.

Odcięci od świata. Jak dotąd byłem zadziwiająco szczęśliwy.

Ciekawe, jak to zniosę na dłuższą metę.

A jak znoszą to ludzie na Aruk? Moreland w swoich listach zachwalał tutejsze odosobnienie i odcięcie od świata. Przygotowywał nas na to, ale brzmiała w tym także nuta przechwałki.

Facet, który wytrwał przy telefonach tarczowych.

Żył po swojemu, we własnym świecie, który sobie stworzył. Hodując i żywiąc owady, rośliny, obdarzając ludzi swoim altruizmem.

A pozostali mieszkańcy wyspy? Wiedzieli przecież, że na innych wyspach Pacyfiku życie wygląda inaczej: w czasie naszego przystanku na Guam mogliśmy korzystać z całodobowej telewizji kablowej i kiosku z gazetami. W folderach reklamowych, które stamtąd wzięłem, pisano, że podobne udogodnienia znajdują się na Saipan i Rota oraz na Marianach.

Aruk był tego wszystkiego pozbawiony.

Może nie tylko Spike'owi brakowało MTV.

Creedman powiedział nam, że Moreland jest nadzwyczajnie bogaty, a on sam potwierdził, że dzieciństwo spędził na rancho w Kalifornii.

Dlaczego nie przeznaczył swoich pieniędzy na usprawnienie komunikacji? Nie miał w biurze komputera. Czasopisma nadchodziły niesystematycznie. Jak mógł się rozwijać w takich warunkach?

Czy Dennis Laurent ma komputer? Jeśli nie, jak sobie daje radę?

A może brak danych o morderstwach podobnych do tego, które popełniono na plaży, wynikał z nieodpowiedniego wyposażenia i dlatego Moreland wciąż się niepokoił.

– Alex – Robin pociągnęła mnie za rękaw.

– Co, kochanie?

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście.

– Mówiłam do ciebie, a ty przeniosłeś się w inny wymiar.

– Och, przepraszam. Może to zaraźliwe.

– Co masz na myśli?

– Moreland bywa czasem taki nieobecny. Może to tutejsza dolegliwość. Zbyt wiele słodyczy.

– A może obydwaj za dużo pracujecie?

– Nurkowanie przed południem i kilka godzin nad lekturą dokumentacji? Tyle jeszcze mogę znieść.

– Zużywasz dużo energii, kochanie. I to powietrze cię wyczerpuje. Ja sama chętnie zmieniałabym się w warzywo.

– Moja mała brukselka – powiedziałem, biorąc ją za rękę. – A więc masz prawdziwe wakacje.

– Ty także, doktorze.

– Oczywiście. Roześmiała się.

– Ciało odpoczywa, ale umysł pracuje, prawda? Poklepałem się w czoło.

– Umysł zostaje wyłączony.

– Jakoś ci nie wierzę.

– Nie? Sama się przekonasz. – Postawiłem oczy w słupek.

– Może lepiej wezmę rurkę do nurkowania. W razie gdybyś wpadł do zupy.

Kiedy wyszliśmy, Moreland już siedział w dziupie. Miał na sobie stary brązowy sweter i krawat koloru wody w ścieku.

– Czekamy na Pam – powiedział zatroskany. – Włączył silnik i nacisnął pedał gazu, po chwili na podjeździe zatrzymał się mały czerwony MG. Wyskoczyła z niego zarumieniona i zadyszana Pam.

– Przepraszam – powiedziała i wbiegła do domu.

Moreland zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek, ojcowskiej dezaprobaty, jaką u niego zauważyłem. Nie żadnej serdeczności.

Jeszcze raz spojrzał na zegarek. Stary timex. Milo pochwaliliby ten wybór.

– Ślicznie wyglądasz, moja droga – zwrócił się do Robin. – Ruszamy, gdy tylko córka będzie gotowa. Pani Picker nie jedzie, co w pełni zrozumiałe.

Po kilku minutach Pam wybiegła z domu. Miała na sobie luźne białe spodnium, rozpuściła lśniące włosy, a na jej policzkach ukazały się rumieńce.

– W drogę – powiedział Moreland.

Kiedy Pam ucałowała go w policzek, nie zareagował.

Pierwsza oznaka spostrzegłem też, że prowadził samochód tak samo jak chodził – powoli i niezręcznie. Zakręty brał tuż przy skraju drogi, pokazywał nam różne rośliny i drzewa.

Jechaliśmy w dół ku przystani.

Potem skręciliśmy na południe. Przez cały dzień słońce było zamglone, a teraz już zachodziło. Plaża miała barwę szarej ostrygi, woda – starej pięciocentówki.

Było bardzo cicho i spokojnie. Pomyślałem o AnneMarie Valdos, poćwiartowanej na płaskich skałach jak kawałek mięsa.

Wysiedliśmy i milcząc czekaliśmy na skraju drogi.

– Jak długo będziemy lecieć? – spytałem.

– Krótko – odparł Moreland.

Od strony wybrzeża dobiegł nas odgłos zbliżających się kroków.

Z cienia rzucanego przez zaporę wyszedł mężczyzna.

Tom Creedman. Machał do nas ręką. Ubrany był w niebieski prążkowany garnitur, białą koszulę, żółty wzorzysty krawat i pantofle z kitkami. Czarne włosy miał przylizane, uśmiechał się pod wąsikami.

– Dzień dobry, Tom – powiedział Moreland, spoglądając na niego z niechęcią.

– Dzień dobry, Bill. Cześć, córko Morelanda. Witam was, doktorze i Robin. – Wepchał się w środek naszej grupki i zacisnął węzeł krawata. – Elegancja-Francja, prywatny transport powietrzny, co za szpan.

– Nie mają wyboru, jeśli chcą, żebyśmy tam dotarli – powiedział Moreland.

– Mogliśmy tam popłynąć. Pam jest świetną pływaczką. Widziałem dzisiaj, jak płynęła z szeryfem Laurentem wzdłuż północnego cypla. Moreland zamrugał oczyma i spojrzał na ocean.

– Może kiedyś spróbuję – powiedziała Pam. – Cóż to jest te parę mil morskich? A pan pływa, Tom?

– Tylko jeśli muszę. – Creedman zachichotał. Wydobył z kieszeni cygaro i zapalił, używając chromowanej zapalniczki. Zaciągnął się głęboko, zlustrował dokładnie lagunę i wydmuchnął dym nosem. Wypełniający misję korespondent zagraniczny. Brakowało tylko podkładu muzycznego.

– Zabawne, prawda? Po tej całej wymuszonej segregacji zdecydowali się wydać przyjęcie – przynajmniej dla białych. Widzę, że Ben i Dennis nie zostali zaproszeni. Jak myślisz, Bill, czy brązowa skóra dyskwalifikuje ludzi?

Moreland nie odpowiedział.

- A może to na waszą cześć. – Creedman zwrócił się do mnie i Robin. – Masz jakieś powiązania z marynarką, Alex?
- Kiedy miałem pięć lat, puszczałem podczas kąpieli łódkę w wannie.
- Tak, rozumiem – odparł Creedman.
- Nie pływa pan ani się nie opala. Co pan robi całymi dniami, panie Creedman?
- Żyję sobie wygodnie, pracuję nad książką.
- Ma pan wydawcę?
- Najlepszego z możliwych – odparł z uśmiechem.
- Kiedy się ukáže? Przyłożył palec do ust.
- Czy to też tajemnica?
- Oczywiście – odpowiedział Creedman ze zbytnim pośpiechem. Cygaro przekrzywiło mu się i wyjął je z ust. – Wydawcy nie lubią przecieków. W dziennikarstwie towar jest... efemeryczny.
- To znaczy, że ludzie kradną pomysły?
- To znaczy, że w kupno i sprzedaż pomysłów inwestuje się miliardy dolarów, a każdy szuka inspiracji, która przyniosłaby pieniądze.
- I pan ją znalazł na Aruk? Creedman palił w milczeniu.
- To nie tak jak w medycynie – powiedziała Pam. – My mamy moralny obowiązek publikować wszelkie ważne odkrycia.
- Jakie to szlachetne – powiedział Creedman. – Zresztą wy, lekarze, wybieracie ten zawód właśnie dlatego, że jesteście szlachetni.
- Chyba już leci – odezwał się Moreland. – Wskazał palcem niebo, ale wciąż wpatrywał się w ocean. Nie słyszałem nic prócz szumu fal i ćwierkania ptaków. Moreland skinął głową. – Tak, z całą pewnością.

Po kilku sekundach od wschodu dotarło głębokie dudnienie. Stawało się coraz głośniejsze.

Ponad skałami ukazał się duży, ciemny helikopter, skierował się prosto na nas, obrócił się i opuścił na drogę niczym ogromny świerszcz.

Dwa wirniki, wydęty kadłub. Wzniecał tumany piasku, więc pochyliliśmy głowy i przesłoniлиśmy usta dłońmi.

Wirnik kręcił się teraz wolniej, ale się nie zatrzymał. Otworzyły się drzwi i rzucono nam drabinę.

Przywoływano nas gestami rąk.

Łykając piasek ruszyliśmy w stronę maszyny i wspieliśmy się do cuchnącej benzyną kabiny o brezentowych ścianach. W pierwszym rzędzie usiedli Moreland, Pam i Creedman, ja i Robin usadowiliśmy się za nimi. Z tyłu leżał stos osprzętu i złożone spadochrony. Z przodu siedziało dwóch żołnierzy marynarki. Spoza na wpół opuszczonych zasłon widać było częściowo ich głowy i skrawek oświetlonej na zielono tablicy rozdzielczej.

Pilot przycisnął coś i helikopter zadrżał, a potem wzniósł się w powietrze.

Skierowaliśmy się nad ocean, skręciliśmy na południowy zachód i poleciliśmy wzdłuż linii brzegowej. Wystarczająco wysoko, bym zdołał zauważyć, że wyspa ma kształt ostrza noża.

Wybrzeże południowe stanowiło czubek ostrza, a miejsce, ku któremu zmierzaliśmy – rękojeść.

Z tej wysokości blokada wyglądała jak wycięta z papieru. Pasma górskie jak czarny, skórzany pasek, a figowce tonęły w ciemności. Helikopter wykonał ostry zakręt i ukazał się wschodni kraniec wyspy.

Wybetonowany brzeg i wzburzona woda, żadnych drzew, piasku ani raf. Przystań, położona po stronie nawietrznej, miała kształt łyżki do zupy. Naturalny port. Stały w nim zacumowane statki, które nawet z tej wysokości zdawały się duże. Niektóre z nich poruszały się. Była duża fala – dostrzegłem pianę gromadzącą się na masywnym falochronie.

Skręciliśmy na północ, ku bazie składającej się z zespołu czarnych, pożyłkowanych na szaro klockowatych pomieszczeń, prawdopodobnie baraków, oraz z kilku większych budynków. Helikopter zszedł w dół i dotknęliśmy ziemi. Cała podróż trwała nie dłużej niż przejażdżka po lunaparku. Okrucieństwo blokady widoczne stąd było w całej okazałości. Pilot wyłączył silnik i wysiadł bez słowa. Drugi marynarz zaczekał, aż wirnik przestanie się obracać, po czym otworzył nasze drzwi.

Wyszliśmy na zewnątrz i owionęło nas wilgotne, skażone chemicznie, zatechłe powietrze.

– Strona nawietrzna – powiedział Moreland. – Nic tu nie rośnie.

Wsiedliśmy do wymyślnego pojazdu, przypominającego powiększony wózek golfowy, i siedzący za kierownicą marynarz powiózł nas przez strażnicę. Minęliśmy baraki, magazyny, hangary i puste pasy startowe. Betonowe pole, zatłoczone samolotami, helikopterami i częściami maszyn, przypomniało mi lotnicze złomowisko Harry'ego Amalfi. Niektóre spośród samolotów były przestarzałe, inne sprawiały wrażenie nowiuteńkich. Zwłaszcza jeden wypieszczony odrzutowiec pasażerski, którym mogłaby się poszczycić każda linia lotnicza.

Przystań była zasłonięta przez falochron, potworną budowlę równie prymitywną jak blokada.

Ponad nim trzepotała podobna do ścierki flaga amerykańska. Słysząc było fale oceanu, nacierające gniewnie na betonową zaporę z rykiem widowni podczas walki gladiatorów.

Spojrzałem w stronę zachodniej granicy bazy, gdzie musiał spaść Picker. Około kilometra stąd. Ogrodzenie wysokie na siedem metrów przechodziło dalej w figowcową pułapkę.

Creedman powiedział, że bazę obsługują niedobitki załogi. Dostrzegłem najwyżej dwudziestu, spacerujących i przyglądających się nam marynarzy.

Nasz pojazd przejechał przez prawie pusty parking i żółkły trawnik, a potem zatrzymał się przy dwupiętrowym budynku w stylu kolonialnym z białych desek i cegieł, z zielonymi okiennicami.

Obok znajdował się parterowy dom w tym samym stylu. Klub oficerski.

W budynku klubowym przeszliśmy przez długi korytarz wyłożony ciemnoczerwonym, wełnianym dywanem we wzór przedstawiający skrzyżowane pałasze. Na ścianach wisiały kiepskie obrazy marynistyczne i modele statków w szklanych gablotach.

Inny marynarz zaprowadził nas do poczekalni z fotelami klubowymi, udekorowanej zdjęciami myśliwców. Za pulpitem stał marynarz w stroju galowym. Przez otwarte drzwi jadalni widać było dyskretnie oświetlone puste stoły i dochodził zapach konserwowej zupy jarzynowej i topionego sera.

Marynarze zasalutowali sobie i ten, który nas przyprowadził, natychmiast wyszedł.

– Tędy – powiedział marynarz stojący za pulpitem. Młody, z podgolonymi włosami i miłą, pryszczatą twarzą. Poprowadził nas do pozbawionych tabliczki drzwi. Na klamce wisiała kartka z informacją, że pokój został zarezerwowany przez kapitana Ewinga.

Wewnątrz znajdował się jeden długi stół pod żyrandolem z kutego mosiądzu i dwadzieścia jaskrawoniebieskich krzeseł. Nad miejscem u szczytu stołu wisiał portret uśmiechającego się z przymusem prezydenta. Trzy ściany wyłożone drewnem, jedna zasłonięta niebieską kotarą.

Wszedł następny marynarz i przyjął od nas zamówienia na koktajle. Napoje przynieśli dwaj inni ludzie.

Creedman spróbował martini i oblizał wargi.

– Dobrze, wytrawne. Dlaczego nie mamy takiego wermutu w naszym miasteczku, Bill?

Moreland wzruszył ramionami znad soku pomidorowego.

– Prosiłem, żeby mi sprowadzili coś wytrawnego i włoskiego – ciągnął Creedman. – Po miesiącu dostałem jakieś świństwo z Malezji.

– Współczuję.

– W bezcłowym stoisku mają wszystko od Chivas po Soli, więc co za sztuka złożyć takie zamówienie? Zupełnie jakby się starali robić na złość.

– Czy właśnie niekompetencja wyspiarzy jest tematem pańskiej książki? – spytała Pam. Creedman uśmiechnął się ponad szklanką.

– Skoro tak interesuje panią moja książka, może powinniśmy się spotkać i porozmawiać? Oczywiście, jeżeli będzie pani miała dość sił po pływaniu.

Moreland podszedł do niebieskich zasłon i rozsunął je.

– Ale widok! – powiedział. – Lotnisko. Nie rozumiem, dlaczego umieścili okno w takim miejscu.

– Może lubią patrzeć na startujące samoloty – powiedziała Pam. Moreland znowu wzruszył ramionami.

– Jak długo mieszkałeś tu z mamą?

– Dwa lata.

Weszło trzech mężczyzn. Dwaj w oficerskich mundurach – pierwszy po pięćdziesiątce, wysoki i tęgi, o czerstwej, czerwonej twarzy i w okularach o stalowej oprawie; drugi jeszcze wyższy, o dziesięć lat młodszy, o pociągłej, smagłej twarzy i niespokojnych rękach.

Trzeci mężczyzna miał na sobie piękny, lekki garnitur z szarej serży, który dzięki temu, że został doskonale skrojony, znacznie go wyszczuplał. Dwa metry wzrostu, szerokie bary, wąskie biodra, kwadratowa twarz, zaciśnięte usta, wiejska opalenizna. Koszula z delikatnej niebieskiej popeliny z rozpiętym kołnierzykiem i srebrzysta jedwabna apaszka. Gęste czarne włosy i białe jak śnieg skronie. Ich kontrast sprawiał wrażenie sztuczności.

Hollywoodzki ideał senatora, ale, jeśli wierzyć gazetom, został senatorem nie mając nic wspólnego ze światem filmu.

Jego życiorys był bardzo malowniczy: Nicholas Hoffman, urodzony w Oregonie jako syn

młodej wdowy, borykającej się z losem w obozie drwali, przebywał w domu do piętnastego roku życia, kiedy skłamał na temat swego wieku, zaciągnął się do marynarki. Pod koniec wojny koreańskiej był już bohaterem z licznymi medalami. Poświęcił wojsku następne piętnaście lat nienagannej służby, a następnie zajął się handlem nieruchomościami, gdzie w wieku czterdziestu lat dorobił się pierwszego miliona. W wieku czterdziestu trzech lat został senatorem. Jego zasadą było unikanie ekstremów; przyłgnął do niego przydomek Mr Średniak. Prawdziwie zaangażowani politycy z obu przeciwległych skrzydeł starali się wykorzystać to przeciwko niemu. Wyborcy jednak głosowali na Hoffmana, który nie opuszczał senatu przez trzy kadencje z rzędu.

– Cześć, Bill – powiedział, wysuwając się naprzód i wyciągając mięsistą dłoń.

– Witam, senatorze – odezwał się cicho Moreland.

– Nie wygłupiaj się! – zaśmiał się Hoffman. Chwycił dłoń Morelanda i uścisnął. Twarz

Morelanda pozostała bez wyrazu. Hoffman zwrócił się do Pam. – A ty jesteś pewnie jego córką;

kiedy cię widziałem po raz ostatni, byłaś w pieluchach. – Uścisnął końce palców Pam. – Jesteś

lekarzem, prawda?

Skinęła głową.

– Wspaniale.

Creedman wyciągnął rękę i przedstawił się sam.

– Ach, prasa – powiedział Hoffman. – Kapitan Ewing powiedział mi, że pan tu jest, więc

zapropnowałem, żeby pana zaprosił i pokazał rząd w akcji. Korespondent?

– Piszę książkę.

– O czym?

– Opisuującą tutejszą rzeczywistość.

– Wspaniale.

– A co pana tu sprowadza, senatorze?

– Prawdziwa praca. Ocena urządzeń wojskowych. Rozpiął marynarkę i klepnął się w pierś.

Dorobił się brzucha, który krawcowi udało się zamaskować krojem marynarki.

– A wy jesteście pewnie tymi lekarzami z Kalifornii. – Wyciągnął rękę. – Nick Hoffman.

– Doktor Delaware jest psychologiem – powiedziała Robin. – A ja konstruuje instrumenty muzyczne.

– Bardzo mi miło... – Spojrzał na stół. – Czy możemy zaczynać, kapitanie?

– Oczywiście, senatorze – odparł oficer o czerwonej twarzy. Jego głos miał chrapliwe brzmienie. Ani on, ani śniady mężczyzna nie odezwali się dotychczas. – Proszę usiąść u szczytu stołu, sir.

Hoffman szybko podszedł do wskazanego miejsca i zdjął marynarkę. Wyższy oficer natychmiast pospieszył, by ją od niego odebrać, ale senator zdążył powiesić marynarkę na oparciu swego krzesła i usiadł rozpinając kołnierzyk i rozluźniając apaszkę.

– Czego się pan napije, senatorze?

– Mrożonej herbaty, Walt.

Walt wyszedł. Mężczyzna o czerwonej twarzy pozostał, nie ruszył się ze swego miejsca przy drzwiach.

– Proszę się do nas przyłączyć, kapitanie – powiedział Hoffman, wskazując jedno z dwu pustych krzeseł. Ewing zdjął czapkę i usiadł sztywno.

– Rozumiem, Elvin, że wszyscy się znają – powiedział Hoffman.

– Ja znam wszystkich z nazwiska – powiedział Ewing – ale dotychczas nie spotkaliśmy się.

– Pan Creedman, doktor Pam Moreland, doktor i pani Delaware – powiedział Hoffman. –

Kapitan Elvin Ewing, komendant bazy.

Ewing przyłożył palec do okularów. Wyglądał na zakłopotanego.

Wrócił oficer z herbatą dla senatora. Filiżanka była ogromna, na wierzchu pływał listek mięty.

– Coś jeszcze, senatorze?

– Nie. Siadaj, Walt.

A kiedy ten ruszył w stronę swego miejsca, Ewing powiedział:

– Proszę się przedstawić, poruczniku.

– Porucznik Zondervein – powiedział wysoki oficer, patrząc wprost przed siebie.

– No – skwitował Hoffman – teraz jesteśmy przyjaciółmi. – Opróżnił większą część filiżanki jednym haustem, wyłowił źdźbło mięty i zjadł listek.

– Podróżuje pan samotnie, senatorze? – spytał Creedman. Hoffman spojrzał na niego z szerokim uśmiechem.

– To jest silniejsze od pana, prawda? Jeżeli chodzi o to, czy mam ze sobą świtę, to nie – jestem tu sam. Owszem, przyleciałem odrzutowcem rządowym, ale podróżuję po okolicy, korzystając z paliwa bazy.

A więc to ten wypieszczony odrzutowiec, który zauważyłem.

– Prawdę powiedziawszy, miało przyjechać jeszcze trzech prawników. Senatorzy Bering, Petrucci i Hammersmith. Teraz są na Hawajach, jutro przybędą na Guam i pewnie zechcą się poopalać – powiedział z uśmiechem. – Ja postanowiłem przyjechać tu wcześniej, żeby odwiedzić stare miejsca i spotkać się z dawnymi przyjaciółmi. Nie, panie Creedman, nie obciążylem moich wyborców żadnymi dodatkowymi kosztami, ponieważ moim zadaniem jest oszacowanie wyposażenia baz na kilku mniejszych wyspach Mikronezji, nie wyłączając Aruk, a przybywając tu w pojedynkę uczyniłem podróż jeszcze mniej kosztowną. – Dopił herbatę, rozgryzł jedną z kostek lodu, przełknął i roześmiał się. – Musiałem siedzieć obok pilota. Boże, jaka to skomplikowana maszyna. Równie dobrze mógłbym usiłować pograć w jedną z tych przeklętych

gier komputerowych moich wnuków. Czy wiecie, że siedmioletnie dziecko lepiej z tym sobie radzi niż jego rodzice? Dzieci mają doskonałą koordynację pracy rąk ze wzrokiem. Może powinniśmy szkolić siedmiolatki w prowadzeniu samolotów bojowych, Elvin.

Ewing uśmiechnął się blado.

– Pozwoli pan jeszcze herbaty, senatorze? – zapytał Zondervein, zrywając się od stołu.

– Nie, dziękuję – odparł Hoffman. – A może dolać komuś z państwa?

Creedman uniósł szklanę.

Porucznik Zonderyein wziął ją i podszedł do drzwi.

– Sprawdzę, co z pierwszym daniem – powiedział. Hoffman rozłożył serwetkę i zatknął ją sobie za kołnierzyk.

– Styl mafijny – powiedział. – Wystarczy jednak jedno zdjęcie z tłustą plamą na krawacie i człowiek jest skończony. Więc jakie jest menu, Elvin?

– Kurczęta – odparł Ewing.

– Nie będzie się nam po nich odbijało?

– Mam nadzieję, że nie, sir.

– Pieczone czy smażone?

– Pieczone.

– Widzi pan, panie Creedman? Proste jedzenie. A dla doktora Morelanda? – zapytał, zwracając się do Ewinga.

– Słucham, sir? – zapytał Ewing.

Hoffman nadal się uśmiechał, ale oczy mu się zwęziły, nieomal zniknęły.

– Doktor Moreland jest wegetarianinem, kapitanie. Wydaje mi się, że powiedziałem o tym przez radiotelefon.

– Tak, sir, mamy jarzyny.

– Jarzyny. Świeże?

– Mam nadzieję, sir.

– Mam nadzieję – powtórzył Hoffman. – Doktor Moreland odżywia się bardzo zdrowo – a przynajmniej jadał tak dawniej. Przypuszczam, że to się nie zmieniło, Bill?

– Zjem cokolwiek – zapewnił Moreland.

– Idziesz z postępem, Bill. Właściwa dieta, gdy inni zapychają sobie żyły. Wyglądasz wspaniale. Nadal grywasz w brydża?

– Nie.

– Nie? Ile razy zdobyłeś mistrzostwo, dziesięć, piętnaście?

– Po twoim wyjeździe nie grałem ani razu, Nicholas.

– Naprawdę? – zdziwił się Hoffman i spojrzał po nas. – Bill był wspaniałym brydżystą – miał fotograficzną pamięć i zachowywał kamienną twarz. My byliśmy zwykłymi amatorami, ale dzięki niemu rozgrywaliśmy bardzo ciekawe turnieje, prawda, Bill? Naprawdę to zarzuciłeś?

Pamiętasz, jak grywaliśmy w klubie w Saipan?

Moreland tylko potrząsnął głową.

– A ktoś z państwa grywa? – nie dawał za wygraną Hoffman. – Może rozegralibyśmy partyjkę po kolacji? Cisza.

– O, tak, to wspaniała gra. O wiele lepsza niż szachy. Liczą się umiejętności i szczęście w kartach.

Wrócił Zonderyein, niosąc martini dla Creedmana. Za nim weszło dwóch marynarzy popychając barek z zakąskami. Melon zawinięty w plastry szynki.

– Dla doktora Morelanda porcja bez mięsa – zadysponował Hoffman.

Szynka miała smak kielbasy z puszki. Melon był za słodki i mączasty.

Gladys powiedziała nam, że Hoffman był smakoszem, ale właściwie należałoby go określić

mianem żarłoka. Rzucił się na jedzenie z wielkim entuzjazmem, wyjadł złocisty miąższ melona do czysta, pozostawiając samą skórkę i trzykrotnie dolewając sobie wody.

– Tatuś pisał do pana – powiedziała Pam. – Otrzymał pan jego listy?

– Tak, otrzymałem – odparł Hoffman. – Dwa listy, prawda? Czy może wysłałeś więcej?

– Dwa.

– Czy uwierzysz, że dotarły do mnie dopiero teraz? Właściwie tylko ten drugi dotarł do mnie bezpośrednio. Może dzięki temu, że na kopercie aż trzy razy napisałeś do rąk własnych.

W każdym razie ogromnie się z nich ucieszyłem. Przeczytałem odsyłacze do pierwszego listu i zacząłem poszukiwać bibliografii. W końcu znalazłem coś w podręcznym słowniku pod hasłem „ekologia”. Prawdopodobnie odpowiedź na pierwszy list otrzymasz za jakieś dwa lub trzy miesiące. Gdzie dostałeś taką szynkę, Elvin? Na pewno nie u Smithwooda ani Parmy.

– Poprzez kantynę generalską – odparł Ewing. – Zgodnie z pana instrukcjami, sir.

Hoffman spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

– Skąd jest ta szynka, poruczniku? – Ewing zwrócił się do Zonderveina.

– Nie jestem pewien, sir.

– Dowiedz się od intendenta. Zanim senator nas opuści.

– Tak, sir. Już idę do kuchni...

– Nie – zaprotestował Hoffman. – To bez znaczenia. – Widzi pan, Tom, jadamy skromnie.

– Jeżeli życzy pan sobie niezłej wyżerki, zapraszam do siebie, senatorze.

– Sam pan gotuje?

– Uwielbiam gotować. Mam wspaniały przepis na wołowinę – Creedman uśmiechnął się do Morelanda. – Ja jestem mięsożerny.

– Macie dość mięsa na wyspie? – zapytał Hoffman.

– Jakoś sobie radzę. Wszystko zależy od pomysłowości.

– A ty, Pam? Lubisz gotować?

– Nie bardzo.

– Ja umiem robić wyłącznie suchary. Według przepisu mojej prababci – mąka, proszek do pieczenia, sól, cukier, tłuszcz z bekonu.

– Jak długo tu zostaniesz? – zapytał Moreland.

– Jutro wyjeżdżam.

– Zakończyłeś przegląd Stanton?

– Zaledwie go zacząłem.

– Zamierzasz go dokończyć?

– To nie ode mnie zależy.

– Macie zamiar zlikwidować bazę?

Hoffman odłożył widelec i potarł palcem brzeg talerza.

– Decyzja jeszcze nie została podjęta.

– To znaczy, że likwidacja jest prawdopodobna.

– Nie wykluczam żadnej możliwości, Bill.

– Co stanie się z Aruk, jeśli baza zostanie zamknięta?

– Chyba wiesz sam najlepiej, Bill.

– Tak, chyba wiem – odparł Moreland. – Pamiętasz, co ci napisałem o blokadzie drogi na południowe wybrzeże?

– Tak, wspomniałem o tym kapitanowi Ewingowi.

– Czy kapitan Ewing podał ci przyczyny? Hoffman spojrzał na Ewinga.

– Elvin?

Czerwona twarz Ewinga spąsowiała.

– Ze względów bezpieczeństwa – mruknął.

– To znaczy? – nie dawał za wygraną Moreland. Ewing spojrzął na Hoffmana.

– Nie wolno mi o tym mówić, sir.

– Blokada jest formą ucisku ekonomicznego, Nick – ciągnął Moreland. Hoffman odkroił biały skrawek ze skórki melona, przeżuł go i przełknął.

– Czasami wprowadza się zmiany, Bill – powiedział cicho.

– Czasami robimy okropne rzeczy udając, że udzielamy ludziom pomocy. Hoffman znów spojrzął na Ewinga.

– Mógłbyś być nieco bardziej uprzejmy rozmawiając z doktorem Morelandem?

Ewing przełknął ślinę. W ustach nie miał ani krzty jedzenia.

– Miały miejsce pewne niepokoje społeczne. Uciszyliśmy je. Uznaliśmy, że nadal istnieje potencjalne niebezpieczeństwo. Uniemożliwienie kontaktów naszych ludzi z mieszkańcami wyspy zostało uznane za konieczne. Wysłaliśmy odpowiednie dokumenty do dowództwa i uzyskaliśmy aprobatę admirała Feltona.

– Biurokracja – stwierdził Moreland. – Kilku miedziaków straciło panowanie nad sobą.

Myślę, że marynarka może sobie poradzić z czymś takim, nie niszcząc gospodarki wyspy. Przez wszystkie te lata eksploatowaliśmy ich i takie postępowanie jest po prostu niemoralne.

Ewing zignorował tę uwagę.

– Bill – odezwał się Hoffman. – O ile pamiętam, to my uratowaliśmy ich przed Japończykami. To chyba nie znaczy, że ich eksploatowaliśmy.

– Zniszczenie Japończyków leżało w naszym narodowym interesie. A potem zagarnęliśmy ich i narzuciliśmy nasze prawa. W ten sposób wzięliśmy na siebie odpowiedzialność za tych ludzi.

Hoffman położył widelec na talerzu.

– Z całym należnym szacunkiem – powiedział bardzo cicho – brzmi to cokolwiek

paternalistycznie.

– To brzmi realistycznie. – Pam dotknęła jego dłoni, ale on cofnął ją i ciągnął dalej: –

Niepokoje społeczne! Mogłoby się wydawać, że chodzi o jakieś powstanie. A tu nic się nie stało,

Nick. Dziecinada.

Ewing zacisnął usta tak mocno, że wyglądały, jakby zostały zszyte.

– Czy mam sprawdzić, co z drugim daniem, sir? – zapytał Zondervein. Ewing skinął głową, spoglądając na niego morderczym wzrokiem.

– To nie takie proste – powiedział Creedman. – Popelniono morderstwo. Zgwałcono i poćwiartowano na plaży dziewczynę. Miejscowi byli przekonani, że dokonał tego marynarz, i przyszli tutaj, żeby zaprotestować.

– Ach tak... – powiedział Hoffman. – Istnieją dowody na to, że istotnie był to marynarz?

– Nie, sir – zaprotestował głośno Ewing. – Oni tam przepadają za plotkami. Upili się i usiłowali wtargnąć...

– Niech pan nie robi z tego powstania – przerwał mu Moreland. – Ludzie domagali się wyjaśnień.

– Tak? – mruknął Hoffman.

– Na pewno pamiętasz tubylców, Nick. Jacy byli spokojni. A ofiara miała zwyczaj upijać się w towarzystwie marynarzy.

– Ofiara – uśmiechnął się Hoffman i złożony palce potoczył wzrokiem po zebranych. – Znałem tubylców trzydzieści lat temu, Bill. Nie wierzę, żeby żołnierze marynarki byli mordercami.

Moreland wpatrywał się w niego bez słowa.

Ewing spurpurowiał.

– Nie chcieliśmy, żeby sprawy wymknęły nam się z ręki. Wziąwszy pod uwagę wszystkie

fakty i hipotezy nadal uważamy, że mieliśmy rację. Rozkazy nadeszły z dowództwa.

– Bzdury – powiedział Moreland. – Fakty są takie, że jesteśmy kolonialistami i powtarza się stary schemat: wyspiarze żyją tak, jak tego pragną przybysze z zachodu, a my ich w podzięcie za to chcemy porzucić. To zdrada. Jeszcze jeden przykład zawiedzionego zaufania.

Hoffman znieruchomiał. A potem wydlubał coś spomiędzy zębów i rozgryzł następną kostkę lodu.

– Zdrada – powtórzył Moreland.

Hoffman wyglądał tak, jakby się nad czymś zastanawiał. W końcu powiedział:

– Wiesz dobrze, Bill, że Aruk szczególnie leży mi na sercu. Po wojnie potrzebowałem spokoju, piękna i czegoś nieskażonego. – A potem zwrócił się do nas: – Tylko człowiek niespełna rozumu może twierdzić, że wojna to coś pięknego. Prawda, Elvin?

Ewing z wysiłkiem skinął głową.

– Po wojnie spędziłem tutaj kilka najlepszych lat mego życia. Pamiętasz, Bill, jak razem z Dotty i Barb wspinaliśmy się i chodziliśmy pływać? Jak uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli niektóre miejsca pozostaną nietknięte? Może byliśmy bardziej przewidujący, niż nam się wydawało? Może czasami wszystko powinno się toczyć własnym torem?

– Otóż to, Nicholas, Aruk nie pozostał nietknięty. Życie tamtejszych ludzi jest...

– Wiem, wiem. Jednakże problem polega na rozmieszczeniu ludności świata, rozmieszczeniu wyczerpujących się dóbr naturalnych. Widziałem zbyt wiele poronionych pomysłów, które dobrze wyglądają na papierze, ale nie sprawdzają się w praktyce. Nasłuchałem się zbyt wiele na temat wspaniałych dobrodziejstw autonomii. A popatrz, co się dzieje na Nauru.

– Nauru jest przypadkiem nietypowym – zaprotestował Moreland.

– Ale pouczającym. – Hoffman zwrócił się do nas: – Czy ktoś z was słyszał o Nauru?

Małeńka wysepka na południowy zachód stąd, w samym centrum Mikronezji. Piętnaście

kilometrów kwadratowych guana – ptasiego nawozu. Dwieście lat żywiłowej kolonizacji przez Brytyjczyków, Niemców. A potem ktoś wpadł na pomysł, że miejsce to jest źródłem doskonałego fosforanu. Angole i Niemcy zajęli się wspólnie eksploatacją, pozostawiając w zamian tubylcom grypę i paraliż dziecięcy. Potem wybuchła druga wojna światowa i na wyspę napadli Japończycy. Zesłali większość Nauruańczyków do Chuuk na roboty przymusowe. Po wojnie przejęła ich Australia i miejscowi wodzowie wynegocjowali złoty interes: duży udział w zyskach z nawozu plus australijska służba zdrowia. W sześćdziesiątym ósmym roku Australia zagwarantowała im całkowitą niepodległość i wodzowie przejęli Nauru Phosphate Corporation, która eksploatuje rocznie dwa miliony ton mewiego gówna. Sto milionów dolarów dochodu; per capita dochód wzrasta o dwadzieścia tysięcy. Można to porównać do szejkanatów naftowych. Samochody, stereo i solone mięso dla tubylców. A wraz z tym trzydzieści procent chorych na cukrzycę. Pomyślcie – jeden na trzydziestu mieszkańców. Najwyższy wskaźnik na świecie. Żadnych czynników dziedzicznych. Oczywisty skutek złego odżywiania. To samo z ciśnieniem krwi, chorobą wieńcową i otyłością – pewien australijski senator nazwał to miejsce „krajem sadła”. Dodajmy wysokie spożycie alkoholu, oraz liczne wypadki samochodowe i średnia wieku spada do pięćdziesiątki. A co gorsza, dziewięćdziesiąt procent fosfatów już wyeksploatowano. Jeszcze kilka lat, a nie pozostanie nic poza butelkami insuliny i puszkami z piwem. Oto wynik nie kontrolowanego rozkwitu.

– Czyżbyś zachwalał zalety biedy, Nick?

– Nie, Bill, ale świat się zmienił i niektórzy sądzą, że powinniśmy przestać uważać się za uniwersalną niańkę.

– Mówimy o ludziach. Sposób życia...

– Hola, hola – odezwał się Creedman. – Można by pomyśleć, że przed przybyciem

Europejczyków wszystko było idealne, dopiero kolonizacja zniszczyła ten raj. A z moich badań

wynika, że w tym prymitywnym świecie istniało mnóstwo chorób i ludzie, którzy od nich nie umarli, wyginęliby z głodu.

Myślałem, że Moreland zwróci się w jego stronę, ale on nie spuszczał oczu z Hoffmana.

– Jest w tym nieco prawdy, Bill. Jako lekarz doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

– Choroby – powiedział Moreland, jakby go bawiło to słowo. – Tak, były różne pasożyty, ale nie można ich porównywać z nieszczęściem, które zostało tam zawleczone.

– Niech pan nie przesadza – upierał się Creedman. – Bądźmy realistami. Mówimy o prymitywnych plemionach. Pogańskie zwyczaje, brak kanalizacji...

Moreland powoli zwrócił się ku niemu.

– Czy oprócz wszystkich talentów, jest pan także ekspertem w dziedzinie kanalizacji?

– Moje bada... – zaczął Creedman.

– Czy Pańskie badania wykazały, że niektóre z owych prymitywnych zwyczajów zapewniają nieskazitelną czystość? Praktyki w rodzaju wypróżniania się wyłącznie rankiem i tylko do oceanu...

– To rzeczywiście szczyt higieny... Moreland uniósł dłonie.

– To sprawdzało się w praktyce! Dopóki nie zjawili się cywilizowani zdobywcy, którzy powiedzieli im, że należy kopać dziury w ziemi. Czy pan wie, co się wtedy zaczęło? Era zarazy.

Cholera, tyfus, salmonella, zapalenie płuc. Widział pan kiedy kogoś chorego na cholere, Creedman?

– Ja...

– Trzymał pan kiedy w ramionach odwodnione dziecko cierpiące na gwałtowne bóle i biegunkę? – Opuścił dłonie w bezsilnym geście rozpacz. – Badania – mruknął.

Creedman pobladł.

– Chylę czoło przed lekarzem – powiedział cicho. – Przed jego pełną wyższości wiedzą

o biegunkach.

Otwarły się drzwi. Wszedł Zondervein i trzech marynarzy. Nowe dania, nowe zapachy
kuchenne.

– No tak – rzekł Hoffman z westchnieniem. – Smacznego.

Nikt prócz Hoffmana nie miał apetytu. Po drugiej porcji deseru wstał i zdjął serwetkę.

– Chodź, Bill, powspominamy dawne czasy. Miło mi było poznać państwa. Spojrzał na porucznika Zonderveina, który zaproponował:

– Może przejdziemy do świetlicy? Mamy tam stół bilardowy i telewizor z dużym ekranem.

Kiedy wyszliśmy na korytarz, Ewing rzekł:

– Państwo wybaczą. – I odszedł w pośpiechu.

– Tędy – powiedział Zonderyein.

– Macie tu telewizję kablową?

– Oczywiście – odparł Zondervein. – Mamy tu wszystko, również antenę satelitarną.

– Wspaniale.

– W centrum handlowym także jest antena satelitarna – powiedziałem. Creedman roześmiał się.

– Popsuła się rok temu i nikt nie zadał sobie trudu, żeby ją zreperować. Czy to mówi wam coś o tutejszej inicjatywie?

Zagrałem z Creedmanem kilka partii bilarda. Był niezły, ale i tak oszukiwał, przesuwając kule, kiedy myślał, że na niego nie patrzę. Telewizor z dużym ekranem był nastawiony na CNN.

– Wiadomości – powiedział Creedman.

– Na mnie wiadomości działają przygnębiająco – wyznała Pam. Siedziały z Robin w za dużych fotelach i nudziły się. Pochwyciłem spojrzenie Robin. Pomachała mi ręką, pijąc kole.

Po chwili Zonderyein przyprowadził Morelanda. Był przygarbiony i wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Czy wszystko w porządku, tato? – spytała go Pam.

– Czas wracać.

Kiedy wylądowaliśmy, Creedman oddalił się bez słowa. W drodze powrotnej wszyscy milczeli. Zajechaliśmy przed dom dwadzieścia minut przed dziesiątą.

– Chyba się wezmę do pracy – powiedział Moreland. – Wy odpocznijcie. – Poklepał Pam po ramieniu. – Dobranoc, kochanie.

– Chyba pojedę do miasta.

– Co?

– Chcę popływać.

Jeszcze raz dotknął jej ramienia.

– To może być niebezpieczne, Pamelu. Są tam jeżówce, węgorze.

– Dennis z pewnością sobie poradzi. Ścisnął jej ramię, aż się skrzywiła.

– Dennis – powiedział cicho – jest zaręczony z dziewczyną, która uczy się na pielęgniarkę w Saipan.

– Już nie – odparła Pam.

– Ach tak... – Puścił jej rękę. – Szkoda. Miła dziewczyna. Przydałaby się na wyspie. –

I dodał, patrząc córce w oczy: – A Dennis nadal jest tu potrzebny, kochanie. Nie zwracaj mu głowy. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę pawilonów.

Pam otworzyła ze zdziwienia usta. A potem pobiegła do domu.

– Dziwny wieczór – powiedziałem. Siedzieliśmy na łózkach w naszym apartamencie.

– Zachował się okropnie – stwierdziła Robin. – Wiem, że był zdenerwowany, ale...

– Kocha tubylców, ale nie pozwala córce, aby się z nimi spotykała.

– Wyglądało raczej na to, że chciał ochronić Dennisa przed nią.

– Tak, może nie wiecie jej się z mężczyznami. Kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz, uderzył mnie smutek w jej oczach.

- Tylko tyle zauważyłeś? – spytała z uśmiechem.
- Jest bardzo ładna, ale nie uważam, żeby była seksowna. Jest w niej coś takiego, co trzyma na dystans. Widywałem to u moich pacjentek. Jakby chciały powiedzieć: „Nie zbliżaj się do mnie. Zostałam boleśnie zraniona”.
- W przypadku Dennisa jest zupełnie inaczej.
- Starszy pan najwyraźniej przegrał sprawę – powiedziałem. – Czarujący gość na uroczej kolacji.
- Wszystko przez tę sztywną atmosferę, panującą w bazie. I przez Hoffmana.
- Nie mogę się pozbyć wrażenia, że jedynym celem Hoffmana było te pół godziny sam na sam z Morelandem.
- To dlaczego po prostu nie przyjechał do niego?
- Może wolał być na swoim gruncie.
- Mówisz o tym tak, jakby chodziło o stoczenie bitwy.
- Bo wydaje mi się, że to była bitwa. Czuło się między nimi takie napięcie... Jakby wiele lat temu coś się między nimi wydarzyło. W każdym razie Moreland nie osiągnął tego, czego pragnął dla Aruk. Cokolwiek by to było.
- Co masz na myśli?
- To dla mnie zagadka, Rób. Morelanda interesuje tylko dobro wyspy. Jeżeli jednak jest tak bogaty, jak twierdzi Creedman, dlaczego nie robi tych wszystkich niezbędnych rzeczy? Mógłby poprawić komunikację, poświęcić trochę pieniędzy na szkolnictwo, wyuczenie zawodu. Postarać się o częstsze dostawy. Zamiast tego traci majątek na jakieś dziwne badania. Żyje odgradzony murem jak lord, podczas gdy reszta wyspy podupada. Może tubylcy dobrze wiedzą, czemu opuszczają wyspę. Nie widzieliśmy tu żadnego zaangażowania społecznego. Nikt nie protestuje przeciwko blokadzie.

Robin zastanowiła się.

– Tak, on naprawdę zachowuje się jak dziedzic we dworze. A może tubylcy wiedzą coś jeszcze? Hoffman ma rację mówiąc, że nie każda kraina może się szybko rozwijać. Spójrz na tutejsze warunki geograficzne. Strona zawietrzna ma wspaniały klimat, ale nie ma portu, strona nawietrzna ma naturalną przystań, ale są tam skały. A pomiędzy nimi znajdują się góry i zaminowany las figowcowy. Wszystko to bez sensu. Może widzą to wszyscy z wyjątkiem Morelanda?

– I te plany uzdrowiska Skipa z Haygoodem. Co tylko potwierdza twą tezę. Oj, coś mi się widzi, że mamy do czynienia z doktorem Donkiszotem. Robin wstała i marszcząc czoło zdjęła rajstopy.

– Widziałeś, w jaki sposób potraktował Pam. Nie wygląda na to, żeby byli ze sobą zaprzyjaźnieni. Co zresztą nie jest dziwne, skoro tyle czasu mieszkali osobno. Jednakże dzisiaj był dla niej wyjątkowo niemiły.

– Wysłał ją do szkoły z internatem – powiedziałem. – A teraz, pomimo jej doktoratu, nie traktuje jej jak równego partnera. W sumie, nie jest to kandydat na ojca roku.

– Biedna Pam. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, pomyślałam sobie: oto następczyni swego ojca. Jakże pozory mylą.

Zdjęła suknię i powiesiła na poręczy krzesła. Pomacała nadgarstek.

– No i jak? – spytałem.

– Doskonale. Pracujesz jutro?

– Mam zamiar.

– Może spróbuję zrobić coś z tych kawałków muszli. Weszła do łazienki. I nagle krzyknęła.

Trzy. Nie, cztery.

Rozbiegane, przestraszone światłem. Odcinające się od białych kafelków.

Jeden z nich wspiał się na ścianę z prysznicem i poruszał czułkami. Machał do nas.

Robin wcisnęła się w kąt, starając się zapanować nad sobą.

Drugi wpełzł na wannę i zatrzymał się na krawędzi.

Owalny. O czerwonobrazowej skorupie długości mojej dłoni.

Sześć czarnych odnóży.

Czujne oczy.

Zasyczał.

I nagle wszystkie zaczęły syczeć.

Rzucił się w naszą stronę.

Wyciągnąłem Robin z łazienki i zatrzasnąłem drzwi. Obejrzałem je z niepokojem. Dzięki

Bogu przylegały szczelnie do framug.

Serce waliło mi jak młotem. Pot ściekał strumieniami.

Robin wpiła mi się palcami w plecy.

– O, Boże, Alex! O, Boże!

– Wszystko w porządku – wydusiłem z trudem. – Nie wydobędą się stamtąd.

– O, Boże... – nie mogła złapać tchu. – Weszłam i coś dotknęło... mojej stopy.

Spojrzała na swoje nogi. Dygotała.

Posadziłem ją. Drżącymi palcami chwyciła mnie za rękę.

– Spokojnie – powiedziałem przypominając sobie wyraz ich oczu: zimny, wręcz lodowaty.

– Zabierz je stamtąd, kochanie. Proszę!

– Dobrze.

- Było ciemno. Poczułam dotyk, zanim je zobaczyłam. De ich jest? Trzy?
- Naliczyłem cztery.
- Wydawało mi się, że więcej.
- Chyba nie.
- O, Boże. Przytuliłem ją mocno.
- Dobrze, już dobrze, są zamknięte.
- Uf! – westchnęła. Spike zaczął warczeć.
- Może poszczuć go na nie?
- Nie, nie, nie chcę, żeby się do nich zbliżał. Są obrzydliwe. Zabierz je stamtąd, Alex!

Zadzwoń po Morelanda. Mogę je znieść, kiedy są w klatkach, ale tak...

Pierwsza przybiegła Gladys.

- Insekty? – spytała.
- Ogromne – powiedziała Robin. – Gdzie jest doktor Bill?
- Musiały przyjść z zoo. Nigdy jeszcze nie mieliśmy czegoś takiego.
- Gdzie on jest, Gladys?
- Idzie tutaj. Gdzie one są? Wskazałem łazienkę. Skrzywiła się.
- Nie znoszę robactwa. Małe to, ale takie obrzydliwe.
- Gdyby przynajmniej były małe – powiedziała Robin.
- Nie boisz się tu pracować? – spytałem.
- Ze względu na zoo? Nie. Nigdy tam nie wchodzę. W zoo bywają tylko doktor Bill i Ben.
- Jakoś udało się tym stworom wydostać stamtąd.
- Nigdy jeszcze nie mieliśmy czegoś takiego – powtórzyła.

Za drzwiami rozległy się syki. Wyobraziłem sobie, jak te stwory przegryzają drzwi. A może chowają się w rurach? Gdzież, u diabła, jest Moreland?

– Widzieliście jak wyglądały? – spytała Gladys.

– Jak gigantyczne karaluchy – odpowiedziała Robin.

– Syczące karaluchy z Madagaskaru – przypomniało mi się nagle.

– Nienawidzę karaluchów – powiedziała Gladys. – Na szczęście na Arak klimat jest taki suchy, że nie mamy żadnego robactwa.

– A więc przywlekliśmy je z kontynentu – mruknąłem.

– Kuchnię utrzymuję w idealnej czystości. Na innych wyspach ludzie mają pełno różnego robactwa i muszą ciągle spryskiwać pomieszczenia. Insekty roznoszą choroby – oczywiście nie te doktora Billa.

– To rzeczywiście pociecha – powiedziałem. Usłyszeliśmy trzask drzwi i do apartamentu wpadł Moreland, niosąc wielką mahoniową skrzynkę z mosiężnym uchwytem. Rozejrzał się dookoła.

– Nie rozumiem, w jaki sposób... czy zauważyliście, jaki to gatunek...

– Syczące karaluchy z Madagaskaru – odparłem.

– Nie zrobiłyby wam krzywdy.

– Są w środku.

Moreland podszedł do drzwi łazienki.

– Ostrożnie – powiedziała Robin. – Żeby stamtąd nie wyszły.

– Wszystko w porządku, moja droga. – Powoli nacisnął klamkę i wyjął coś z kieszeni – kawałek ciasta czekoladowego, które zgniótł w kulkę. Gwałtownie otworzył drzwi, wrzucił przynętę, zamknął drzwi i czekał.

Po kilku sekundach znów je otworzył i zajrzał do środka. Skinął głową, otworzył drzwi szerzej i wśliznął się do łazienki.

– Moje świeżutkie ciasto czekoladowe – westchnęła Gladys. Słysząc było, jak w łazience

Moreland przemawiał do nich pieszczotliwie. Po chwili wyszedł, niosąc mahoniową skrzynkę.

Palce umazane miał czekoladą. Na podłodze pozostały okruchy ciasta. Ze skrzynki dochodziło głośne stukanie. I syki.

– Na pewno złapałeś wszystkie? – zapytała Robin.

– Tak, moja droga.

– Nie złożyły żadnych jajek?

– Nie, moja droga – powiedział, uśmiechając się do niej. – Wszystko w porządku.

Zabrzmiało to tak protekcjonalnie, że poczułem, jak ogarnia mnie złość.

– Wcale nie jest w porządku, Bill – powiedziałem. – Czy możesz wytłumaczyć, w jaki sposób tu się dostały?

– Ja... nie wiem... Przepraszam. Jest mi bardzo przykro. Przepraszam was.

– Czy na pewno pochodzą z zoo?

– Na Arak nie ma...

– A więc, jak się stamtąd wydostały?

– Przypuszczam, że ktoś nie zasunął pokrywy.

– Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy – wtrąciła Gladys.

– Zawsze jest kiedyś ten pierwszy raz – powiedziałem.

Moreland szarpnął dolną wargę, potarł mięsisty nos. Zamrugał oczyma.

– Pewnie to moja wina...

– Nie szkodzi – powiedziała Robin, ściskając mnie za rękę. – Już po wszystkim.

– Tak mi przykro, moja droga. Może przywabił je zapach jedzenia dla psa...

– Jeżeli szukały jedzenia, dlaczego nie poszły do kuchni?

– Bo w kuchni utrzymuję idealną czystość i dokładnie ją zamykam – powiedziała Gladys. –

Nie ma tam nawet much.

– Zamknęliśmy drzwi na klucz – powiedziałem. – A jedzenie dla psa jest w plastikowych, hermetycznych torbach. Jak mogły tu wejść, Bill?

Podszedł do drzwi, otworzył je i zamknął kilka razy, ukląkł i pomacał ręką wzdłuż progu.

– Jest wąska szpara na dywan – wyjaśnił. – One potrafią się rozpląszczyć. Widziałem, jak kiedyś udało im się...

– Oszczędź nam szczegółów – przerwałem. – I tak kosztowało to nas rok życia.

– Jest mi okropnie, okropnie przykro. – Zwiesił głowę. Karaluchy zadudniły w skrzynce.

A potem znów rozległy się syki. Głośniejsze niż poprzednio...

– Postąpiliście właściwie – powiedział. – Zamykając je. Dziękuję, że nie pozabijaliście ich.

– Proszę bardzo – odburknąłem. Robin znów ścisnęła mnie za rękę.

– W porządku, Bill – powiedziała. – Nic nam się nie stało.

– Niewybaczalne zaniedbanie. Zawsze bardzo uważam – rzekł Moreland. – Założę nowe zamki w insektarium. I zasuwę w drzwiach. Zabierzemy się do tego natychmiast. – Gladys, zadzwoń do Ramona i Carla Sleeta, przeproś, że ich zbudziłaś, i powiedz, że mam dla nich robotę. Za trzykrotnym wynagrodzeniem. Powiedz Carlowi, żeby zabrał ze sobą szwajcarską wiertarkę, którą ofiarowałem mu na Boże Narodzenie.

Gladys wybiegła z pokoju.

Moreland spojrzał na skrzynkę.

– Lepiej będzie, jak odniosę to na miejsce. – Podszedł do drzwi i omal nie zderzył się z Jo Picker, która weszła, trąc oczy. Miała na sobie szlafrok i kapcie.

– Nic się... nie stało? – spytała zachrypniętym głosem.

– Niegroźny wypadek – odparł Moreland.

Zmarszczyła czoło. Rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem.

– Zażyłam... środek nasenny... Wydawało mi się... czy ktoś krzyczał?

– Ja – powiedziała Robin. – W naszej łazience były karaluchy.

– Karaluchy?

Karaluchy zasyczały i Jo wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Idź spać, moja droga – powiedział Moreland, wypychając ją na korytarz. – Już po wszystkim. Sytuacja została opanowana.

Kiedy zostawili nas samych, wypuściliśmy Spike’a i kilkakrotnie obeszliliśmy apartament.

Obwąchał drzwi do łazienki i wszedł z pochyloną głową.

– Od jutra będziemy trzymać psie jedzenie na dole – powiedziała Robin. A potem podbiegła do łóżka i zdjęła narzutę i pościel, zajrzała pod sprężyny. Wyprostowała się z uśmiechem zażenowania.

– Po prostu jestem ostrożna – wyjaśniła.

– Będiesz w stanie zasnąć? – spytałem.

– Mam nadzieję. A ty?

– Serce wali mi w rytmie dwustu uderzeń na minutę.

Westchnęła i roześmiała się. Ja zdobyłem się tylko na wymuszony uśmiech.

– Namiastka Nowego Jorku – powiedziała wreszcie. – Manhattańska czynszówka na rajskiej wyspie.

– Te potwory pochłonęłyby wszystkie nowojorskie karaluchy.

– Oczywiście. – Przyłożyła sobie do piersi moją dłoń. – Ile uderzeń?

– Hmmm – powiedziałem. – Trudne pytanie. Musiałbym długo liczyć. Znowu się roześmiała.

– O, Boże, ależ wrzeszczałam. Jak na jakimś horrorze. Wilgotne włosy lepiły jej się do czoła.

Odgarnąłem je i ucałowałem oczy i czubek nosa.

– No więc, jak długo zostaniemy w krainie karaluchów?

– Chcesz wyjechać?

– Wypadek samolotowy, nie schwytany morderca, wymarła baza, kilka wrogo do siebie nastawionych osób. A teraz to.

– Nie rezygnuj ze względu na mnie. Nie mogę ci obiecać, że nie stchórzę, jeśli powtórzy się coś podobnego, ale w tej chwili czuję się dobrze. Potrafię łatwo się przystosowywać.

– Wiem – powiedziałem – ale czasami lepiej nie zmuszać się do niczego.

– Masz rację... Jednak podoba mi się tutaj. Może dlatego, że nie dolega mi nadgarstek. Albo dlatego, że to ostatnia okazja pobytu na Arak, zanim marynarka zamieni je w poligon doświadczalny czy coś w tym rodzaju. Nawet Bill jest niepowtarzalny, tak jak Aruk. Ujęła moją twarz w dłonie i zajrzała mi w oczy. – Mówię poważnie, Alex, nie chcę jeszcze wracać do Los Angeles i użerać się z ekipą budowlaną, wspominając z tęsknotą Aruk.

Nie odpowiedziałem.

– Czy bardzo kapryszę, panie doktorze?

Zbliżyłem do niej twarz. Zwinąłem usta w trąbkę. Odsłoniłem zęby.

Zasyczałem.

Skoczyła na równe nogi. Uderzyła mnie w ramię.

– Och, chyba będę spała ze Spike'em, a ciebie zamknę w klatce.

Zgasiliśmy światło.

Kilka żarcików o pełzających paskudztwach i Robin zasnęła.

Ja nie.

Próbowałem sobie wyobrazić całą drogę, którą przebyły karaluchy. Z insektarium do naszego apartamentu... I maszerowały tak zgodnie wszystkie razem? Pomysł był rodem z filmu rysunkowego.

I jeśli nawet psie jedzenie było dla nich tak atrakcyjne, dlaczego nie zostały w salonie obok torby?

Karaluchy są podobno bardzo sprytne. Dlaczego nie poszukały czegoś łatwiej dostępnego – na przykład owoców w sadzie?

Odbyły trudną wędrówkę, pokonując zwirowane ścieżki, trawniki, żeby w końcu dostać się do domu. Omijając kuchnię Gladys. Wspinaczka po schodach. Przeciskanie się pod drzwiami.

Wszystko z powodu zamkniętej torby z psim jedzeniem?

Pomimo zapewnień Morelanda drzwi do łazienki były zbyt szczelne, żeby karaluchy mogły się tamtędy przedostać. A może pozostawiliśmy je otwarte, wychodząc na kolację do bazy?

Robin zawsze zamykała drzwi do łazienki. Ja czasami zapominałem... Które z nas wychodziło ostatnie?

Dlaczego karaluchy nie uciekły, kiedy wróciliśmy do domu? A przynajmniej nie zasyczały?

Istnieje też inna możliwość: że zostały umieszczone i zamknięte w łazience.

Przez kogoś, kto wykorzystał naszą obecność w Stanton. Dom był pusty. Ktoś przesłał nam wiadomość: wynoście się stąd.

Kto?

Najbardziej podejrzany był Ben, ponieważ dysponował kluczami do insektarium.

Powiedział nam, że ma zajęty wieczór. Miał opiekować się dziećmi, a potem zjeść kolację z żoną.

Czyżby tu wrócił?

Ale po co? Za wyjątkiem niegrzecznej uwagi o swoim rytmie pracy, nie okazał nam ani śladu wrogości. Wprost przeciwnie. Zaniedbywał swoje obowiązki, żeby się nami zająć.

Z wdzięczności dla Morelanda?

Skrywając własne uczucia?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, ale nie mogłem się dopatrzeć sensu.

Ktoś inny spośród zatrudnionych w domu?

Cheryl?

Za głupia, żeby wymyślić coś takiego, i jaki miałyby motyw? W dodatku zawsze wychodziła po kolacji, a dzisiaj nie jedliśmy wieczorem.

Gladys? Ten sam brak motywu, poza tym pomysł, by wykradała karaluchy, wydał mi się po prostu śmieszny.

Było jeszcze co najmniej z tuzin pracujących na przychodne ogrodników i robotników, ale dlaczego mieliby czuć do nas niechęć?

Chyba że wiadomość przeznaczona była dla Morelanda.

Może moje domysły na temat jego wielkopańskiej pozy, budzącej niechęć u tubylców, były słuszne?

Dobry pan doktor wcale nie jest tak bardzo lubiany? A jego goście uznani za kolonialnych intruzów?

W takim przypadku mógł to być właściwie każdy.

To czysta paranoja. Facet od lat hoduje tysiące owadów, cztery z nich wydostały się, bo Moreland jest już stary i roztargniony, więc zapomniał umocować wieko.

Człowiek z innego świata – powiedział Milo.

Niezbyt to pocieszające, zważywszy, że insektów było tysiące. Chyba jednak będzie teraz bardziej uważał.

Starałem się przestać myśleć i zasnąć. Przypomniała mi się Jo Picker. Zaspana, pytająca, czy ktoś krzychał.

Robin krzyknęła dobre dziesięć minut przedtem.

Skąd ta zwłoka?

Środek nasenny?

A może nie musiała się śpieszyć, bo wiedziała?

Była na górze sama przez calutki wieczór.

Paranoja do kwadratu. Dlaczego wdowa w świeżej żałobie miałaby urządzać złośliwe kawały?

Powiedziała, że brzydzi się robactwa, i odmówiła zwiedzenia minizoo.

A poza tym nie czuliśmy do siebie żadnej niechęci. Robin odnosiła się do niej szczególnie dobrze... Zresztą jeśli nawet Jo była złośliwa, w jaki sposób dostałaby się do naszego apartamentu?

Może za pomocą własnego klucza, jeżeli nasze zamki są podobne?

Albo używając szpilki do włosów? Sypialnia nie musi mieć skomplikowanego zamknięcia.

W naszym domu wystarczyłby śrubokręt.

Leżałem i nasłuchiwałem, czy zza ściany nie dotrze do mnie jakiś dźwięk.

Cisza.

Czego się spodziewałem? Stukania klawiatury komputera? Wdowiego szlochania?

Wierciłem się na łóżku, ale Robin spała mocnym snem.

W mojej pamięci odezwały się głosy z przeszłości.

Alexander jest bardzo inteligentnym chłopczykiem, ale ma skłonności do marzycielstwa.

Czy w domu jest coś nie w porządku, pani Delaware? Alexander jest ostatnio bardzo roztargniony.

Poprzez szczelinę w zasłonach zaczęło się sączyć złociste światło.

Na twarz Robin padł promyk słońca.

Uśmiechnęła się przez sen.

Trzeba wziąć z niej przykład i przystosować się.

Rozluźniłem mięśnie i zacząłem głęboko oddychać. Wkrótce poczułem się lepiej.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie Morelanda umazanego czekoladą, z miną zawstydzonego

uczniaka.

Moje ciało stało się ciężkie. Gotowe do snu.

Jednak nie od razu zasnąłem.

Następnego ranka chmury przybliżyły się nieco i stały się ciemniejsze. O dziesiątej byliśmy już gotowi do nurkowania. Spike zachowywał się bardzo niespokojnie, więc postanowiliśmy go zabrać ze sobą. Potrzebowaliśmy czegoś, żeby zakryć go od słońca, więc wstąpiliśmy do kuchni i spytaliśmy Gladys, czy nie ma czegoś odpowiedniego. Przywołała Carla Sleeta, pracującego z sekatorem w ogrodzie różanym. Całe włosy, ubranie robocze i brodę miał pokryte kawałeczkami ścinanych roślin. Poszedł do zabudowań gospodarczych i przyniósł stary parasol w biało-granatowy deseń.

– Zanieść do samochodu?

– Nie, dziękuję. Sam to zrobię.

– Założyłem wczoraj w nocy nowe zamki w domu dla owadów. Mocne zamki. Nie powinno być żadnych kłopotów.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Gladys, czy nie zostało ci trochę czekoladowego ciasta?

– Owszem. – Dała mu kawałek i Carl poszedł do swoich zajęć. Gladys odprowadziła nas do drzwi kuchni.

– Doktor Bill czuje się okropnie z powodu tego, co się wydarzyło w nocy.

– Powiem, że nie mamy mu tego za złe.

– To będzie bardzo... wspaniałomyślne. Bawcie się dobrze.

Ustawiłem parasol na południowym wybrzeżu i zorientowałem się wtedy, że nie wzięliśmy nic do picia. Zostawiłem Robin i Spike'a na plaży i pojechałem do sklepu ciotki Mae. Okna przysłonięte były tymi samymi wyblakłymi i upstrzonymi przez muchy firankami. Wnętrze przypominało stodołę, półki były z pokrytego trocinami drewna, a ściany z surowych desek. Większa część pomieszczenia świeciła pustkami. Głównym towarem zapełniającym stoiska

były tanie niemodne ubrania. Poza tym znajdowały się tu sandały, olejek do opalania i pamiątki dla turystów – miniaturowe chatki kryte strzechą, plastikowe tańczące dziewczyny, ryby z łupin orzechów kokosowych. Pachniało mączką kukurydzianą i zatęchłą wodą morską.

Jedyną żywą istotą była młoda kobieta o płaskiej twarzy. Miała na sobie czerwony opalacz. Oglądała telewizję, siedząc w jednym ze stoisk przy starej, odrapanej kasie. Obok stały puszki z mieloną wołowiną i marynowanymi jajkami. Z przodu wystawiono cukierki oraz chipsy – ziemniaczane i kukurydziane. Z tyłu znajdowała się ściana z wahadłowymi drzwiami oraz półkami zastawionymi pudełkami słodyczy. Telewizor umieszczony był obok automatu telefonicznego na ścianie rozdzielającej stoiska.

Zauważyła mnie, ale w dalszym ciągu wpatrywała się w ekran. Obraz był zamazany, od czasu do czasu pojawiały się białe smugi. Program nadawano z Guam. Dostrzegłem dużą salę o gładkich, drewnianych ścianach, długi stół bankietowy pod godłem znanej sieci hotelowej. Pośrodku siedział senator Hoffman nad szklanką wody, z mikrofonem. Miał na sobie ręcznie malowaną koszulę w biało-brązowe wzory oraz kilka girland kolorowych kwiatów. Po jego obu stronach siedzieli biali mężczyźni w takich samych strojach. W jednym z nich rozpoznałem senatora z Midwest. Dalej siedziało czterech Azjatów.

Hoffman zajrzał do swoich notatek i uśmiechnął się.

– A więc pozwólcie, że na tym zakończę. Jestem szczęśliwy, że podzieliliśmy się wizją ożywienia gospodarczego Mikronezji, wielokulturowej Mikronezji, która z rozmachem wkracza w następne stulecie.

Znów się uśmiechnął i lekko skłonił głowę. Oklaski. Ekran zamigotał, poszarzał i zgasł.

Teraz pojawiła się reklama Island Fever Restaurant, popularny temat muzyczny w wykonaniu gitar, półmiski *pupu* i płonące desery, „miejsce piękności biegle wykonujące dla was stare tańce”. Karykaturalny mały, pyzaty facecik w spódniczce z trawy, kręcący biodrami i mrugający

do publiczności: „Przyjeżdżajcie, chłopaki”.

Kobieta przycisnęła guzik pilota. Popatrzyła na ciemniejący ekran, a potem spytała:

– Co podać? – Miała miły, niemal dziecinnie brzmiący głos. Około dwudziestki, cera z trądzikiem, krótkie kręcone włosy. Pod bluzką nie miała biustonosza. Niezbyt ładna, ale mile uśmiechnięta.

– Poproszę coś do picia.

– Mam kole i sprite, a na zapleczu piwo.

– Dwie kole i dwa sprite’y. – Zauważyłem kilka leżących na ladzie księżek w tanim wydaniu. – I może jeszcze coś do czytania.

Podsunęła mi Stephen’a Kinga, którego już czytałem, i kieszonkowy atlas świata, obie książki w zniszczonych okładkach.

– Ma pani jakieś czasopisma?

– Hm, może coś tutaj znajdę. – Zajrzała pod ladę. – Nie. Sprawdzę na zapleczu. Pan jest tym lekarzem, co przyjechał do doktora Billa?

– Alex Delaware. – Uścisnęliśmy sobie ręce. Na jej serdecznym palcu zauważyłem tani pierścionek z diamencikiem.

– Bettina – Betty Aguilar. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Waśnie wyszłam za mąż.

– Moje gratulacje.

– Dziękuję... Doktor Bill to wspaniały człowiek. Jako dziecko chorowałam na koklusz i on mnie wyleczył. Proszę poczekać, przyniosę picie i poszukam czasopism.

Wyszła przez wahadłowe drzwi.

Oto zaciekła nienawiść tubylców do Morelanda.

Wróciła niosąc cztery puszki i stertę czasopism.

– To wszystko, co mamy. Raczej stare.

– Można by zdobyć coś świeższego? Wzruszyła ramionami.

– Przywożą je łodzie dostawcze. Zazwyczaj z opóźnieniem. „People” i „Playboy” i inne w tym rodzaju rozchodzą się szybko. Znajdzie pan tu coś dla siebie?

„Ladies Home Journal”, „Readers Digest”, „Time”, „Newsweek”, „Fortune” numery sprzed pół roku. A na samym spodzie kilka numerów grubego, lśniącego kwartalnika zatytułowanego „Island World”. Wspaniałe, uśmiechnięte, czarnowłose dziewczyny i skąpane w słońcu tropikalne krajobrazy.

Sprzed trzech i pięciu lat.

– O, rany. Naprawdę stare – powiedziała Betty. – Znalazłam je pod skrzynką. Wydawali to kiedyś na Guam, ale chyba już nie wydają.

Przejrzałem spis treści. Głównie reklamy. I nagle jeden tytuł przykuł moją uwagę.

– Wezmę je – powiedziałem.

– Naprawdę? Ojej, są takie stare, nie wiem, ile mogą teraz kosztować. Niech je pan weźmie za darmo.

– Chętnie zapłacę.

– Nie – upierała się. – Jest pan moim najlepszym klientem, te pisma tylko zajmują tu miejsce.

Chce pan jakieś chrupki?

Kupiłem dwie torebki chipsów ziemniaczanych. Kiedy płaciłem, Betty spojrzała na ekran telewizora.

– Zły odbiór? – spytałem.

– Program satelitarny zależy od pogody. – Odliczyła resztę. – Oczekuję dziecka. Za pół roku doktor Bill przyjmie poród.

– Gratuluję.

– Tak... jesteśmy bardzo przejęci. Ja i mój mąż. Proszę, to dla pana... Po urodzeniu dziecka

pewnie się stąd wyniesiemy. Mój mąż jest robotnikiem budowlanym, a tu nie ma dla niego pracy.

– Żadnej?

– Żadnej. To jest największy budynek w mieście. Kilka lat temu doktor Bill miał go zamiar przebudować, ale nikomu innemu na tym nie zależało.

– Centrum handlowe należy do doktora Billa?

Zdziwiła się, że o tym nie wiem.

– Jasne. Jest bardzo dobry. Nie ściąga opłat, po prostu pozwala ludziom zamawiać własny towar i sprzedawać ze stoisk. Dawniej, kiedy przychodzili marynarze, był tutaj większy ruch. Teraz w ogóle nie otwiera się stoisk, chyba że ktoś coś zamówi. To stoisko należy do mojej mamy, ale jest teraz chora – na serce. Ja mam czas, bo oczekuję dziecka, więc tu sprzedaję, a mój mąż załatwia dostawy.

Dotknęła swego płaskiego brzucha.

– Mąż chciałby chłopca, a mnie jest wszystko jedno. Żeby tylko dziecko było zdrowe.

Z telewizora dobiegł wybuch śmiechu. Betty spojrzała na ekran i uśmiechnęła się.

– Do zobaczenia – powiedziałem. Pomachała mi ręką w roztargnieniu.

Kiedy wróciłem na plażę, Robin nurkowała przy zewnętrznej krawędzi rafy. Dostrzegłem biały czubek jej rurki. Koce były rozłożone. Przywiązany do parasola Spike wściekle ujadał. Obiekt jego gniewu stanowił Skip Amalfi. Stał kilka metrów dalej, kompletnie nagi i sikał szerokim łukiem. Przyglądał mu się ubrany w workowate szorty Anders Haygood. Białe pośladki Skipa świadczyły o tym, że nie zwykł zażywać kąpieli słonecznych. Obok leżały podobne do zwiędłej sałaty spodenki.

Spike szczekał coraz głośniejsze. Skip skierował strumień bliżej psa, rechocząc z uciechy, gdy Spike ślinił się i warczał.

Wreszcie skończył. Spike otrząsnął się.

Pobiegłem w tamtą stronę. Haygood zauważył mnie i powiedział coś Skipowi, który odwrócił się do mnie przodem. Nie zareagowałem.

Uśmiechnięty Skip obejrzał się przez ramię i spojrzał w kierunku rurki Robin. Siad jego moczu szybko wysychał – brązowy wąż wijący się po piasku.

Skip przeciągnął się, ziewnął i pogłaskał się po brzuchu.

– Czy tak będzie wyglądało oficjalne powitanie w waszym uzdrowisku? – spytałem z uśmiechem.

Jego twarz spochmurniała, ale zmusił się do uśmiechu.

– Życie zgodne z naturą.

– Uważaj na promienie ultrafioletowe. Mogą spowodować impotencję.

– Co?

– Uważaj na słońce.

– Nie będzie ci stawał – wyjaśnił rozbawiony Haygood. – Uchnie ci i odpadnie. Nie wystawiaj fiuta na promienie ultrafioletowe, bo będzie do niczego.

– Odpieprz się – odpowiedział Skip i spojrzał na mnie spode łba.

– To prawda – powiedziałem. – Nadmiar promieni ultrafioletowych na genitaliach przegrzewa splot mosznowy i osłabia odruch neurotestostynalny.

– Grunt to nie przegrzewaj – skwitował Haygood.

– Pierdolę cię – odparł Skip, rozglądając się za spodenkami.

Haygood rzucił się naprzód, schwycił je i pobiegł wzdłuż plaży. Był zwalisty, ale szybki.

Skip podreptał za nim, trzęsąc brzuchem i podtrzymując krocze.

Spike nie przestawał się ślinić i dyszeć. Usiadłem i starałem się go uspokoić. Robin płynęła w kierunku brzegu. Stała, uniosła maskę i pomachała mi ręką. Zobaczyła dwóch biegnących mężczyzn i wyszła z wody.

– Co się dzieje? – spytała. Opowiedziałem jej.

– A to chamy.

– Miał chyba nadzieję, że wyjdiesz z wody i zobaczysz, jak się bawi w sikawkowego.

– Szkoda. Wiele straciłam. – Schyliła się i pogłaskała Spike'a. – Mamusia jest przy tobie, kochanie. Nie przejmuj się tymi głuptakami. W wodzie jest wspaniale, Alex. Chodźmy.

– Może trochę później.

– Coś nie w porządku?

– Wolę tu chwilę zostać na wypadek, gdyby zachciało im się wrócić. Nie chcę denerwować naszego starego Spike'a.

Opowiedziałem jej o promieniach ultrafioletowych, czym bardzo się ubawiła.

– Prawdopodobnie zrujnowałeś jego nędzne życie płciowe.

– Terapia odwrotna. Moje wykształcenie wreszcie się na coś przydało.

– Nie przejmuj się nimi, Alex. Chodźmy ponurkować. Jeśli wrócą, poszczujemy na nich Spike'a.

– Spike nie jest groźny nawet dla małego dziecka.

– Ale oni o tym nie wiedzą. Powiedz im, że to buldożek neurotestostynalny.

Zlustrowaliśmy wszystkie szczeliny po obu stronach rafy i po godzinie wyszliśmy na puściutką plażę. Spike spał, głośno pochrapując, a nad nim unosił się rój muszek. Napoje nagrzały się, ale i tak wypiliśmy je spragnieni. Robin wyciągnęła się na kocu i zamknęła oczy.

A ja sięgnąłem po „Island World” z wiosny 1988 roku.

Artykuł, który przykuł moją uwagę, znajdował się na stronie sto trzynastej, zaraz po reklamie stanowisk archeologicznych, miejsc do nurkowania, restauracji i klubów nocnych.

BIKINI: HANIEBNA HISTORIA

Autorem był Micah Sanjay, niegdyś urzędnik cywilny w wojskowej administracji USA na

Wyspach Marshalla. Obecnie emerytowany dyrektor szkoły średniej zamieszkały w Chalan Kanoa, na Saipan.

Opisywał tę historię, którą usłyszałem od Morelanda. Zaniechanie ewakuacji ludności Bikini i Majuro oraz sąsiednich atoli Marshalla. Potajemne, nocne rejsy łodzi, rozwożących zasilek kompensacyjny.

Historia dokładnie taka sama, włącznie z podaniem wypłaconych sum.

Sanjay pisał rzeczowym tonem, ale jego gniew był łatwo wyczuwalny. Pochodził z Majuro, wielu jego krewnych zmarło na białaczkę i raka gruczołów limfatycznych.

Szczegółowo opisał przebieg tych wypłat.

Zadanie to zostało powierzone Sanjayowi i sześciu innym pracownikom cywilnym.

Sześć nazwisk, ale nie było wśród nich Morelanda.

Przeczytałem artykuł po raz drugi, szukając wzmianki o doktorze. Nic.

Skoro starszy pan nie brał w tym udziału, dlaczego mnie okłamał?

Podczas naszej pierwszej nocnej rozmowy powiedział coś jeszcze: „Poczucie winy jest wielką siłą motywacyjną, Alex”.

Czuł się winny z powodu wybuchów? Był oficerem marynarki. Czyżby wiedział o kierunku wiatrów?

Czy to właśnie poczucie winy zmieniło go z ufego młodzieńca w białym mundurze w drugiego Schweitzera?

Przybył na Arak, aby odpokutować swe winy?

Nie zmienił stylu życia – mieszka w wielkiej rezydencji, folguje swoim namiętnościom.

Aruk, jego lenno... ale córce nie wolno się bratać z miejscowymi.

Czyżby chciał, żeby tubylcy pozostali odizolowani? Dzięki temu może się cieszyć samotnością na Aruk.

A może osądzam go niewłaściwie, ciągle jeszcze pamiętając tę wizytę karaluchów?

Okazało się jednak, że okłamał mnie co do swego udziału w programie kompensacyjnym Marshalla.

Spojrzałem na lśniące w słońcu piękne, rozciągnięte na kocu ciało Robin. Na śpiącego obok Spike'a.

Siedziałem zgarbiony, ściskając w rękach czasopismo.

A może Moreland pływał na tych łodziach? Może należał do innego zespołu?

Jest sposób, by się dowiedzieć: należy porozmawiać z autorem artykułu.

Sanjay pracował dla rządu czterdzieści lat temu, potem pracował jako dyrektor szkoły, co oznacza, że był mniej więcej rówieśnikiem Morelanda.

Czy jeszcze żyje? Czy mieszka na Saipan?

Robin przekręciła się na bok.

– To słońce jest cudowne.

– O, tak – odparłem. – I gorące, a nie mamy już nic do picia. Skoczę do sklepu i kupię parę puszek.

Tym razem skręciłem z plaży ku dokom, gdzie Skip i Haygood łowili ryby. Haygood patrzył na mnie, a Skip miał wzrok utkwiony w wodzie. Ubrany był w spodenki i podkoszulek.

W sklepie zastałem Betty Aguilar, oglądającą telewizję i jedzącą batonik Mars.

– Tak szybko z powrotem?

– Proszę kilka piw i dwie kole.

– Jest pan moim najlepszym klientem. Proszę zaczekać. Zaraz przyniosę.

– Czy automat telefoniczny działa?

– Chyba tak, ale jeśli chce pan zadzwonić do domu doktora Billa, może pan skorzystać za darmo z telefonu na zapleczu.

– To będzie rozmowa zamiejscowa.

– Ach tak, potrzebuje pan drobnych?

– Użyję karty.

– Powinna działać. – Zniknęła na zapleczu, a ja podniosłem słuchawkę. Automat też był tarczowy. Musiałem poczekać na sygnał o wiele dłużej, niż bym czekał na zgłoszenie telefonistki, i w końcu uzyskałem pozwolenie na użycie karty. Gdy wreszcie dodzwoniłem się do informacji na Saipan, słyszałem trzaski i echo swoich własnych słów.

Jednakże Micah znajdował się na liście abonentów, i gdy wykreciłem jego numer, odezwał się słaby, starczy głos.

– Słucham.

– Przepraszam, że pana niepokoję, panie Sanjay. Nazywam się Thomas Creedman i jestem pisarzem, chwilowo mieszkającym w Aruk.

– Aha.

– Właśnie przeczytałem pański artykuł w „Island World” na temat próbnych wybuchów

jądrowych na Wyspach Marshalla.

– To stare dzieje.

Nie wiedziałem, czy ma na myśli wybuch, czy artykuł.

– Uważam, że to bardzo interesujący artykuł – powiedziałem szybko.

– Czy napisze pan również o Bikini?

– Być może.

– Usiłowałem dać ten artykuł do jakiegoś czasopisma na kontynencie, ale nikt nie był zainteresowany.

– Naprawdę?

– Ludzie nie chcą znać prawdy, a ci, co ją znają, chcą zapomnieć.

– Pozbyć się wyrzutów sumienia.

– Właśnie. – Jego głos nabrał gniewnego brzmienia.

– Bardzo zainteresowały mnie działania kompensacyjne. Te koszmarne rejsy łodziami.

– Tak. Było ciężko. Trzeba było tak się maskować.

– Pan i tych sześciu ludzi to był cały zespół?

– Byli jeszcze wydający polecenia szefowie, ale całą robotę wykonywaliśmy tylko my.

– Pamięta pan nazwiska zwierzchników?

– Admirał Haupt, kapitan Ravenswood. Wyżej stali już tylko ludzie z Waszyngtonu.

– Czy ma pan kontakt z innymi ludźmi z zespołu? Czy mógłbym z nimi porozmawiać...

– Nie widywałem ich, ale wiem, co się z nimi dzieje. George Avuelas zmarł przed kilku laty.

Na raka, ale nie jestem pewien, czy ma to jakiś związek z wybuchem. Inni już także odeszli, z wyjątkiem Boba Taratoa, który mieszka w Seattle, u syna. W zeszłym roku miał wylew i chyba nie na wiele się panu przyda.

– Więc na Marianach nie ma nikogo prócz pana?

– Nikogo. Zostałem tylko ja. Skąd pan dzwoni?

– Z Aruk.

– Czy to jedna z tych małych wysepek na północ od Sajpan?

– Tak.

– Co tam jest do roboty?

– Opalam się i piszę.

– Cóż, wszystkiego dobrego.

– Mieszka tu lekarz o nazwisku Moreland. Powiedział mi, że w czasach, gdy prowadzono próby, służył w marynarce i leczył poszkodowanych.

– Moreland?

– Woodrow Wilson Moreland.

– Nie znam go, ale było tam wielu lekarzy. Niektórzy bardzo dobrzy. Jednak nie byli w stanie nic zrobić, chociaż się bardzo starali. Bomby skaziły powietrze i wodę, napromieniowały ziemię. Niech mówią, co chcą, ja nie wierzę, że kiedykolwiek się tego pozbędziemy.

Gdy wyszedłem ze sklepu, zobaczyłem Jacqui Laurent i Dennisa. Stali przed Chop Suey Pałace. Matka mówiła, syn słuchał.

Wymyślała mu. Bardzo dyskretnie – żadnej gestykulacji ani podniesionego głosu – ale jej oczy ciskały błyskawice, a na twarzy malował się wyraz niezadowolenia.

Dennis stał obok niej i znosił to potulnie. Jacqui wyglądała tak młodo, że postronny obserwator mógłby pomyśleć, że to sprzeczka kochanków.

Splotła dłonie na piersi i czekała.

Dennis skinął głową.

Miał minę jak Pam, kiedy Moreland zwrócił jej uwagę.

Czyżby chodziło o to samo?

Pan dziedzic przyszedł dziś rano i zakomunikował, że jest niezadowolony z Pam i Dennisa?

Dennis spoglądał na boki. Dostrzegł mnie i coś jej powiedział. Jacqui położyła mu dłoń na ramieniu i szybko wepchnęła do restauracji.

Po powrocie do rezydencji zjedliśmy lunch, zaprowadziłem Robin i Spike'a do sadu i udałem się do mego biura.

Na biurku zastałem złożoną kartkę od Morelanda.

Alex!

Nie mogę znaleźć karty kobiety-kota.

Umęczone dusze

Odbywały nocną pokutę za dzień

Spędzony na nieustającym próżniactwie.

Wordsworth

Cytat pasuje do jej przypadku, nie uważasz? Bill.

Zasiadłem przy biurku. Noc pokuty... nieustanne próżniactwo.

Niewierny małżonek?

Same zagadki.

Dlaczego skłamał na temat wypłat?

Nadszedł czas wyjaśnień.

Nacisnąłem kłamkę, drzwi ustąpiły, ale Morelanda nie było w biurze. Zapukałem do laboratorium. Bez skutku. Mijając biurko, zauważyłem rozłożone kopie moich artykułów.

A obok wycinki z gazet.

Wycinki dotyczyły mnie.

Mojego zeszłorocznego zaangażowania w sprawę masowego napastowania dzieci.

Mojej konsultacji w sprawie strzelca wyborowego, który sterroryzował szkołę.

Moich zeznań w sądzie w sprawach dotyczących morderstw.

Moje nazwisko podkreślono na żółto.

A także nazwisko Mila.

Przypomniała mi się notatka na temat telefonu od Mila: „Dzwonił detektyw Sturgis”. Poza pracą Milo nigdy tak się nie przedstawiał.

Czyżby Bill zrobił również wywiad na temat Mila?

Gruby stos wycinków. Na samym spodzie dotyczący sprawy o morderstwo. Moje zeznanie dla prokuratora, demaskujące rzekomą chorobę psychiczną mężczyzny, który zmasakrował dwanaście kobiet.

Na marginesie notatka Morelanda: „Doskonałe!”

A więc zostałem wybrany ze względu na coś innego niż wspomniane w liście „połączenie naukowości i zdrowego rozsądku”?

Moreland bez wątpienia niepokoił się zabójcą-ludożercą.

Czyżby mnie tu zwabił pod byle pretekstem, aby posłużyć się moją wiedzą?

Doktor detektyw. Co miałem do oferowania?

Czy miał powody, by sądzić, że morderca nadal przebywa na Aruk?

W laboratorium rozległ się hałas. Podskoczyłem z wrażenia i wycinki rozsypały się po podłodze. Pozbierałem je szybko i podbiegłem do drzwi.

Zamknięte na klucz.

Zastukałem.

Za drzwiami rozległ się jęk.

– Bill? Znowu jęk.

– To ja, Alex. Nic ci nie jest?

Po kilku sekundach drzwi otworzyły się. Na progu stał Moreland, pocierając czoło dłonią.

Z drugiej ręki, zwisającej wzdłuż ciała, spływała krew. Wyglądał na oszołomionego.

– Zasnąłem – powiedział. Za nim na stole piętrzyły się plastikowe pudełka. Na podłodze leżały potłuczone probówki.

– Co z twoją ręką, Bill?

Odwrócił rękę dłonią do góry. Była pełna krwi, która cienką, zygzakowatą strugą płynęła z wychudłego przedramienia i ściekała wzdłuż nadgarstka.

Podprowadziłem go do zlewu i obmyłem skaleczenie. Czyste, nie Wymagające szwów, ale obficie krwawiące, cięcie.

– Gdzie jest apteczka?

– Na dole – powiedział, wskazując jedną z szafek. Przyłożyłem maść z antybiotykiem i zabandażowałem.

– Zasnąłem – powtórzył, potrząsając głową.

Kolorowe pudełka zawierały odwodnione ziemniaki i pszenną kaszę, gotowany groch, soczewicę i zmiksowany ryż.

– Przeprowadzałem badania nad żywnością – wyjaśnił Moreland. Jego wzrok padł na potłuczone probówki, schylił się, aby je pozbierać. Powstrzymałem go.

– Ja się tym zajmę.

– Pracowałem do późna w nocy – powiedział słabym głosem. Spojrzał na zabandażowaną rękę, potarł usta i oblizał wargi. – Zwykle najlepiej pracuje mi się po zapadnięciu ciemności.

Zacząłem późno, bo sprawdzałem, czy zamknięcia w insektarium dobrze działają. Ciągle jestem pod wrażeniem tego, co się wydarzyło.

– Nie ma o czym mówić.

Wyciągnął do mnie rękę. Ucisnąłem ją i poczułem jak drży.

- Musiałem pozostawić otwarty pojemnik i nie domknięte drzwi. Niewybaczalne. Będę musiał wszystko dokładnie sprawdzać. Zaczął sobie bardzo energicznie masować skronie.
- Ból głowy?
- Z niewyspania – wyjaśniał. – Powinienem być wiedzieć, że w moim wieku... większość tak zwanych ludzi cywilizowanych cierpi na chroniczny brak snu.
- Z powodu elektryczności? Skinął głową.
- Zanim wynaleziono elektryczność, ludzie wypalali jedną, dwie świece i szli spać. Ich budzikiem było słońce; żyli w zgodzie z zegarem biologicznym. Dziewięć, dziesięć godzin snu na dobę. Człowiek cywilizowany rzadko kiedy przesypia osiem.
- A tubylcy mają dosyć snu?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Na wyspie nie ma zbyt wysokiej techniki. Kiepski odbiór telewizji. Chyba nie przesiadują do późna.
- Telewizja – powiedział – jest niewiele warta. Jeśli jednak brakuje jej wam, coś załatwię.
- Nie, dziękuję. Nie miałbym jednak nic przeciwko gazetom. Od czasu do czasu, żeby nie stracić kontaktu ze światem.
- Przykro mi, synu, ale nic na to nie mogę poradzić. Dawniej, kiedy marynarka sprowadzała dla nas towary swoimi samolotami dostawczymi, otrzymywaliśmy gazety. Teraz jesteśmy uzależnieni od łodzi. Nie wystarczają ci wiadomości radiowe?
- Zauważyłem na twoim biurku jakieś amerykańskie gazety. Zamrugął powiekami.
- Są stare.
- Dotyczą badań?

Nasze oczy spotkały się. Jego spojrzenie stało się teraz czujne.

- Tak, korzystam z usług mieszczącej się w Guam agencji, dostarczającej wycinki. Jeżeli

chcesz, mogę zamówić dla ciebie jakieś periodyki. A jeśli jednak wolisz oglądać telewizję, mogę ci się wystarać o przenośny odbiornik.

– Nie ma potrzeby.

– Na pewno?

– Na sto procent.

– Daj mi znać, gdy tylko będziesz czegoś potrzebował. Chce, żeby ten pobyt był dla was przyjemnością. Przesunął językiem po wewnętrznej stronie prawego policzka i zapytał: – Dobrze się tutaj czujecie? Oczywiście poza tą ostatnią nocą.

– Doskonale się bawimy.

– Miałem nadzieję, że tak będzie. Staram się... być dobrym gospodarzem. – Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Jeszcze raz przepraszam za tych sykaczy...

– Naprawdę zapomnijmy o tym, Bill.

– Jesteś bardzo wyrozumiały... Nie znam się na subtelnościach rozmów towarzyskich, bo przez długi czas żyłem tu zupełnie samotnie.

Znów spojrzał na podłogę. Podtrzymywał zabandażowane ramię drugą ręką. W jego oczach pojawił się nieobecny wyraz.

Nagle otrząsnął się, wstał i rozejrzał się po laboratorium.

– Czas wracać do pracy.

– Czy nie powinieneś odpocząć?

– Nie, czuję się doskonale. A właściwie, po co tu przyszedłeś?

Sprowadziły mnie dociekania na temat Samuela H. i napromieniowania radioaktywnego.

Wyплаты odszkodowań, półprawdy i uniki. I to, jaką odegrał rolę, jeśli w ogóle odegrał, w wydarzeniach sprzed czterdziestu lat.

A teraz pojawiło się coś nowego: dlaczego mój udział w sprawach sądowych dotyczących

zbrodni został oceniony jako „doskonały”.

– Przyszedłem zapytać, czy chcesz, żebym się zajął jakimiś konkretnymi przypadkami.

– Och, nie. Niczego nie planowałem. Powiedziałem ci na samym początku, że masz całkowitą wolność.

– Chciałbym przejrzeć całą dokumentację dotyczącą wybuchów radioaktywnych.

Neuropsychologicznych następstw skażenia. Myślę, że nikt się nie zajmował tą stroną zagadnienia. Mamy wspaniałą okazję opracowania podstaw teoretycznych.

Przechylił głowę i oparł się o stół.

– O, tak. Mamy. – Zaczął porządkować pudełka z suszoną żywnością, zaglądać do środka, przesuwać stojaki na probówki. – Niestety, karta Samuela jest jedyną dotyczącą

napromieniowania, jaką ze sobą zabrałem. Zanim na nią natrafiłem, nie wiedziałem nawet, że ją tutaj mam. A może zachowałem ją podświadomie? Może chciałem, by mi przypominała...

– O czym?

– O straszliwych, straszliwych rzeczach, których ludzie dopuszczają się pod maską władzy.

– Tak – przyznałem. – Władza bywa okropnie skorumpowana,

Skinął głową i spojrzał na mnie spod ciężkich powiek. Przez chwile przyglądał mi się,

a potem odwrócił się i uniósł pod światło probówkę wypełnioną brązowym płynem. Skaleczona ręka drżała.

– To mógłby być bardzo interesujący artykuł. Żałuję, że nie mam więcej danych.

– Nawiązując do władzy – powiedziałem. – Dziś rano poszedłem do sklepu i zobaczyłem w telewizji zakończenie konferencji prasowej Hoffmana w Guam.

– Naprawdę? – Sprawdził zawartość drugiej probówki.

– Mówił o swoim planie rozwoju Mikronezji.

– Nie jestem zaskoczony. Zrobił majątek na budowie centrów handlowych. I na tak zwanej

gospodarce leśnej. Jego ojciec był robotnikiem leśnym, ale Hoffman wyprodukował więcej drewna budowlanego, niż jego ojciec był sobie w stanie wyobrazić.

– Mówi się, że dba o ekologię.

– Są na to sposoby.

– Na co?

– Na osiąganie swoich celów bez szargania reputacji. Wyciął puszcę tropikalną w Ameryce Południowej, ale łoży na parki narodowe w Oregonie i Idaho. Nic dziwnego, że popierają go organizacje ekologiczne. O czym nie omieszkął przypomnieć mi ostatniej nocy. Jakby to było usprawiedliwieniem.

– Usprawiedliwieniem czego?

– Tego, co robi tutaj.

– Pozwala, aby Aruk obumarło? Opuścił próbkę i spojrzał na mnie.

– Utrata energii życiowej nie oznacza jeszcze stadium końcowego.

– A więc nie tracisz nadziei?

Opuścił ręce wzdłuż tułowia. Sztywne i cienkie jak kije narciarskie. Krew przesiąkła przez bandaż i zaschła.

– Ja nigdy nie tracę nadziei – powiedział, ledwie poruszając ustami. – Bez nadziei nie pozostaje nam nic.

Zapalił palnik Bunsena, a ja wróciłem do swego biura. Dlaczego nie okazałem większego zdecydowania?

Upadek? Brak sił?

Roztargnienie. Zapominanie. Drżenie.

Brakowało mu snu, czy też był już po prostu starym człowiekiem u schyłku życia?

Chylącym się do upadku razem ze swoją wyspą?

Kiedy powiedziałem, że Aruk obumiera, zareagował bardzo ostro. Takim samym lodowatym gniewem, z jakim ostatniej nocy potraktował Pam.

Może dawniej był właśnie takim zimnym, ostrym człowiekiem.

Bez nadziei nie pozostaje nam nic.

Nadzieja jest bardzo ważna, ale czy robił coś poza żywieniem nadziei? I znowu to samo pytanie: dlaczego zamiast podjąć wysiłki dla ratowania wyspy, trwonił energię na badania nad pożywieniem dla insektów?

Bo gonił resztkami sił?

Bo potrzebował świata, nad którym mógłby panować?

Pan karaluchów...

I jaka w tym wszystkim jest moja rola?

Wyszedłem z biura, żeby odszukać Robin, ale ona znalazła mnie pierwsza. Nadeszła ścieżką ze Spike'em. Wyglądała na bardzo zaniepokojoną.

– Co się stało?

– Wejdźmy do środka.

Wróciliśmy do biura i usiedliśmy na kanapie.

– O, rany – szepnęła.

– O co chodzi?

– Poszłam na spacer. Do północno-wschodniej części posiadłości. Prawdę powiedziawszy, poprowadził mnie tam Spike. Ciągnął mnie. – Odgarnęła loki z czoła i położyła głowę na oparciu kanapy. – Po obu stronach był mur, ale kiedy droga zakreśliła, zobaczyłam gąszcz awokado i mango. Setki rozrośniętych drzew, przez które trudno byłoby się przecisnąć. Spike zaczął mi się wyrywać. Przeszliśmy ze trzydzieści metrów i usłyszałam czyjś płacz. – Wzięła mnie za rękę i uścisnęła. – To była Pam, Alex. Leżała na kocu wśród drzew. Dookoła wszystko jak na pikniku: termos, kanapki. Leżała na plecach w sukience plażowej... O, Boże!

– I co?

– Ramiączka miała zsunięte i jedną rękę trzymała o, tutaj. – Dotknęła lewej piersi. – Oczy miała zamknięte. Druga ręka na sukience. Po prostu wpadliśmy na nią...

– Płakała z rozkoszy?

– Nie, nie. Dotykała... samej siebie i z jakiegoś powodu wpadła w rozpacz. Łzy płynęły jej strumieniami. Chciałam się wycofać, zanim nas zauważy, ale Spike szczechnął i otworzyła oczy. Zmartwiałam. Usiadła i poprawiła ubranie. Spike podbiegł i zaczął ją lizać po twarzy.

– Nasz mały pocieszyciel.

– O, Boże!

– Współczuję ci.

– Alex, możesz to sobie wyobrazić? Znalazła takie ustronne miejsce, myślała, że jest bezpieczna, a tu nagle wywęszył ją Sherlock Pies.

– Psie szczęście – skwitowałem. – Chociaż sądzę, że więcej intymności miałyby we własnym pokoju przy zamkniętych drzwiach. Jak zareagowała?

– Przez ułamek sekundy była zaskoczona, a potem opanowała się, zachowała się jak kobieta, do której wstąpiła sąsiadka, żeby pożyczyć trochę cukru. Zaprosiła mnie, żebym usiadła.

Wolałabym każde inne miejsce, ale co miałam powiedzieć? „Nie, dziękuję, zostawiam cię sam na sam z twoimi przygnębiającymi fantazjami seksualnymi?” Tymczasem Spike zaczął obwąchiwać kanapki i ślinić się.

– On nigdy nie zapomina o tym, co najważniejsze.

– O, tak, świat kończy się i zaczyna na szynce i serze. Prawdę powiedziawszy, ułatwił sprawę. Pam pobawiła się z nim, dała mu kanapkę i obie udawałyśmy, że nic się nie stało.

A potem nagle wybuchnęła płaczem. Zaczęła opowiadać o swoim nieudanym małżeństwie, o obrzydliwym rozwodzie... Czułam się jak gąbka nasiąkająca jej bólem. Nie wiem, jak ty możesz to znosić. W ogóle się nie odzywałam, a ona mówiła i mówiła. Jakby była zadowolona, że ją tam znalazłam.

– Może była.

– Albo właśnie to, że ją tak zastałam, skłoniło ją do szczerych wyznań.

– Dlaczego małżeństwo nie było udane?

– Mąż także był lekarzem. Chirurgiem naczyniowym. O kilka lat młodszy od niej. Bardzo błyskotliwy, przystojny, najbardziej pożądany kawaler do wzięcia. Wybuchła miłość od pierwszego wejrzenia, burzliwe zaloty, ale jeśli chodzi o życie płciowe – Pam nie reagowała na niego. Nigdy przedtem nie miewała z tym problemu, więc myślała, że wszystko się jakoś ułoży.

Jednak się nie ułożyło. Kiedy wreszcie to zrozumiał, na początku nie przejął się, wystarczało mu, że dostaje swoje. Dopiero po pewnym czasie zaczął się tym gryźć. Potraktował to jako afront dla swojej męskości. W końcu stało się to dla niego prawdziwą obsesją: jeżeli nie szczytowała, uważał, że nie odbyli prawdziwego stosunku. Wreszcie zaczęli siebie unikać. Miewał romanse. Mnóstwo romansów, których nawet nie usiłował ukryć. A ponieważ pracowali w tym samym miejscu, Pam czuła, że staje się pośmiewiskiem.

– Tak z miejsca opowiedziała ci o wszystkim?

– Wyglądało to raczej tak, jakby mówiła sama do siebie. zaproponowała, żeby poszedł do specjalisty. Odmówił twierdząc, że to jej wina. Podała się terapii, ale w końcu i tak wszystko między nimi wygasło. Pam wystąpiła o rozwód. On poczuł się urażony i zaczął rozpowiadać, że Pam jest oziębła. Opowiadał jej o wszystkich swoich dziewczynach. A potem nagle chciał się z nią pogodzić, Pam odmówiła i upierała się przy rozwodzie. W miesiąc później zmarł na skutek niezwyklego wypadku. Ćwiczył w domowej siłowni. Upuścił sztangę, która zgruchotała mu klatkę piersiową.

– I ona czuje się winna?

– Ma wielkie poczucie winy, chociaż wie, że to nieracjonalne. Czuje, że on nigdy nie przestał jej kochać. Nie może się pozbyć wrażenia, że przesadzał z podnoszeniem ciężarów, ponieważ cierpiał z jej powodu. A przecież kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, pomyślałam sobie, że to dziewczyna, która ma wszystko.

– Dziewczyna, która wszystko straciła – sprostowałem. – Wtedy spakowała manatki i przyjechała tutaj? I znalazła sobie innego mężczyznę? Mówiła coś o Dennisie?

– Nie. Chyba jednak nie omyliłeś się mówiąc, że Pam ma problemy z mężczyznami. Może dlatego Bill tak zareagował? Nie chciał, żeby znowu cierpiała.

– Możliwe. Chodź tutaj. – Robin usadowiła się na moich kolanach. Przytuliłem ją. –

Wygląda na to, że minęłaś się z powołaniem.

– Właśnie o to chodzi. To nie jest moje powołanie. Ciągłe opowiadasz o pacjentach, którzy mówią zbyt szybko i zbyt dużo, a potem żałują tego.

– Kochanie, ty jej nie wypytywałaś, ty tylko słuchałaś. I nie obowiązuje cię odpowiedzialność zawodowa...

– Wiem, Alex, ale ja ją lubię. Wydaje mi się, że to w gruncie rzeczy miła kobieta, która przeżyła ciężkie chwile. Miała zaledwie trzy lata, kiedy zmarła jej matka, i Bill wysłał ją z domu.

Najpierw umieścił ją u krewnych, a potem w szkole z internatem. Pam mówi, że nie potępia Billa, bo chciał jej dobra. Jednak bardzo się nacierpiała. Czy mogłabym jej jakoś pomóc?

– Wysłuchaj jej, jeżeli tego zechce, o ile nie będzie to dla ciebie kłopotliwe.

– Obawiam się, żeby to się nie stało kłopotliwe dla niej. Żyjemy tutaj tak blisko siebie.

– Zaczynam się tu czuć jak w raju, który utracił błogosławieństwo Boga.

– Nie jest tak źle. Nie ma węży, są tylko karaluchy.

– Może powinniśmy pomyśleć o skróceniu pobytu, Rób. Nie, poczekaj, wysłuchaj mnie do końca. Są pewne rzeczy, o których ci nie powiedziałem. Spojrzała na mnie.

– Na przykład jakie?

– Może popadam w paranoję, ale nie mogę pozbyć się myśli, że ktoś nam podłożył te karaluchy. – Podzieliłem się z nią moimi podejrzeniami.

– Ale po co? Jaki miałby motyw?

– Może ktoś chce, abyśmy się stąd wynieśli.

– Kto i dlaczego?

– Nie wiem, ale jestem pewien, że Bill nie był zupełnie szczery na temat tego, dlaczego mnie tu sprowadził. Więc może się tutaj dziać coś, o czym nie mamy pojęcia.

Opowiedziałem jej o upadku Morelanda w laboratorium, o wycinkach z gazet na jego biurku,

o tym, że wiedział o mojej przyjaźni z Milem.

– Myślisz, że potrzebuje pomocy w rozwiązaniu zagadki kryminalnej? Tego morderstwa na południowym wybrzeżu?

– Bill twierdzi, że to jedyne poważne przestępstwo, jakie tu mieli.

– Czego mógłby od ciebie chcieć?

– Nie wiem. Pokazał mi jednak raport z sekcji i powiedział, że nie widział tego nikt poza Dennisem. Za każdym razem, gdy z nim rozmawiam, mam wrażenie, że coś przede mną ukrywa. Albo zbiera odwagę, albo chce się przekonać, czy może mi zaufać. Pytanie tylko, czy ja będę mu ufał. Przecież mnie okłamał.

Opowiedziałem o przypadku Samuela H., o napromieniowaniu i rozmowie z Micahem Sanjay.

– Dziwne – powiedziała. – Może jednak jest na to jakieś wytłumaczenie? Dlaczego po prostu do niego nie pójdziesz i nie zapytasz?

– Właśnie miałem to uczynić. Jednak kiedy upadł i zaczął krwawić, żal mi się go zrobiło.

Wrócę do tego innym razem.

– I potem stąd wyjedziemy? – spytała ze smutkiem.

– Nie powiedziałem ci jeszcze czegoś na temat morderstwa. Brakowało pewnych organów. Jest podejrzenie o ludożerstwo.

Robin zbladła. Wstała z moich kolan, podeszła do ściany z lękowego drewna i stała tam, wodząc palcem po słojach.

– Myślałeś, że nie zniosę takiej wiadomości?

– Po prostu nie sądziłem, żeby było konieczne raczyć cię wszystkimi budzącymi niesmak szczegółami. Milczała.

– To nie znaczy, że traktuję cię protekcjonalnie. Miałaś mieć przyjemne wakacje. Czy

słuchanie o wysysaniu szpiku z kości udowej jest aż tak miłe?

– Wiesz co? – powiedziała spoglądając mi w oczy. – Kiedy Pam zaczęła to z siebie wyrzucać, na początku było mi głupio, ale potem ucieszyłam się, że mi zaufała. Zburzyła mój spokój i obudziła we mnie współczucie. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo stroniłam od ludzi.

– Zawsze uważałem, że świetnie sobie radzisz z ludźmi.

– Mówię o prawdziwie głębokim porozumieniu, Alex. Zwłaszcza z kobietą. Nigdy nie miałam do tego okazji. Zawsze byłam w świetnej komitywie z tatą i starałam mu się przypodobać, udając chłopaka. Sam mówisz, że jesteśmy dziwną parą – specjalista od ludzkich uczuć i dziewczyna dłubiąca w drewnie.

Wstałem i podszedłem do niej.

– Pobyt tutaj – powiedziała – z dala od zgiełku, choćby przez tych kilka dni, to dla mnie... bardzo kształcące. Nie martw się, nie mam zamiaru rzucać swego zajęcia, żeby zostać terapeutką. Dwoje psychologów w jednym domu, to zbyt wiele. Jednakże pomaganie ludziom sprawia mi przyjemność. – Zarzuciła mi ręce na szyję i przycisnęła twarz do mojej piersi. Jeżeli jednak ty nie czujesz się tutaj dobrze, możemy wyjechać wcześniej.

– Nie ma pośpiechu, chyba znowu dałem się ponieść wyobraźni. Pocałowała mnie w szyję.

– Uwielbiam twoją wyobraźnię.

– Więc nie masz nic przeciwko ludożercom na plaży?

– Nie powiedziałabym. Stało się to jednak pół roku temu, a jak sam mówiłeś, mordercy seksualni nie przestają zabijać. Więc myślę, że nasz po prostu wyjechał.

– Jesteś twardą kobietą, Castagna. Roześmiała się.

– Niezupełnie. Dziś rano natychmiast sprawdziłam, czy w moich butach nie czai się jakiś pełzający stwór. I jeżeli wydarzy się jeszcze raz coś podobnego, odpłynę na Guam.

– A ja za tobą. No to zostanmy, jeżeli tego chcesz. Uspokoiłś mnie. Możesz być moją

terapeutką.

– Nie.

– Dlaczego?

– Ze względów etycznych. Chcę z tobą sypiać.

Wróciłem do pawilonu Morelanda. Drzwi były zamknięte na klucz. Zobaczyłem naszego gospodarza dopiero wieczorem przy kolacji. Na rękę miał świeży bandaż. Uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością. Pam stała w rogu tarasu z opuszczonymi rękami. Miała na sobie suknię z krwistoczerwonego jedwabiu i czerwone sandały. Uczesała się w kok i wpięła nad lewym uchem kwiat żółtej orchidei. Czy chciała udawać, że jest jej wesoło?

Zwróciła się ku nam i pomachała ręką. Robin spojrzała na mnie i podeszła do Pam.

Usiadłem obok Morelanda.

– Co z ręką?

– Lepiej. Dziękuję ci. Napijesz się soku? Wielocytrusowy, całkiem dobry. Nalałem sobie trochę.

– Chcę porozmawiać o jednym z przypadków.

– Tak?

– Niejaki Joseph Cristobal. Karta sprzed trzydziestu lat. Uskarżał się na halucynacje wzrokowe, widział białych ludzi-robaki, a potem zmarł w czasie snu. Stwierdziłeś zablokowaną arterię wieńcową i jako przyczynę śmierci podałeś atak serca. Oprócz tego wspomniałeś o jakimś wirusie o nazwie A. Tutalo. Przejrzałem książki, ale nigdzie nie znalazłem wzmianki o czymś takim.

Roztarł pomarszczony podbródek.

– Ach tak, Joseph. Pracował tutaj jako ogrodnik. Wyglądał zdrowo, ale jego arterie były w bardzo złym stanie. Uwielbiał orzechy kokosowe, może to było tego przyczyną. Nigdy się nie skarżał na żadne objawy związane z chorobą serca, ale nawet gdyby się do mnie zgłosił, niewiele mógłbym mu pomóc. Teraz wysłałbym go na elektrokardiogram, mógłby się poddać operacji. Oto wstydliwa prawda na temat medycyny. Dostępne metody przypominają

średniowiecze.

– A co z A. Tutalo? Uśmiechnął się.

– Nie, to nie jest żaden wirus. To jest... coś bardziej skomplikowanego, synu. Och, chwileczkę.

Weszła Jo, a zaraz za nią Ben i Claire Romero. Moreland zerwał się, szybko uściskał dłoń Jo i objął Claire. Obejrzał się w moją stronę i zapytał:

– Czy możemy dokończyć rozmowę po kolacji?

Jo wydawała się odmieniona – oczy mniej zapuchnięte, głos weselszy, prawie beztroski, bez przerwy wychwalała jedzenie. Poinformowała wszystkich przy stole, że zwłoki Lymana dotarły do Stanów i zostały odebrane przez rodzinę. Następnie zamachała rękami broniąc się przed kondolencjami i zmieniła temat oświadczając, że jej badania dają wspaniałe efekty.

Niebo stało się ciemnogrnatowe, a potem czarne. Chmury deszczowe wyglądały jak szare smugi. Wisiały w tym samym miejscu, w którym widzieliśmy je rano.

Kiedy Jo zakończyła swoją przemowę, Moreland wstał i podszedł do balustrady, po której śmigały żabki. Zatrzymały się i przyglądały mu się z zainteresowaniem. Karmił je z ręki, a potem wrócił do stołu i zaczął przemowę na temat mieszania się gatunków. Wydawało mi się, że unika mego spojrzenia.

Po krótkiej wymianie zdań na błahe tematy przedmiotem zainteresowania stała się Claire Romero, jak to zwykle bywa z nowo przybyłymi.

Mówiła ciekawie, ale bardzo cicho. Urodziła się w Honolulu jako córka dwojga nauczycieli, studiowała grę na skrzypcach, a następnie występowała w kilku zespołach kameralnych i miała zamiar zająć się muzyką profesjonalnie.

– Cóż stanęło na przeszkodzie? – spytała Jo, nadgryzając rogalik.

– Zabrakło mi talentu – odparła Claire z uśmiechem.

- Zdarza się, że nie bywamy najlepszymi sędziami we własnej sprawie.
- Jednak w moim przypadku tak właśnie było, pani Picker.
- Była bardzo utalentowana – powiedział Ben. – Ożeniłem się z nią i odciągnąłem od muzyki.
- Ben, proszę cię... – powiedziała Claire, wpatrując się w swój talerz.
- Jesteś nieprzeciętnie utalentowana, moja droga – powiedział Moreland. – I dawno nam nie grałaś – ostatni raz chyba w zeszłym roku, prawda? Na moje urodziny. Jakież to był cudowny wieczór.
- Od tamtej pory prawie nie grałam. – Zwróciła się do Robin. – Robiła pani kiedyś skrzypce?
- Nie, ale myślałam o tym. Mam trochę starego drewna świerkowego z Alp i tyrolskiego klonu, które świetnie się na to nadają, ale nie wiem, czy sobie poradzę.
- Dlaczego? – spytała Jo.
- Z powodu wymiarów. Nie chciałabym zmarnować starego drewna.
- Claire ma wspaniałe stare skrzypce – powiedział Ben. – Francuskie, „Guersan”. Ponad stuletnie. I przypadkowo znajdują się w bagażniku. Claire spojrzała na niego.
- Uśmiechnął się do niej z miną niewiniątka, a ona pokiwała głową.
- Cóż, w takim razie musisz dla nas zagrać – powiedział Moreland, klaszcząc w dłonie.
- Naprawdę wyszłam z wprawy, doktorze...
- Chętnie zaryzykuję i posłucham, moja droga. Claire spojrzała na Bena.
- Proszę cię, tylko jeden lub dwa utwory.
- Ostrzegam was, lepiej przynieście sobie zatyczki do uszu.
- Zbagatelizujemy to ostrzeżenie. Czy mogłabyś zagrać to samo, co w zeszłym roku?

Vivaldiego?

Claire zawahała się. Spojrzała na Bena.

– Zauważyłem skrzypce – powiedział. – Leżały w szafie. Powiedziały mi: „Weź nas ze sobą”.

– Jeżeli słyszysz głosy, lepiej będzie, jeśli porozmawiasz z doktorem Delaware.

– No więc jak, moja droga? – dopominał się łagodnie Moreland. Claire skinęła głową.

– Dobrze, doktorze.

Grała wspaniale, ale sprawiała wrażenie napiętej. Zaciśnięte usta, przygarbione plecy, podrygiwała do taktu. Muzyka wypełniła cały taras. Kiedy skończyła, rozległy się oklaski.

– Dziękuję za wyrozumiałość. Teraz naprawdę muszę już iść i przygotować się do jutrzejszych lekcji.

Moreland odprowadził Claire i Bena do wyjścia. Pam w roztargnieniu bawiła się kawałkiem mango. Robin dotknęła mojej ręki.

– Ładnie grała, prawda, Alex?

– Fantastycznie – powiedziałem, myśląc o A. Tutalo. O jeszcze jednej rzeczy, o którą zapytam Morelanda, kiedy wróci. Nie wrócił. Robin zaproponowała:

– Chodźmy na górę. – Nie oponowałem.

Zamknęliśmy drzwi naszego apartamentu i objęliśmy się. Po chwili byliśmy w łóżku, całując się i pieszcząc.

Kiedy już było po wszystkim, zapadłem w głęboki, pozbawiony jakichkolwiek wizji sen.

W środku nocy obudziłem się zaniepokojony.

Usiadłem zlany potem.

Jakieś dźwięki... Oszołomiony nie mogłem się zorientować, co to takiego.

Szybkie kroki na korytarzu...

Ktoś biegł?

Stukot stóp; to więcej niż jedna osoba.

Pośpiech.

Panika...

A potem gniewne krzyki. Ktoś się opierał, zawołał: „Nie!”

Zaszczekał Spike.

Robin usiadła na łóżku. Włosy opadały jej na twarz. Złapała mnie za ramię.

Trzasnęły drzwi.

– Alex...

Znowu krzyki.

Zbyt oddalone, żeby uchwycić słowa.

A potem znowu: „Nie!”

Głos mężczyzny.

Morelanda.

Wyskoczyliśmy z łóżka i narzuciliśmy szlafroki. Ostrożnie otworzyliśmy drzwi.

Żyrandol przy wejściu był zapalony i rzucał światło na podest.

Z trudem powstrzymałem się przed zmrużeniem powiek.

Nie dostrzegłem Morelanda. Jo stała plecami do nas, z rękami wspartymi na balustradzie.

Otworzyły się drzwi na dole i na korytarz wybiegła Pam w srebrzystym kimonie. Twarz miała

trupio bladą. Zerknąłem do jej pokoju: biała satynowa pościel, ściany w kolorze brzoskwini,

świeże kwiaty. Znajdujące się w końcu korytarza drzwi pokoju jej ojca były zamknięte.

Ale znów rozległ się jego głos. Na dole, przy wejściu.

Podbiegliśmy do Jo. Nie odwróciła się. Patrzyła na dół.

Na Morelanda i Dennisa Laurenta. Szeryf stał w drzwiach wejściowych, umundurowany,

z rękami na biodrach. U pasa miał pistolet w futerale.

Moreland spoglądał na niego, załamując ręce. Miał na sobie długą białą koszulę nocną

i miękkie papucie. Jego tyczkowate nogi pełne były żyłaków. Składał ręce, jakby modłąc się do stojącego z kamienną twarzą szeryfa.

– To niemożliwe, Dennis! To szaleństwo!

Dennis osłonił się ręką. Moreland podszedł jeszcze bliżej.

– Posłuchaj mnie, Dennis...

– Mówię ci, cośmy...

– Nie obchodzi mnie, co znaleźliście, to niemożliwe! Jak możecie...

– Uspokój się. Nie wszystko naraz, a zrobię, co tylko będzie w mojej...

– Po prostu zakończ to! Natychmiast! Nie dopuszczaj do siebie myśli o jakiegokolwiek innej możliwości. I nie pozwól, by kto inny to uczynił. Po prostu nie masz wyboru, synu.

– Więc chcesz, żebym...

– Ty jesteś prawem, synu. Wszystko zależy od ciebie...

– Mam nagiąć prawo...

– Nagiąć, ale...

– Ale niezupełnie?

– Wiesz, o co mi chodzi, Dennis. To musi być...

– Dość tego – niski głos Dennisa osiągnął najniższe rejestry. Wyprostował się, stając się wyższy od Morelanda. Zmuszając go do spoglądania w górę.

– To psychoza. Po wszystkim, coście razem...

– Wyciągam wnioski z tego, co widzę – powiedział Dennis. – A to, co widzę, wygląda kiepsko. I może się okazać jeszcze gorsze. Zadzwoń do bazy i poproś Ewinga, żeby pilnował swoich ludzi...

– Rozmawiał z tobą?

– Tak.

– Moje gratulacje – rzekł gorzko Moreland. – Wreszcie ci się udało.

– Doktorze, nie ma powodu...

– Nie ma powodu, by tkwić w tym obłądziej!

Szeryf otworzył drzwi. Moreland chwycił go za ramię. Dennis spoglądał na kościste palce doktora tak długo, dopóki nie cofnął on dłoni.

– Muszę się brać do roboty, doktorze. Proszę tu zostać. Nie opuszczać posiadłości.

– Jak możesz...

– Już mówiłem. Wyciągam wnioski z tego, co widzę.

– A ja mówię...

– Szkoda słów. – Dennis jeszcze raz usiłował wyjść, ale Moreland znowu chwycił go za ramię. Tym razem szeryf odepchnął go i Moreland omal nie upadł.

Dennis podtrzymał go. Pam krzyknęła.

– Zastanów się, synu! – zawołał Moreland. – Czy...

– Nie jestem pańskim cholernym synem. I nie życzę sobie, żeby mi pan mówił, co mam myśleć i jak mam wykonywać moją pracę. Niech pan się stąd nie rusza, dopóki nie wydam innego polecenia.

– To areszt domowy...

– Nie będzie pan mógł w niczym pomóc, więc zaraz zadzwonię do Saipan, żeby kogoś przysłali.

– Nie – zaprotestował Moreland. – Będę z tobą współpracował.

– Nie ma mowy.

– Jestem przecież...

– Już nie – uciął Dennis. – Niech pan zostanie w domu i nie przysparza kłopotów.

Znów spojrzał w górę. Na Pam. A potem przyjrzał się kolejno nam wszystkim.

– Co się stało? – zapytałem.

Przygryzł usta.

Moreland stał z opuszczoną głową.

– Co się stało? – powtórzyła Pam. – Powiedz nam, Dennis! Dennis zastanawiał się nad odpowiedzią, a potem spojrzał na Morelanda, który słał się na nogach, oparty o ścianę.

– Coś złego – powiedział, wychodząc na ganek. – Tatuś ci wszystko opowie.

I wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Moreland stał nieruchomo przy drzwiach. W świetle żyrandola jego łysa głowa lśniła metalicznie. Pam zbiegła po schodach. My za nią.

– Tato? – Objęła go. Był bardzo blady. – Co się stało, tato? Wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Co? Cisza.

– Proszę cię, powiedz mi, tatusiu. Potrząsnął głową i mruknął:

– Tak jak powiedział Dennis, stało się coś złego.

– Co?

Znów potrząsnął głową.

Podprowadziła go do fotela. Usiadł niechętnie na samym brzegu, jedną rękę oparł na kościstym kolanie, drugą zakrył twarz.

– Co tu się dzieje, tato? Dlaczego Dennis potraktował cię tak brutalnie? Moreland zakaszłał.

– Wykonuje swoje obowiązki...

– Popołniono zbrodnię, tato?

Moreland opuścił ręce. Twarz mu obwisła. Zmarszczki stały się tak ciemne i głębokie, jakby wyłobiło je dłuto rzeźbiarza.

– Tak, zbrodnia... morderstwo.

– Kogo zamordowano, tato? Cisza.

- Kiedy?
- Dziś w nocy.
- Jeszcze jedno... – zacząłem.
- Okropne morderstwo – uciął Moreland.
- Kto zginął? – spytała Jo.
- Młoda kobieta.
- Gdzie, tato?
- W parku Zwycięstwa.
- Kim była ofiara? – naciskała Jo.
- To Betty Aguilar – odpowiedział po długim milczeniu.
- Zналиśmy ją? – spytała Pam, marszcząc brwi.
- Córka Idy Aguilar. Pracowała w sklepie. W zeszłym tygodniu przyszła na badania kontrolne, przedstawiłem ci ją, gdy...
- O, mój Boże – przerwałem. – Rozmawiałam z nią dzisiaj. Była w trzecim miesiącu ciąży.
- Och, nie – jęknęła Robin. – Ścisnęła w ręce pasek mojego szlafroka. Oczy błyszczały jej gorączkowo.
- To rzeczywiście straszne – powiedziała Jo bardzo wyraźnie. Czyżby nie wzięła proszków nasennych?
- Tak, tak – rzekł Moreland. – Potworne. – Zacisnął dłonie na poręczach fotela. Pam objęła go mocniej.
- Tak ci współczuję, tatusiu. Byliście bliskimi znajomymi?
- Ja... – Moreland zaczął płakać. Pam usiłowała go przytulić, ale oswobodził się i spojrzał w ciemność za oknem. Niebo wciąż było ciemnogrnatowe, przybyło chmur, które wisiały coraz niżej.

– Byłem przy jej narodzinach – powiedział. – Miałem być przy porodzie jej dziecka. Bardzo się troszczyła o płód, nawet rzuciła palenie... – Dotknął palcami ust. – Postanowiła dbać o siebie i wytrwała przy tym.

– Jak sądzisz, dlaczego została zabita? – spytała Jo. Moreland spojrzał na nią.

– Skąd mógłbym wiedzieć?

– Znałeś ją.

Moreland odwrócił się od niej.

– Dlaczego Dennis chciał, żebyś został w domu? – spytałem.

– Nie tylko ja, my wszyscy. Jesteśmy w areszcie domowym.

– Dlaczego, tatusiu? – spytała Pam.

– Dlatego, że... oni... – Opadł ciężko na fotel, ściskając jego poręcz. Tapicerka była z różowego jedwabnego adamaszku. Dostrzegłem na nim wytarcia i zaciągnięte nitki, pocerowane rozdarcia i plamy.

Moreland potarł skronie tak samo jak po upadku w pracowni. Potem kark. Wzdrygnął się.

Pam wzięła go pod brodę i spojrzała mu w oczy.

– Dlaczego jesteśmy w areszcie domowym, tatusiu? Zadrzał.

– Tatusiu...

Odsunął jej dłoń drżącą ręką.

– Oni myślą, że to zrobił Ben – powiedział.

Schowal twarz w dłoniach. Pam wstała. Po chwili wróciła z Gladys, która niosła butelkę brandy i kieliszki.

Stan Morelanda przeraził gospodynię.

– Doktorze...

– Wracaj do łóżka – rozkazała Pam. – Będziesz nam potrzebna jutro rano.

Gladys załamała rękę.

– Proszę cię, Gladys.

– Nic mi nie jest – zapewnił ją Moreland tonem wskazującym na to, że jest wprost przeciwnie.

Gladys przygryzła wargę i w końcu odeszła.

– Brandy, tatusiu?

Moreland potrząsnął głową.

Pam mimo wszystko napełniła kieliszek i podała ojcu.

Odrzącił alkohol, ale napił się wody. Pam zbadała mu puls i dotknęła czoła.

– Gorące – stwierdziła. – I bardzo się pocisz.

– W domu jest gorąco – odpowiedział.

Okna były otwarte i napływało świeże, wonne powietrze. Chłodne powietrze. Miałem lodowato zimę ręce. Pam otarła mu pot z czoła.

– Wyjdźmy na świeże powietrze, tatusiu.

Przeszliśmy na taras. Moreland nie stawiał oporu i dał się posadzić przy stole.

– Masz, napij się jeszcze wody.

Popijał wodę, a my staliśmy nad nim. Niebo wyglądało jak zrobione z granatowego zamszu.

Księżyc przypominał plasterek cytryny. Jego światło lśniło na powierzchni oceanu. Wyjrzałem

ponad balustradą. W miasteczku zapalały się światła.

Nalałem wszystkim brandy.

Moreland spoglądał przed siebie szeroko otwartymi, pustymi oczami.

– Szaleństwo – powiedział. – Jak oni mogli coś podobnego pomyśleć!

– Mają jakieś dowody? – spytała Jo.

– Nie! – krzyknął Moreland. – Utrzymują, że on... Ktoś go tam znalazł.

– Na miejscu zbrodni? – spytałem.

– Śpiącego na miejscu zbrodni. Doskonałe miejsce, prawda?

– Kto go znalazł? – spytała Jo.

– Mieszkaniec miasteczka.

– Ktoś wiarygodny? – W tonie Jo zabrzmiała nowa nuta – sceptycyzm naukowca, ciekawość.

– Bernardo Rijks – odpowiedział Moreland. – Cierpiący na chroniczną bezsenność. Za dużo sypia w ciągu dnia. – Spojrzał na butelkę brandy. – Jeszcze trochę wody, kotku.

Pam napełniła szklanekę, którą opróżnił jednym haustem.

– Bernardo już od lat spaceruje nocą. Ze swojego domu przy Champion Way wzdłuż wybrzeża w kierunku doków i z powrotem. Czasami robi dwie albo trzy takie tury. Dopiero wtedy może zasnąć.

– Gdzie jest Champion Way? – zapytałem,

– To ulica, przy której stoi kościół – wyjaśniła Pam.

– Ulica, przy której znajduje się park Zwycięstwa.

– Tej nocy, przechodząc obok parku, usłyszał jęki. Pomyślał, że coś się stało, i poszedł sprawdzić.

– Co się mogło stać? – spytałem.

– Na przykład ktoś przedawkował.

- Park jest schronieniem dla narkomanów?
- Był – odparł gniewnie Moreland. – Kiedy do miasta przychodzili marynarze. Upijali się w barze Slim’s albo palili marihuanę na plaży, podrywali dziewczyny i szli do parku. Bernardo mieszka w górnej części Champion Way. Nieraz wzywał mnie, żebym pomagał nieprzytomnym chłopakom.
- Można mu wierzyć? – spytała Jo.
- Tak. I to nie z nim jest kłopot, lecz... – Moreland przeczesał palcami siwe kępi na skroniach. – To po prostu szaleństwo! Biedny Ben. Poczuję napięcie Robin.
- I co było dalej? – zapytała Jo. – A więc Bernardo poszedł sprawdzić, co to za jęki...
- Znalazł... – Moreland zamilkł i zaczął szybko oddychać.
- Tato? – odezwała się Pam. Odepchnął ją i powiedział:
- To Ben jęczał. Leżał tam, tuż obok... straszliwy widok. Bernardo pobiegł do najbliższego domu, obudził mieszkańców. Wkrótce zebrał się tłum. Między innymi Skip Amalfi, który przytrzymał Bena, dopóki nie zjawił się Dennis,
- Skip nie mieszka w pobliżu – powiedziałem.
- Był na dole, w dokach, łowił ryby i usłyszał zamieszanie. Najwyraźniej uważa się teraz za wielkiego białego przywódcę. Wykręcił Benowi rękę i usiadł na nim. Ben nie stanowił najmniejszego zagrożenia. Nie odzyskał nawet przytomności.
- Dlaczego był nieprzytomny? – zapytałem. Moreland przyjrzał się swoim kolanom.
- Czy to z powodu narkotyków? – naciskała Jo.
- Mówią, że był pijany.
- Ben? – zdziwiła się Pam. – Przecież on jest abstynentem tak samo jak ty, tato.
- Tak, jest...
- I zawsze był? – spytałem.

Moreland zakrył oczy drżącą ręką. Zaczął szarpać siwe kosmyki.

– Od lat nie pijał alkoholu.

– Jak dawno miał problem alkoholowy? – zapytałem.

– Bardzo dawno.

– Na Hawajach?

– Nie, przedtem.

– Studiował na Hawajach. Był alkoholikiem jako dziecko?

– Wszystko się zaczęło w szkole średniej.

– Nastoletni alkoholik? – spytała z niedowierzaniem Pam.

– Tak, moja droga – odparł Moreland, z trudem zachowując spokój. – To się zdarza. Był podatny ze względu na sytuację rodzinną. Obydwoje rodzice byli pijakami. Ojciec zmarł na marskość wątroby w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Matka dostała raka płuc, ale jej wątroba również była w fatalnym stanie. Żeby ulżyć jej w ostatnich miesiącach życia, zainstalowałem w jej domu zbiorniki z tlenem. Ben miał wtedy szesnaście lat, ale opiekował się nią jak prawdziwa pielęgniarka. Potrafiła zerwać maskę i wrzeszczeć, żeby dał jej papierosy.

– Obciążony genetycznie i środowiskowo – stwierdziła Jo. Moreland zerwał się na równe nogi.

– Jednak poradził sobie z jednym i drugim. Kiedy został sierotą, umieściłem go tutaj. Zaczął pracować jako dozorca, ale kiedy się przekonałem, jaki jest zdolny, dałem mu bardziej odpowiedzialne zajęcie. Przeczytał całą moją bibliotekę medyczną, przyłożył się do nauki i całkowicie rzucił alkohol.

Pam posmutniała. Czyżby była zazdrosna o Bena?

– Żył w absolutnej trzeźwości – powtórzył Moreland. – Niewiarygodna siła charakteru.

Dlatego opłaciłem jego studia. Urządził sobie życie, a także Claire i dzieciom... Widzieliście go

dziś wieczorem. Czy tak wygląda psychopatyczny morderca?

Nikt z nas nie odpowiedział.

– Mówię wam – powiedział, uderzając w stół – że jest to jedna wielka bzdura! Dowodzi tego butelka wódki w pobliżu jego ręki. On pijał wyłącznie piwo. Przed laty leczyłem go antabusem. Od tamtej pory nie mógł znieść smaku alkoholu – nienawidził go.

– Twierdzisz, że ktoś wlał mu wódkę do gardła? – zapytała Jo. Jej chłodny ton wyprowadził go z równowagi.

– Twierdzę, że on nie toleruje alkoholu.

– W takim razie widzę tylko jedną możliwość – odparła. – Ktoś go upił siłą. Ale kto?

I dlaczego? Moreland zgrzytnął zębami.

– Nie wiem, ale znam Bena.

– W jaki sposób zamordowano Betty? – zapytałem.

– Została... to było... pchnięcie nożem.

– Czy znaleziono nóż przy Benie?

– Nie trzymał go w ręce.

– Znajdował się na miejscu zbrodni?

– Był... wbity.

– Wbity? – powtórzyła Jo jak echo. – Gdzie?

– W gardło tej nieszczęsnej dziewczyny! Czy naprawdę musicie znać wszystkie szczegóły?

Robin konwulsyjnie ścisnęła moją rękę.

– Cała ta sprawa jest absurdalna! – zawołał Moreland. – Twierdzą, że Ben był tuż przy niej – że spał, obejmując ją ramieniem, z głową na... na tym, co zostało z jej tułowia. To absurd!

Robin nie wytrzymała i podbiegła do balustrady. Podszedłem i objąłem ją. Czułem, jak drży, wpatrując się w jaskrawożółty księżyc.

- Zmasakrował ją? – dopytywała się Jo.
 - Nie mam ochoty na dalszą rozmowę, doktor Picker. Chodzi o to, żeby pomóc Benowi.
 - A co z Betty? Czy nie trzeba pomóc jej rodzinie? – spytała odwracając się Robin.
 - Tak, tak, oczywiście, to jest...
 - Ona była w ciąży! Co z dzieckiem, z jej mężem, rodzicami? Moreland odwrócił oczy.
 - Co z nimi, Bill?
 - Oczywiście, że zasługują na współczucie – odparł Moreland drżącymi ustami. – Boleję nad tym. Betty to moja pacjentka. Na miłość boską, byłem przy jej porodzie!
 - I wyleczyłeś z koklusu – powiedziałem.
 - Co?
 - Rozmawiałem z nią wczoraj. Powiedziała mi, że kiedy była dzieckiem, wyleczyłeś ją z koklusu.
- Nikt się nie odezwał. Napiłem się brandy. Zostawiła w moim przełyku gorącą smugę – jedyne odczucie w odrętwiałym ciele. Wszyscy wyglądali na odrętwiałych.
- Która godzina? – spytałem.
 - Po czwartej – odparła Pam, odwijając rękaw kimona.
 - A ja nadal nie rozumiem, dlaczego mamy być tutaj uwięzieni – powiedziała Jo.
 - Dla naszego bezpieczeństwa – wyjaśnił Moreland. – Przynajmniej teoretycznie.
 - Kto nas pilnuje?
 - Nikt.
 - Jednakże Ben jest utożsamiany z tym miejscem – powiedziałem, – Ludzie mogą zacząć szemrać. Moreland nie odpowiedział.
 - Siedząc razem, stajemy się łatwym celem – stwierdziła Jo, marszcząc brwi. – Nie ma tu żadnych zabezpieczeń. Każdy może wejść do środka.

– Dotychczas nigdy nie potrzebowałem żadnych zabezpieczeń, doktor Picker.

– Masz jakąś broń? – zapytałem.

– Nie! Jeżeli tak się troszczycie o własne bezpieczeństwo, sugerowałbym...

– Ja niczego się nie boję – przerwała mu Jo. – To jedyna korzyść z utraty Ly. Kiedy już stanie się najgorsze, można przetrzymać wszystko.

Wstała i skierowała się do salonu. Jej masywne biodra kołysały się jak szalki wagi.

– Ona ma broń – odezwała się Robin. – Mały pistolet. Widziałam go w wysuniętej szufladzie jej nocnej szafki.

– Nienawidzę broni palnej – powiedział z trudem Moreland.

– Miejmy nadzieję, że nie postrzeli kogoś przez przypadek – powiedziała Pam. – Czy nie chciałbyś teraz trochę odpocząć, tato? Musisz zachować siły na jutro.

– Nic mi nie będzie, moja droga. Dziękuję ci za twoje... starania, ale jeszcze się nie położę. –

Pochylił się, jakby chciał ją pocałować, ale tylko poklepał po ramieniu. – Miejmy nadzieję, że za dnia wszystko okaże się łatwiejsze.

– Jest kilka spraw, które chciałbym z tobą omówić – powiedziałem. Spojrzał na mnie.

– Sprawy, których nie mieliśmy okazji omówić wieczorem.

– Tak, oczywiście. Rano, zaraz po telefonie Dennisa...

– Ja także nie kładę się jeszcze spać. Możemy porozmawiać teraz. Szarpnął kołnierzyk koszuli nocnej.

– Oczywiście. Może pozostawimy panie na tarasie i przeniesiemy się do mego biura?

Uścisnąłem dłoń Robin. Usiadła obok Pam. Obydwie wyglądały na wykończone, ale kiedy wychodziliśmy, zaczęły rozmawiać.

– Coś pilnego? – zapytał Moreland, zapalając światło w pawilonie. Wycinki z gazet zniknęły z jego biurka. Inne dokumenty także.

- Mieliśmy porozmawiać o A. Tutalo...
- Chyba sam widzisz, że w tej chwili nie jest to najważniejsze...
- Są jeszcze inne sprawy.
- Na przykład?
- Morderstwo, Ben. I to, co się naprawdę dzieje na Aruk.
- To długa sprawa – odparł po chwili milczenia.
- Mamy czas.
- Proszę bardzo. – Wskazał mi kanapę. Usiadłem na niej spodziewając się, że zajmie fotel naprzeciw, ale Moreland obszedł biurko, pochylił się z grymasem bólu, otworzył szufladę i zaczął czegoś szukać.
- Nie wierzysz, że Ben to zrobił, prawda?
- Za mało go znam.
- Odpowiedź psychologa – odparł ze słabym uśmiechem. – Doskonale, nie mogę oczekiwać, że będziesz mnie ślepo naśladować. Zobaczysz jednak, że zostanie on pomszczony. Pomyśl, że zarznął Betty, nie mieści mi się w głowie – ale dobrze, najpierw rzeczy mniej ważne. A. Tutalo. Nie mogłeś znaleźć żadnego wirusa o tej nazwie, bo to nie jest nic materialnego. Tutejszy mit. „A” oznacza „Aruk”. „Tutalo z Aruk”. Wymyślone plemię leśnych stworzeń. Bardzo stary mit. Już od dawna nikt w to nie wierzy.
- Nikt z wyjątkiem Cristobala.
- Joseph miał halucynacje. To nie była wiara.
- Przekonałeś go, że niczego nie widział?
- To był uparty człowiek – odparł po chwili milczenia.
- Czy miewano tu inne tego rodzaju widzenia?
- Nie za mojej bytności.

– Jak wyglądają te stworzenia leśne?

– Blade, miękkie, obrzydliwe. Cienie ukrywające się w lesie. To nie jest wymysł Aruk; wszystkie kultury tworzyły dziwaczne, lubieżne stwory, żeby wyrazić w ten sposób swoje zakazane pragnienia – instynkt zwierzęcy. Minotaury, centaury i satyry w starożytnej Grecji. Japończycy mają człekopodobne stwory o głowach w kształcie spodka, zwane kappa, które czyhają w strumieniach leśnych, porywają dzieci i wysysają ich trzewia poprzez odbyt.

W obrzędach czarownic stosuje się maski zwierząt, aby ukryć twarze uczestników. A diabeł jest często przedstawiany jako bestia o koźlich kopytkach i ogonie w kształcie węża. Demony leśne, wampiry, wilkołaki, yeti – to stale to samo.

– A co z kobietą-kotem?

– Nie, nie. To było coś całkiem innego.

– Reakcja na znęcanie się.

– Na okrucieństwo.

– Ludzie-robaki...

– Na Aruk nie było ssaków. Ludzie posługują się tym, co mają pod ręką. Tutalo nawiązuje do starego słowa o niepewnym pochodzeniu: tootali, czyli czerw żyjący w drewnie. Z tego, co się dowiedziałem, wynika, że są to duże, człekopodobne istoty o mackowatych kończynach i rozlazłym, ale silnym ciele. Białe jak kreda. Uważam, że to bardzo interesujące. Być może ukryte oskarżenie kolonizatorów: białe stwory pojawiające się na wyspie i ustanawiające brutalną władzę.

– Demonizacja ciemności?

– Otóż to.

– Czy Joseph Cristobal był politycznie zaangażowany?

– Wprost przeciwnie. Prosty człowiek. Niepiśmienny. Lubiący popić. Jestem przekonany, że

stąd się wzięły jego halucynacje. W dzisiejszych czasach przeciętny mieszkaniec Aruk śmieje się na wspomnienie o Tutalo.

– Był twoim ogrodnikiem. Czy zobaczył Tutalo w obrębie posiadłości? Oblizwał wargi i skinął głową.

– Pracował we wschodniej części ogrodu, przycinając winorośl na murze. Został po godzinach, kiedy wszyscy poszli już do domu. Było zupełnie ciemno. Zmęczenie również zrobiło swoje.

– Gdzie pojawiły się te stworzenia?

– Wyszły spośród figowców. Machały rękami, a potem uciekły. Początkowo nikomu o tym nie powiedział. Twierdził, że był zbyt przestraszony, ale ja przypuszczam, że sobie popił i nie chciał, żeby uznano go za pijaka albo zacofanego ciemniaka.

– Potem zaczął miewać nocne halucynacje?

– Budził się z krzykiem i widział Tutalo w swoim pokoju.

– Czy nie jest możliwe, że pierwszą wizję miał również we śnie? Może zasnął podczas pracy, a potem nie chciał się do tego przyznać?

– Brałem taką ewentualność pod uwagę, ale on oczywiście zaprzeczył. Zastanawiałem się również, czy nie spadł z drabiny i nie uderzył się w głowę, ale nie miał żadnych obrażeń ciała.

– Można go uznać za alkoholika?

– Nie był nałogowcem, ale lubił się napić.

– Czy wizja mogła być skutkiem zatrucia alkoholowego?

– Jest taka możliwość.

– Jak często macie tutaj do czynienia z alkoholizmem? Zamrugał powiekami i zdjął okulary.

– Dawniej był to wielki problem. Musieliśmy ciężko pracować, aby go wyplenić.

– Jacy my?

– Ben i ja. Oto dlaczego to, co się dziś wydarzyło, jest pełnym szaleństwem. Alex! Musisz mu pomóc.

– Co miałbym zrobić?

– Porozmawiaj z Dennisem. Wy tłumacz mu, że Ben nie mógł tego zrobić, że on się po prostu nie nadaje na psychopatycznego mordercę.

– Dlaczego Dennis miałby mnie posłuchać?

– Nie wiem, czy cię posłucha, ale musimy spróbować wszystkiego. Twoje wykształcenie i doświadczenie zawodowe czynią cię wiarygodnym. Dennis ceni psychologię, specjalizował się w niej na początku studiów.

– Dlaczego Ben nie nadaje się na psychopatycznego mordercę?

– FBI ma dwa modele takich morderców: prymitywny hulaka o niskim poziomie inteligencji lub wyrachowany sadysta. Ben nie jest żadnym z nich.

FBI wielokrotnie prezentowało w telewizji zespoły cech charakteryzujących seryjnych morderców, uzyskane z wywiadów z tymi, których udało się schwycić. Jednak psychopaci kłamią dla przyjemności i te charakterystyki rzadko prowadziły do ujęcia mordercy, zazwyczaj tylko potwierdzając to, co policja już zdążyła ustalić dzięki szczęściu i mozolnej pracy. Powstało szereg błędnych wyobrażeń: że mordercy seryjni zawsze zabijają ludzi tej samej rasy, że takimi mordercami nie mogą być kobiety...

Ludzie nie są modelami komputerowymi. Ludzie bywają nieobliczalni.

Gdybym nawet bardziej wierzył w pewne schematy, nie uniewinniłbym tak łatwo Bena.

Zaraz po śmierci Lymana Pickera rozmawialiśmy z Robin o jego trudnym charakterze.

Przypomniałem też sobie, jak chłodno i bezosobowo wbijał igły, szczepiąc dzieci.

Rodzinne obciążenie alkoholizmem.

Ciężkie dzieciństwo, prawdopodobne napastowanie przez ojca pijaka.

Sztywność w obejściu. Opanowanie.

Zdarza się, że nadmiernie opanowani ludzie tracą kontrolę pod wpływem narkotyków i alkoholu. Znaczny procent morderców seryjnych właśnie w takich okolicznościach popełnia zbrodnie.

– Porozmawiam z nim – powiedziałem. – Wątpię jednak, czy odniesie to oczekiwany skutek.

– Porozmawiaj także z Benem. Spróbuj odnaleźć w tym jakiś sens. Ja mam spętane ręce, synu.

– Jeżeli mam się dogadać z Dennisem, muszę pozostać bezstronny, nie mogę być adwokatem Bena.

– Tak, masz rację. Dennis jest uczciwy i myśli racjonalnie. I tylko takie argumenty mogą do niego trafić.

– Uczciwy i racjonalny – powtórzyłem. – Jednak nie życzysz sobie, żeby się umawiał z twoją córką.

Te słowa wymknęły mi się wbrew mojej woli.

Wzdrygnął się. Opadł ciężko na fotel przy biurku. Wreszcie odezwał się cichym, pełnym rezygnacji tonem.

– A więc mną pogardzasz.

– Nie, Bill, ale nie mogę powiedzieć, żeby cię rozumiał. Im dłużej tu jestem, tym bardziej wszystko staje się niespójne.

– Naprawdę? – spytał ze słabym uśmiechem.

– Niby tak kochasz wyspę i jej mieszkańców, a jednak zwymyślałeś Pam za to, że kręci się koło Dennisa. To nie moja sprawa – to ty poświęciłeś życie dla Aruk, ja jestem tu tylko gościem.

Otarł pot z czoła i skrzyżował ręce na piersi.

– Zdaję sobie sprawę, że to, co się stało z Benem, jest dla ciebie okropne – powiedziałem. –

Jeżeli jednak mam tu zostać dłużej, muszę się dowiedzieć kilku rzeczy.

– Co cię jeszcze dręczy, synu?

– Fakt, że Aruk jest tak bardzo odcięty od świata. Że mogłeś poświęcić więcej energii na to, żeby zmienić tę sytuację. Mówisz, że jest nadzieja, ale postępujesz jak człowiek całkowicie jej pozbawiony. Zgadzasz się z tobą co do tego, że telewizja jest okropna, ale jak ludzie mają się rozwijać, bez dostępu do informacji? Nawet listów nie dostają regularnie.

Na policzkach pojawiły mu się czerwone plamy, ręce znowu zadrżały.

– Zostawmy to – powiedziałem.

– Nie, nie, rozmawiajmy dalej. Ludzie mają tu książki. Przy kościele jest niewielka biblioteka.

– Kiedy była ostatnia dostawa książek? Zeskrobał coś paznokciem z blatu biurka.

– Co sugerujesz?

– Częstsze dostawy na łodziach. Przystań po stronie zawietrznej jest za mała, by przyjąć duże statki, ale czy łodzie żaglowe nie mogłyby zawijać tu częściej? I skoro marynarka nie pozwala na lądowanie samolotów w Stanton, to dlaczego nie wybudujecie lotniska w zachodniej części?

Jeżeli Amalfi nie zechce współpracować, możesz przeznaczyć na to swoją ziemię.

– A kto to sfinansuje?

– Stan twoich finansów nic mnie nie obchodzi, ale słyszałem, że jesteś bardzo zamożny.

– Kto ci to powiedział?

– Creedman. Roześmiał się zgrzytliwie.

– Czy wiesz, jak Creedman naprawdę zarabia na życie?

– Nie jest dziennikarzem?

– Pracował dla kilku pomniejszych gazet, robił coś dla telewizji kablowej, a przez ostatnie kilka lat pisuje kwartalne sprawozdania dla korporacji. Jego ostatnim klientem był

Stasher-Layman. Słyszałeś o nim?

– Nie.

– Wielkie budowy, głównie w Teksasie. Budownictwo rządowe i inne zlecenia z pieniędzy podatników. Stawiają byle jakie klocki, sprzedają z wysokim zyskiem i przenoszą się gdzie indziej. Prowizoryczne rudery. A Creedman wychwala je pod niebiosa. Pokażę ci te sprawozdania, jeżeli ich nie wyrzuciłem.

– Interesowałeś się nim?

– Po tym, jak został nakryty na myszkowaniu tutaj, pomyślałem sobie, że ostrożność nie zawadzi.

– Rozumiem – powiedziałem. – A więc jest najemnym skrybą na usługach korporacji. Czy mylił się co do twojej zamożności?

Zaczął wyłamywać sobie długie, blade palce. Poprawił okulary. Stracił z biurka jakiś pyłek.

– Nie będę ci wmawiał, że jestem biedny, ale rodzinne fortuny topnieją, o ile spadkobiercy nie są utalentowanymi biznesmenami. A ja nie jestem. Inaczej mówiąc nie stać mnie na wybudowanie lotniska ani na wynajęcie flotyli łodzi żaglowych. Robię, co mogę.

– Dobra – powiedziałem. – W takim razie przepraszam, że poruszyłem ten temat.

– Nie musisz przepraszać. Jesteś jeszcze młody i porywczy. Porywczy, ale posiadasz zdolność koncentracji. A te dwie cechy rzadko chodzą z sobą w parze. „Nie mogę uwierzyć, by zewnętrzne formy zwyciężyły namiętność i życie tryskające z wnętrza” – powiedział Coleridge.

Jeszcze jeden wielki myśliciel, nawet narkotyki nie zniszczyły jego geniuszu... Twoja namiętność widoczna jest nawet w artykułach naukowych. Dlatego zaprosiłem cię, abys tu przyjechał.

– Jak również dlatego, że biorę udział w rozprawach sądowych. Odchylił się na oparcie fotela i roześmiał zgrzytliwie.

– Jesteś spostrzegawczy. Tak, twoje doświadczenie sądowe jest dodatkową zaletą, bo wiesz,

co to dobro i zło. Podziwiam twoje poczucie sprawiedliwości.

– Co ma wspólnego sprawiedliwość z analizowaniem kart chorobowych?

– Powiedziałem to w znaczeniu abstrakcyjnym – chodziło mi o postępowanie w zgodzie z etyką.

– Jesteś pewien?

– Co masz na myśli?

– Niepokoi cię to morderstwo na plaży? Boisz się, żeby coś takiego się nie powtórzyło? Bo jeśli tak, to muszę cię rozczarować. Miałem do czynienia z tymi krwawymi sprawami głównie z powodu przyjaźni z Milem Sturgisem. Jednak to on jest detektywem, nie ja.

Zastanawiał się nad odpowiedzią. Spoglądał na akwarele żony. Wykręcał palce, jakby to były druty do ręcznych robótek.

– Nie boję się, synu. Powiedzmy raczej, że gdzieś w zakamarkach mego mózgu rozważam możliwość powtórzenia. Przy okazji morderstwa na AnneMarie po raz pierwszy zetknąłem się z czymś takim. Więc zacząłem czytać i dowiedziałem się, że nawroty są normą, a ich brak – wyjątkiem. Kiedy więc dowiedziałem się, że oprócz osiągnięć naukowych masz pewne doświadczenia w dziedzinie morderstw, pomyślałem sobie, że bardzo się nadajesz.

– Czy sposób, w jaki zamordowano Betty, przypomina przypadek AnneMarie Valdos?

– Dennis twierdzi, że są pewne... podobieństwa.

– Czy Betty padła ofiarą kanibalizmu?

– Nie... – Uderzył rękami w blat biurka. Za oknami rozległ się szelest skrzydeł. Wyjrzelśmy.

Nietoperze lub nocne ptaki. – Jeszcze nie – powiedział. – Nic nie brakowało. Została... –

Potrząsnął głową. – Odcięto jej głowę i wypatroszono. Wszystko jednak pozostawiono na miejscu.

– A co z kośćmi długimi?

- Jedna noga złamana, pokiereszowana, ale nie odłączona.
 - Jakiego noża użyto? Cisza.
 - Bill, odpowiedz!
 - Noży – odparł z nieszczęśliwą miną. – Znaleziono komplet noży chirurgicznych.
 - Należały do Bena? Pokręcił przecząco głową.
 - Twoje?
 - Stary komplet, którego kiedyś używałem.
 - Dałeś je Benowi?
 - Nie. Przechowywałem je tutaj, w laboratorium. W szufladzie tego biurka.
 - Ben miał do nich łatwy dostęp. Skinął głową.
 - Musisz mi uwierzyć, że Ben nigdy by czegoś nie wziął bez mojego pozwolenia. Nigdy!
- Wiem, że to świadczy przeciwko niemu, ale uwierz mi.
- AnneMarie piła – powiedziałem. – Dałeś do zrozumienia, że Betty także.
 - Dałem do zrozumienia?
 - W domu powiedziałeś, że paliła papierosy i... w tym miejscu przerwałeś i dodałeś, że w czasie ciąży zaczęła o siebie bardzo dbać.
 - Biedactwo nie żyje. Po co brukać jej pamięć?
 - Bo to może mieć znaczenie. Teraz nic jej nie zaszkodzi. Czy była alkoholiczką?
 - Nie. Była... towarzyska. Paliła i piła niewiele.
 - Co to ma wspólnego z towarzyskością?
 - Lubiła towarzystwo marynarzy.
 - Tak samo jak AnneMarie. Była jedną z tych dziewczyn, które dawały się zaciągnąć do parku Zwycięstwa. Czy wiedziano o tym w miasteczku?
 - Nie wiem, o czym wiedziano w miasteczku. Ja dowiedziałem się od jej matki.

- Matka uskarżała się na swobodny tryb życia córki?
- Idą przyprowadziła do mnie Betty, żebym ją wyleczył z choroby wenerycznej.
- Rzeźączka? Skinął głową.
- Kiedy?
- Rok temu. Zanim się zaręczyła. Trzymaliśmy to w tajemnicy przed Mauricio – jej narzeczoną. Jego także zbadałem, pod byle pretekstem. Wynik negatywny. W końcu pobrali się.
- Może się jednak dowiedział i taka była jego reakcja?
- Mauricio? Nie, niemożliwe. To, co z nią zrobiono, jest ponad... Nie, nie, niemożliwe. Mauricio nie jest tak wyrachowany. Nigdy by się nie domyślił, żeby zrobić w to Bena.
- Nie jest dość sprytny?
- Jest prostolinijny. Tak samo jak Betty.

Przypomniał mi się jej szczery uśmiech. Ledwo mnie poznała, a już zaufała na tyle, by opowiadać o sobie. Brak biustonosza pod bluzką...

- Prostolinijna i ufna – powiedziałem. – Lubiła wypić i chętnie zawierała znajomości z chłopcami. Doskonale nadawała się na ofiarę. Co ich łączyło z Benem?
 - Znali się, tak jak wszyscy na wyspie.
 - Czy Ben wiedział o jej chorobie?
 - Nigdy z nim nie rozmawiałem na ten temat – odparł po dłuższym namyśle.
 - Mógł się jednak dowiedzieć, przeczytać w karcie.
 - Ben był zbyt zajęty, by wpychać nos w nieswoje sprawy.
 - Może wpadł na to przypadkowo? Wiemy już, jak przechowujesz akta. Nie odpowiedział.
- Wstał i zaczął chodzić po biurze, kiwając głową i wyłamując sobie palce.
- Dowiedziawszy się o jej chorobie mógł przypuszczać, że jest łatwa – powiedziałem.

- Nie zapisałem diagnozy w moich notatkach. Nie chciałem, żeby ktoś się dowiedział.
- Co zapisałeś?
- Tylko tyle, że miała infekcję wymagającą penicyliny.
- Ktoś z doświadczeniem medycznym Bena mógł się łatwo domyślić prawdy. A testy laboratoryjne? Zniszczyłeś wyniki?
- Nie... ale to i tak niemożliwe. Dlaczego tak rozumujesz?
- Bo mam otwartą głowę. Jeżeli ta rozmowa cię denerwuje, możemy ją zakończyć.
- Nie po raz pierwszy jestem świadkiem takich spekulacji. Właściwie mogłem się już do tego przyzwyczaić. Załóżmy – zgodnie z twoją argumentacją – że Ben wiedział o jej zarażeniu. Dlaczegoż miałby ją wobec tego zamordować?
- Jak już wspomniałem, mógł pomyśleć, że jest łatwa. Mogli utrzymywać stosunki od dłuższego czasu, albo byli ze sobą tylko raz. Tak czy siak poszli razem do parku, upili się i doszło do tragedii.
- To śmieszne! Widziałeś go dziś wieczorem z Claire. On ją kocha. Łączą ich dzieci.
- Wielu psychopatów prowadzi podwójne życie.
- Ben nie jest psychopatą. Nie zabił AnneMarie ani Betty!
- Czy ma alibi w wypadku morderstwa AnneMarie?
- Nigdy nie kazano mu go przedstawiać. Pamiętam jednak jego reakcję. Był pełen odrazy!
- Powiedziałaś mi, że AnneMarie została zabita przez ludożercę?
- Nie! Wiedziałem o tym tylko ja i Dennis. A teraz jeszcze ty.
- Jednakże Ben miał dostęp do informacji. A Dennis wiedział, że sprawozdanie z sekcji AnneMarie znajduje się u ciebie. Jeśli więc Ben przedstawił nawet alibi w związku z pierwszym morderstwem, Dennis mógł podejrzewać, że zaznajomił się on z dokumentacją i postarał się, żeby podejrzewano, iż Betty została zamordowana przez zabójcę AnneMarie.

- Ben nie mógł zabić z premedytacją! Całe to rozumowanie jest z gruntu fałszywe!
- Nikt więcej nie wiedział, jakie obrażenia poniosła AnneMarie.
- Wiedział zabójca, którym nie jest Ben.
- A co z rybakami, którzy znaleźli ciało AnneMarie?
- Alonzo Rubino i Saul Saentz. Są bardzo starzy. I nie znali szczegółów.
- A więc pozostaje tylko Ben.
- Jadłeś z nim dzisiaj kolację, synu. Czy tak zachowuje się krwawy ludożerca? Chcesz mi wmówić, że odwiózł Claire do domu, wsadził ją do łóżka i wyszedł, żeby popełnić zbrodnię?
- Był w parku. Jak to wytłumaczysz?
- Dennis jeszcze go nie przesłuchiwał. Zrobi to dopiero w obecności adwokata.
- Czy Ben może udzielić wyjaśnień? Moreland milczał przez dłuższą chwilę.
- Ze słów Dennisa wynika, że Ben nie jest w najlepszym stanie.
- Kiedy przyjedzie adwokat?
- Dennis zadepeszował do Saipan, prosząc o przysłanie obrońcy z urzędu.
- Na wyspie nie ma prawników?
- Nie. I do dziś nie byli potrzebni.
- Za ile dni może tu być?
- Następną łódź ma zawinąć za pięć dni. Jeżeli baza zezwoli na lądowanie samolotu, może być wcześniej.
- Niby dlaczego baza miałaby się raptem zgodzić na współpracę?
- Bo to jest im na rękę. Następny gwóźdź do trumny Aruk. – Zacisnął pięść i spojrzał na nią, jakby należała do kogoś innego. Rozwarł powoli palce. Bandaż na przedramieniu był brudny.
- Dlaczego marynarka wypowiedziała wyspie wojnę?
- Marynarka podlega rządowi, a rząd chce się pozbyć odpowiedzialności za wyspę.

Aresztowanie Bena jest jeszcze jednym pretekstem, by opuścić dzikusów o morderczych instynktach. Ni mniej, ni więcej tylko ludożercy! I jeżeli łotr, który zabił AnneMarie, był marynarzem, teraz jest poza podejrzeniem. Tak więc skazanie Bena leży w interesie Ewinga.

– Wydawało mi się, że według ciebie zabójca opuścił wyspę.

– Możliwe, że wyjechał i wrócił. Marynarze stale latają tam i z powrotem. Przejrzenie rejestru lotów byłoby bardzo przydatne, ale nie sposób do niego dotrzeć. Dzieli nas nie tylko barykada, Alex.

– A więc twierdzisz, że Dennis w tym czasie nie odkrył podobnego morderstwa?

– Tak. Słyszałem jednak, że w Bangkoku jest restauracja, w której podaje się ludzkie mięso. Być może tylko za takie uchodzi, ale bez wątpienia zdarzają się rzeczy, o których nigdy nie słyszeliśmy. – Potarł łysinę. – Aruk zostanie opuszczony, ale ja nigdy nie opuszczę Bena.

– Czy upadek Aruk jest także w interesie senatora Hoffmana? – spytałem.

– To bardzo prawdopodobne. Jeśli go pozbawisz dyplomatycznej ogłady, będziesz miał zwykłego budowniczego supermarketów.

– W konszachtach z kimś w rodzaju Stasher-Laymana, pracodawcy Creedmana?

– Mnie także przyszło to do głowy.

– Creedmanowi zależy na forsie?

– Otóż to.

– W czasie kolacji Creedman i Hoffman zachowywali się tak, jakby się nie znali, ale podczas dyskusji o kolonializmie, Creedman bronił punktu widzenia Hoffnana.

– Głupiec. – Moreland wyglądał tak, jakby miał zamiar splunąć. – I ta jego książka! Nikt jej nigdy nie widział i nie można się o niej niczego dowiedzieć. I po cóż by go Hoffman zapraszał na tę beznadziejną kolację? On niczego nie robi bez powodu.

– Czy znalazłeś jakiś związek między Hoffmanem a Stasher-Laymanem?

– Jeszcze nie, ale nie możemy się rozdrabniać. Musimy się skupić na pomocy Benowi.

– Czego szukał Creedman, gdy został przyłapany przez Bena?

– Nie mam pojęcia. Tam nie ma nic do ukrycia.

– A teczka AnneMarie Valdos? To Creedman powiedział mi o morderstwie. I o tym, że znasz szczegóły, bo robiłeś sekcję. W jego głosie brzmiał żal. Może zwęszył ciekawą historię?

– Nie. Creedman węszył przed morderstwem AnneMarie. A teraz pozwól, że...

– Jeszcze coś. Po powrocie z rozmowy z Hoffmanem sprawiałeś wrażenie przygnębionego.

Czemu?

– Odmówił pomocy dla Aruk.

– Czy to był jedyny powód?

– A czy to nie wystarcza?

– Po prostu się zastanawiam, czy nie ma między wami jakichś osobistych kwestii spornych.

Wyprostował się w fotelu. Wstał i uśmiechnął się.

– O, tak. Bardzo się nie lubimy. Jednak to stara historia i nie chcę się w niej grzebać.

Postąpiłem głupio z Dennisem ale może tobie pozwoli porozmawiać z Benem. Zadzwoń jutro na policję i poproś go o to. Jeżeli się zgodzi, użyj swych umiejętności, aby wesprzeć Bena psychicznie. On przeżywa koszmar. – Obszedł biurko i położył mi dłoń na ramieniu. – Proszę cię, Alex. Nie doszło do rozmowy o jego kłamstwie na temat udziału w wypłacaniu odszkodowań mieszkańcom Wysp Marshalla, o nocnych rejsach łodziami. I odmówił komentarza na temat swojej reakcji na związek Pam i Dennisa. Tej nocy nic już z niego nie wyciągnę. Może jednak nadarzy się inna sposobność. Albo wcześniej opuszczę Aruk.

– W porządku – powiedziałem – Postawmy jednak sprawę jasno: będę traktował Bena jak niewinnego, dopóki nie przyjedzie adwokat. Chyba że przyzna mi się do zabójstwa Betty albo AnneMarie. Jeżeli tak się stanie, natychmiast idę do Dennisa i składam zeznanie pod przysięgą.

Odsunął się ode mnie i stanął naprzeciw ściany. Patrzył na jedną z akwareli swojej żony.

Były na niej palmy na brzegu oceanu. Podobnym do tego, na którym utonęła.

Delikatne pociągnięcia pędzla, pastelowe kolory. Żadnych ludzi. Straszliwa samotność...

– Zgadzam się na twoje warunki – powiedział. – Cieszę się, że jesteś po mojej stronie.

Wyszliśmy z biura. Po drodze do domu Moreland zauważył jakiś biały kwiat i zaczął opisywać układ jego płatków. W domu schwycił mnie za rękę.

– Dziękuję ci za pomoc.

Patrzyłem, jak odchodzi szybkim krokiem, jakby przybyło mu energii.

Człowiek, który prowadził badania nad drapieżnikami.

Skąd wracał owej nocy, kiedy zauważyłem go z torbą lekarską? Co robił w ciemnym laboratorium?

Rano zatelefonuję na policję, ale najpierw zadzwonię na lotnisko w Saipan i do przedsiębiorstwa wynajmującego łodzie dostawcze.

Przy wejściu do naszego apartamentu powitał mnie Spike. Robin jeszcze nie wróciła. Pewnie rozmawiała z Pam. Za dwadzieścia szósta. Znałem kogoś, z kim mogłem porozmawiać o tej porze.

Po kilku próbach uzyskałem połączenie. Powiedziałem dyżurnemu policjantowi w komisariacie w Los Angeles, że mam pilną sprawę do detektywa Sturgisa.

– Chwileczkę, chyba gdzieś tu jest – odpowiedział. Po chwili zgłosił się Milo.

– Stanley? Tu Livingstone.

– Cześć – odpowiedział. – U was tam pewnie piąta rano?

– Coś w tym rodzaju.

– O co chodzi?

– Mały kłopot.

– Następny ludożerca?

– Prawdę powiedziawszy...

– Cholera, ja tylko żartowałem. Co tam się, do diabła, dzieje? Opowiedziałem mu

o morderstwie Betty.

– Jezu! Po twoim pierwszym telefonie usiadłem do komputera. Na szczęście kanibalizm zdana się nieczęsto. Znalazłem tylko jedną sprawę sprzed dziesięciu lat. Miejscowość o nazwie Wiggzburg, w stanie Maryland.

Obcięta głowa, brakujące organy, roztrzaskane kości udowe i wyjęty szpik. Jednak ujęto sprawców. Dwójkę osiemnastolatków, którzy uznali Lucyfera za swego pana. To on kazał im ukatrupić i skonsumować jedną z miejscowych tancerek topless.

– I gdzie są teraz?

– Przypuszczam, że w więzieniu. Dostali dożywocie. Dlaczego pytasz?

– Jest tutaj dwóch facetów, którzy wówczas mogli mieć około osiemnastu lat. Lubią ciąć mięso i podglądali Robin.

– Są podejrzani o morderstwo?

– Nie. Bardziej nadaje się Ben. Masz chyba nazwiska i rysopisy zabójców z Maryland?

– Mam na biurku fax... Wayne Lee Bourke, Keith William Bonham, obydwaj mulaci, brązowi. Burke miał ponad dwa metry wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt kilo. Bonham metr sześćdziesiąt wzrostu i siedemdziesiąt pięć kilo wagi. Blizna po usunięcia wyrostka...

– Wystarczy. Nie pasują.

– Nie dziwię się. Świat wprawdzie oszalał, ale nie sądzę, by faceci, wysysający szpik z młodych dam, kwalifikowali się do skracania wyroku.

– Jak daleko jest z Wiggsburga do Waszyngtonu?

– Ze dwie godziny jazdy.

– Jest tutaj jeszcze jeden gość, który przebywał swego czasu w Waszyngtonie, też podejrzany. – Opowiedziałem Milo o Creedmanie.

– Tak słyszałem o Stasher-Laymanie, ponieważ budowali osiedla mieszkalne na środkowym

południu w czasach, gdy prowadziłem samochód w siedemdziesiątym siódmym wydziale. Zła kanalizacja, członkowie gangów wynajmowani jako ochroniarze. Ustawiczne kłopoty.

Odsprzedawali kontrakt i zmywali się. Mieli budować nowe więzienie w Antelope Valley, ale władze lokalne dowiedziały się, co to za jedni, zaprotestowały i pozbyły się ich. A co chcą budować na wyspie?

– Nie wiem.

– A jak zareagował doktor Frankenstein na skłonność protegowanego do uctowania w obrębie swego gatunku?

– Zdecydowanie zaprzeczył. Ben był jego dziełem – zresocjalizowanym dzieckiem z marginesu społecznego. Ciekawe, czy w tym środowisku nie popełniono jakiejś poważniejszej zbrodni, którą Moreland przemilczał. Może zechciałbyś zajrzeć jeszcze do komputera?

– Dobra. Daj mi namiary.

– Benjamin Romero. Nie wiem, czy ma jakieś drugie imię. Około trzydziestki. Urodzony na Aruk. Chodził do szkoły w Hawaich i służył tam w straży wybrzeża. Zawód wyuczony i wykonywany – pielęgniarz.

– Dobrze, sprawdzę. A co na to wszystko Robin?

– Jest bardzo dzielna, ale ja chcę stąd wyjechać. Następną dostawą będzie tu za jakieś pięć dni. Jeżeli szeryf Laurent pozwoli nam opuścić Aruk, wsiądziemy na łódź.

– Dlaczego miałby nie pozwolić?

– Moreland i wszystko, co z nim związane, nie ma w tej chwili najlepszej opinii na wyspie. Jesteśmy w areszcie domowym.

– Dziwne, wręcz niezgodne z prawem posunięcie. Chciałbyś, żebym z nim pogadał jak gliniarz z gliniarzami?

– Sądzę, że mogłoby to tylko zaszkodzić. Moreland starał się go przekonać, ale odniosło to

wręcz przeciwny skutek.

– Może mści się na Morelandzie za tamtą scenę w związku z jego córką?

– Możliwe. Jednak najpierw spróbuję to załatwić sam. Jeżeli będę miał kłopoty, możesz być pewien, że się do ciebie zwrócę.

– Dobra... Robactwo i ludożercy. Wcale nie lepiej niż na Hollywood Boulevard.

Czułem się brudny, więc wziąłem prysznic. Kiedy się wycierałem, wróciła Robin. Streściłem jej przebieg rozmowy z Morelandem i Milo oraz zapowiedziałem, że chcę zarezerwować miejsca na najbliższej łodzi.

– Szkoda, że to się musi zakończyć w ten sposób, ale masz rację. – Usiadła na łóżku. – Jak się nazywa ta spółka budowlana?

– Stasher-Layman.

– Jo ma jakieś dokumenty z ich nazwiskiem. Stertę komputerowych wydruków. Myślałam, że jest to związane z jej badaniami. Kiedy spojrzałam w tamtą stronę, przykryła je książką.

– Jesteś pewna, że to był Stasher-Layman?

– Bardzo duże inicjały „S-L” wypisane gotykiem, a niżej nazwisko. Zdążyłam przeczytać, zanim je przykryła. Oko artystki.

– Jo i Creedman – powiedziałem. – Mają powiązania z Waszyngtonem. Dwoje agentów.

Wydawała mi się podejrzana od chwili, gdy w naszej łazience znalazły się te karaluchy. Nic ci nie powiedziałem, bo wydawało mi się to absurdalne, ale ciągle prześladowała mnie myśl, że tamtej nocy Jo była sama w domu. I że usłyszawszy twój krzyk pojawiła się u nas podejrzanie późno. Tłumaczyła to odurzeniem po zażyciu pigułek nasennych, ale dzisiejszej nocy wyszła z pokoju przed nami i była bardzo przytomna. Nie rozumiałem, jaki mogła mieć motyw, ale jeżeli pracuje dla Stasher-Laymana i nie chce, żeby jej przeszkadzano, wszystko staje się jasne.

– W takim razie, dlaczego nie ukryła broni? Trzyma ją na samym wierzchu w walizce, jakby

chciała, żebym ją spostrzegła.

– Może chciała cię przestraszyć?

– Nie sędzę. Nie było między nami najmniejszej wrogości. Wprost przeciwnie, im więcej czasu z nią spędzałam, tym stawała się miłsza. Jakby moja obecność pomagała jej dojść do siebie.

I doszła. W dwa dni zmieniła się z otumanionej środkami nasennymi wdowy we wścibską, spostrzegawczą istotę.

– Najwyraźniej interesowała się morderstwem – powiedziałem. – Zwróciłaś uwagę, jak wypytywała Morelanda? Nie zdziwiłbym się, gdyby ona także była zainteresowana w upadku Arak.

– Jeżeli spółka chce tu budować, dlaczego miałoby im zależeć na upadku Arak?

– Moreland powiedział, że spółka zajmuje się budownictwem finansowanym przez rząd.

Milo pamięta, że były to tanie osiedla mieszkaniowe i więzienia. Może chcą, żeby ziemia staniała.

– Tanie osiedla nie mają sensu, jeżeli ludzie opuszczą wyspę, ale więzienia owszem.

– Właśnie. Nikt nie będzie protestował. I czyż można sobie wyobrazić dogodniejsze miejsce do zsyłania przestępców, niż odległa wyspa pozbawiona bogactw naturalnych? I to tłumaczy obecność Hoffmana. Możliwe, że Stasher-Layman zapłacił mu za znalezienie odpowiedniego miejsca, a on znalazł wyspę Arak, bo pamiętał ją z czasów, gdy był komendantem bazy, i wiedział, że nie będzie tu kłopotów z wyborcami. Jednak kłopotów może przysporzyć Bill, ponieważ należy do niego duża część wyspy. I możliwe, że właśnie dlatego Hoffman zatrzymał się w bazie. Żeby złożyć Billowi ostateczną ofertę, którą on odrzucił. Więc Hoffman próbował wyrzucić na nim presję. Może mu nawet groził.

– Czym?

- Nie wiem, ale kiedy wrócili z rozmowy w cztery oczy, miałem wrażenie, że omawiali sprawy osobiste. A pierwszego wieczora po naszym przyjeździe Bill wspomniał, że poczucie winy może się stać silną pobudką do działania. Może przed laty zrobił coś, o czym chciałby zapomnieć? Może próbuje odkupić winy, będąc przez wszystkie te lata „dobrym doktorem”.
- Alex – powiedziała, dotykając mego ramienia. – Jeżeli rzeczywiście chodzi o tak wielką transakcję, Billowi może zagrażać poważne niebezpieczeństwo. Jak myślisz, czy on sobie zdaje sprawę, czemu się sprzeciwia?
- Nie wiem. Nie mam również pojęcia, jaką propozycję odrzucił.
- A co z Pam? Jako jego spadkobierczyni również może się znaleźć w niebezpieczeństwie.
- Jeżeli jest jego spadkobierczynią.
- Jak to?
- Dlatego, że nie wychowała się na Arak, a Bill traktuje wyspę jak własne dziecko. Nie prowadzi z Pam naukowych dyskusji ani innych poważnych rozmów. Widziałas, jaka była zaskoczona, gdy opowiadał o sytuacji rodzinnej Bena. Ona jest tu obca. Więc wcale bym się nie dziwił, gdyby Bill swoje dobra zapisał w spadku komuś innemu. Komuś mocno związanemu z Arak.

Spojrzała na mnie zdumiona.

- Benowi?
- Ben w pewnym sensie pełni rolę syna doktora.
- I oskarżenie o zabójstwo usuwa go w pewnym sensie z drogi.
- Tak i nic, co o nim usłyszałem, nie przeczy, by mógł być mordercą.

Wprost przeciwnie, to, co opowiadał mi Bill, pasuje do obrazu winowajcy: dostęp do narzędzia zbrodni, karty choroby Betty i sprawozdania z sekcji AnneMarie. I pamiętasz, jak mówiliśmy, że twardy z niego gość? Najmniejszego współczucia po wypadku Pickera. Sposób,

w jaki szczepił dzieci. Jeśli dodać do tego alkoholizm i trudne dzieciństwo, mamy piękną historię psychopaty. Być może to tylko pozory, że jest tak oddany Billowi i wyspie? Może chodzi mu wyłącznie o pieniądze Billa?

– Może... Tak, – jest zupełnie beznamiętny. Kiedy jednak wraz z Claire jadł z nami kolację, wydawało mi się, że jest jakiś inny.

– Psychopaci potrafią się bardzo dobrze maskować.

– Naprawdę sądzisz, że planując zabójstwo mógł zachowywać się tak swobodnie?

– Psychopaci nie okazują niepokoju. Słuchając muzyki Claire mógł odczuwać przyjemny dreszczyk podniecenia.

– Myślisz, że zabił obydwie dziewczyny?

– Nie wiem. Możliwe, że AnneMarie została zmordowana przez marynarza, a Ben posłużył się tą samą metodą, żeby odwrócić podejrzenia.

– Ale po co?

– Mógł mieć romans z Betty. Może dziecko było jego. Może chciał, żeby się go pozbyła.

Kiedy z nią rozmawiałem, wydawało mi się, że jest bardzo przejęta ciążą; ale kto wie, jak było naprawdę.

– Jeżeli Ben jest taki wyrachowany, dlaczego dał się tak głupio złapać?

– To też typowa cecha psychopatów. Pamiętasz Bundy'ego? Uciekł z Waszyngtonu, gdzie zniesiono karę śmierci, i mordował na Florydzie, gdzie wykonuje się takie wyroki. Psychopaci stale robią wszystko na pokaz. Psychiatra Cleckley doskonale to ujął: maska zdrowia psychicznego. W końcu maska opada i pęka na kawałki. Ben pił, żeby się pozbyć swojej maski.

Wzdrygnęła się.

– I tak trudno w tym znaleźć jakiś sens. Rozumiem, że można użyć alkoholu, żeby pozbyć się hamulców. Po co jednak zostawać na miejscu zbrodni i upijać się po zabiciu Betty?

- Możliwe, że wypił trochę przed spotkaniem z Betty, trochę wraz z nią, a potem stracił samokontrolę. Bill powiedział, że Ben pijał wyłącznie piwo. Wódka okazała się za mocna.
- Na to wygląda – powiedziała Robin trąc oczy – ale zawsze sprawiał wrażenie uczciwego człowieka. Mówię chyba jak ci ludzie, z którymi robią wywiady w telewizji. Cóż, można sprawdzić, czyje dziecko nosiła Betty. Kto będzie robił sekcję?
- Dennis zadzwonił do Saipan, żeby przysłano adwokata. Pewnie poprosił również o patologa.
- Prawdziwy horror – powiedziała, opierając się o mnie.
- A co na to Pam?
- Na początku mówiła głównie o Billu. Bardzo się o niego niepokoiła. Chciała mu pomóc, ale czuła się odepchnięta.
- I słusznie.
- Nie da się łatwo zbyć. Uważa, że ma wobec niego dług wdzięczności.
- Za co?
- Za pomoc w trakcie rozwodu. Mówiła też o sobie. Że miewała problemy z mężczyznami jeszcze przed wyjściem za mąż. Pociągali ją faceci, którzy traktowali ją brutalnie – fizycznie i psychicznie. Po rozwodzie była tak załamana, że myślała o samobójstwie. Jej terapeuta chciał, aby znalazła w kimś oparcie. Zadzwonił jej ojciec. Ku zaskoczeniu Pam Bill przyleciał do Filadelfii, został z nią i otoczył opieką. A nawet przeproszał za to, że pozbył się jej z domu po śmierci matki. Powiedział, że nie mógł znieść śmierci żony. Odesłanie Pam okazało się wielką pomyłką, wiedział, że nie będzie jej w stanie odkupić, chciałby jednak, by córka wróciła do domu i dała mu jeszcze jedną szansę. Kiedy jednak znalazła się tutaj... – Spojrzała na zegar. – Już prawie dzień. Powiem ci, o czym się tu przekonałam. Nie mogłabym zostać psychoterapeutą.
- To nie jest zwykły przypadek.

– Wiem, ale i tak to nie dla mnie. Podziwiam cię.

– To paskudna robota, ale ktoś musi ją wykonywać.

– Mówię poważnie, kochanie.

– Dziękuję. Ja ciebie także podziwiam. I pomimo to, co się wydarzyło, nie żałuję, że przyjechaliśmy.

– Ja też nie. – Pogłaskała mnie po włosach. – Za kilka dni wrócimy do domu. Będę wspominała ten pobyt. Aruk to bardzo piękne miejsce. Zapamiętam ją niczym obraz.

Fantazja artystyczna. Nie wątpiłem, że Robin ma talent.

O dziesiątej rano mieliśmy już zarezerwowane miejsca. Za pięć dni powrót do Saipan. Za tydzień do Los Angeles. Czekałem na odpowiedni moment, żeby powiedzieć o tym Morelandowi.

Zatelefonowałem na policję w Aruk. Człowiek o syczącym głosie poinformował mnie, że szef jest zajęty.

– A kiedy będzie wolny?

– Kto mówi?

– Doktor Delaware. Mieszkam u...

– W Knife Castle, tak, wiem. Powiem mu, że pan dzwonił. Robin jeszcze spała, więc zszedłem na śniadanie sam. Jo już tam była. Jadła z wielkim apetytem.

– Dzień dobry – powiedziała. – Zdrzemnąłeś się trochę?

– Odrobinę.

– Kiepska sprawa. Jedzie człowiek na takie odludzie, żeby odpocząć od wielkomięjskich zbrodni, a one gonią za nami jak zły pies. Posmarowałem masłem grzanekę.

– Życie sprawia nam niespodzianki. Nawet na takim odludziu. Otarła usta.

– Tak.

– Odcięcie od świata i ubóstwo. Mamy tu pełen wachlarz aberracji społecznych.

– Tego właśnie dotyczą twoje badania?

– Wygląda na to, że ich nie ukończę; zarezerwowaliśmy już miejsca na łodzi płynącej do Saipan.

– Ach, tak? – Posmarowała bułeczkę dżemem pomarańczowym. Promienie słoneczne utworzyły nad jej głową tęczową aureolę.

– Jak długo zamierzasz zostać? – zapytałem.

- Dopóki nie skończę.
 - Badanie wiatrów – powiedziałem. – Właściwie czego szukasz?
 - Prawidłowości w prądach powietrznych.
 - Słyszałaś o katastrofie na atolu Bikini? Wybuch atomowy nad Wyspami Marshalla. Wiatr zmienił kierunek i pokrył je pyłem radioaktywnym.
 - Słyszałam o tym, ale badam klimat z teoretycznego punktu widzenia. – Ugryzła bułeczkę i spojrzała na niebo. – Nadciągają wilgotne wiatry. Będzie padało. Spójrz. Chmury przesunęły się nad wyspę i pod jasną warstwą obłoków widać było czarne plamy.
 - Kiedy zacznie padać?
 - W ciągu kilku najbliższych dni. Deszcze mogą opóźnić wasz wyjazd. Jeżeli będą silne wiatry, łodzie żaglowe w ogóle tu nie przyłyną.
 - Znosi się na deszcze czy burze?
 - Trudno powiedzieć. Prawdopodobnie domom nic nie zagraża.
 - Pocieszyłaś mnie.
 - Może się skończyć na deszczu i słabych ruchach powietrza. Jeżeli wiatr się nasili, nie wychodź z domu, a wszystko będzie dobrze.
 - Przedsiębiorstwo transportowe nic nie wspominało o opóźnieniach.
 - Nigdy tego nie robią. Mogą odwołać rejs bez ostrzeżenia.
 - Wspaniale.
 - Tutaj ludzie nie czują się skrepowani żadnymi regułami.
 - Jakbym słuchał Waszyngtonu.
- Opuściła bułeczkę i nie odkładając noża spojrzała na mnie z uśmiechem.
- Waszyngton ustanawia własne reguły.
 - Od jak dawna pracujesz dla rządu?

– Odkąd skończyłam studia. – Znowu spojrzała na chmury. – Schodzą niżej i nabierają wody.

Robią się czarne jak smoła i wtedy zaczyna lać. Warto zobaczyć coś takiego.

– Byłaś tutaj już przedtem? Przyjrzała się ostrzu noża.

– Nie, ale bywałam w miejscach o podobnym klimacie. – Jeszcze raz spojrzała na niebo. –

Może być prawdziwe urwanie chmury. Cały problem polega na tym, żeby woda nie przepełniła zbiorników, bo wtedy filtry zawodzą i wzrasta ilość zarazków.

– Myślałem, że Bill panuje nad sytuacją.

– Tylko w wypadku, jeżeli ma dostęp do miasta. A słyszałeś, że jesteśmy tu wszyscy jak na zesłaniu.

– Ty masz przynajmniej broń.

Uniosła brwi. Odłożyła nóż i wybuchnęła śmiechem. Wycelowała palec w czajnik i nacisnęła wyimaginowany spust.

– Straszak? – zapytałem.

– Należał do Ly.

– Jak go przemycił?

– Kupił go na Guam. Zawsze podróżuje uzbrojony.

– Bo badał niebezpieczne regiony?

Nalała sobie soku, upiła trochę i spojrzała na mnie sponad szklanki.

– Sam powiedziałeś, że trudno jest uciec przed zbrodnią.

– Ściśle biorąc, to twoje słowa.

– Ach, rzeczywiście. – Odstawiła szklankę, sięgnęła po bułeczkę, ugryzła i zaczęła

energicznie przeżuwać. – To nie do wiary, że znaleźliśmy się tak blisko psychopatycznego

mordercy. Ben wydawał się w porządku, może trochę był zanadto uległy w stosunku do Billa, ale

nic ponadto. – Potrząsnęła głową. – Nigdy nie wiadomo, co się kryje w ludzkim wnętrzu. A może

ty wiesz?

– Chciałbym wiedzieć.

Sięgnęła do koszyka z pieczywem i wzięła kilka rogalików, bułeczek i ciastek. A także kiść winogron.

– Idę pracować – powiedziała wstając. – Miło się z tobą rozmawiało. Szkoda, że nie będziesz miał czasu rozwiązać zagadek wyspiarskiej psyche.

– Ta wyspa wspaniale nadawałaby się na więzienie. Nie sądzisz? – spytałem. – Terytorium należy do USA, więc nie byłoby żadnych przeszkód. Odcięta od świata, słabo zaludniona, i wokoło ocean.

– Jak Diabelska Wyspa? Interesujący pomysł.

– I bardzo wygodny. Można wywieźć złoczyńców na kraniec świata i zapomnieć o nich.

Z dłoni Jo posypały się okruchy, tak mocno ścisnęła bułeczki.

– Masz zamiar zająć się więziennictwem? – spytała.

– Nie, po prostu głośno myślę.

– Po powrocie do domu złoż taką propozycję w Kongresie.

Na biurku znalazłem jeszcze jedną złożoną kartkę:

Nie pozwól zwodzić się czasowi, Czasu nie zwyciężysz.

W grotach koszmarnego snu,

Gdzie sprawiedliwość pozostaje naga,

Czas spogląda z cienia.

WH Auden

A pod spodem:

Nie sądzisz, że Einstein by się z tym zgodził?

B.

O co mu chodziło? Absolutna władza czasu... Zwodniczość czasu... Einstein – względność czasu? Koszmar – śmierć? Zagrożająca nam śmiertelność?

Stary człowiek tracący nadzieję? Zakamuflowane wołanie o pomoc? Nie miałem nastroju bawić się w zgadywanki.

Przejrzałem kilka historii choroby, ale nie mogłem się skupić. Wracając do domu, natknąłem się na Gladys.

– Cieszę się, że pana złapałam, doktorze. Dennis – szeryf Laurent czeka przy telefonie.

Podniosłem słuchawkę aparatu we frontowym pokoju.

– Doktor Delaware.

Głucha cisza, a potem trzask i głosy w tle. Najdonośniejszy należał do wydającego polecenia Dennisa.

– Jestem tu, szeryfie – powiedziałem.

– Przekazano mi, że ma pan do mnie jakąś sprawę.

– Chciałbym przyjechać do miasta i porozmawiać z Benem. Cisza.

– Po co?

– Żeby mu udzielić moralnego wsparcia. Prosił mnie o to doktor Moreland. Wiem, że żądam zbyt wiele...

– Bez żartów.

– A więc zgoda?

– Pan nie ma na to ochoty, prawda?

– Nie chcę się wtrącać w te sprawy – odparłem. – Kiedy będziemy mogli opuścić posiadłość?

– Jak tylko wszystko się wyjaśni.

– Robin i ja mamy rezerwację na łódź, która odpływa za pięć dni. Nie będziemy mieli trudności?

- Nie mogę niczego obiecać. Zanim nie znajdziemy winnego, nikt nie będzie mógł opuścić wyspy.
- Czy to dotyczy również marynarzy z bazy? Milczał. Hałasy w tle nie ustawały.
- Może faktycznie powinien pan przyjść tutaj i porozmawiać z Benem. Zachowuje się jak wariat. A nie chciałbym, żeby oskarżono mnie o brak właściwej opieki.
- Nie jestem doktorem medycyny.
- To kim pan jest?
- Doktorem psychologii.
- Prawie to samo. Niech go pan zbada.
- Pam jest doktorem medycyny.
- Nie jest lekarzem od głowy. I cóż, już się pan wycofuje?
- Obawia się pan, że Ben targnie się na swoje życie? Znowu cisza.
- Powiedzmy, że nie lubię, kiedy aresztanci zachowują się w taki sposób.
- A co on robi?
- Nic. W tym właśnie rzecz. Nie rusza się, nie odzywa, nie je. Nawet kiedy przyszła do niego żona. Jakby jej nie rozpoznawał. Zdaje się, że nazywacie to katatonią.
- Czy ręce i nogi ma jak z wosku?
- Takie miękkie?
- Czy stoi, gdy się go postawi?
- Nie próbowałem. Nie chcę, by ktoś nas oskarżył o brutalność. Podajemy mu do celi tacę z jedzeniem i pilnujemy, żeby miał dosyć papieru toaletowego. Do przyjazdu adwokata staram się nie naruszać jego praw.
- Kiedy przyjedzie?
- Przyślą adwokata z Guam, baza w Stanton wyraziła zgodę na jego lądowanie. Mam

nadzieję, że za kilka dni. Proszę się nie rozłączać. – Wydał jakieś polecenie i wrócił do telefonu.

– To jak? Przyjeżdża pan, czy nie? Jeśli tak, przyślę po pana samochód, który po rozmowie z Benem odwiezie pana z powrotem. Jeżeli nie, też nie będę miał pretensji.

– Niech pan przyśle samochód – powiedziałem. – Kiedy mam się go spodziewać.

– Jak tylko znajdę kogoś wolnego.

– Dziękuję. I do zobaczenia.

– Niech mi pan nie dziękuje. Nie robię tego dla pana. Ani dla niego.

Przyjechał osobiście, godzinę po naszej rozmowie. Twarz przesłaniały mu okulary przeciwsłoneczne.

Kiedy wyszedłem z domu, spojrział na gargulce na dachu i skrzywił się, jakby naśladował ich grymas. Wsiadłem do samochodu i ruszyliśmy. Objechaliśmy fontannę i wydostaliśmy się przez bramę. Dennis gwałtownie zmieniał biegi i ostro hamował. Do deski rozdzielczej przymocowany był pistolet. Laurent głową niemal sięgał dachu. Widać było, że jest mu niewygodnie.

Kiedy opuściliśmy teren posiadłości, powiedział:

– Daję panu godzinę. Prawdopodobnie i tak jest to dużo, bo on nadal zachowuje się jak posąg.

– Sądzi pan, że udaje?

– To pan jest ekspertem. – Na zakręcie przerzucił biegi. Ręce miał brązowe, umięśnione, pokryte żyłami.

– Powiedział mi, że razem wychowywaliście się.

– Był o kilka lat starszy ode mnie – odparł Dennis – ale trzymaliśmy się razem. Był słaby, więc go broniłem.

– Przed kim?

– Dzieciaki naśmiewały się z niego. Pochodził z pijackiej rodziny. Nie dbał o siebie. Nie

czeszał włosów, nie lubił się myć. Potem zmienił się nie do poznania. – Wystawił głowę przez okno i splunął.

– Kiedy zamieszkał u Morelanda?

– Nagle zaczął się inaczej wyrażać, bez przerwy się uczył, zamawiał ubrania z katalogów.

Doktor Bill kupił mu katamaran. Żeglowaliśmy razem. Ja popijałem piwo, on nie brał do ust ani kropelki.

– Wszystko dzięki dobremu wpływowi doktora Morelanda?

– I wojsku. Służyliśmy w tym samym czasie. Ja byłem w marines, on w straży wybrzeża.

A potem ożenił się, na świat przyszedł dzieci. Chyba uznał, że lepiej iść przez życie prostą ścieżką. Lubiłem tego łajdaka.

– Trudno pogodzić ten obraz z tym, co zrobił. Spojrzał na mnie i dodał gazu.

– Chce pan zastosować do mnie psychoanalizę? Doktor Bill o to prosił?

– Nie, to nawyk zawodowy.

Potrząsnął głową i przyspieszył jeszcze bardziej. Ostatni zakręt koło przystani pokonaliśmy jak na diabelskim młynie.

Ocean był niebieski, srebrzysty w miejscach, gdzie zebrały się chmury.

Laurent zmienił bieg, dodał gazu i zahamował tak ostro, że musiałem się oprzeć o deskę rozdzielczą. Moja dłoń znalazła się tuż koło pistoletu. Zauważyłem, że Dennis gwałtownie zwrócił głowę w moją stronę. Położyłem ręce na kolanach, a on przygryzł policzek i spojrzał przez przednią szybę.

Na wybrzeżu było więcej ludzi niż zazwyczaj. Kręcili się wzdłuż doków i rozprawiali przed zamkniętym sklepem. Otwarty był tylko Slim's Bar, przed którym snuło się więcej niż zwykle pijaków. Palili papierosy i pociągali z butelek. Wśród czarnych głów tubylców zauważyłem jasne włosy Skipa Amalfiego i jego ojca, który krążył nerwowo wśród tłumu.

Skip był ożywiony, mówił coś gestykulując i odgarniając włosy z czoła. Kilku tubylców kiwało głowami i wymachiwało rękami, wskazując w stronę drogi prowadzącej od ulicy Nadbrzeżnej do parku Zwycięstwa.

Laurent włączył wsteczny bieg i ruszył tak szybko, że nie mogłem się skupić na żadnej z twarzy.

Lekceważąc znak stopu na ulicy Nadbrzeżnej, skręcił gwałtownie w prawo i pomknął w stronę centrum. Parking przed otynkowanym na biało budynkiem był zajęty. Dennis stanął za rozsypującą się toyotą, wyjął kluczek ze stacyjki, zabrał pistolet i wysiadł, trzymając broń przy udzie. Był tak wysoki, że pistolet wyglądał jak zabawka.

Zatrzasnął drzwi samochodu i ruszył przez placyk. Ludzie rozstępowali się, by go przepuścić. Szedłem szybko za nim, żeby nie słuchać komentarzy.

Pokój od frontu był mały, ciemny i duszny, przesiąknięty tłustą wonią zupy z puszki. Na odrapanych ścianach wisiały portrety poszukiwanych przestępców, komunikaty Interpolu, najnowsze zarządzenia federalne. Dwa biurka zavalone były stosami papierów i stały na nich aparaty telefoniczne. Na jednym z biurek znajdowała się też elektryczna maszynka do gotowania. Jediną barwną plamą był kalendarz jakiejś firmy sprzedającej narzędzia, przedstawiający brunetkę o bujnych kształtach w czerwonym kostiumie bikini wielkości chusteczki do nosa. Zastępca szeryfa, człowiek w średnim wieku, o opalonych udach, pisał coś, żując wykałaczkę. Miał kościstą twarz, zarośnięty szczecina podbródek i zapadnięte policzki. Brakowało mu przednich zębów. Cienkie, siwiejące, nierówno ostrzyżone włosy zwisały mu na kołnierzu. Mundur wymagał odprasowania, ale metalowa tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem Ruiz była wypolerowana i lśniąca.

– Ed – powiedział Dennis. – To jest doktor Delaware, psycholog z zamku.

Ed odepchnął się od biurka i nogi jego składanego krzesła zaszurały o linoleum. Miał

zmarszczki pod oczami. Po jego lewej ręce leżała plastikowa torebka z drewnianymi wykałaczkami. Pochylił się nad koszem na śmiecie, wypłuł przeżuwaną wykałaczkę, wyjął nową i założył ręce za głowę.

– Coś nowego? – spytał Denis.

– Nic. – Ed przesuwiał wykałaczkę językiem i przyglądał mi się.

– Żadnych numerów ze strony żartownisiów od Slim'sa?

– Nie, tylko dużo gadania – mruknął i sięgnął lewą ręką do rewolweru u pasa.

Coś mi się przypomniało, ale odepchnąłem tę myśl.

– Przejdź się na wybrzeże i sprawdź, co się dzieje. Ed wzruszył ramionami i uniósł się z krzesła. Zgarnął do kieszeni trochę wykałaczek i zniknął za drzwiami.

– Może pan usiąść na jego krzesło – powiedział Dennis. Zająłem miejsce pod miss

Redi-Lathe, a Dennis przysiadł na brzegu sąsiedniego biurka i skrzyżował ręce na piersi.

– Ed nie sprawia najlepszego wrażenia, ale można na nim polegać. Służył w marinę. Zdobył w Wietnamie tyle medali, że mógłby założyć sklep jubilerski.

– I także jest mańkutom.

Dennis zdjął okulary przeciwsłoneczne. Jego oczy były jasne i twarde jak butelkowe szkło.

– Co ma pan na myśli?

– Przypomniało mi się, że Ben jest leworęczny. Wiem, bo widziałem, jak szczepił dzieci w szkole. Czytałem sprawozdanie z sekcji AnneMarie Valdos. Moreland napisał, że morderca prawdopodobnie był praworęczny.

– „Prawdopodobnie” nie oznacza na pewno. Nie odpowiedziałem.

– Moreland nie jest sądowym specjalistą od sekcji – rzekł Laurent.

– Był wystarczająco dobry, żeby dokonać sekcji w przypadku Valdos. Dennis znowu przygryzł policzek i uśmiechnął się półgębkiem.

- Wynajął pana, żeby podważyć wyniki śledztwa?
- Prosił mnie tylko o to, żebym udzielił Benowi moralnego wsparcia. Jeżeli przeszkadzam tutaj, proszę mnie odwieźć z powrotem. Dennis uśmiechnął się.
- Można by sądzić, że wyprowadziłem pana z równowagi, a przecież psychologowie powinni być cierpliwi.
- Przyjechałem na Aruk, żeby wykonać pewną interesującą pracę i uciec przed wielkomiejskim życiem. Jednak od samego początku zdarzają się tu dziwne rzeczy, a teraz pan traktuje mnie jak jakieś popychadło. Nie jestem taki jak Moreland i nie podoba mi się, że umieszczono mnie w areszcie domowym. I oznajmiam panu, że odpłynę tą łodzią. Wstałem.
- Spokojnie – powiedział. – Niech pan siada. Zrobię kawę. – Włączył maszynkę i postawił na biurku torebki z kawą i śmietanką oraz dwa styropianowe kubki. – Nie będzie to café au lait z Beverly Hills.
- Ważniejsze jest to, o czym będziemy przy niej rozmawiać. Uśmiechnął się i zniknął za drzwiami. Usłyszałem, że nalewa wodę. Po chwili wrócił z metalowym czajnikiem i postawił go na maszynce.
- Jeśli woli pan stać, proszę się nie krępować – powiedział. Usiadłem dopiero wtedy, gdy woda w czajniku zaczęła bulgotać.
- Czarna czy ze śmietanką?
- Czarna.
- Twardziel. – Zachichotał. – Przepraszam, jeśli źle pana potraktowałem. Podał mi kubek z kawą. Była okropna.
- Dobrze wiem, że Ben jest leworęczny – powiedział. – Jednak Moreland powiedział, że w przypadku AnneMarie morderca był praworęczny, o ile cios zadano od tyłu. O tak. – Odgiął głowę do tyłu eksponując jabłko Adama i przeciągnął ręką po gardle. – Jeżeli cios był zadany od

przodu, morderca mógł być leworęczny. – Napił się kawy. – Tak, wiem, co pan sobie myśli. Że przerwaliśmy śledztwo, nie doprowadziwszy sprawy do końca. Jednak to nie jest wielkie miasto i nie stać nas na sprawdzenie każdego tropu.

– W wielkim mieście także nie zawsze doprowadza się sprawę do końca. Widywałem, jak palono domy w L. A., a policjanci siedzieli z założonymi rękami, czekając na instrukcje jakichś bezmózgich przełożonych.

– Nie lubi pan gliniarzy?

– Mój najlepszy przyjaciel jest gliniarzem.

Wsypał śmietankę do swego kubka i zamieszał ostrożnie.

– Wezwałem patologa. Przejrzy wyniki sekcji AnneMarie i Betty. Nie wiem, czy będzie w stanie stwierdzić, którą ręką zabito Betty, ponieważ głowa została całkowicie odcięta. Nie jestem ekspertem.

Wstał i usiadł za biurkiem umieszczając nogi na blacie.

– Czy ma pan wewnętrzne przekonanie, że Ben jest winny? – zapytałem.

– Wewnętrzne przekonanie? A cóż ono jest warte?

– Mój przyjaciel, detektyw z wydziału zabójstw, zawsze się nim kieruje. Przeczucie prawie nigdy go nie zawodzi.

– Cóż, ma szczęście. Ja stanowią jedną trzecią sił policyjnych na maleńkiej wysepce. Ed jest moją główną podporą, drugi zastępca jest jeszcze starszy od niego.

– Chyba dotychczas nie potrzebowaliście nikogo więcej.

– Dotychczas nie... Myśli pan, że Ben jest winny? Wszystko świadczy przeciwko niemu, a on nie usiłuje temu przeczyć. Jediną osobą, która go nie podejrzewa, jest doktor Bill z tym swoim...

Potrząsnął głową.

– Ze swoim uporem?

– Chciałem użyć słowa „fanatyzm” – sprostował z wymuszonym uśmiechem. – Proszę mnie źle nie rozumieć, ale na nic wszelkie perswazje, jeśli coś sobie wbije do głowy. Bardzo pomógł mnie i mojej matce, wydzierżawił jej restaurację i dopóki interes się nie rozkręcił, nie musiała za nią płacić. Opłacał moje studia. Ostatniej nocy, kiedy na niego wrzeszczałem, czułem się strasznie podle. Jednak on jest jak piskorz, zawsze się wywinie. Czego ode mnie, do diabła, wymaga? Żebym wypuścił Bena i spokojnie patrzył, jak na wyspie dochodzi do buntu?

– Czy ludzie mogą się zbuntować?

– Jest gorąco jak nigdy dotąd – o wiele gorzej niż po zabójstwie AnneMarie, a i wtedy były kłopoty.

– Ten marsz na południe?

– Żaden marsz, po prostu paru wrzeszczących i wymachujących kijami chłopaków. I proszę, do czego doszło. Teraz ludzie uważają, że oszukano ich, zwalając winę za zabójstwo AnneMarie na marynarza, i są jeszcze bardziej rozwścieczeni.

– Że zostali oszukani przez Bena?

– I przez doktora Billa. Ponieważ traktują Bena jak syna doktora. I chociaż ludzie podziwiają doktora Billa, są... na niego wściekli. Opowiadają o nim różności.

– Co takiego?

– Że hoduje te wszystkie owoce i warzywa, dla niepoznaki przynosi trochę do miasta, ale sam gromadzi zapasy.

– Czy to prawda?

– Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Ludzie zatrudnieni w posiadłości rozpowiadają, że robi jakieś cuda z odwadnianiem, badaniami nad żywnością. Kogo to obchodzi? Dlaczego inni nie spróbują takich upraw? Moja matka uprawia. Doktor zaopatrzył ją wiele lat temu w odpowiednią ziemię i dał nasiona. Teraz uprawia własne chińskie warzywa na potrzeby restauracji. Jednak

ludzie wolą wyrzekać i nic nie robić. Niewiele potrzeba, żeby zaczęli mieć jęzorami.

AnneMarie nie była tutejsza, ale wszyscy znali i lubili Betty.

– Łącznie z marynarzami? Odwrócił się ku mnie.

– I co z tego? – zapytał.

– Moreland powiedział, że się z nimi zadawała. Tak samo jak AnneMarie.

– Zadawała... tak, Betty lubiła poszaleć, zanim się zaręczyła, ale dla pańskiego bezpieczeństwa nie radziłbym tego powtarzać.

– Czy możliwe, że Betty i Ben mieli romans?

– Kto wie? Cokolwiek jednak Betty robiła, była dobrą dziewczyną. Nie zasługiwała na to, żeby ją tak zarznąć.

– Wiem. Rozmawiałem z nią ostatniego ranka przed śmiercią. Odstawił kubek.

– Gdzie?

– W sklepie. Kupiłem coś do picia i kilka czasopism. Opowiedziała mi, że spodziewa się dziecka. Zdjął nogi z biurka.

– Tak, podobno była bardzo przejęta ciążą. – Na jego twarzy pojawił się wyraz niekłamanego bólu. – Ktokolwiek to zrobił, zasługuje na to, żeby mu uciąć jaja i wepchnąć do gardła. –

Zadzwoił telefon. Dennis podniósł słuchawkę. – Słucham. Nie, jeszcze nie. Nie, dopóki nie przyjedzie jego adwokat... Nie wiem. – Odłożył z trzaskiem słuchawkę. – Pan Creedman. Chce z tego zrobić historyjkę dla wiadomości.

– Nadarzyła się okazja.

– Jaka?

– Jest pisarzem. Teraz ma o czym pisać.

– Co pan o nim sądzi?

– Sam nie wiem.

– Ja także. Pierwszego dnia po przyjeździe napatoczył się na moją matkę. Musiała przywołać go do porządku.

Spojrzał na mnie. Był przystojnym mężczyzną, ale mnie przypominał gotującego się do ataku nosorożca.

– Więc niech mi pan powie, doktorze. Czy według pana Ben należy do tych facetów, o których się mówi: „To niemożliwe, on tego nie zrobił”?

– Nie znam go wystarczająco dobrze, by odpowiedzieć na to pytanie. Roześmiał się.

– To mi wystarcza. Bynajmniej nie mam nic przeciwko niemu. Zawsze go podziwiałem, że wydobył się z bagna. Ja wychowałem się bez ojca, ale moja matka może zastąpić dziesięcioro rodziców. Matka Bena była pijaczką, a ojciec prawdziwym draniem, bił go dla przyjemności.

Czy według was, psychologów, nie jest to sposób na wyhodowanie mordercy?

– Zdarza się. Jednak jest mnóstwo napastowanych dzieci, które nie wyrosły na brutalni, a także wielu ludzi z dobrych domów, którzy zeszli na złą drogę.

– Jasne – zgodził się. – Wszystko może się zdarzyć. Mówimy jednak o wyjątkach.

Studiowałem psychologię, wiem, jakie znaczenie ma wychowanie we wczesnym dzieciństwie.

Myślę, że ktoś taki jak Ben może się załamać. Uważam, że to bardzo dziwne, że od tamtej pory tak długo zachowywał się normalnie.

– Od jakiej pory?

Zamiast odpowiedzieć dokończył kawę. Ja swojej prawie nie tknąłem. Zauważył to.

– Tak, to lura. Może wolałby pan herbatę?

– Nie, dziękuję.

– Sytuacja jest naprawdę kiepska – powiedział do pustego kubka. – Rodzina Betty, Mauricio.

Claire, jej dzieci. Wszyscy żyją tak blisko, ludzie nie mogą przed sobą uciec.

Znowu zadzwieczał telefon. Dennis zbył rozmówcę kilkoma słowami.

– Każdy chce się wszystkiego dowiedzieć. – Spojrzał ponad moją głową na dziewczynę w bikini. – Muszę z tym zrobić porządek. Ed i Elijah lubią oglądać takie rzeczy, ale to nie uchodzi w tym pomieszczeniu. – Wstał i podszedł do mnie. – Wiele widziałem, doktorze, ale nigdy czegoś takiego, co zrobiono z tymi dwoma kobietami.

– Jest coś, o czym powinien się pan dowiedzieć. Kiedy przeczytałem opis sekcji Valdos, zadzwoniłem do mego przyjaciela detektywa. Poszukał podobnych morderstw i znalazł jedno. Sprzed dziesięciu lat. Miało miejsce w Maryland.

– Dlaczego prosił go pan o to?

– Ja go nie prosiłem. Zrobił to z własnej woli.

– Dlaczego?

– Jest wścibskim facetem.

– Chciał sprawdzić dzikusów z wyspy, co? Tak, słyszałem o tym. Dwóch satanistów zjadło dziewczynę. – Dorzucił parę szczegółów. – Mój komputer dobrze działa.

– Co pan sądzi o podobieństwach?

– Myślę, że satanistyczna psychoza ma zawsze podobny scenariusz.

– Czy są jakieś dowody na to, że Ben mógł być satanistą?

– Nie.

– Czy spotkał się pan z jakimiś przejawami satanizmu na Arak?

– Ani śladu. Wszyscy są katolikami. Jednak Ben był dziesięć lat temu w Hawajii – kto wie, z czym mógł się tam zetknąć.

– Czy jeździł na kontynent?

– Na przykład do Marylandu? Sprawdzę to. Z tego, co wiem, mordował dziewczyny w Hawajii i nigdy nie został schwytany. Miał szczęście, że nakryto go tylko raz na ekshibicjonizmie. – Widząc moje zdumienie, uśmiechnął się. – Oto co miałem na myśli mówiąc

o tym, że od tamtej pory zachowywał się normalnie.

– Kiedy to było? – spytałem.

– Dziesięć lat temu. Zaglądał w okno pewnej damy, portki miał opuszczone, fiuta na wierzchu. Służył wtedy w straży i jakoś to zatuszowano. Spędził trzy miesiące w areszcie wojskowym. Od tego zaczął niejeden zabójca seksualny, prawda? Podglądać i bić konia, a potem przejść do czegoś bardziej konkretnego?

– Zdarza się.

– I tym razem się zdarzyło – powiedział z niesmakiem. – W porządku, daję panu godzinę.

Za drzwiami pancernymi znajdowały się małe, ciemne pokoiki i wąskie korytarze. Z tyłu były jeszcze jedne obite blachą drzwi, zamknięte na solidną żelazną zasuwę.

Laurent opróżnił mi kieszenie i zdjął z ręki zegarek. Ułożył moje rzeczy na stole, obok swego pistoletu. Odsunął rygiel i schował klucz do kieszeni. Popchnął drzwi i przepuścił mnie przodem.

Ponure szare ściany i smród ekskrementów. Dwie cele więzienne. Klatki długie na trzy kroki.

Cementowa podłoga, zakratowane mętne okienka, piętrowe prycze, przykute do ściany.

Sufit znajdował się na wysokości dwóch metrów od podłogi. Grzyb na ścianach.

Laurent zauważył na mojej twarzy wyraz obrzydzenia.

– Witamy w zachodnim Istambule – powiedział bez odrobiny satysfakcji. – Zazwyczaj nikt nie przebywa tu dłużej niż kilka godzin. Tyle, ile trzeba, żeby wytrzeźwieć.

Pierwsza cela była pusta. Ben siedział na pryczy w drugiej celi. Podpierał dłonią brodę.

– Proszę, proszę – powiedział głośno Laurent. – Wygląda, jakbyśmy się poruszyli.

Ben ani drgnął.

Zgrzytnął klucz i znalazłem się w celi, zamknięty od zewnątrz. Laurent został na korytarzu.

– Powierzy mi pan swój portfel i zegarek, doktorze?

– Czy mam wybór? – zapytałem z uśmiechem.

– Ma pan godzinę – powiedział, postukując w swój zegarek. – Drzwi do biura zostawiam otwarte. W razie czego niech pan krzyczy.

Wyszedł. W celi odór był jeszcze mocniejszy. Upał nie do zniesienia.

Ogromna ciasnota. Przyglądając się grafitti, odsunąłem się jak najdalej od kibla. Nazwiska, daty – wszystkie odległe. Nad pryczą rysunek żeńskich genitaliów. I napis: „Zabierzcie mnie z tej dziury!”

Ben nie poruszył się. Spoglądał tępym wzrokiem.

– Cześć – powiedziałem cicho. Mimo woli się garbiłem, chociaż nie sięgałem głową sufitu.

Cisza trudna do zniesienia.

– Przysłał mnie doktor Bill, żebym się przekonał, czy można ci jakoś pomóc.

Siedział nieruchomo. Nie drgnęła mu nawet powieka. Włosy miał przetłuszczzone, po twarzy ściekały strugi potu. Moja koszula także była już przepocona.

– Ben!

Wziąłem go za prawą rękę. Usztywniona, nie poddająca się, jakby się opierał.

Żadnej katatonii.

Powtórzyłem powitanie.

Jakby mnie nie słyszał.

Jeszcze trzy próby.

Minęło pięć minut.

– W porządku – powiedziałem. – Jesteś więźniem politycznym, który milczeniem protestuje przeciwko niesprawiedliwości.

Żadnej odpowiedzi.

Poczekąłem jeszcze chwilę. Policzki miał zapadnięte – prawie tak samo jak Moreland – oczy wpatrzone gdzieś w dal.

Bez okularów. Zabrano mu je. Razem ze sznurowadłami, zegarkiem i wszystkim, co było ostre. Na karku wzbierał mu czyrak.

Wpatrywałem się w niego z nadzieją, że moje spojrzenie wywoła jakąś reakcję. Paznokcie miał obgryzione niemal do żywego mięsa, jeden kciuk zakrwawiony. Czy zawsze obgryzał paznokcie? Nie zauważyłem. A może Betty Aguilar broniła się i oderwała mu kawałek paznokcia? Żeby to zamaskować poobgryzał pozostałe.

Rozejrzałem się po podłodze w poszukiwaniu kawałków paznokci. Nic oprócz wdeptanego

brudu, ale mógł je wrzucić do służącej za kibel dziury w podłodze. Pod pryczą nieliczne duże czarne mrówki. Po okazach w zoo Morelanda wydały mi się śmiechu warte.

Żadnych zadrapań na twarzy i rękach.

Był blady.

– Dajesz sobie radę bez okularów?

Cisza.

Policzyłem powoli do tysiąca.

– Człowiek niewinny tak się nie zachowuje, Ben. Nic.

– Co z twoją rodziną? – zapytałem. – Z Claire i dziećmi? Brak odpowiedzi.

– Ja wiem, że to jest dla ciebie koszmarne przeżycie, ale w ten sposób wcale sobie nie pomagasz. Nic.

– Jesteś szalony – powiedziałem tak głośno, jak tylko mogłem, żeby nie zwrócić uwagi

Dennisa. – Jesteś głupio uparty jak Moreland, a czasami warto zdobyć się na niezależność.

Niekontrolowany tik.

A potem znowu kamienny wyraz twarzy.

– Grzechy ojca – ciągnąłem. – Ludzie już się doszukują związku. Dolna warga drgnęła.

– Winny przez współudział – mówiłem. – Dlatego musiałem przyjść do ciebie. Moreland jest uwięziony w posiadłości, bo Dennis boi się, że ludzie mogą mu zrobić coś złego. Wszyscy jesteśmy uwięzieni. Paskudna sprawa.

Cisza.

– Ludzie są rozgniewani, Ben. Jest tylko kwestią czasu, kiedy zaczną się zastanawiać, czy

Moreland nie jest kimś w rodzaju doktora Frankensteina i co robi w swoim laboratorium. Czy przypadkiem AnneMarie i Betty nie były również jego ofiarami.

Warga opadła mu i zaraz ją przygryzł.

Dałem mu kilka minut czasu, a potem podszedłem bliżej i szepnąłem mu do ucha.

– Jeżeli rzeczywiście jesteś taki lojalny, powiedz mi, co się stało. Jeżeli zarząłeś Betty z własnej inicjatywy, przyznaj się, a udowodnisz ludziom, że Moreland nie ma z tym nic wspólnego. Jeżeli było inaczej, także im powiedz. W ten sposób nie pomagasz ani sobie, ani nikomu innemu.

Nic.

– Chyba, że Moreland ma z tym coś wspólnego. Żadnej reakcji.

– Może i ma. Te jego nocne spacerunki... Bóg jeden wie, co on robi. Widziałem go kiedyś o drugiej w nocy z torbą lekarską w rękę. Kogo mógł leczyć? I te narzędzia chirurgiczne należały do niego.

Szarpnął głową.

– Co? – zapytałem. Zacisnął usta.

– Prowadzi badania nad drapieżnikami. Może jego zainteresowania nie ograniczają się do owadów.

Zamrugnął szybko powiekami. Dokładnie tak samo jak Moreland, kiedy był zdenerwowany.

– Czy wciągnął w to ciebie, Ben? Nauczył cię? Doktor Mengele z wyspy Aruk?

Potrząsnął głową. Najpierw ostrożnie, potem energiczniej.

– Dobra – powiedziałem. – W takim razie po co to milczenie? Znowu znieruchomiał.

– Chcesz, żebym uwierzył, że zrobiłeś to sam. W porządku. Nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę historię twojej rodziny. Cisza.

– I twoją przestępczą przeszłość – dodałem. – Niektórzy ludzie, dokonujący zabójstw o podłożu seksualnym, zaczynali właśnie od podglądania.

Szukali lepszych sposobów na impotencję. AnneMarie nie została zgwałcona i założę się, że Betty także nie. Zamrugnął powiekami.

– Dennis opowiedział mi o aresztowaniu w Hawan. Wkrótce dowiedzą się o tym wszyscy, nie wykluczając Claire i dzieci. I doktora Billa. Jeżeli jeszcze o tym nie wie.

Westchnął ciężko.

– Czego jeszcze dokonałeś w tamtym czasie? Byłeś na kontynencie? Zwiedzałeś coś – może Waszyngton? Puste spojrzenie.

– Jesteś podglądaczem – powiedziałem. – Vivaldi na tarasie nie odmieni tych skłonności. Cokolwiek jeszcze zrobiłeś, wypłynie prędzej czy później. Niech no tylko gliny zaczną węszyć. Żadnej reakcji.

– Wspomniałem Waszyngton nie bez powodu. Niedaleko stamtąd, w Maryland, jest miejscowość o nazwie Wiggsburg.

Spuścił oczy. Zaintrygowany? Zrozpaczony? A potem znów spojrzał prosto przed siebie i znieruchomiał, jak wtedy, gdy wszedłem do celi.

Byłem cały oblany potem. Odór siarkowodoru już mi nie przeszkadzał.

– A najśmieszniejsze, Ben, jest to, że ciągle nie mogę uwierzyć w twoją winę. Na przekór wszelkim dowodom. Czy ty naprawdę lubisz jeść ludzi? Dziwne w przypadku człowieka wychowanego przez wegetarianina. Chyba że właśnie to było powodem.

Jego oddech stał się bardzo ciężki i szybki.

– Czy to twoja metoda wymierzenia policzka Morelandowi? Wciągnął głęboko powietrze i wstrzymał oddech. Zacisnął pięści, aż knykcie mu zbieleły. Odsunąłem się, ale nie dałem za wygraną.

– Mózdzek, wątróbka. Szpik kostny. Jak to się zaczęło? I kiedy? Z wszelkich sił starał się nie stracić opanowania.

– Moreland uczył cię medycyny. Czy także sekcji?

Napiął się. Twarz nabrała odcienia szarej kamiennej podłogi.

Starał się opanować.

Oczy mu znieruchomiały.

Zebrał się w sobie.

Liczyłem powoli. Do dwóch tysięcy.

Stałem i przyglądałem mu się.

Przycisnął rękę do mostka.

Jego oczy nagle pojaśniały.

Nie z radości.

Obmyte łzami.

Zaczął dygotać. Rozłożył szeroko ręce, jakby oczekując ukrzyżowania.

Patrzył na mnie.

Opuścił ramiona.

Odwrócił się i wyszeptał:

– Przepraszam.

– Za co, Ben? Długa cisza.

– Za to, że się w to wpakowałem.

– Że się w to wpakowałeś? Powolne skinienie głową.

– To głupie – powiedział tak cicho, że ledwo mogłem go dosłyszeć.

– Co było głupie?

– Że się w to wpakowałem.

– Że zabiłeś Betty?

– Nie – odpowiedział z nagłą mocą. Pochylił się tak nisko, że dotykał czołem kolan. Odsłonił kark jak pod miecz kata. Czyrak spoglądał na mnie wściekłym okiem cyklopa.

– Nie zabiłeś jej?

Potrząsnął głową i coś zabełkotał.

– Co chcesz powiedzieć, Ben?

– Ale...

– Ale co? Cisza.

– Ale co, Ben?

– Nikt mi nie uwierzy.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego.

– Wiem tylko tyle, ile powiedział mi Dennis. Jak mogę uwierzyć w co innego, jeżeli nie chcesz mi powiedzieć?

– Dennis nie uwierzy.

– Dlaczego? Spojrzał w górę.

– On mnie zna.

– Jeżeli masz alibi, podaj mu je. Wyprostował się i utkwiał spojrzenie w ścianie. Potrząsnął głową.

– O co chodzi?

– Nie mam alibi.

– Więc jaka jest twoja wersja? Znowu potrząsnął głową. Cisza.

– Jakie jest twoje ostatnie wspomnienie, zanim znaleźli cię z Betty? Żadnej odpowiedzi.

– Kiedy zacząłeś pić tej nocy?

– Nie piłem.

– Byłeś pijany, kiedy cię znaleziono.

– Tak mówią.

– Nie piłeś, ale byłeś pijany?

– Ja nie piję.

– Od kiedy?

– Od dawna.

– Od czasu, gdy skończyłeś z tym w szkole średniej? Wahanie. Skinięcie głową.

– Byłeś pijany w Hawaii? Wtedy, kiedy złapano cię na podglądaniu? Rozpłakał się znowu.

A potem odchrząknął i zeszywniał.

– Co się stało w Hawaii, Ben?

– Nic. To było wielkie... nieporozumienie.

– Nie podglądałeś?

Nagle roześmiał się tak gwałtownie, że aż podskoczył na trzeszczącej pryczy.

A potem zassał policzki, i robiąc żalostną minę kłowna, dziwacznie kontrastującą z wybuchem śmiechu.

– Wielka pomyłka. Wielka, wielka, wielka pomyłka. Zamilkł i znów się roześmiał.

Załamane psychiczne? A może symulacja?

– Nic z tego nie rozumiem, Ben. Twierdzisz, że nie zabiłeś Betty, ale bardzo dobrze się czujesz w roli podejrzanego. Może ma to coś wspólnego z Morelandem? Wracani do posiadłości, żeby z nim porozmawiać.

Podszedłem do drzwi celi.

– I tak nie zrozumiesz.

– Zaryzykuj. Potrząsnął głową.

– Cóż to za cholerna tajemnica, którą nie możesz się podzielić? Wydobyłeś się z bagna, a teraz mają cię znowu traktować jak wyrzutka społeczeństwa. Jasne, to okrutna ironia losu, ale to, co przydarzyło się tym dziewczynom, było o wiele okrutniejsze, więc wybac mi, że nie mogę ci współczuć.

– Ja... – i zamilkł potrząsając głową.

– Jestem psychologiem, Ben. Nie takich rzeczy wysłuchiwałem.

– Tracisz... tracisz czas. I doktor Bill także. Lepiej dajcie sobie spokój.

– Dlaczego?

– Nie wykorzystałem szansy. Może z powodu pochodzenia. Tak jak powiedziałeś:

szumowina, wyrzutek społeczeństwa. Zanim doktor Bill mnie przygarnął, chcieli mnie zamknąć w poprawczaku. Robiłem... złe rzeczy.

– Złe rzeczy?

– Dlatego wszyscy mnie podejrzewają. Dennis mnie zna. I myśli, że to ja zrobiłem. Kiedy mnie tu prowadzili, ich twarze, wszystkie twarze...

Utkwił spojrzenie w ścianie. Włożył palec do ust, usiłując obgryźć to, co zostało z paznokcia.

– Jakie były ich twarze? – spytałem. Wyjął palec z ust.

– Nie! Tracisz czas! Znaleźli mnie tam. Przy niej. Ja wiem, że nie zrobiłbym tego – nie mógłbym tego zrobić, ale znaleźli mnie tam. Co mogę powiedzieć? Zaczynam myśleć, że...

Tym razem nie powstrzymał łez.

Kiedy przestał szlochać, powiedziałem:

– Zrobiłeś coś takiego przedtem?

– Nie!

– Zabiłeś AnneMarie Valdos?

– Nie!

– A co z ty podglądactwem?

– To głupia sprawa! Byliśmy w kilku na tygodniowym urlopie. Poszliśmy do klubu w Waikiki. Wszyscy pili i bawili się. Zwykle brałem napój imbirowy, ale wtedy pomyślałem, że sobie poradzę. Głupota. Wypiłem piwo. A potem drugie... Jestem durniem, prawda?

Usiłowaliśmy poderwać jakieś dziewczyny, nie udało się. Poszliśmy się przejść po lepszej dzielnicy. Musiałem się... oddać mocz. Stałem pod garażem koło jakiegoś domu. Okno było otwarte. Usłyszała mnie. Złapano nas. To znaczy mnie. Inni uciekli.

Spojrzał na mnie.

– Nie ma w tym nic takiego złego – powiedziałem. – Jeżeli było tak, jak opowiadasz.

– Tak było. To jedyna plugawa rzecz, jaką zrobiłem od czasu... gdy się poprawiłem.

– W jakich byłeś stosunkach z Betty?

– Znałem ją. Znałem jej rodzinę.

– Czy miała opinię łatwej?

– Chyba tak.

– Korzystałeś z tego?

– Nie!

– Nie miałeś z nią romansu?

– Nie! Kocham moją żonę. Moje życie jest czyste!

– Nie byłeś ojcem jej dziecka?

– Kocham moją żonę! Moje życie jest czyste!

– Powtarzaniem nie załatwisz sprawy. Zrobił krok w moją stronę, ale się zatrzymał.

– To prawda.

– Wiedziałeś, że miała trypra? Wyraz zdziwienia. Czy nie udaje?

– Nie miałem o tym pojęcia. Moje życie jest czyste.

– Więc jakim cudem skończyłeś w parku z głową na wnętrznościach Betty?

– To... to wariacka historia, nigdy mi nie uwierzysz. – Zamknął oczy. – Odejdź. Powiedz doktorowi Billowi, żeby o mnie zapomniał. Ma tyle ważnych rzeczy do zrobienia.

– Ty jesteś dla niego najważniejszy. Gwałtownie potrząsnął głową.

– Opowiedz mi, jak to było, Ben. Nie przestawał potrząsać głową.

– Dlaczego nie chcesz?

Przestał potrząsać głową. Uśmiechnął się. Zagadkowo.

– To zbyt głupie. Nie mogłem nawet opowiedzieć Claire, bo sam bym w coś takiego nie uwierzył.

– Wypróbuj mnie. Jestem przyzwyczajony do dziwacznych historii. Cisza.

– Milcząc potwierdzasz swoją winę, Ben.

– I tak wyglądam na winnego – powiedział. – Jeżeli trzymasz usta zamknięte, nie łykasz pcheł.

– Moreland cię tego nauczył? Jego cytaty są zwykle bardziej eleganckie.

– Nie – odparł gwałtownie. – Mój... ojciec.

– Jakich jeszcze mądrości nauczył cię ojciec?

Zacisnął powieki.

Położył się na pryczy, twarzą do materaca.

– W porządku – powiedziałem. – Może powinieneś to zostawić dla swego adwokata. Dennis zadzwonił do Saipan, żeby przysłali obrońcę z urzędu. Będzie tu najwcześniej za dwa dni. Co mam powiedzieć Morelandowi, oprócz tego, żeby się tobą nie zajmował?

Ani drgnął.

Zawołałem Dennisa.

Przycłapał zastępcę Ed Ruiz z kluczem w dłoni.

– Powiedział coś?

Nie odpowiedziałem.

Jego bezzębne usta wykrzywił wyraz zadowolenia.

– Wiedziałem, że tak będzie. Jego stary także nie puszczał pary z gęby, kiedyśmy go tu

zamykali. Leżał tak samo jak on teraz. Jak cholerna kłoda drewna. A potem, kiedy gasiliśmy światło, zaczynał mieć te swoje pijackie zwidy, wrzeszczał, że jakieś stwory zjadają go żywcem.

Wsunął klucz do zamka.

– Jak zaczął wrzeszczeć zbyt głośno, polewaliśmy go wodą, co na chwilę pomagało.

Potem znowu zasypiał i zaczynało się delirium tremens. I tak przez całą noc. Następnego dnia wszystkiemu zaprzeczał. A w kilka dni potem zamykaliśmy go znowu, bo obraził jakąś kobietę, dobierał się do niej, albo przyłożył jakiemuś facetowi. I cały cholerny korowód zaczął się od nowa. – Wskazał Bena palcem. – Jedyna różnica polega na tym, że jego tatuńcio sypiał na górnej pryczy. Kładliśmy go na dolnej, ale zawsze wspinał się na górną, żeby nie wiem jak był pijany.

A potem, oczywiście, spadał w środku nocy, obijał sobie tyłek, rozwalał głowę. Był jednak takim głupim zasrańcem, że zawsze się wspinał na górę. Niektórych ludzi nie można nauczyć rozumu.

Przekręcił klucz w zamku.

– Zaczekaj – odezwał się Ben.

Ruiz spojrział na niego z niesmakiem. – Bywaj, morderco. – Położył kościstą dłoń na drzwiach celi. Na jej zewnętrznej stronie miał tatuaż.

– Ile zostało mi czasu? – zapytał Ben.

– Doktor właśnie odchodzi.

– Mogę zaczekać – powiedziałem. – Jeżeli ma mi coś do powiedzenia. Ruiz przygryzł bezzębne wargi i spojrział na zegarek.

– Jak pan sobie życzy. Jeszcze osiemnaście minut. Oparł się o framugę.

– Wykorzystamy je – powiedziałem i Ruiz odszedł. Bardzo powoli. Kiedy zwróciłem się w stronę Bena, stał wciśnięty w kąt obok dziury kloacznej w podłodze.

– Opowiem ci całą historię – zaczął. – Nie dbam o to, co sobie pomyślisz. Mówię o tym tylko dlatego, żebyś powtórzył doktorowi Billowi.

– W porządku.

– Chociaż prawdopodobnie nie powtórzysz.

– Dlaczego?

– Nie można ci ufać.

– Dlaczego?

– Bo tak o nim mówiłeś. To wielki człowiek – nawet sobie nie wyobrażasz jak wielki.

– Ejże! – powiedziałem. – Jeżeli mi nie ufasz, zachowaj tę opowieść dla adwokata.

– Adwokatom także nie można ufać.

– Ten w Hawajii nie obszedł się z tobą dobrze?

– W Hawajii nie było żadnego procesu – powiedział. – Orzeczono winę i straż osadziła mnie w areszcie. Obiecali, że nie umieszczą tego w aktach. Najwyraźniej im także nie można ufać.

– Życie jest brutalne – stwierdziłem. – Jestem pewien, że rodzina Berty jest tego samego

zdania.

Utkwił wzrok w kloace.

– Zostało nam szesnaście minut – przypomniałem. Zaczął mówić, nie zmieniając pozycji:

– Kiedy po kolacji wróciliśmy do domu, Claire była na mnie zła. Za to, że zmusiłem ją do grania. Nie okazywała tego, ale dobrze ją znam. Nie powinienem był tego robić. Posprzeczaaliśmy się. Mówiła głównie ona, a ja słuchałem. Potem Claire położyła się, a ja usiłowałem czytać. Żeby się uspokoić. Czasami to pomaga... Nie sprzeczaamy się często. Żyjemy zgodnie. Kocham ją.

Łzy.

– Co czytałeś?

– Czasopisma medyczne. Bill daje mi swoje po przeczytaniu. Lubię się dokształcać.

– Jakie czasopisma?

– „New England Journal”, „Archives of Internal Medicine”, „Tropical Medicine Quarterly”.

– Pamiętasz jakiś artykuł?

– Jeden o zwężeniu odźwiernika, drugi o schorzeniach pęcherzyka żółciowego.

Z zaskakującym zadowoleniem wymienił jeszcze kilka nazw medycznych.

– Jak długo czytałeś?

– Godzinę lub dwie.

– Godzinę lub dwie? To wielka różnica.

– Wróciliśmy do domu około dziewiątej czterdzieści. Sprzeczka zajęła nam z dziesięć minut.

Polegała głównie na lodowatym milczeniu. Claire poszła spać koło dziesiątej, więc chyba czytałem około godziny. Może półtorej. A potem zadzwonił telefon i jakiś facet powiedział, że zdarzył się wypadek.

– O której godzinie?

– Nie wiem. Bill mnie nauczył, że trzeba cenić czas, ale kiedy jestem w domu, pozwalam

sobie na luksus niepatrzenia na zegarek. Zerknął na mnie jak dziecko potrzebujące aprobaty.

– Rozumiem – powiedziałem, myśląc o wierszu Audena, który Moreland zostawił mi do przeczytania.

„Nie pozwól, aby czas cię omamił... jaskinie koszmarnych snów... naga sprawiedliwość”.

Podrapał się po policzku, a potem po piersi. Spojrzał na otwór kloaczny, jakby chciał do niego wpełznąć.

– Było chyba koło jedenastej trzydzieści – powiedział. – Albo coś koło tego.

– Kto dzwonił?

– Jakiś facet.

– Nie wiesz kto?

Przecząco pokręcił głową.

– Wydawało mi się, że wszyscy się tu znają – powiedziałem.

– Najpierw miałem wrażenie, że to jeden z ogrodników pracujących w posiadłości, ale okazało się że nie.

– Który ogrodnik?

– Carl Sleet. Ale to nie był on. Kiedy zwróciłem się do niego po imieniu, nie zareagował.

I jego głos miał niższe brzmienie.

– Nie przedstawił się?

– Mówił szybko, był bardzo zdenerwowany. I słabo go słyszałem.

– Jak podczas rozmowy zamiejscowej? Zdziwił się.

– Dlaczego ktoś miałby dzwonić do mnie przez międzymiastową? Nie, najgorsze są połączenia miejscowe. Zamiejskowe, jeżeli uda się złapać połączenie satelitarne, są dobre.

A większość linii na wyspie jest stara i skorodowana.

– W porządku – podsumowałem. – Zadzwoił do ciebie jakiś zdenerwowany facet, którego

nie rozpoznałeś, i...

– Próbowałem się domyślić, kto to mógł być, ale na próżno.

– Dlaczego był zdenerwowany?

– Powiedział, że zdarzył się nagły wypadek, ktoś dostał ataku serca przy Champion Way, niedaleko parku, i że potrzebna jest pomoc.

– Nie powiedział, o kogo chodzi?

– Nie. To wszystko działo się tak szybko...

– Dlaczego zadzwonił do ciebie, a nie do doktora Morelanda?

– Powiedział, że zatelefonował do doktora Billa, który jest już w drodze. A do mnie zadzwonił, bo mieszkam bliżej Champion. Więc zabrałem swoje przybory i poszedłem.

– Jakie przybory?

– Używane w razie nagłego przypadku – szpatułki, epinephrine i inne środki stymulujące serce. Myślałem, że zacznę sam, a kiedy nadjedzie doktor Bill...

– I co się stało?

– Wyszedłem z domu...

– Czy Claire wiedziała, że wychodzisz?

– Nie. Natychmiast wybiegłem. Nie chciałem jej budzić, ani dzieci.

– Słyszała dzwonek telefonu?

– Nie wiem... zwykle nie słyszy. Telefon jest w kuchni. W nocy nastawiamy dzwonek na minimum.

– Jak słyszysz wezwania do nagłych przypadków, skoro nie macie aparatu w sypialni?

– Mam lekki sen i zostawiamy otwarte drzwi do sypialni. Tej nocy były zamknięte – Claire je zamknęła, bo była na mnie zła.

Oznaczało to, że nikt nie mógł potwierdzić, czy ktoś rzeczywiście dzwonił, ani o której.

– A więc wyszedłeś z apteczką pierwszej pomocy – przypomniałem.

– Tak.

– Poszedłeś pieszo, czy wzięłeś samochód?

– Pojechałem samochodem. Byłem w parku pięć minut po telefonie.

– Około północy.

– Coś koło tego. Było ciemno. Z wyjątkiem ulicy Nadbrzeżnej nie mamy na wyspie latarni ulicznych. Na początku nic nie widziałem. Złakłem się, że minąłem to miejsce, więc zaparkowałem i wróciłem pieszo. Zauważyłem, że ktoś leży na skraju drogi.

– Tylko jedna osoba? A ten, który dzwonił?

– Nikogusieńko. Pomyślałem sobie, że ten, co dzwonił, stchórzył i uciekł. Pomyślałem także, że doktor Bill nadjedzie za kilka minut, więc podszedłem, otworzyłem torbę i zamierzałem przystąpić do pracy, kiedy ktoś mnie chwycił...

– Jak cię chwycił?

– O tak. – Otoczył swą szyję lewym ramieniem, niezręcznie naśladowując chwyt stosowany przez policjantów.

– Lewym ramieniem?

– Nie. To było z tej strony. – Zmienił ramię. – Chyba prawym, ale nie jestem pewien. To stało się tak nagle. Straciłem przytomność. Potem ujrzałem wpatrującego się we mnie Dennisa. Miał bardzo dziwny wyraz twarzy. Gniewny. Inni ludzie, których była tu cała gromada, też tak na mnie patrzyli. Głowa mi pękała, kark miałem sztywny. Pomyślałem, że coś mi się stało i oni przyszli tu po to, żeby mnie ratować. Jednak ich twarze, ich spojrzenia były tak groźne. A wtedy ktoś krzyknął: „morderca!” I wtedy wszyscy spojrzeli na mnie tak jak wtedy – zanim się zmieniłem.

Odczekałem chwilę, a potem spytałem:

- I to wszystko?
- To jest... niezła historia, prawda?
- Jedno jest pewne. Jeżeli ją zabiłeś, to na pewno nie z premedytacją. Jeżeli byś to zrobił z premedytacją, na pewno wymyśliłbyś coś prawdopodobniejszego.
- Cóż, wspaniale to sobie zaplanowałem – powiedział uśmiechając się ze smutkiem. – No to co mam robić?
- Podaj swoją wersję adwokatowi i czekaj, co ci poradzi.
- Opowiesz doktorowi Billowi? To dla mnie bardzo ważne. Chcę, żeby wiedział, że jestem niewinny.
- Powiem mu.
- Dziękuję. Usłyszałem kroki.
- Mógłbym dla ciebie zrobić coś jeszcze? Przygryzł usta.
- Dopilnuj, żeby doktor Bill powiedział Claire, że ją przepraszam. Za to, że zmuszałem ją do grania... za wszystko.
- Chcesz się z nią zobaczyć?
- Nie. Nie w takim stanie. Poproś, żeby powiedziała coś dzieciom. Na przykład, że gdzieś wyjechałem. – W jego oczach znów pojawiły się łzy. Ed Ruiz otworzył metalowe drzwi.
- Czas się skończył.

W drodze do biura zapytał:

- Dobrze się pan bawił?
- Pierwszorzędny ubaw – odparłem. – Następnym razem wezmę ze sobą serpentyny i ubiorę się jak na bal maskowy.

Dennis siedział za swoim biurkiem. Odłożył słuchawkę z niezadowoloną miną.

- Wykorzystał pan czas? Wzruszyłem ramionami.

- Tryby już się obracają. Doktor Bill robi, co może.
- Co?
- Właśnie telefonowano z Oahu. Landau, Kawasaki i Bolt. Doskonała firma prawnicza, wygadany Alfred Landau. Przyleci tu za kilka dni. Mam odwołać obrońcę z urzędu.
- Przyleci do Stanton?
- Nie. Do Saipan, czarterowym odrzutowcem, a potem prywatny jacht dostarczy go na miejsce. – Postukał w słuchawkę telefonu. – Dobrze być bogatym. Odwiozę pana do domu. Kiedy wyszliśmy na dwór, czekał tam już Tom Creedman. Miał na sobie białą koszulkę polo, białe szorty i tenisówki. Brakowało mu tylko rakiety. Zamiast niej trzymał w jednej ręce płaską czarną aktówkę, a w drugiej przenośny magnetofon. Tłum na wybrzeżu przerzedził się. Snuło się kilku łazików. Byli wśród nich Skip Amalfi i Anders Haygood. Skip wskazywał miejsce, w którym znaleziono AnneMarie Valdos.
- Wybierasz się na Wimbledon, Tom? – zagadnął Laurent.
- Tak, wraz z królową. Masz minutkę czasu, Dennis?
- Ani pół. Chodźmy, doktorze. Creedman zaszedł mi drogę.
- Widział się pan z podejrzanym, doktorze Delaware?
- Chodźmy – powiedział Dennis, podchodząc do swego samochodu. Creedman nie odstępował.
- Napijemy się kawy, doktorze?
- Zgoda. Zaskoczyłem ich.
- Świetnie – powiedział Creedman. – Chodźmy pogadać.
- Odwiozę go do domu – przerwał Dennis. – Ze względu na jego bezpieczeństwo.
- Ja go odwiozę, Dennis.
- W żadnym wypadku...

– Zaryzykuję – powiedziałem.

– Nie ma pan prawa decydować – upierał się Dennis.

– Nie? – spytałem. – Jakim prawem ogranicza pan moją swobodę ruchów?

Zastanowił się przez chwilę.

– Bezpieczeństwo świadka.

– Świadka czego?

– Rozmawiał pan z nim.

– Za pańskim pozwoleniem. Zadzwońmy do pana Landau i zapytajmy, co na to powie.

Dennis zeszywniał. Pomacał pas i spojrzał w kierunku ulicy Nadbrzeżnej.

– Dobra – powiedział rozwścieczony. – Jak pan chce.

Poszliśmy Champion Way do następnej nie oznakowanej przecznicy. Posyłano nam krzywe spojrzenia i słyszeliśmy gniewne pomruki.

– Oho – powiedział Creedman. – Tubylcy są niespokojni.

– A pan za to całkowicie zrelaksowany.

– Czemu nie? Nie mam nic wspólnego ze starym doktorem Billem. Wprost przeciwnie, fakt, że mnie eksmitował, działa na moją korzyść. – Uśmiechnął się szeroko i ciągnął dalej: – Za to pan powinien mieć się na baczności. Jednakże ja pana nie opuszczę, kolego. – Otworzył aktówkę i pokazał pistolet automatyczny. – Szesnastostrzałowy – oświadczył wesoło. – Jestem pewien, że przyda się w przypadku zamieszek. Tylko nieliczni ludzie mają tu broń. Mimo wszystko jest to bezpieczne miejsce.

– Zawsze go pan nosi przy sobie?

– Tylko w okresie napięć.

– Przywiózł go pan ze sobą?

– Kupiłem na Guam. Okazyjnie. Był własnością porucznika, który popadł w długi.

Doskonale o niego dbał. Zasunął zamek błyskawiczny. – Mieszkam na wzgórzu.

– Bardzo blisko miejsca zbrodni.

– Nie wystarczająco blisko.

– Co pan przez to rozumie?

– Kiedy dotarłem na miejsce, był tam już cały tłum. Nie mogłem się przepchać. Chciałem zobaczyć z bliska wyraz twarzy pana Romero zaraz po ujęciu. Wydawcy lubią takie bezpośrednie sprawozdania. Pustka w oczach psychopaty.

– Na pewno coś pan spreparuje. Uśmiech zamarł mu na ustach.

– Nie jest pan dla mnie zbyt miły. – Jego okrągła twarz pozostała gniewna nawet wtedy, kiedy powrócił na nią uśmiech. – Jednak rozumiem pana. Wybraliście się do raju, a trafiliście do Auschwitz. Czy Ben powiedział coś na swoje usprawiedliwienie?

– Nic, co zainteresowałoby wydawców.

– Ale patologia – ciągnął. – Zarzynać kobiety, a potem je zjadać...

– Widział pan już kiedyś coś podobnego?

Droga wznosiła się pod stromym kątem i Creedman zaczął głośno sapać.

– Co? – zapytał.

– Kanibalizm.

– Na innych wyspach? Nie.

– A w Stanach, na kontynencie, kiedy robił pan kronikę sądową?

– Kto panu powiedział, że robiłem kronikę sądową?

– Wydawało mi się, że pan. Przy pierwszym spotkaniu.

– To nie moja działka. Nie, ja robiłem w polityce. A pan widział coś takiego?

Pokręciłem głową.

– Na wszystko przychodzi kolej – powiedział.

Wspinaliśmy się na wzgórze, mijając małe domki, dzieci, psy, koty. Kiedy zbliżaliśmy się, kobiety ze strachem w oczach przygarniały do siebie dzieci. Zasuwno rolety.

– Tak, tak – powiedział Creedman. – Raj utracony.

Jego dom stał na wzgórzu, w końcu ślepej ulicy. Bładoniebieska chata z widokiem na ocean, obrośnięta różowymi oleandrami i żółtymi hibiskusami. Na zwirowanym podjeździe stał volkswagen garbus. Wszędzie rósł bluszcz i dzikie wino. Najbliższy dom oddalony był o trzydzieści metrów. Oddzielony drewnianym płotem.

Wewnątrz było zupełnie inaczej: świeżo pomalowane na biało ściany, czarne skórzane kanapy, orientalne dywany na pokrytej plastikową wykładziną podłodze, meble z drewna tekowego i laki. W części kuchennej, obok jadalni, na stojaku pyszniły się luksusowe miedziane garnki. Niemieckie sztuce w drewnianej skrzynce zdobiły bufet. Wszystkie urządzenia pochodziły z Europy i wyglądały na nowiuteńkie.

– Przygotuję panu coś do picia – powiedział Creedman, sięgając do ruchomego barku ze szkła i mosiądzu.

– Samą kole.

Nalał mi coli i przygotował dla siebie podwójną whisky Johny Black. Wyjął lód z małej, chromowanej lodówki szwedzkiej.

Rozejrzałem się dookoła. Większość miejsca zajmowało biuro, pełniące jednocześnie rolę salonu. Komputer i drukarka, tysiącwatowy akumulator, teleskop z mosiężnym reflektorem, komplet stereo, odtwarzacz płyt kompaktowych, niemiecki telewizor dwudziestocalowy, podłączony do potężnego kabla, który biegł wzdłuż sufitu.

– Miałem antenę satelitarną, ale została zdmuchnięta przez wiatr – wyjaśnił.

– Wygląda na to, że osiedlił się pan na dłużej.

– Lubię wygodne życie. Dodać cytryny?

– Proszę.

Przyniósł napoje. Usiedliśmy. Przez wielkie okno roztaczał się piękny widok na ocean.

– Najlepszy rewanz – powiedział – to wygodne życie.

– Rewanz na kim?

– Na każdym, kto nań zasługuje. – Jednym długim łykiem opróżnił szklankę. Ssał kostkę lodu, obracając ją w ustach.

– A więc, co mogę dla pana zrobić? – zapytałem.

– Nic, Alex. Po prostu staram się utrzymywać dobre stosunki. Szkoda, że nie poznaliśmy się lepiej przed pańskim wyjazdem.

– Kto mówi, że wyjeżdżam? Uśmiechnął się.

– A nie?

– Kiedyś wreszcie wyjadę. A pan?

– Nie mam żadnego planu. To jedna z zalet wolnego zawodu.

– Brzmi zachęcająco.

– I tak jest. Nalać panu jeszcze?

– Nie, dziękuję.

– A ja sobie naleję.

Tym razem nalał sobie jeszcze więcej szkockiej i wrócił na miejsce.

– Niezła sprawa takie morderstwo. Kiedy byłem Waszyngtonie, tamtejsza przestępczość nie robiła na mnie wrażenia. Przeważnie nie działo się nic ciekawego. Policjanci i prokuratorzy także nie zadziwiali sprytem.

– A politycy?

– Niektórzy. – Roześmiał się. – Nieliczni.

– Nicholas Hoffman? Łyknął whisky.

– Słyszałem, że jest dość sprytny. A więc kiedy się stąd wynosicie?

– Jeszcze nie wiem, Tom.

- A co z opracowaniem dla Morelanda?
- To właściwie nie miało być opracowanie.
- A co?
- Przejrzenie dokumentacji w poszukiwaniu tematów.
- Tematów?
- Modeli chorób.
- Psychicznych?
- Wszelkich chorób.
- Tylko tyle?
- Jak dotąd, tyle.
- I co dalej, jeśli znajdziecie takie modele?
- Opiszemy je w czasopiśmie medycznych lub w książce. A jak pańska książka?
- Wspaniale.
- Doda pan rozdział o morderstwach?
- Biorę to pod uwagę... A jak tam Robin?
- Dobrze.
- Pieseczek także?
- Znakomicie.
- Czy możliwe, że Moreland zachęcił Bena do zabicia tych dziewczyn?

Zareagowałem z przesadnym zdziwieniem.

- Dlaczego miałyby to robić?

Odstawił szklanę, założył nogę na nogę i zapatrzył się przed siebie.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Alex. Ten facet jest niesamowity.
- Jest trochę inny,

– Tak jak Norman Bates. Ten dom, te owady. I co on robi, do diabła, przez całe dni w tym swoim laboratorium? Na pewno nie zajmuje się medycyną, bo większość spraw załatwia Ben, a przynajmniej tak było do niedawna. Dopóki nie przyjechała Pam. Więc co ten stary robi całymi dniami?

– Nie wiem.

– Daj pan spokój, przecież razem pracujecie.

– W oddzielnych pawilonach.

– Co on ukrywa?

– Nie wiem, czy w ogóle coś ukrywa.

Wąsy mu opadły, tworząc cieniutką kreseczkę, a on przyglądał je bardziej.

– Na pewno opowiedział panu o moim nieporozumieniu z Benem. Pewnie przedstawił mnie jako złodzieja.

– Powiedział mi, że czegoś pan szukał. Czy to prawda?

– Tak. Instynkt reportera. Jak tylko znalazłem się w jego domu, doznałem dziwnego uczucia.

– Jakiego?

– Po prostu wszystko wydawało mi się dziwaczne. I najwyraźniej miałem rację. Taki dobroczyńca, a tymczasem jego najbliższy współpracownik okazuje się seryjnym zabójcą.

Ludzie są wkurzeni, Alex. Jeżeli zależy panu na tej ładnej damulce i tym miłym psiaczku, niech się pan jak najprędzej zmywa do domu.

Mówił cicho i spokojnie, ale po jego oczach widać było, że nie żartuje.

– To brzmi prawie jak pogróżka, Tom.

– Przemawiam panu do rozsądku, Alex. Ocena sytuacji oparta na dostępnych faktach.

Uśmiechnąłem się.

– Brzmi to jak sprawozdanie kwartalne.

Na ślepo sięgnął po whisky. Nie trafił, pomacał ręką, podniósł szklankę i wypił. Kiedy odstawił szklankę, jego dolna warga była wilgotna i lśniąca.

– Lepiej będzie, jak odwiozę pana do Niesamowitego Zamczyska.

– Też tak myślę.

Wyszliśmy z domu. Tom wsiadł do volkswagena. Silnik zarzęził, ale nie zapalił.

– Cholera – powiedział bez najmniejszego śladu żalu. – Akumulator się wyładował.

Zadzwoniłbym do Harry’ego albo do Skipa, żeby tu wpadli, ale są w mieście, tak jak wszyscy inni.

– Przejdę się – powiedziałem. – I ruszyłem przed siebie.

– Bardzo mi przykro – zawołał za mną. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, że patrzy na mnie z uśmiechem.

Chmury przesunęły się nad linię brzegową, powietrze było lepkie i gorące.

W drodze do przystani nie spotkałem nikogo oprócz wałęsającego się żółtego kundla z szarą mordką, który jakiś czas kręcił mi się pod nogami i uciekł dopiero wówczas, kiedy doszedłem do ulicy Nadbrzeżnej. Grupa wyrostków stojących przy skrzyżowaniu spoglądała na mnie, paląc papierosy. Mruknęli coś, kiedy przechodziłem obok, i nie odpowiedzieli na moje powitanie.

Samochód Dennisa wciąż stał przed budynkiem policji. Laurent na pewno nie zechciałby odgrywać roli taksówkarza.

Przyjąłem zaproszenie Creedmana, żeby go sprawdzić. On zaprosił mnie z tego samego powodu.

Chciał mnie wysondować i ostrzec.

A potem się mnie pozbył.

Urządzenie mieszkania świadczyło o tym, że ktoś mu nieźle płacił. Reakcja na moją uwagę o raportach kwartalnych potwierdzała podejrzenia, że był to Stasher-Layman.

Czy zrobiłem błąd przyznając się, że wiem o tym? Nieważne, wkrótce już mnie tu nie będzie.

Szedłem wzdłuż doków, nie zwracając uwagi na ścigające mnie spojrzenia. Drzwi budynku municypalnego otworzyły się i wyszedł Dennis, a za nim trzech niskich mężczyzn; jeden w wieku średnim, dwóch po dwudziestce. Wszyscy mieli na sobie cienkie koszule i dżinsy. Kłócili się, a Dennis starał się ich uspokoić.

Mężczyzna w średnim wieku tupnął nogą, pogroził pięścią i krzyknął. Dennis coś mu odpowiedział, na co ten znowu zaczął wymachiwać pięścią. Dennis położył mu dłoń na ramieniu.

Mężczyzna strącił ją gniewnym ruchem.

Zaczęli się gromadzić gapie.

Gdy Dennis spojrzał na nich, rozeszli się z ociąganiem.

Tamten człowiek znowu tupnął i położył sobie dłoń na sercu. Jeden z młodzieńców odwrócił się i dostrzegłem jego twarz: pełną, okrągłą, pokrytą trądzikiem.

Bezsprzeczne podobieństwo do Betty Aguilar.

Dennis wprowadził ich z powrotem do środka, a ja ruszyłem na południe. Nie uszedłem daleko, gdy za moimi plecami rozległy się kroki. Obejrzałem się szybko. Czterech wyrostków, których minąłem na skrzyżowaniu, zbliżało się szybko trzymając ręce w kieszeniach.

Przystanąłem i spojrzałem na nich spokojnie. Nie zatrzymali się.

Szli prosto na mnie.

Ruszyłem szybko naprzód. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i znalazłem się przed sklepem.

Budynek był oklejony żółtą taśmą, jaką zabezpiecza się miejsca zbrodni. Niektóre rzeczy są takie same na całym świecie.

Slim's Bar był także zamknięty, ale kilku zwolenników piwa snuło się na wysypanym żwirem placu, który służył za parking baru.

Chłopcy zawahali się, a potem przebiegli ulicę.

Zmieniłem kierunek i ruszyłem z powrotem ku centrum.

Młodzieńcy przyspieszyli. Jeden z nich trzymał coś w ręce. Krótką drewnianą pałkę – podobną do policyjnej.

Zacząłem biec.

Oni także. Usta mieli otwarte, oczy nieruchome.

Posterunek policji nie był daleko, ale mogłem mieć kłopoty z łazikami sprzed baru.

Kiedy podbiegłem bliżej, ustawili się jeden obok drugiego, tworząc mur.

Był wśród nich Skip Amalfi, zaczerwieniony, z zaciętymi ustami. Obok niego Anders

Haygood, trzeźwy i obojętny, z błyskiem rozbawienia w szarych oczach.

Chłopcy za moimi plecami coś krzyczeli.

Tłumek spod baru ruszył do przodu.

Zostałem wzięty w dwa ognie.

Nowe krzyki, głośnie pomruki, a potem czyjś głos wznoszący się ponad wszystkie inne:

– Idioci!

Przez tłumek sprzed baru przepchnęła się Jacqui Laurent. Była wyższa od większości mężczyzn, na kwiecistej sukience miała poplamiony tłuszczem fartuch. Wymachiwała jakimś trzymanym w ręce przedmiotem.

Wielką żeliwną patelnię.

Jeden z tłumu coś do niej powiedział.

– Stul pysk, kretynie! – ucięła krótko. – Co wy sobie wyobrażacie? Czterech wyrostków było tak blisko, że słyszałem ich sapanie. Odwróciłem się.

Chłopak z pałką wystąpił naprzód. Miał puch na twarzy i długie włosy. Przez rozchełstaną koszulę widać było bezwłosą pierś. Jacqui stanęła obok mnie.

– Ignacio!

Chwyliła pałkę. Ignacio nie puszczał. Szarpnęła gwałtownie.

Ktoś się roześmiał.

Ściągnęła usta.

– Wielki wyczyn. Wielcy bohaterowie. Prześladowają niewinnego człowieka.

– Kto powiedział, że jest niewinny? – zapytał jeden spod baru. – On tam mieszka.

– Więc co z tego?

– Więc jest...

– Kim?

– Jest...

– Kim, Henry? Więc jest gościem w zamku? I co z tego? Zachowujecie się jak zwierzęta.

– Ktoś inny zachował się jak zwierzę – powiedział Skip.

– Zamknij się! Spójrzcie no, kto się odezwał. Nozdrza Skipa rozdęły się.

– Ejże!

– Zamknij się. Zamknij się i słuchaj. Sam jesteś zwierzakiem – i wiesz jakim? Świnia.

Skip zrobił krok w jej stronę, ale Haygood powstrzymał go potężnymi ramionami.

– Chodź, wielki człowieku – powiedziała Jacqui wypuszczając pałkę. – Masz mnie zamiar zaatakować? Kobieta z patelnią? To cię podnieca? A może tylko sikanie na kobiety?

Pozbawiona podbródka twarz Skipa pobladła. Zaczął się wyrywać Haygoodowi.

Haygood coś mu szepnął na ucho.

– Wielki wyczyn – powiedziała Jacqui. – Wielki wyczyn twojego pęcherza moczowego. Za każdym razem, kiedy na plaży pojawi się kobieta, leziesz za nią i sikasz obok jej koca. Jak pies.

Bardzo jesteś odważny.

Skip zaczął się wyrywać. Haygood powstrzymał go. Kilku innych facetów chwyciło Skipa za ramiona.

– Spokojnie, chłopie – powiedział jeden z nich.

– No, chodź – powiedziała Jacqui, wrywając nagle pałkę z ręki Ignacia i wywijając nią zrećźnie. – Rusz się, Skip. Lubisz być brutalny wobec kobiet, prawda? Może miałeś coś wspólnego z Betty, twardzielu?

Skip warknął i Haygood wykręcił mu ramię.

– Jak pies – powtórzyła Jacqui. – Łazi za każdą kobietą i sika. Myślisz, że to takie zabawne?

– Spojrzała na innych mężczyzn. – A może któryś z was uważa, że to zabawne sikać na plaży obok koca kobiety? Zrobił tak siostrze któregoś z was? Albo matce? Bo mnie nasikał, zaraz po przyjeździe. Pamiętasz, Skip? Tak sobie wyobrażacie odwagę, chłopcy? Sikać na kobiety i bić niewinnych mężczyzn?

Cisza.

– Wielcy twardziele. Kupą na odwiedzającego wyspę gościa. Co wam zawinił? Że tu przyjechał? Jaką widzicie przyszłość dla wyspy, jeżeli tak się będziecie zachowywać?

Mężczyźni unikali jej wzroku.

Skip rozcierał ramię. Haygood starał się go odciągnąć. Skip stracił rękę Haygooda, ale poszedł za nim.

Jacqui wpatrywała się we włóczęgów spod baru, aż zaczęli się rozchodzić. Wkrótce pozostali tylko czterej młodzieńcy, którzy przyszli tu za nią. Ignacio spoglądał na pałkę w jej ręce.

– Powinniście się wstydzić. Wszystko opowiem waszym matkom – powiedziała Jacqui.

Jeden z młodziaków zaczął się głupkowato uśmiechać.

– Myślisz, że to jest zabawne, Duane? Twoja mama dowie się pierwsza.

– Dobrze, idź...

– Naprawdę tego chcesz, Duane? Najpierw opowiem jej, co widziałam na północnym wybrzeżu.

Duane zamknął usta. Inni chłopcy przyglądali mu się.

– No, idź – powiedział.

– Mam pójść? – Jacqui potrząsnęła pałką. – Naprawdę tego chcesz, Duane?

– Coś tam narozrabiał, Duane? – zapytał ze śmiechem jeden z chłopców.

– Nic.

– Jasne, nic – powiedziała Jacqui i Duane skrzywił się.

– Pierdolę to – powiedział. – Zmywam się stąd.

– Bardzo dobry pomysł – podchwyciła Jacqui. – Wszyscy stąd zjeżdżajcie. Odeszli. Jacqui spojrzała na mnie.

– Co pan wyprawia?

– Idę do domu.

– To nie jest odpowiedni moment na odstawianie turysty.

– Widzę.

Obejrzała pałkę i zmarszczyła brwi.

– Chce pan wędrować pieszo do samego zamku?

– Miałem zostać podwieszony, ale nic z tego nie wyszło. Spojrzała na mnie zaintrygowana.

Opowiedziałem jej o Creedmanie.

– Co pan od niego chciał?

– Zaprosił mnie.

Z wyrazu jej twarzy wyczytałem, że uważa mnie za kretyna.

– Chodźmy, powiem Dennisowi albo jego zastępcy, żeby pana odwieźli.

– Dennis już mi to proponował – powiedziałem. – Odrzuciłem jego ofertę.

Zeskrobała coś z patelni. Zważyła ją w rękę, jakby zastanawiając się, czy nie przyłożyć mi w głowę.

– Dlaczego mężczyźni muszą tak ze sobą rywalizować? Chodźmy, sama go poproszę.

Szturchnęła mnie w plecy. Miała jasną cerę, twarz pozbawioną zmarszczek, była duża i silna.

Rodząc Dennisa miała osiemnaście lat, ale nawet z bliska mogła uchodzić za jego siostrę.

– Chodźmy – powiedziała. – Nie mam czasu. Szła bardzo szybko, obracając w ręce patelnię, jej wielkie piersi kołysały się, usta miała lekko rozchylone.

– Co Duane zrobił na północnym wybrzeżu? Uśmiechnęła się.

– Nigdy go tam nie widziałam, ale słyszałam o nim. – Zachichotała. – Był tam z dziewczyną.

– Czy to coś niezwykłego?

– Nie. Młodziaki stale tam chodzą.

– Więc w czym rzecz? – nie dawałem za wygraną. Roześmiała się perliście. Jej twarz odprężyla się, dzięki czemu wyglądała jeszcze młodziej. Podeszła bliżej.

– Chodzi o to, doktorze Delaware, że chłopak nie popisał się. Jego dziewczyna nie była specjalnie zadowolona. – Zaśmiała się jeszcze głośniejsze. Jej biodro zawadziło o moje. – Wie pan: barn, bam, dziękuję madam.

– Aha – powiedziałem.

– Ano właśnie. – Uśmiechnęła się, ujęła mocniej patelnię i zeskrobała coś z jej uchwyty. –

Fartuch podwinął się, a rozpięta sukienka odsłoniła brązowe udo.

Weszła do biura pierwsza. Wsunąłem głowę do środka i zobaczyłem Dennisa, naradzającego się z rodziną Betty. Szybko się wycofałem. Czekałem na zewnątrz, przy samochodzie policyjnym, i patrzyłem na ulicę. Na wybrzeżu panował już spokój. Chmury deszczowe nasiąkały wodą. Po chwili wyszedł zastępca Ed Ruiz i powiedział:

– Chodźmy.

Drogę do posiadłości odbyliśmy w milczeniu. Zatrzymał się przed bramą.

– Czy to wystarczy? – zapytał.

– Dziękuję. – Wysiadłem.

– Kiedy opuszczacie Aruk?

– Jak tylko przyplyną łodzie. Wystawił głowę z samochodu.

– Niech pan posłucha, ja nie mam nic przeciwko doktorowi Billowi. Kilka lat temu pomógł mojej córce w bardzo trudnej sytuacji. Skaleczyła się o rafę, dostała zakażenia. Myśleliśmy, że straci nogę, ale on ją uratował.

Zmarszczył bezzębne usta.

– Powiem doktorowi, że jest mu pan wdzięczny.

– Nie każdy jest przeciwko niemu. Niektórzy ludzie znają go lepiej niż inni.

– Ci, którym pomagał bezpośrednio?

– Tak. A inni po prostu go nie znają. – Ujął kierownicę. – Ben załatwił te dziewczyny i pan o tym wie.

– Powiedzmy, że załatwił, ale co ma z tym wspólnego doktor Bill? Cisza.

– Myśli pan, że jest w to jakoś zamieszany? Nie odpowiedział.

– Ludzie gadają, że jest zamieszany?

– Tak gadają.

– A może ktoś chce, żeby doktor Bill opuścił wyspę? To wspaniała okazja, żeby się go pozbyć.

– Dlaczego?

– Bo należy do niego zbyt duża część wyspy.

– O to właśnie chodzi – powiedział gniewnie. – Należy do niego o wiele za dużo. Ludziom z każdym rokiem powodzi się gorzej i zazdroszczą takim jak on.

Na piętrze Gladys czyściła dywan ręcznym odkurzaczem. Wyglądała na zmęczoną, ale poruszała się szybko. Kiedy zbliżyłem się do drzwi naszego apartamentu, przyłożyła palec do ust.

– Robin zasnęła – powiedziała szeptem. – Dlatego nie używam elektroluksa.

– Dziękuję za uprzedzenie – wyszeptałem.

– Przygotować panu lunch?

– Nie, dziękuję. Czy doktor Bill jest w domu?

– Jest. Odwiedziła go Claire i przyniosła KiKo, żebyśmy się nią zaopiekowali. Wsadziłam ją do klatki w pralni. Claire była z dziećmi – są takie wystraszone. Robin pozwoliła im się pobawić ze Spike'em. – Wyglądała tak, jakby miała się za chwilę rozplakać. – Dennis obiecał, że przyśle kogoś, aby ich pilnował. I kogo przysłał? Elijaha Moona. Wszyscy nazywają go Moojah. Jest niby zastępcą szeryfa, ale co za pociecha z takiego starego grubasa?

Zacząłem schodzić po schodach, ale się zatrzymałem.

– Gladys!

– Słucham, doktorze?

– Gotowałaś dla senatora Hoffimana, kiedy był komendantem bazy?

– Byłam szefową kuchni, gotowali marynarze.

– Jak wspominasz tę pracę?

– Lubił wyszukane dania. Różne sosy, zawsze chciał czegoś nowego. Sprowadzaliśmy bardzo drogą wołowinę z Japonii – mięso krów, które jedzą tylko ryż.

– Wołowina kobe?

– Tak. I warzywa, o jakich nigdy mi się nie śniło, ostrygi i całą masę luksusowych owoców morza. Nic miejscowego. Kraby z Oregonu – Dungeness. Homary z Nowej Anglii. Małże przegrzebka z Filipin. Wycinał przepisy kulinarne z czasopism i przysyłał je do kuchni: „Wypróbuj to, Gladys”. Dlaczego pan pyta?

– Chciałem po prostu wiedzieć, jakie były stosunki między nim, a doktorem Billem. Po kolacji w bazie odbyli prywatną rozmowę i doktor był po niej bardzo wzburzony.

– Wiem o tym – powiedziała. – Następnego dnia nie tknął śniadania ani lunchu. A jest przecież taki chudy.

– Domyślasz się, o co im poszło?

– Nie, ale on nigdy nie lubił Hoffmana. – Oczy zaszyły jej mgłą. – Nie wierzę, że Ben to zrobił.

– Ludzie w miasteczku wierzą.

– Bo są głupi.

– I czują wielką niechęć do doktora Billa. Chwyliła odkurzacza.

– Niewdzięcznicy na zasiłku społecznym! Doktor Bill chciał, żeby pracowali, ale oni nie chcieli nawet o tym słyszeć. Czy wie pan, że zaproponował im bezpłatne stoiska w centrum handlowym i prawie nikt się tym nie zainteresował? Nawet ci, którzy wynajmują stoiska, chcą tam tylko spieniężać czeki opieki społecznej. Rząd przysyła te czeki, więc po co mają pracować! A potem mają czelność czuć niechęć do doktora!

Ze złości zapomniała o szeptaniu. Zakryła usta dłonią.

– Szkoda, że doktor Bill jest w złych stosunkach z Hoffmanem. Przydałby mu się przyjaciel

na stanowisku.

– Doktor Bill zrobił dla niego wiele dobrego – powiedziała Gladys. – A tamten myślał tylko o sobie. Przychodził tu, pozwalał się karmić, a potem oszukiwał w kartach. Nie był dżentelmenem.

– Doktor Bill wiedział o tym oszukiwaniu?

– Oczywiście, doskonale wiedział! Żartował ze mną na ten temat. „Wiesz, Gladys, Nicholas myśli, że nic nie zauważyłem” – mówił. A kiedy stwierdziłam, że to okropne, tylko się zaśmiał i powiedział, że to głupstwo.

– A więc oszukiwał przy brydżu – powiedziałem. – Czy żona Hoffmana też tu przyjeżdżała?

– Nie... to było... – Gladys zarumieniła się. – Co za historia! Jaki wstyd! Hoffman sam się tu wpraszał. Grał w tenisa, opalał się, zamawiał jedzenie w kuchni, jakbym wciąż dla niego pracowała. Jakby wszystko należało do niego. – Znowu nakryła usta dłonią.

– Wszystko? – zapytałem.

– Wie pan, wielki zdobywca, przyzwyczał się, że wszystko było jego. Powiem panu coś jeszcze, doktorze Delaware: ten człowiek jest bez serca. Kiedyś, kiedy jeszcze pracowałam w kuchni bazy, rozbił się samolot z marynarzami, ich żonami i dziećmi, wracającymi do Stanów. Katastrofa, o której Moreland wspomniał przy okazji wypadku Pickera. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku.

– Wszyscy zginęli – powiedziała Gladys. – Tragedia. A co zrobił Hoffman? Przysłał mi małże i kazał je sobie przyrządzić. – Zdusiła łkanie. – Panna Castagna powiedziała, że wkrótce wyjeżdżacie. Ze sposobu, w jaki ją pan traktuje, wnoszę, że jest pan dżentelmenem. My, kobiety, potrzebujemy więcej uprzejmości.

– Na Aruk?

– Na całym świecie, doktorze.

Zastałem Morelanda w moim biurze. Zagłębiając się w fotelu czytał czasopismo poświęcone patologii. Wyglądał jak powleczoney woskiem szkielet. – Co z Benem? – zapytał ostro.

Opowiedziałem o przebiegu rozmowy w więziennej celi. Nic nie odpowiedział. W spisie treści na okładce czasopisma Moreland zakreślił artykuł „Dowód z plam krwi”.

– Poszukujesz linii obrony? – spytałem.

– Wezwano go do nagłego wypadku? Ktoś o głosie podobnym do Carla?

– Tak mi powiedział.

Jego palce były cienkie jak pazurki wróbla. Zatrzeszczały, kiedy złożył je razem.

– Czy to oznacza, że mu nie wierzysz?

– To oznacza, że historia jest niezbyt prawdopodobna, Bill. Zapanowała cisza.

– Czy nie wydaje ci się, że to właśnie świadczy o jego niewinności? – zapytał wreszcie. –

Przecież mógł wymyślić lepszą historyjkę.

– Ben jest inteligentny, ale wykazuje również poważne zaburzenia psychiczne. Miał kiedyś problemy z alkoholem i nadal silnie na niego reaguje. I co najmniej raz dopuścił się ekshibicjonizmu. Ten wypadek w Hawajach...

– Wiem o tym – przerwał mi Moreland. – To bzdura. Zająłem się tym. Milczałem.

– Więc po tej rozmowie nadal uważasz go za winnego?

– Sprawy wyglądają kiepsko, ale próbuję go nie osądzać.

– Tak, tak, oczywiście. Jesteś psychologiem.

– Kiedy widzieliśmy się poprzednio, Bill, właśnie dlatego chciałeś, abym z nim porozmawiał.

– Wybacz mi, synu – powiedział, mrugając powiekami. – Jestem u skraju wytrzymałości.

Masz oczywiście prawo do własnego zdania, chociaż wolałbym, żebyś doszedł do innych wniosków.

– Chętnie zmienię zdanie, Bill. Jeżeli masz jakieś informacje, podziel się nimi. A przede wszystkim przekaż je adwokatowi, którego wynająłeś.

Skulił się w fotelu.

– Zrobiłeś już wszystko, co było możliwe – powiedziałem. – Może powinieneś zadbać o własne interesy? W miasteczku aż kipi od wrogich nastrojów.

– Alfred Landau jest najlepszy – powiedział cicho. – Jego firma była wykonawcą testamentu Barbary... To, co mi zostawiła, pozwoliło na kupno kilku działek. Alfred był mi... bardzo pomocny.

– Czy to on zajął się sprawą Bena w Hawajii?

– W minimalnym stopniu. To należało do sądu wojskowego. Zadzwoń tu i ówdzie, powołując się na mój stopień wojskowy. – Wstał. – Masz rację, lepiej zadzwonię do niego od razu.

– Nie obchodzi cię to, co przed chwilą powiedziałem o wrogich nastrojach?

– To minie.

Opowiedziałem o czterech wyrostkach i o tym, jak powstrzymała ich Jacqui.

– Przykro mi, że do tego doszło. Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało.

– Jednak tobie może się stać, Bill. Rodzina Betty jest rozwścieczona. Ludzie opowiadają o tobie różne dziwne rzeczy. To go poruszyło.

– Jesteś tu bogaczem wśród nędzarzy, Bill.

– Zawsze się z nimi dzieliłem.

– Mimo to jesteś dla nich dziedzicem we dworze. A chłopom pańszczyźnianym nie wiedzie się dobrze.

– Nie żyjemy w systemie feudalnym...

– Nie? Zamordowanie Betty jest iskrą zapalną. A widzę, że już przedtem bywało tutaj

gorąco. Potrząsnął głową.

– Nic nie można zarzucić tym ludziom.

– Ich życie wali się w gruzy, Bill. Cała społeczność zamiera. Kiedy ostatnio była czynna stacja benzynowa?

– Poleciłem racjonować paliwo.

– Ona także należy do ciebie?

– Tak. Sam także stosuję się do tych zasad. Oni wiedzą, że...

– Wiedzą także, na jakiej stopie żyjesz, i porównują to z własnym poziomem życia.

Większość ludzi opuściła wyspę. Betty i jej mąż także planowali wyjazd. Doskonały klimat dla prowokatorów. I macie tu kilku takich. Skip Amalfi doskonale się bawił, podburzając tłumek.

I wcale bym się nie zdziwił, gdyby Tom Creedman zaczął być bardziej aktywny. Byłem u niego w domu po wizycie u Bena i...

– Mam nadzieję, że nic mu nie powiedziałaś – przerwał zaniepokojony.

– Nie – odparłem, usiłując zachować cierpliwość. – Dopytywał się, ale udawałem niemowę.

– O co się dopytywał?

– Czy Ben powiedział mi coś ważnego; nad czym z tobą pracujemy. Chciał mnie również

przekonać do wyjazdu, co nie jest dziwne, jeżeli pracuje dla firmy Stasher-Laymana, która chce przejąć Arak. Widziałeś wewnątrz jego domu?

Pokręcił głową.

– Pełne nowiuteńkich mebli, komputer, kosztowne urządzenia.

– Tak, pamiętam, że zaraz po jego przyjeździe przyszła duża dostawa. Wkrótce potem, jak go stąd wyprosiłem.

– Co oznacza, że od początku planował zamieszkać we własnym domu, a tutaj zatrzymał się tylko po to, żeby węszyć. Czego on szukał, Bill?

– Powiedziałem ci już, że nie wiem.

– Nie domyślasz się?

– Ani trochę. – Wziął czasopismo, zwinął je i znowu odłożył.

– Jo Picker także ma coś wspólnego ze Stasher-Layman. Zerwał się na równe nogi.

– Skąd o tym wiesz?

– Robin zobaczyła u niej w pokoju dokumenty z nadrukiem tej firmy. Jo także pochodzi z Waszyngtonu, a tej nocy, kiedy znaleźliśmy w naszej łazience karaluchy, była sama w domu.

– Ja... już ustaliliśmy, że to była moja wina. Zostawiłem otwarty pojemnik.

– Naprawdę jesteś tego pewien?

W jego oczach pojawił się nieobecny wyraz.

– Nie, ale... Naprawdę wierzysz, że ona dla nich pracuje?

– Myślę, że to możliwe, i powiedziałem o tym, żeby cię ostrzec, ponieważ będziesz z nią miał do czynienia po moim wyjeździe. Właśnie to chciałem ci powiedzieć: Robin i ja odpływamy stąd najbliższą łodzią.

Przytrzymał się fotela, żeby nie upaść. Chwyciłem go w ramiona.

– Jestem stary niezdara – powiedział. – Cholerny niezdarny stary głupiec.

Po raz pierwszy usłyszałem z jego ust przekleństwo. Posadziłem go ostrożnie.

– A więc kiedy będzie ta łódź, za tydzień?

– Za pięć dni.'

– Ach... tak – powiedział ochryplym głosem. – Rób, jak uważasz. Mamy jednak jeszcze dość czasu.

– Czas jest dla ciebie bardzo ważny. Utkwił we mnie spojrzenie.

– Tak mi powiedział Ben. I wtedy pomyślałem sobie o twojej ostatniej notatce. Wiersz Audena o tym, że czas mamy. Pytanie dotyczące Einsteina. O co ci właściwie chodziło?

Spojrzał na sufit.

– A jak myślisz?

– Że należy czas brać poważnie, ale pamiętać o jego względności? Jakie mamienie miałeś na myśli?

Znów nieobecny wyraz twarzy.

– Einstein... był na swój sposób czarodziejem, prawda? Przewrócił wszechświat do góry nogami, jakby realność była wielkim złudzeniem. Zmusił nas, byśmy spojrzeli na nią w zupełnie inny sposób.

– Nie skrępowani przez czas.

– Nie skrępowani przez wcześniejsze założenia. Spojrzał mi w oczy.

– Chcesz, żebym również tak postąpił, Bill?

– To, czego chcę, jest bez znaczenia, prawda, synu?

– Nowy sposób – powtórzyłem. – Podchodząc sceptycznie do rzeczywistości?

– Rzeczywistość jest... w znacznej mierze taka, jaką my chcemy ją widzieć.

Wstał, westchnął, przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy.

– Tak uważają filozofowie – powiedziałem.

– Zawsze można się od nich czegoś nauczyć.

– Nadal nie rozumiem twojej notatki, Bill.

Podszedł bardzo blisko. Zachowywał się jak wielki, niezdarny ptak. Poczułem się tak, jakby miał mnie dziobnąć, i omal się nie cofnąłem.

– Moja notatka... Prawdę powiedziawszy, świetnie sobie z nią poradziłeś, synu. Bon voyage.

Zacząło lać. Robin i ja czytaliśmy w łóżku, kiedy nagle poczułem, że powietrze staje się ciężkie.

Okna były otwarte i przez siatkę przeniknął zapach spalenizny. Przez ułamek sekundy pomyślałem, że to pożar, ale gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem, że pada.

Strugi wody przesłaniały widok. Woń spalenizny stała się słodka – pachniały gardenie, goździki i róże. Spike zaczął ujadać i kręcić się po pokoju. Robiło się coraz parniej i goręcej.

Zamknąłem okna i dudnienie deszczu nieco ucichło.

Robin wstała z łóżka i spojrzała przez mętne szyby.

I wtedy zadzwonił telefon.

– Jak leci? – zapytał Milo.

– Źle i robi się coraz gorzej. – Opowiedziałem mu o moich przeżyciach w miasteczku. –

Zarezerwowaliśmy już miejsca na powrót.

– Rozsądne posunięcie. Możecie spędzić wakacje na Hawajach.

– Może tak zrobimy – odparłem, ale dobrze wiedziałem, że jak najprędzej wrócimy do Los Angeles.

– Czy jest Robin? Mam wiadomości na temat budowy domu. Podałem jej słuchawkę.

Uśmiechnęła się rozmawiając, z czego wywnioskowałem, że sprawy mają się dobrze.

Kiedy w końcu przekazała mi słuchawkę, Milo powiedział:

– A teraz kolej na twój gips, chociaż co cię to obchodzi, skoro wyjeżdżacie?

– A jednak powiedz.

– Po pierwsze: obydwaj kanibale z Maryland nadal siedzą. Ten, który tylko kroił ofiarę,

ubiegał się o warunkowe zwolnienie, ale wniosek został odrzucony. Ten, który kroił i jadł,

nigdzie się nie wybiera. Dzięki Bogu nie są w gestii jurysdykcji Los Angeles. U nas nie skazano

by nawet Adolfa Hitlera. Co to za dźwięk? Zakłócenia na linii?

– Deszcz – powiedziałem. – Prawdziwy prysznic.

– Tajfun?

– Nie, po prostu deszcz. Zapewniano mnie, że tu nie ma tajfunów.

– Zapewniano też, że nie ma przestępstw.

Zbliżyłem się do okna. Poprzez strugi ulewy widoczne były tylko czubki drzew. Ponad chmurami niebo było mlecznobiałe i spokojne.

– Żadnego wiatru. Tylko mnóstwo wody. Mam nadzieję, że ustanie w porę i będziemy mogli stąd odpłynąć.

– Napędzono ci strachu i chcesz wracać do domu, co? Poczekaj na resztę, a będziesz się śpieszył jeszcze bardziej. Zgadnij, kto opisywał sprawę ludożerców dla lokalnego szmatławca?

– Creedman.

– Nie musiałem długo szukać, gdyż jego nazwisko figurowało pod artykułami. A potem ktoś inny przejął sprawę, co mnie zainteresowało. Zacząłem ryc. Nikt w gazecie nie pamiętał Creedmana, ale odkryłem, że w owym czasie było trochę zamieszania z miejscową policją: przeciek informacji do gazety Creedmana. Kilku gliniarzy wyrzucono z pracy.

– Reporterów także?

– Tego nie wiem, ale warto sprawdzić. W każdym razie następna karta przewinień Creedmana pochodzi z telewizji kablowej w Waszyngton D. C. Prowadził jakiś business show, ale tylko przez trzy miesiące. Potem został zatrudniony przez waszyngtońskie biuro budowlane Stasher-Layman. Spółka wydała komunikat prasowy, opisujący poważne kłopoty z papierami wartościowymi. Kiedy akcje zaczęły spadać, wykupili je właściciele i spółka została sprywatyzowana. W następnym roku dochody bardzo wzrosły.

– Manipulacja?

- Może właściciele mieli po prostu szczęście.
- Kim są właściciele firmy?
- Dwaj bracia z Oregonu odziedziczyli ją po tatusiu i przenieśli się do Teksasu. Na papierze wielcy liberałowie, finansujący badania ekologiczne i humanitarny wymiar sprawiedliwości.
- Oregon – powiedziałem – to okręg wyborczy Hoffmana. Czy on także znajdował się pośród skupujących akcje?
- Tego nie było w wiadomościach, ale bracia bardzo się przyczynili do jego ponownego wyboru na senatora.
- Jak bardzo?
- Wyłożyli trzysta tysięcy, co prawie pokryło koszty kampanii. Tak więc nie zdziwiłbym się, gdyby popierał jakiś ich projekt wykorzystania wyspy. Stoi na czele komitetu, który przydziela dotacje rządowe na rozwój obszarów dotkniętych dużym bezrobociem; może je przyznać lub wstrzymać. Nie znalazłem tu jednak nic podejrzanego.
- A co w sprawie tych wyrzuconych gliniarzy? – spytałem. – Przecieki dotyczyły morderstwa popełnionego przez kanibali?
- Trudno było doszukać się szczegółów. Kiedy sprawa dotyczy prasy, dziennikarze nie są zbyt gadatliwi.
- Znasz nazwiska wyrzuconych gliniarzy? Usłyszałem szelest papierów.
- White, Tagg, Johnson, Haygood, Ceru...
- Anders Haygood?
- Tak mam tutaj napisane.
- Mieszka na wyspie. Jeden z tych dwóch facetów, co lubią kroić. Jego kumpel podburzał tłum przeciwko Benowi. Lubi sikać, gdy patrzą na niego kobiety.
- Wspaniale.

– A więc Creedman i Haygood zostali wylani w tym samym czasie – znają się. Mogę się założyć, że obydwaj są na usługach Stasher-Laymana. Tak samo jak moja sąsiadka zza ściany. Twierdzi, że jest klimatologiem, ale obydwójce – ona i Creedman – mają broń, którą przywieźli z Guam.

– Jezu, Alex! Siedź spokojnie, dopóki nie przyplłyną te łodzie. Nie próbuj węszyć.

– Dobra – powiedziałem. – A właśnie zaczęło mi się wydawać, że Moreland może mieć rację, co do niewinności Bena. Chociaż to, co mi opowiedział, nie trzyma się kupy.

– „Zostałem wrobiony”?

– Coś w tym rodzaju.

– Zawsze słyszę: „zostałem wrobiony”, „to on zaczął”, „działałem w zamroczeniu”.

– Ben wykorzystał dwie z tych trzech możliwości. Twierdzi, że został spity do nieprzytomności i nie wie, co było dalej.

– Ciekawe.

Opowiedziałem mu całą wersję Bena.

– Słabe wymówki – skwitował. – Wiesz co, Alex, zanoszą się na bardzo śmierdzącą sprawę.

Nawet jeżeli Creedman i Haygood są w zмовie co do jakiegoś projektu rozwoju wyspy, wcale to nie oznacza, że Ben jest niewinny – do diabła, z tego co wiemy, on także jest na liście płac Stashera. Pilnuj swojej skóry.

– Co mam zrobić z informacjami na temat Creedmana i Haygooda?

– Nic. Jeżeli adwokat, którego wynajął Moreland, jest rzeczywiście taki ostry, niech on coś z nimi zrobi. I to ja mu powiem, nie ty. Jak się nazywa?

– Alfred Landau. Z Honolulu.

– Kiedy się zjawi?

– Za dwa albo trzy dni.

– Doskonale. Zaczekam, aż stamtąd wyjedziecie.

– A do tego czasu Ben ma gnić w ciupie?

– Ben i tak by nie wyszedł, niezależnie od tego, co ktoś powie lub zrobi. Przecież znaleźli go leżącego na tych cholernych zwłokach.

– Bardzo wygodne, prawda?

– Albo głupie. I właśnie dlatego sprawa jest typowa. W zeszłym miesiącu miałem jednego idiotę, który rozjechał przechodnia, a potem jeszcze przez kilka dni jeździł tym samochodem, zanim zareklamował złe hamulce. Trzymaj się od tego z daleka, Alex. Zatelefonuję do Landaua, kiedy tylko opuścisz wyspę. I nie wyrzucaj sobie, że nie możesz nic zrobić dla Bena. Z tego, co mi opowiedziałeś, wynika, że cela więzienna jest teraz dla niego najbezpieczniejszym miejscem.

– Nie byłbym taki pewien. Trudno mówić o bezpieczeństwie. To po prostu areszt na zapleczu biura policji. Rodzina Betty była dziś na posterunku. Widziałem ich oczy. Nie trzeba wielkiego tłumu, żeby go stamtąd wywlec.

– A gdzie mógłby się podziać? Czy byłby bezpieczniejszy w posiadłości doktora?

– Nie.

– Nie ruszaj się, Alex. Siedź w swoim pokoju, udawajcie, że to wasz drugi miesiąc miodowy.

– Dobrze.

– Na pewno odpłyniesz tą łodzią?

– O ile nie będzie sztormu.

– A więc do zobaczenia. Starczy ci tego gównianego raję.

Cheryl przyniosła nam kolację do pokoju. Deszcz nasilił się jeszcze bardziej.

Jednakże wciąż było gorąco. Żadnych błyskawic. Powietrze ciężkie, nie naelektryzowane.

Tkwiąc beczynnie w pokoju, traciłem poczucie czasu.

Czas... Czarodziej Einstein... naginanie rzeczywistości.

Usiłował się usprawiedliwić?

„Poczucie winy bywa silnym motywem”.

Wszystkie dokonania tych lat, jak wynik wyrzutów sumienia?

Milo miał rację: to nie moja sprawa.

Robin uśmiechnęła się do mnie pytająco. Powtórzyłem jej, czego dowiedział się Milo.

– To dobrze, że wyjeżdżamy – powiedziała.

Przeglądała jakieś stare czasopisma, które zastaliśmy w naszym apartamencie. Spike pochrapywał w nogach łóżka. Cholernie sielski obrazek, zacisze domowe. Udawajmy, że jesteśmy tu dla przyjemności.

– Posłuchaj tego – powiedziałem, wskazując zalane deszczem szyby. Położyła dłoń na głowie Spike’a.

– Była ciemna, ciemna noc...

Roześmiałem się, podszedłem do Robin i ucałowałem jej włosy.

Odłożyła „Vogue” i pogłaskała mnie po twarzy.

– Nie jest tak źle, prawda? W gruncie rzeczy najważniejsze, żeby umieć korzystać z każdej chwili.

Nasze usta się zetknęły. Byliśmy jak naelektryzowani.

W powolnym tańcu, rozpinając guziki, ruszyliśmy w stronę łóżka, i wtedy, zamiast grzmotu, rozległo się walenie do drzwi.

– Jest tam kto? – odezwała się Pam. Otworzyliśmy drzwi.

– Czy tata jest u was? – Stała w ociekającej wodą pelerynie koloru khaki, jej twarz lśniła pod rozmazanym makijażem.

– Nie – powiedziała Robin.

– Nie mogę go nigdzie znaleźć! Wszystkie samochody stoją przed domem, a jego nie ma.

Mieliśmy się spotkać godzinę temu.

– Może przyjechał po niego Dennis albo któryś z jego zastępców – podsunąłem.

– Nie – odparła Pam. – Dzwoniłam do Dennisa, nie ma taty w mieście. Zajrzałam do wszystkich pawilonów i przeszukałam calutki dom z wyjątkiem waszego apartamentu i pokoju Jo.

Podbiegła do sąsiednich drzwi. Jo natychmiast je otworzyła. Była w płaszczu kąpielowym, ale wyglądała na w pełni przytomną.

– Jest u ciebie tatuś?

– Nie.

– Widziałas go tego wieczora?

– Niestety nie. Przesiedziałam cały dzień w pokoju – drobna niestrawność. – Położyła dłoń na brzuchu. Włosy miała porządnie uczesane, wyglądała zdrowo. Kiedy zauważyła, że się jej przyglądam, zerknęła na mnie niechętnie.

– O, Boże! – westchnęła Pam. – W taką pogodę! A jeśli pośliznął się i upadł?

– Starzy ludzie łatwo się wykrwawiają – powiedziała Jo. – Pomogę go szukać. – Zniknęła wewnątrz pokoju, a po chwili wróciła w przeźroczystej pelerynie narzuconej na czarną koszulę i dzinsy, w ceratowym kapeluszu i kaloszach.

– Kiedy widziałas go po raz ostatni? – spytała. Przy drzwiach wejściowych utworzyła się

kałuża. Obok stały Gladys i Cheryl ze zmartwionymi minami.

– Około piątej – odparła Pam. – Był w swoim biurze, powiedział, że ma trochę pracy, ale wkrótce wróci do domu. Mieliśmy zjeść razem kolację o siódmej, a jest już wpół do dziewiątej.

– Rozmawiałem z nim na krótko przedtem – powiedziałem przypomniawszy sobie, jak się zatoczył i omal nie upadł.

– Hm – mruknęła Jo. – Cóż, ja nic nie zauważyłam. Wypadłam z obiegu zaraz po południu.

– Kłopoty z żołądkiem – podpowiedziałem. Znow rzuciła mi wyzywające spojrzenie.

– Czy mógł opuścić teren posiadłości?

– Nie – powiedziała Pam, załamując dłonie. – Musi być koło domu. Gladys, przynieś mi latarkę. Mocną. Ruszyła schodami w dół.

– Poszukajmy go wszyscy razem – powiedziałem. – Czy w domu jest ktoś jeszcze?

– Tata odprawił wszystkich pracowników, żeby zdążyli do domów przed deszczem. Czy ktoś został? – zwróciła się do dwóch służących.

Gladys przecząco pokręciła głową. Cheryl popatrzyła na matkę i powtórzyła jej gest. Jej zwykły spokój ustąpił miejsca nerwowym tikom: pociągała nosem, pocierała dłonie, przestępowała z nogi na nogę.

Uspokoiła się, gdy Gladys spojrzała na nią ostro.

– Dobra – powiedziała Jo – zabierzmy się do tego systematycznie...

– Sprawdziłaś insektarium? – zapytałem.

– Próbowałam tam wejść – odpowiedziała Pam – ale drzwi są zamknięte na nowe zamki. – Czy masz do nich klucze, Alex?

– Nie.

– Światło było zgaszone, waliłam w drzwi, ale nikt nie odpowiadał.

– Czy nie zdarza mu się pracować po ciemku? – zapytała Jo. – Może nie zapala świateł ze

względu na owady?

– Możliwe – odparła Pam. W jej oczach pojawiła się panika. – Masz rację, on może tam być.

A jeżeli upadł i leży ranny? Gladys, gdzie mogą być zapasowe klucze?

– Sprawdziłam na wieszaku na klucze, proszę pani, ale tam ich nie ma. Cheryl chrząknęła

i spuściła głowę. Gladys zwróciła się do niej:

– Chcesz coś powiedzieć?

– Nie, mamó.

– Cheryl, czy wiesz, gdzie jest doktor Bill?

– Nie.

– Widziałaś go?

– Tylko rano.

– Kiedy?

– Przed lunchem.

– Czy powiedział ci, że się gdzieś wybiera wieczorem?

– Nie, mamó.

Gladys wzięła ją pod brodę.

– Cheryl?

– Nic nie wiem, mamó. Byłam w kuchni. Czyściłam piekarnik. Potem przygotowałam lemoniadę. Powiedziałaś, że jest za słodka. Pamiętasz?

Na twarzy Gladys pojawił się wyraz rezygnacji.

– Tak, pamiętam.

– Cholera, cholera – powiedziała Pam. – Jesteś pewna, że nie ma zapasowych kluczy?

– Tak, proszę pani.

– Pewnie zapomniał. Jak zwykle.

- Dał je Benowi – odezwała się Cheryl. – Widziałam je. Takie błyszczące.
- To rzeczywiście pociecha – powiedziała Pam. – Dobrze, wracam do insektarium i spróbuję tam wejść przez okno.
- Okna są wysoko – powiedziała Jo. – Będziesz potrzebowała drabiny.
- Gladys? – odezwała się Pam. Miała tak ściśnięte gardło, że zabrzmiało to jak skrzek.
- Jest w garażu, proszę pani. Przyniosę ją.
- Pójdę z tobą – powiedziała Jo.
- Jesteś chora – przypomniałem jej. – Ja pójdę. Zamknęła drzwi do swego pokoju i stanęła między Pam i mną.
- Nic mi nie jest. To była tylko chwilowa niedyspozycja.
- Ale...
- Nie ma sprawy – powiedziała stanowczo. – Wy chyba nie macie peleryn, prawda? A ja mam. Chodźmy, nie traćmy czasu.

Jo i Pam zbiegły po schodach, zabierając ze sobą Gladys.

Cheryl została przy drzwiach sama. Znowu zaczęła podrygiwać. Jej rozbiegane oczy spoglądały dookoła, omijając nas.

A potem nagle spojrzała prosto na mnie.

- O co chodzi, Cheryl?
- Czy... czy mogę przynieść coś do picia? Może lemoniadę? Nie, jest za słodka... Kawę?
- Nie, dziękujemy.

Skinęła głową, jakby czekając na coś więcej. Nie przestawała kiwać głową.

– Cheryl, coś się stało? – zapytała Robin. Cheryl drgnęła i zamarła bez ruchu. Robin zeszła do niej po schodach.

- O co chodzi, kochanie?

Cheryl nie spuszczała ze mnie oczu.

– To bardzo niebezpieczne – powiedziałem. – Gdzie może być doktor Bill?

Zaczęła sobie rozcierać uda. Zszedłem na dół.

– Co się stało, Cheryl? – powtórzyła Robin.

Cheryl spojrzała na nią z miną winowajcy. A potem na mnie. Jedną ręką pocierała nogę.

Drugą poklepała się po kieszeni.

– Potrzebuję pana – powiedziała ze łzami w oczach.

Spojrzałem na Robin. Przeszła do drugiego pokoju. Deszcz bębnił rytmicznie o zalane wodą szyby.

Cheryl mocniej pocierała nogę. Jej twarz skurczyła się w grymasie niepokoju.

Zaczęła się pocić.

Walczyła z sobą.

Nagle przypomniało mi się, że Moreland posłużył się nią, przysyłając wiadomość od Mila.

– Czy doktor Bill dał ci coś dla mnie, Cheryl? Z rozbieganymi oczami sięgnęła do kieszeni i podała mi złożoną kartkę papieru. Z zagiętymi rogami. Zacząłem ją rozkładać.

– Nie! Powiedział, że to tajemnica!

– Dobrze. Przeczytam to w tajemnicy. – Ukryłem kartkę w dłoni. Cheryl skierowała się do kuchni, ale ją zatrzymałem.

– Kiedy doktor Bill dał ci to?

– Dziś rano.

– Żebyś mi dała wieczorem?

– Jeżeli nie przyjdzie do kuchni.

– Jeżeli nie przyjdzie do kuchni o której godzinie? Spojrzała na mnie zakłopotana.

– Po co miał przyjść do kuchni, Cheryl?

- Na podwieczorek. O stałej porze.
- Przygotowujesz dla niego podwieczorek? Co wieczór, o stałej porze?
- Nie! – Znów chciała odejść. Patrzyła na moją kieszeń, jakby się spodziewała dostrzec kartkę. – Muszę już iść!
- Sekundka. Powtórz, co ci powiedział.
- Żebym to panu oddała.
- Jeżeli nie przyjdzie na podwieczorek. Skinęła głową.
- Kiedy zazwyczaj przygotowujesz mu podwieczorek?
- Tak, jak mi każe.

Zaczęła podrygiwać. Spojrzałem na swą dłoń na ramieniu Cheryl.

Dobrze. Dzięki, Cheryl.

Nie uciekła.

– Nie powie pan mamie? – spytała, nie ruszając się z miejsca. Zaufany posłaniec Morelanda.

Sądził, że niedorozwinięta Cheryl nie może mieć dylematów moralnych. Pomylił się.

– Nie powiem.

– Mama byłaby wściekła.

– Nic jej nie powiem, Cheryl. Obiecuję. A teraz już idź. Słusznie postąpiłaś.

Popędziła do kuchni, a ja pokazałem kartkę Robin. Było za ciemno, żeby ją przeczytać, a nie chciałem zapalać światła. Pobiegliśmy do naszego apartamentu. Po drodze odginałem rogi.

Dobrze znane pismo Morelanda: DISR. 184: 18

– Co to? – spytała Robin. – Numer katalogowy z biblioteki?

– Coś w tym rodzaju. Pewnie tom albo numer strony. Podkłada mi kartki od samego przyjazdu. Cytaty wielkich pisarzy i myślicieli: Stevenson, Auden, Einstein – ostatnia dotyczyła czasu i sprawiedliwości. Jedyny wielki myśliciel, który przychodzi mi teraz do głowy, to

Disraeli. Widziałaś jakąś jego książkę w naszym pokoju?

– Nie, tylko pisma. Może jest tam artykuł o Disraelim.

– W „Architectural Digest”? – powiedziałem z powątpiewaniem. – W „House and Garden”?

– Czasami opisują siedziby sławnych ludzi.

Rozdzieliła czasopisma na dwie kupki i zaczęliśmy przeglądać spisy treści.

– Francuskie wydanie „Vogue” – mruknąłem. – Tak, to będzie to. Jak Disraeli bywał ubrany podczas wystąpień w parlamencie. Co on, do diabła, wyprawia? Stary głupiec zabawia się nawet w najcięższych chwilach.

Robin przejrzała „Elle” i zabrała się do „Town and Country.”

– Posługuje się tą biedną Cheryl. Skoro miał mi coś do powiedzenia, dlaczego po prostu nie przyszedł do mnie?

– Może myślał, że to zbyt niebezpieczne?

– A może jest przesadnie skryty. – Sięgnąłem po „Esquire” sprzed sześciu lat. – Wszystko, co robi, jest wykalkulowane. Czuję się jak bohater sztuki. Ta wiadomość. Nawet jego zniknięcie.

O północy, takie cholernie teatralne.

– Myślisz, że to wyreżyserował?

– Kto wie, co się dzieje w tej jego łysej pale? Współczuję mu, bo jego życie rozpada się na kawałki, ale najrozsądniej byłoby zadbać o bezpieczeństwo i poczekać na przyjazd adwokata Bena. A on zwalnia całą służbę do domu i robi taki numer córce.

Deszcz walił o szyby, aż drżały framugi.

Przesunąłem palcem po następnym spisie treści.

– I dlaczego do tej zabawy wybrał akurat mnie?

– Najwyraźniej ma do ciebie zaufanie.

– Ale mam szczęście. To bez sensu, Rób. Wie, że wyjeżdżamy. Powiedziałem mu dziś po

południu. Chyba że w swój wariacki sposób ma nadzieję, że nas tutaj zatrzyma.

– Może właśnie to albo jakieś inne wydarzenie pobudziło go do działania. Albo jest w poważnych kłopotach. Wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo, i zostawił ci wiadomość, bo tylko na ciebie może liczyć.

– W jakich kłopotach?

– Ktoś mógł się tu wdrzeć i uprowadzić go.

– Albo znowu przewrócił się w pracowni.

– Tak – powiedziała. – Zauważyłam, że często traci równowagę. I to jego roztargnienie.

Może on jest chory, Alex?

– Albo po prostu zbyt wiele od siebie wymaga.

– W każdym razie współczuję mu, że jest w taką noc poza domem. Deszcz nie ustawał. Spike słuchał go zafascynowany. Skończyliśmy przeglądać czasopisma. Ani śladu Disraeliego.

– W twoim biurze są jakieś książki – powiedziała Robin. – Na zapleczu, obok kart chorób.

– Nie są ułożone tematycznie – odparłem. – Tysiące tomów, bez żadnego porządku. Niezbyt przydatne, jeżeli rzeczywiście ma mi coś do zakomunikowania.

– A biblioteka za jadalnią? Ta, o której powiedział, że nie jest dla nas interesująca. Może powiedział tak, bo coś tam ukrywa.

– Książkę o Disraelim, albo przez niego samego napisaną?

– Przynajmniej chodźmy sprawdzić. Co nam szkodzi, Alex?

Zeszliśmy na dół. Dom był pełen tajemniczych cieni, mrocznych zakamarków, ciemnych kątów i dusznego powietrza.

Przeszliśmy przez pokój frontowy i jadalnię. Drzwi do biblioteki zamknięte były tylko na klamkę.

Zapaliłem kryształowy żyrandol. Przyćmione światło; kryte łososiową morą ściany sprawiały

wrażenie brązowych, ciemne meble wyglądały jak zabłocone.

Niewiele książek. Pewnie ze sto tomów na kilku półkach.

W przeciwieństwie do książek w dużej bibliotece, te były ustawione alfabetycznie i tematycznie: fantastyka na lewo, na prawo skrócone wersje bestsellerów, książki o sztuce i biografie.

Szybko znalazłem Disraelego: stara brytyjska edycja powieści zatytułowanej Tankred.

W środku była różowa kartka z napisem: EX LIBRIS Barbara Steehoven Moreland. Nazwisko było wykaligrafowane pismem o wiele bardziej eleganckim od pisma Morelanda.

Otworzyłem na stronie sto osiemdziesiątej czwartej.

Żadnych znaków ani notatek.

W linijce osiemnastej, ani w osiemnastym słowie, ani w osiemnastej literze nie było nic godnego uwagi.

Nic godnego uwagi w całej książce.

Przeczytałem tę stronę jeszcze raz i jeszcze. Podałem książkę Robin.

Przejrzała i zwróciła mi ją.

– Może „DISR.” oznacza coś innego? Coś dotyczącego medycyny?

Wzruszając ramionami jeszcze raz przekartkowałem książkę. Nigdzie żadnych zapisków.

Kartki miała pożółkłe, ale o sztywnych brzegach, jakby nigdy nie była czytana.

Odłożyłem ją na półkę i na chybił trafił wyciągnąłem inny tom. Przemineło z wiatrem.

A potem Forever Amber. Kilka książek Irwinga Wallace’a. Wszystkie z exlibrisem Barbary Moreland.

– To jej biblioteka – powiedziała Robin. – W takim razie Moreland uważał za swoją tę większą, obok twego biura. I raczej tam coś zostawił.

– Nie jest to najlepsza pogoda na spacer.

- I ktoś zapomniał wziąć peleryny – powiedziała, wskazując na mnie palcem.
- W przeciwieństwie do zawsze przygotowanej na wszystko doktor Picker. Ciekaw jestem, czy ukryła broń pod tym wielkim kondomem. Powinienem pójść z nią i z Pam. Może wstąpię do zoo i zobaczę, jak sobie tam radzą.
- Nie – zaprotestowała Robin. – Nie chcę, żebyś tam chodził po ciemku, jeżeli Jo jest uzbrojona. Może cię uznać za intruza.
- Albo udawać, że się pomyliła.
- Naprawdę ją podejrzewasz?
- Co najmniej o to, że pracuje dla Stasher-Laymana.
- I Pam jest z nią sama – powiedziała Robin marszcząc czoło. – Chodźmy sprawdzić, czy Bill nie zostawił czegoś dla ciebie.
- Dwa cele w ciemności? Nie ma mowy. – Zapiąłem pod szyją koszulę i nastawiłem kołnierz. – Wrócisz do pokoju i zamkniesz drzwi na klucz. Pójdę sam. Obejdę pawilon od tyłu, omijając zoo.
- Chwyciła mnie za ramię.
- Nigdzie beze mnie nie pójdziesz. Czekaając na ciebie, oszalałabym z niepokoju.
- Zaraz wrócę. Jeżeli w ciągu dziesięciu minut nic nie znajdę, dam sobie z tym spokój.
- Nie.
- Przemokniesz.
- Będziemy moknąć we dwójkę.
- Zapomnijmy o tym.
- Alex, proszę. Gdyby nie ja, już byś biegł do tego pawilonu jak na skrzydłach.
- Wcale nie.
- Alex!

– Najważniejsze, że jesteś tutaj. Pozwól mi pójść samemu albo zapomnijmy o wszystkim.

– Proszę cię, Alex. A jeżeli on potrzebuje pomocy?

– Co z tym wszystkim ma wspólnego Disraeli?

– Nie wiem, ale sam powiedziałeś, że on nic nie robi bez powodu. Jeżeli nawet się bawi, są to poważne zabawy. Biegnijmy prędko.

– Przeziębisz się, moja droga.

– Ależ skąd! To ciepły deszcz. Udawajmy, że bierzemy razem prysznic. Zawsze to lubiłeś.

Przemokliśmy natychmiast. Trzymając się za ręce, ślizgaliśmy się oślepieni deszczem, starając się nie zgubić ścieżki.

Nie martwiliśmy się o chrzęst żwiru pod stopami, gdyż ulewa zagłuszała wszelkie dźwięki.

Pływanie pionowe; najnowsza konkurencja olimpijska.

Spływały po nas oleiste strugi wody.

Posuwaliśmy się powoli, aż spostrzegłem żółte światło w moim biurze. Zatrzymaliśmy się.

Rozejrzałem się dookoła. Nikogo nie zauważyłem, ale w tych ciemnościach mogła ukrywać się cała armia. Jeżeli Moreland był gdzieś na dworze, nie znaleźlibyśmy go do rana.

Spojrzałem w stronę owadziego zoo. Ciemno. Pam i Jo nie dostały się do środka.

Deszcz chłostał nas po karkach i plecach, niczym bicz wodny. Klepnałem Robin w ramię i pobiegliśmy w stronę pawilonu. Drzwi pozostały nie zamknięte na klucz, tak jak je zostawiłem.

Wpuściłem Robin przodem i zapaliłem osłoniętą szklanym kloszem lampę na biurku.

Na podłogę ściekały z nas strugi wody. Ubrania lepiły się do nas niczym trykoty.

Na biurku leżały czasopisma i książki, których przedtem tu nie było.

Całe stosy.

Teksty medyczne. Jednakże nic o Disraelim.

Żadnej bibliografii zaczynającej się od DISR.

I nagle znalazłem tom na samym spodzie. Ciężki, niebieski.

Oxfordzki słownik cytatów.

Otworzyłem na stronie sto osiemdziesiątej czwartej. Sentencje Benjamina Disraelego.

Wiersz osiemnasty:

Sprawiedliwość jest prawdą w działaniu.

I wszystko tylko po to? Zwariowany stary łajdak. Robin odczytała to na głos.

Usiłowałem sobie przypomnieć cytat z Audena... naga sprawiedliwość, sprawiedliwość jest prawdą.

Chce, żebym zrobił coś w zgodzie ze sprawiedliwością?

Ale co?

Nagle poczułem się zmęczony i zniechęcony. Oparłem mokre łokcie na biurku i już miałem zamknąć książkę, gdy u dołu strony sto osiemdziesiątej piątej zauważyłem małą, narysowaną ręcznie strzałkę.

Wskazującą na prawo.

Instrukcja, żeby odwrócić stronę?

Odwróciłem.

Równoległe do grzbietu książki biegła notatka, zrobiona pismem Morelanda. Obróciłem książkę:

214:2

Okazało się, że chodzi o sentencję Gustawa Flauberta.

Dwa cytaty.

Jeden na temat hodowli ptaków, drugi podważający wartość książek.

Znowu gry... Moreland czytał Flauberta w dniu, kiedy pokazał mi biuro. Szkołę uczuć.

W oryginale francuskim. Przykro mi, doktorze, w szkole średniej uczyłem się łaciny...

Poklepując książkę, wyczułem coś twardego w jej grzbiecie.

Klucz. Mosiężny, lśniący nowością.

Wyjąłem go. Pod nim był jeszcze jeden napis, literki tak małe, że z trudem je odcyfrowałem:

Radziłeś sobie niezgorzej. Dziewczyna Gustawa Ci teraz pomoże.

– Dziewczyna Gustawa? – spytała Robin.

– Gustawa Flauberta. Może chodzi mu o panią Bovary? Powiedziałem Billowi, że czytałem tę powieść przed dziesięciu laty.

– I co z tego?

– Pani Bovary była żoną lekarza, nudziła się, miała romansy, zrujnowała sobie życie, zażyła truciznę i umarła.

– Żona lekarza? Barbara? Czy on próbuje nam zasugerować, że popełniła samobójstwo?

– Powiedział mi, że utonęła. Ale kto wie?

– Może z tego powodu czuje się winny?

– Może. Dlaczego jednak miałby teraz robić z tego tak wielką sprawę? Próbowałem sobie przypomnieć treść książki.

I nagle prawda uderzyła mnie niespodziewanie i boleśnie, jak samochód prowadzony przez pijanego kierowcę.

– Nie, to nie chodzi o jego żonę – powiedziałem, zamykając książkę. Wstrząsnął mną dreszcz.

– Co masz na myśli, Alex?

– Chodzi o inną Emmę – powiedziałem. – Pomoże nam dziewczyna o ośmiu odnóżach.

- Czy jest coś schowane koło jej terrarium? – spytała Robin – A może w środku?
- Mógł tę rzecz schować w minizoo, żeby ukryć przed Jo. Jakoby brzydzi się robactwa, a dziś po południu powiedziałem Morelandowi o moich podejrzeniach.
- Widzę ją tam. Przytrzymuje drabinę dla Pam. Ciekawe, czy wejdzie do środka.
- Co on mógł tam schować?
- Coś, co ma związek z morderstwami albo z projektem Stasher – Layman. Aresztowanie Bena uświadomiło mu, że sprawy mają się kiepsko i musi wygrywać wszelkie posiadane atuty. Nagle otworzyły się drzwi i do biura wpadły Jo i Pam. Zamknąłem książkę z cytatami i przybrałem obojętny wyraz twarzy. Wykorzystując chwilę, gdy obie kobiety ocierały wodę z twarzy, wsunąłem do kieszeni lśniący klucz.
- Pam pokręciła głową z przygnębieniem.
- Jo spojrzała na mnie i zamknęła drzwi.
- Co tu robicie? – zapytała.
- Chcieliśmy jakoś pomóc – wyjaśniła Robin. – Zaczęliśmy obchodzić teren, ale przemokliśmy i schroniliśmy się tutaj. Poszcęściło się wam w insektarium?
- Pam pokręciła głową.
- Jo rozejrzała się po pokoju.
- Okna są zamknięte, a szyby wzmocnione drucianą siatką. Udało mi się stłuc szybę latarką, ale drut nie ustąpił, więc tylko poświeciłam dookoła. Nie dostrzegłam tam Morelanda.
- Nie odpowiedział na moje wołanie – dodała Pam.
- Drzwi także nie ustąpiły. Trzy zamki, stalowa płyta i wzmocnione zawiasy – poinformowała nas Jo, zdejmując kapelusz.
- Wychodzę – powiedziała Pam.

– Zastanów się – próbowała wyperswadować jej Jo. – Nawet jeśli tam jest, i tak go nie dostrzeżesz.

– Wszystko jedno. Ruszyła do drzwi. Jo spojrzała na mnie.

– A wy?

– Zostaniemy tu jeszcze chwilę, a potem wrócimy do domu. Dajcie nam znać, jeżeli go odnajdziecie.

Pam wyszła. Jo włożyła kapelusz.

– Masz przy sobie broń? – zapytałem.

– Słucham?

– Czy zabrałaś ze sobą spluwę? Uśmiechnęła się.

– Nie, zamokłaby przy takiej pogodzie. A co, myślisz, że potrzebuję ochrony?

– Nie wiadomo, kto się ukrywa w tych ciemnościach. Ludzie w mieście są do nas bardzo wrogo nastawieni... Podczas deszczu pewnie siedzą w domu, ale kto wie. Włączając się w ciemnościach, stanowimy łatwy cel.

– I co z tego?

– Musimy być ostrożni.

– Dobrze, będę ostrożna.

Uchyliłem drzwi i patrzyłem, jak znika w strugach ulewy.

– Dlaczego ją obserwowałeś? – spytała Robin, kiedy zamknąłem drzwi.

– Żeby wiedziała, że ją podejrzewam. Może to ją przed czymś powstrzyma. Po chwili znowu uchyliłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Nikogo.

– Co teraz? – spytała Robin.

– Albo wracamy do naszego pokoju i czekamy, aż się rozwidni, albo ty wracasz sama i czekasz na mnie, a ja użyję klucza i sprawdzę, co dziewczyna Gustawa może dla nas zrobić.

Potrząsnęła głową.

– Jest też trzecia możliwość: składamy wizytę Emmie we dwoje.

– Nie zaczynaj wszystkiego od początku.

– To ja hodowałam tarantulę.

– Faktycznie, są to jakieś kwalifikacje.

– A co z twoimi kwalifikacjami?

– Jestem specjalistą od czubków. Dotknęła mego ramienia.

– Zastanów się, Alex. Co wolisz: żeby została z tobą czy siedziała sama z Jo za ścianą? Nie będzie podejrzewała, że tam poszliśmy. I nie będzie nas szukać, zwłaszcza jeżeli rzeczywiście boi się owadów. Bill jest starym dziwakiem, ale na swój wariacki sposób zostawił nam logiczny trop.

Sprawdzałem dwukrotnie. Oczekałem. Sprawdziłem jeszcze raz. W końcu wyszliśmy na dwór.

Trzymając się z daleka latarni oświetlających ścieżki, ruszyliśmy w żółtym tempie w kierunku dużego budynku. Kilkakrotnie zatrzymywaliśmy się nasłuchując, czy nikt za nami nie idzie.

Deszcz chłostał nas strugami wody. Byłem tak mokry, że nie zwracałem na to uwagi.

Wreszcie doszliśmy.

Trzy nowe zamki.

Klucz pasował do wszystkich.

Ostatnie spojrzenie za siebie.

Pchnąłem stalowe drzwi i wśliznęliśmy się do środka.

Otoczyły nas absolutne ciemności. Byliśmy w pozbawionym okien przedpokoju.

Bez obawy włączyłem światło.

Tak go właśnie zapamiętałem: pustka, białe nieskazitelne kafelki.

Sucha podłoga.

A więc odkąd zaczęło padać, nikt tu nie wchodził.

Wycisnęliśmy wodę z ubrań. Zgasilem światło i pchnąłem drzwi do głównego pomieszczenia.

Zimne metalowe poręcze.

Jeszcze zimniejsza dłoń Robin.

Łagodna ciemność zoo, rozjaśniona bladoniebieskimi plamami w niektórych terrariach.

Przez dwa wybite okna sączyło się mdłe światło księżyca. Szkło popękało, ale druciana siatka pozostała nienaruszona. Przez obydwie otwory wpadała woda, bębniła po parapetach i spływała na betonową podłogę tworząc lśniące kałuże.

Lśniło coś jeszcze – odłamki szyby, ostre i nierówne jak kawałki lodu.

Czekaliśmy, aż nasze oczy przywykną do ciemności.

Znana woń rozkładu. Torf, przejrzałe owoce.

Ruszyliśmy środkową nawą. Po obu stronach rzędy stołów, a na końcu, obok najciekawszych okazów, miejsce do pracy.

Z niektórych pojemników dochodziły jakieś odgłosy, ale wszystko głużył wszechpotężny deszcz.

Schody na dół. Trzyście stopni, jak powiedział Moreland.

Trzyście stopni. Powtarzał to dwukrotnie, a potem odliczał je na głos.

Czyżby wiedział, że ta noc w końcu nastąpi i będziemy schodzić po ciemku?

Wzięłem Robin za rękę. Miała na twarzy wyraz determinacji. Pierwszy stopień.

Nawet gdybyśmy go szukali, nie znaleźlibyśmy. Wiedziałem, że Morelandowi chodzi o coś innego. Witam w moim małym zoo.

Dziewczyna Gustawa Ci teraz pomoże...

Małe szklane pojemniki były ciemne i niczym się od siebie nie różniły. W którym mieszkała tarantula...? Z lewej strony, bliżej końca.

Próbowałem odnaleźć terrarium i Robin pierwsza tam trafiła.

Pojemnik był ciemny, wyściółka z mierzwy nieruchoma.

Stół pusty.

Może Moreland wyjął tarantulę i zostawił coś w jej domku?

Zatrzymałem się i zajrzałem przez szybę.

W pierwszej chwili nic nie dostrzegłem. Może źle go zrozumiałem? I wtedy spośród mchu i liści wynurzyła się Emma. Odskoczyłem do tyłu.

Osiem kosmatych odnóży waliło wściekle o szkło.

Odwłok pająka pulsował.

Odwłok długości piętnastu centymetrów.

Powolne, pewne siebie ruchy.

Jest rozpieszczona... je małe ptaszki, jaszczurki... zaczają się... unieruchamia... miażdży.

– Dobry wieczór, Emmo – powiedziałem.

Nie przestawała stukać w szybę, a potem odskoczyła i usadowiła się na podściółce. Światło z sąsiedniego pojemnika odbiło się w jej oczach; wyglądały jak czarne rodzyнки.

Patrzyła na Robin.

Robin przysunęła twarz do szyby. Pozbawiony ust otwór gębowy pająka zacisnął się a potem utworzył owal, z którego wydobył się dźwięk.

Robin pogłaskała palcem szybę.

Pająk przyglądał się.

Robin sięgnęła do pokrywki. Złapałem ją za nadgarstek.

Pająk podskoczył.

– Wszystko w porządku, Alex.

– Nie sędzę.

– Moreland powiedział, że nie jest jadowita.

– Powiedział, że nie jest wystarczająco jadowita, by zabić ofiarę, dlatego ją miażdży.

– Nie boję się – mam co do niej dobre przeczucie.

– Kobięca intuicja?

– I co w tym złęgo?

– Po prostu nie uważam, żeby to był najlepszy moment na sprawdzanie teorii.

– Bill nie narażałby nas na niebezpieczeństwo.

– Nie liczyłbym na jego rozsądek.

– Nie bój się.

– Ale twoja ręka...

– Moja ręka jest w porządku. Chociaż zaczynasz mi wykręcać nadgarstek. Puściłem ją i, zanim zdążyłem ją powstrzymać, Robin odsunęła pokrywę o centymetr i wsunęła palce do pojemnika – ta jej cholerna zręczność.

Pająk przyglądał się bez ruchu.

Przeklinałem w duchu, ale nie interweniowałem. Czulem, jak spływa po mnie pot zmieszany z deszczem.

Odwłok pająka pulsował jeszcze szybciej.

Robin wsunęła do pojemnika całą dłoń. Pająk potarł otwór gębowy.

– Dosyć! Zabieraj rękę!

Robin z obojętną twarzą umieściła palce obok tułowia pająka.

Dotknęła go ostrożnie, a potem nieco pewniej.

Pogłaskała.

Tarantula rozłożyła się, akceptując pieszczotę.

Ocierała się o palce Robin.

Nakryła je sobą.

Robin pozwoliła, aby tarantula poleżała tak chwilę, a potem uniosła rękę nad terrarium.

Pająk wyglądał jak groteskowa, kosmata rękawica.

Robin kucnęła i położyła dłoń na stole. Pająk rozprostował jedno odnóże, potem drugie.

Wyciągał je, macając podłóżę. Spojrzał na swój domek i zszedł z dłoni Robin. A potem wpełzł na nią z powrotem.

Ocierał się o palce.

Robin uśmiechnęła się.

– Ej, kosmaczu, jesteś w dotyku jak Spike.

Zachęcony pająk ruszył w górę po przedramieniu. Zatrzymał się na rękawie, grzęznąc w materiale.

– Nieźle sobie podjadłaś, Emmo.

Pająk objął odnóżami ramię, a potem powoli, jak akrobata wspinający się na maszt, ruszył dalej. Zatrzymał się na barku. Połaskotał szyję. Zatrzymał się tuż obok żyły. Robin nie przestawała przemawiać i głaskać pająka.

– Widzisz, Alex, jesteśmy kumpelkami. Zajrzyj, czy nie ma czegoś w jej domku.

Wsunąłem rękę do pojemnika i zamarłem. A może tam był jeszcze jeden pająk?

Zdjąłem wieko. Zajrzałem do środka, a gdy nic nie zobaczyłem, zanurzyłem rękę.

Rozgarniałem liście, gałęzie i ziemię. Aż nagle natrafiłem na coś twardego – skała wulkaniczna.

A pod nią papier.

Wyciągnąłem go. Jeszcze jedna złożona kartka.

Zbyt ciemno, by ją odczytać. Wyszukałem terrarium z najsilniejszym niebieskim oświetleniem.

Na pierwszy rzut oka Emma straszy nas,
Lecz wszystko jest względne – i wymiar, i czas.

Względne.

Coś większego od tarantuli?

Moje oczy powędrowały ku ostatniemu rzędowi pojemników.

Terrarium większe od innych.

Dwa razy większe.

Na pokrywie wielki kawał łupka. Mieszkaniec terrarium był dwukrotnie większy niż Emma.

Mój brontozaur... znacznie bardziej jadowity.

Ponad trzydzieści centymetrów płaskiego, skórzastego, podobnego do biczka, ciała.

Zakończony kolcem ogon, czułki grubości strun.

Niezliczone odnóża... Przypomniało mi się, jak wściekle kopały powietrze, gdy zbliżyliśmy się do terrarium.

Zimna, nieprzejednana wrogość.

Jeszcze go nie nauczyłem, żeby mnie lubił.

Stary, sadystyczny łajdak.

Robin czytała ponad moim ramieniem z Emmą na swoim.

Popędziłem do ostatniego szeregu stołów.

Stonoga znajdowała się tam, gdzie widzieliśmy ją poprzednim razem. Połowa wystawała z jaskini, reszta była ukryta.

Spostrzegła mnie, zanim się do niej zbliżyłem; czułki zadrżały, jakby były pod napięciem elektrycznym.

Przednie odnóża wierzgały.

Kopały powietrze.

Wszystko jest względne.

Nie wyłączając mojej ochoty na kontynuowanie tej gry.

Już miałem odejść, gdy spostrzegłem, że duże terrarium wygląda jakoś inaczej.

Było uniesione ponad stołem.

Stało na czymś. Na kawałkach łupka.

Kiedy widziałem je po raz ostatni, stało bezpośrednio na blacie.

Przejechałem dłonią po powierzchni stołu. Pył i śmieci.

Moreland coś tu zmienił.

Zrobił mały dołek – wystarczający, by wsunąć dłoń.

Wyciągnąłem rękę. Stonoga skręciła się. Kiedy moje palce dosięgnęły podstawy terrarium, stworzenie rzuciło się na szybę. Odskokczyłem do tyłu.

Szkle pozostało nietknięte, chociaż mógłbym przysiąc, że słyszałem jego trzask.

Robin stanęła za mną.

Spróbowałem po raz drugi, ale ten diabelski stwór znowu rzucił się na ścianę terrarium.

Nie odstępował.

Walił głową w szybę. Jego ciało wiło się i skręcało.

Na szkle pojawiła się jakaś oleista ciecz.

Wiedziałem, że nic mi nie grozi, ale każde uderzenie przyprawiało mnie o skurcz serca.

Robin wydała z siebie cienki, nieartykułowany dźwięk. Obejrzałem się i zobaczyłem, że stoi tu z pajakiem na ramieniu.

Wsunąłem rękę pod łupki i zatrzymałem ją tam.

Stonoga nie przestawała się miotać”. Szyba trzeszczała. Na szkle pojawiło się więcej trującej

wydzieliny.

Nagle w terrarium rozległ się ochrypły, gardłowy dźwięk, zagłuszający bębnienie deszczu.

Macałem pośpiesznie dłonią. Natrafiłem na coś o konsystencji wosku i cofnąłem rękę.

Stonoga przestała atakować.

Czyżby się wreszcie zmęczyła?

Nie spuszczać jej z oka, zacząłem wszystko do nowa.

Stonoga znowu się ożywiła.

Moja dłoń wpełzła do jamki. Woskowy przedmiot ani drgnął. Czy nie jest to jakiś drapieżnik? Chwyciłem.

Coś prostokątnego, znowu papier? Grubsze niż kartka.

Stonoga nie przestawała się złościć i pluć wydzieliną.

Wbiłem paznokcie w moją zdobycz i pociągnąłem.

Woskowy przedmiot wysliznął mi się, a ja poleciałem do tyłu, z trudem łapiąc równowagę, stanąłem oko w oko ze stonogą.

Oddzielony od niej szybą o grubości sześciu milimetrów.

Jej prymitywna fizjonomia była nieruchoma jak wykuta z kamienia. Nagły wyraz wściekłości upodobnił ją do ludzkiej.

Pojemnik zakołysał się.

Wymacałem róg woskowego przedmiotu, wczepiłem się weń paznokciami, ale mi się wysliznął, spróbowałem jeszcze raz – drgnął, a potem znowu poczułem opór.

Czy jest przyklejony do blatu? Tak, był przyczepiony taśmą. Łajdak!

Wsunąłem paznokieć pod taśmę, podważyłem.

Jeszcze jedno szarpnięcie i wreszcie wydobyłem tę przeklętą rzecz.

Gruby plik woskowanego papieru. Jego brzegi chrzęściły mi pod palcami. Odskokczyłem od

pojemnika.

Robin nie spuszczała mnie z oczu. Podobnie jak Emma.

Trzask, trzask... bestia tłukła się o pokrywę, usiłując ją podważyć. Stunogi Atlas walczący o wolność. Czuję woń jej wściekłości: gorzką, pełną podniecenia, naładowaną hormonami.

Nowe pchnięcie. Kawałek łupka na wieku podskoczył i zląkłem się, że może stłuc szybę.

W końcu nawy spostrzegłem doniczkę wypełnioną ziemią i użyłem jej jako balastu.

Stonoga nie ustawała. Przednia ściana terrarium była mętna od śluzowatej wydzieliny.

Trzask.

– Śpij smacznie, draniu.

Wziąłem Robin za rękę i wróciliśmy do głównej części insektarium. Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie docierało więcej światła z rozbitego okna. Wtedy spostrzegłem, że Emma jest ciągle z nami. Jak mogłem się jej obawiać?

Wszystko jest względne... czas także.

Oto myśl Morelanda: nic nie jest takie jak się nam zdaje... Rozprostowałem woskowany papier. Wyłuskałem więcej kartek.

Suchy, stary, ciemny papier – czarny albo granatowy, gruby, poznaczony białymi liniami.

Kwadraty, koła, półkola i trójkąty. Symbole, których nie mogłem zrozumieć.

Linie zakończone strzałkami. Kierunki świata?

Widok z lotu ptaka. Kwadraty i prostokąty to prawdopodobnie budynki.

Największy w części południowej. Obok coś kolistego, wypełnionego wodą.

Fontanna przy wejściu.

Budynek mieszkalny.

Odnalazłem insektarium z trzynastoma stopniami i środkowym przejściem, zaznaczonym jak kręgosłup z mnóstwem prostokątnych wypustek w kształcie kręgów.

Wanny...

Odnalazłem swoje biuro, Morelanda oraz inne pawilony.

Od wschodu bezkształtna masa – korony drzew. Skraj puszczy figowej.

Mapa środkowej części posiadłości.

Ale co miałem na niej zobaczyć?

Im dłużej ją studiowałem, tym bardziej stawałem się bezradny. Siatka linii, gęstych jak ulice na planie miasta. Kształty o niezrozumiałym znaczeniu.

Słowa.

W języku japońskim.

– Plan budowy – powiedziała Robin. – Rozumiesz coś z tego?

Wzięła ode mnie odbitki i przyglądała im się fachowo. Nie poszły na marne miesiące studiowania planów budowy naszego domu w L. A. Przesuwała palcem po liniach.

– Może to?

Naprowadziła mój palec na chropowate miejsca – wybrzuszenie papieru jak w piśmie Braille’a.

– Nakłucie – powiedziałem.

– Dokładnie w środku jego biura. I spójrz na to – wskazała palcem linię, która biorąc stamtąd swój początek, wychodziła poza kartkę.

Na wschód. Na następnej kartce przecinała granicę posiadłości i kończyła się w figowcach.

– Tunel? – zapytałem.

– Albo jakiś podziemny kabel wysokiego napięcia – odparła Robin rozprostowując kartkę i oglądając drugą stronę. – Na pewno chodzi o to. Ślad nakłucia był obrysowany kółkiem.

– Tunel pod jego biurem – powiedziałem. – Dlatego widziałem, jak wszedł do środka i zgasił światło. Zszedł pod ziemię. Skinęła głową.

– Ma swoją kryjówkę i zaprasza nas, abyśmy ją zwiedzili.

Zdjęła Emmę z ramienia, przemówiła do niej pieszczotliwie, pogłaskała po brzuszku. Osiem odnóży zwiotczało i w tym stanie zwierzątko wróciło do swego domku. Robin uśmiechnęła się.

– Nie ma nic cenniejszego od nowych przyjaciół – powiedziałem.

– Przestań, bo zabiorę ją ze sobą.

Poskładałem odbitki, wetknąłem je za pasek pod marynarką i wyszliśmy z insektarium.

Deszcz już tak nie lał i mogłem się dopatrzeć zarysów drzew i krzaków.

Żadnych istot dwunożnych... Nagle usłyszałem coś za sobą i zamarłem, jakieś skrobanie,

jakby ocierająca się o coś gałąź.

Przylgnęliśmy do ściany i czekaliśmy.

Nic się nie działo.

Pawilon Morelanda był tuż obok, pod kołyszącymi się drzewami. W bardziej odległym budynku mieszkalnym paliło się światło w oknach. Czyżby Pam i Jo już wróciły?

Ruszyliśmy biegiem.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Prawdopodobnie tak zostawiła jej Pam. A może

Moreland nie zamknął ich ze względu na nas?

Dwustronny zamek. Usiłowałem zamknąć go od wewnątrz za pomocą klucza od mego biura.

Nie pasował. Spróbowałem nowym kluczem od insektarium. Również nic z tego. My także musieliśmy zostawić otwarte drzwi.

I zgaszone światła.

Drzwi do laboratorium były zamknięte. Biurko Morelanda puste, z wyjątkiem jednego

lśniącego przedmiotu.

Jego latarki w kształcie pióra.

Robin wzięła ją i przykucnęliśmy za biurkiem, tak ukryci rozłożyliśmy na podłodze odbitki.

Robin oświetliła plany. Atrament się rozpląnął, nasze palce miały kolor indygo.

– Tak – powiedziała Robin. – Na pewno stąd. – I wskazała na drzwi laboratorium.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– O co chodzi?

– Mam wrażenie, że po drugiej stronie czeka na nas coś obrzydliwego.

– Byłem tam. Same próbówki i próbki jedzenia. Moreland przeprowadza badania nad żywnością.

– Albo on kogoś karmi – powiedziała Robin.

Wyglądało na to, że w pracowni ostatnio nikt nie był. Kierując światło latarki na podłogę, Robin obezrzała pomieszczenie dookoła i zatrzymała się, aby sprawdzić odbitki. Zastanowiła się. W końcu stanęła na środku pokoju i zaintrygowana spoglądała na stół laboratoryjny z czarnym blatem i szafką.

– Cokolwiek to jest – powiedziała – zaczyna się tutaj. Na blacie stała podstawka z pustymi probówkami i puste zlewki. Odstawiłem naczynia na ławkę i popchnąłem stół. Ani drgnął. Pod każdym rogiem miał kółko, ale nie obracały się. Nie było zlewu, a więc nie było też rur kanalizacyjnych. Jednakże coś go przytwierdzało do podłogi. Otworzyłem szafkę u dołu. Robin poświeciła latarką. Nic prócz pudełek z ręcznikami papierowymi. Przesunąłem je i odsłoniłem metalowy pręt biegnący wzdłuż tylnej ściany.

Sznury, uchwyt.

Pociągnąłem rączkę w dół, napotkałem niewielki opór, a potem pręt opadł ze szczękiem.

Stół przesunął się, obrócił i Robin z łatwością go odsunęła.

Pod spodem była betonowa podłoga. Prostokąt o wymiarach półtora metra na sześćdziesiąt centymetrów. Innego koloru. Ograniczony głębokimi szczelinami.

Betonowa zapadnia?

Nie widać było żadnego uchwytu.

Stałem na rogu prostokąta, przycisnąłem go i cofnąłem stopę. Płyta zakołysała się i ze stukiem powróciła na dawne miejsce.

– Może potrzebny jest większy ciężar – powiedziała Robin. – Spróbujmy razem.

– Nie, jeżeli Moreland mógł ją odsunąć sam, ja także potrafię. Nie chcę przyciskać zbyt mocno, żeby płyta nie uderzyła nas w twarz.

Przycisnąłem stopą następny narożnik. Płyta zachwiała się trochę bardziej i powróciła na miejsce.

Nacisk na trzeci róg sprawił, że płyta wychyliła się jeszcze bardziej i przekonałem się, że ma co najmniej piętnaście centymetrów grubości. A pod nią było metalowe urządzenie – jakiś blok do podnoszenia.

Stałem na czwartym rogu i poczułem, że unoszę się w górę. Zeskoczyłem.

Płyta zakołysała się mocniej, znieruchomiła i wreszcie zaczęła się bardzo powoli obracać.

Zatoczyła łuk i stanęła prostopadle do podłogi, odsłaniając prostokątny otwór.

Ciemny, ale nie czarny – z dołu docierała poświata.

Położyłem się plackiem na brzuchu i spojrzałem w dół. Betonowe stopnie, podobne do tych w insektarium. Również trzynaście, lecz tym razem poznaczone czymś zielonym.

Darnią.

Wiodące w szarość.

– Teraz rozumiem, dlaczego mówi się „krecia robota” – powiedziałem.

Robin uśmiechnęła się przez uprzejmość. Odgarnęła z twarzy wilgotne loki i westchnęła głęboko.

Podeszła do otworu.

Zatrzymałem ją i wszedłem pierwszy.

Tunel o kształcie rury miał dwieście dziesięć centymetrów wysokości i niewiele więcej szerokości. Ściany ze zbrojonego betonu ze szczelinami po kielni, w które wbito stalowe gwoździe. Docierające z dołu światło pochodziło z odratowanej lampy, przymocowanej do sufitu jakieś czterdzieści kroków dalej.

Darń leżała również w miejscu, gdzie kończyły się szyny dzielące rurę na dwie części.

Wąski rozstaw, zbyt mały na kolejkę. Prawdopodobnie jeździła tu drezyna, ale nie było jej w zasięgu wzroku.

Nie słyhać tu było deszczu. Dotknąłem podłogi – była twarda i sucha. Idealna szczelność.

Stukanie w ściany nie powodowało najmniejszego dźwięku; beton musiał być bardzo gruby.

Powiedziałem Robin, żeby zaczekała, i zszedłem do tunelu. Płyta zapadni wyglądała stąd jak ogromna, sztywna warga; pracownia – jak czarna dziura.

Wspiałem się z powrotem i jeszcze raz obejrzałem zapadnię. Była tak samo nieruchoma jak poprzednio, utrzymywana przez masę kół zębatach i przeciwwag, reagujących na specjalny rodzaj nacisku.

Świetny system bezpieczeństwa, zainstalowany przez armię japońską, aby zapobiec zmiżdżeniu palców albo przypadkowemu uwięzieniu. Był pewnie jakiś sposób, aby bezpiecznie zamknąć klapę od dołu, ale nie znałem go i musiałem zostawić włącz otwarty.

Może jednak lepiej wycofać się stąd i doczekać ranka?

Wróciłem do Robin i powiedziałem, żeby wybierała, co woli.

– Doszliśmy już tak daleko, Alex. Pójdźmy przynajmniej kawałek i sprawdźmy, dokąd ten tunel prowadzi.

– Jeżeli tunel wychodzi poza granicę posiadłości, znajdziemy się pod puszcą figową. A jest to obszar zaminowany.

– O ile w ogóle są jakieś miny.

– Wątpisz w to?

– Jeżeli chce się coś ukryć przed tubylcami, rozpowszechnianie takich plotek jest doskonałą metodą.

– Chcesz się przekonać, czy twoja hipoteza jest słuszna?

– On tam jest. – Spojrzała w głąb tunelu. – I najwyraźniej chce, żebyśmy także tam weszli.

Dlaczego miałby narażać nas na niebezpieczeństwo?

– On chce, żebym ja tam wszedł. Po to mnie tutaj sprowadził.

– W każdym razie jest to dla niego ważne. Pomyśl tylko, ile zastosował środków ostrożności.

– Zasztyfrowane notatki. Cytaty... robactwo. Zabawia się jak wielkie dziecko.

– Może się mylę, ale nie wydaje mi się, żeby był szaleńcem. Najwyżej jest trochę skryty.

Pomyślałem o Morelandzie, Hoffmannie i o ich żonach, jak grywali we czworo w brydża na tarasie. Hoffman oszukiwał, a Moreland nigdy nie dał poznać, że o tym wie.

– Dobrze – powiedziałem. – Zabawmy się.

Ruszyliśmy wzdłuż szyny, minęliśmy odratowaną lampę i zagłębiliśmy się w ciemności. Po stu krokach pojawiło się światło takiej samej lampy. A potem jeszcze jednej.

Tunel był znacznie przyjemniejszy niż się spodziewałem: ciepły, suchy, pozbawiony robactwa.

– Jak myślisz, po co go zbudowano? – zapytała Robin. – Jako drogę ucieczki dla Japończyków?

– Albo coś w rodzaju kanału dostawczego.

Właśnie minęliśmy drugą lampę, gdy zauważyłem coś przy ścianie.

Tekturowe pudła. Mnóstwo pudeł, starannie ustawionych jedno na drugich. Tak samo jak teczki z dokumentacją w magazynie za biurem.

Sekretna dokumentacja? Czy Moreland po to mnie tutaj sprowadził?

Zdjąłem jedno pudło. Było zamknięte, ale nie zaklejone.

Wewnątrz plastikowe torebki.

Suszone owoce i warzywa.

Otworzyłem inne pudło. Znowu jedzenie.

Trzecie pudło zawierało próbki lekarstw i buteleczki z antybiotykami, środkami przeciw grzybicy, witaminami, mikroelementami, składnikami uzupełniającymi dietę.

I butelki z jakąś mętną cieczą. Zawierający chininę środek przeciw malarii.

Następne pudło. Znowu suszone owoce. Napoje witaminizowane dla sportowców.

– Tajemna skrytka doktora Billa – powiedziałem. – Hoduje to wszystko we własnym ogrodzie, konserwuje i znosi na dół. Może mamy do czynienia ze szkołą przetrwania. Ale gdzie jest jego Armagedon?

Robin potrząsnęła głową i zajrzała do następnego pudła. Duszona wołowina, kurczęta, ryż.

– W sam raz dla wegetarianina – powiedziałem. Robin posmutniała.

– Może jego celem jest zniszczenie wyspy? Może chce przeżyć ukryty pod ziemią?

– Pod figowcami – dodałem. – Chroniony przez te miny, prawdziwe lub wymyślone. To idiotyczne, ale w Stanach pełno jest takich bunkrów. Problem polega na tym, że żyjący w nich ludzie zbyt chętnie sięgają po broń.

– To niepodobne do Billa.

– Dlaczego? Bo powiedział, że nienawidzi broni? Wszystko, co mówi i robi, jest podejrzane

– łącznie z tym jego altruizmem. Aruk sprowadza żywność po cenach trzykrotnie wyższych od normalnych. Bill pomaga od czasu do czasu, ale chomikuje to wszystko dla samego siebie. Jeżeli od dłuższego czasu planuje zejście pod ziemię, nie dziwię się, że nie stara się rozwinąć gospodarki wyspy. Może mu wcale nie zależy na Aruk? Może zamierza stworzyć swój własny, podziemny świat? Wpadł na ten pomysł, znalazłszy plany posiadłości. Odszukał tunel i zmienił się w człowieka jaskiniowego.

Robin wyjęła z pudła coś nowego. Zawiniętą w folię paczuszkę z białą nalepką.

– „Żelazna racja żołnierza – odczytała na głos. – Część B: liofilizowana marchew, buraki, groch, fasola i fasolka szparagowa, proteina sojowa”... a dalej cały zestaw witamin... Producent Navy, USA... O, rany!

– Co?

– Data produkcji.

Małeńkie literki u dołu nalepki. Luty 1963.

– To był jego ostatni rok w marynarce – powiedziałem. – W tym samym roku kupił tę posiadłość. Zbiera to od trzydziestu lat.

– Nieszczęśnik.

– Myślę, że ma powody do zadowolenia. Może być cholernie dumny z tego, co osiągnął.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo chce się tym teraz pochwalić przed nami.

Minęliśmy jeszcze sześć lamp przytwierdzonych do sufitu i dwa duże schowki z żywnością i lekarstwami.

Posuwaliśmy się naprzód metodycznie jak żołnierze.

Mój zegarek wskazywał, że jesteśmy pod ziemią już pół godziny, ale straciliśmy poczucie czasu.

Zwodniczość czasu.

Następna odratowana żarówka.

Zaraz za nią zielona plama.

Jeszcze jeden spłachetek darni.

Dwadzieścia pięć metrów dalej następne schody.

Trzyście stopni w górę aż do metalowych drzwi.

Żadnej klamki ani zamków. Pchnąłem je, spodziewając się dużego oporu jakiegoś chytrego systemu dźwigni. Otworzyły się tak łatwo, że omal nie straciłem równowagi.

Po drugiej stronie znajdowała się betonowa pochyła rampa, oświetlona słabą żarówką.

Szliśmy pod górę aż do następnych drzwi.

Metalowa krata – koncentryczne koła poprzecinane szprychami. A za nimi kompletna ciemność.

Stukałem i pchałem, ale nie ustępowały. I wtedy rozjaśniło mi się w głowie.

Pajęczyna. Moreland nazwał pajęczynę pięknym oszustwem.

Tego już za wiele.

Zawróciłem i ruszyłem w dół rampy.

Zobaczyłem, że poprzednie drzwi zamykają się przed nami. Podbiegłem, żeby je zatrzymać, ale było już za późno.

Zatrzasnęły się i nie mogłem ich otworzyć.

Zamknięci w pułapce.

Schwytani w sidła.

Przypomniałem sobie wychudzoną twarz Morelanda. Długie, cienkie kończyny, mięsisty nochal, podpuchnięte oczy, pajęczcze susy.

Nie wielbłąd ani flaming.

Drapieżnik...

Robin zacisnęła dłońią usta. Dławiony panicznym strachem traciłem oddech.

I wtedy za kratą w kształcie pajęczyny pojawiło się światło. Owionął nas prąd bardzo chłodnego powietrza.

Taki sam dreszcz poczułem przy murze biegnącym wzdłuż puszczy figowców.

Pajęczynowe drzwi otworzyły się gwałtownie. Zobaczyłem ściany z ciosanego kamienia.

Dalej była ciemność.

Jaskinia.

Mieliśmy do wyboru zostać na rampie, albo wejść do jaskini i zdać się na czekający za drzwiami los.

Wszedłem.

Poczułem na ramieniu lekką dłoń.

Obróciłem się gwałtownie.

– Niech cię diabli, Bill.

Jednak utkwione we mnie oczy nie należały do Billa.

Lewe oko przypominało ciemną szparkę. Prawe było szeroko otwarte, mlecznobiałe, wypukłe, zażawione, pod poszarpaną powieką.

Bez tęczówki. Białko pokryte siecią czerwonych żyłek.

Twarz także biała.

Oczy osadzone w eliptycznej, pozbawionej szyi głowie, umieszczonej na wątych, spadzistych ramionach.

Głowa niekształtna i pozbawiona włosów, za wyjątkiem trzech łątek bezbarwnego puchu.

Zamiast uszu fałdy skóry.

Usta rozwarły się. Mniej niż tuzin zębów, z czego część w formie żółtych pieńków.

Umieszczone w workowatej szczelinie: brak dolnej wargi, górna gruba, rozcięta, zajęcza. Czy to uśmiech? Dlaczego nie wrzeszczę z przerażenia?

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi. Dłoń na moim ramieniu taka lekka... nad ustami pokryta puchem skóra i nos – dwie ciemne dziurki pod guzkiem białoróżowego mięsa, skręconego na kształt świńskiego ogona.

Twarz pokryta guzami, strupami i kraterami blizn – krajobraz zaiste księżycowy. Skóra wydzielala ostry zapach. Znajomy zapach szpitala – maść antybiotykowa.

Dłoń na moim ramieniu była tak lekka, że prawie jej nie czułem.

Spojrzałem na nią.

Cztery kikuty, grubo zakończone palce, kciuk płaski, maczugowaty; brak paznokcia na palcu wskazującym. Miękkie, podobne do puchu włoski. Dołki na knykciach.

Cienki i kruchy nadgarstek z niebieskimi jak u niemowlęcia żyłkami i wielkimi strupami ginął pod mankietem białej koszuli.

Czystej, popelinowej, zapinanej na guziki.

Spodnie koloru khaki opinające szczupłą talię, wysoko podwinięte mankiety.

Przypuszczalnie mężczyzna... Spod zawiniętych mankietów wystawały brązowe, sprawiające wrażenie nowych, półbuty.

Mężczyzna o wzroście chłopca – sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, niecałe czterdzieści kilogramów wagi.

– Hhh – powiedział. – Hhheej.

Chrapliwy szept. Słyszałem takie głosy już przedtem: ofiary poparzeń, ludzie bez strun głosowych i krtani, brzuchomówcy.

Workowate usta pozostały otwarte, jakby starały się wymówić coś więcej. Znów zapach lekarstwa – płyn do płukania ust. Jedyne oko wpatrywało się w moją twarz. Woreczek skręcił się ku górze w czymś, co można by uznać za uśmiech.

– Hej – powiedziałem.

Oko przypatrywało mi się. Przymrużyło się. Może mrugało do mnie? Brak brwi, ale skóra ponad powiekami wznosiła się dwoma łukami.

Pozbawiony szyi i podbródka. Łagodny... Przypomniał mi się dzidzius ośmiornicy z laguny.

Dłoń zsunęła się z mego ramienia ruchem powolnym i pełnym wdzięku.

Usta zamknęły się i odęły. Czy to wyraz smutku?

Czy zrobiłem coś złego?

Zmusiłem się do uśmiechu.

Ręka zwisała bezwładnie.

Całkiem bezwładnie. Jak u bezkręgowców.

Palce wygięte w anormalny sposób.

Jak wąż? Nie, nawet wąż jest bardziej zwarty w sobie.

Biały i wiotki...

Jak robak.

Podrapał się w udo. Mankiet podwinął się i na jego półbucie zobaczyłem coś lśniącego.

Nowiuteńką jednocentówkę.

Zauważył Robin i nieśmiało spuścił głowę.

– Hej – powiedziała do niego.

I wtedy zobaczyłem coś za nim.

Z cienia wyłaniał się drugi mężczyzna, jeszcze mniejszy, o wielkim garbie, który sprawiał, że jego głowa zdawała się wyrastać z klatki piersiowej.

Kraciasta, czerwono-czarna koszula, dżinsy, buty sportowe.

Dwoje zdrowych oczu. Jedno ucho. Łagodne spojrzenie.

Niewinne.

Przywołał nas ruchem palca, odwrócił się plecami i zniknął w jaskini.

Pierwszy mężczyzna zmarszczył czoło i poszedł za nim.

Ruszyliśmy za nimi, potykając się i ślizgając na skałach.

Mali łagodni mężczyźni nie mieli z tym najmniejszego kłopotu.

Jaskinia rozjaśniała się stopniowo i w końcu weszliśmy do ogromnej, kopulastej pieczary, oświetlonej przez kilka odratowanych żarówek.

Z podłoża wyrastały skały zbyt tępo zakończone, by uznać je za stalagmity. Wzdłuż jednej ze ścian stały lodówki. Z dziesięć lodówek o przypadkowo dobranych markach i kolorach. Zielone, złote. Odcienie modne przed trzydziestu laty. Ich kable spotykały się w skrzynce rozdzielczej, z której wychodził graby czarny kabel, ginący za poszarpanym występowaniem skalnym.

Pośrodku pieczary stały dwa drewniane stoły piknikowe i dwanaście krzeseł. Na nieskazitelnie czystej kamiennej podłodze leżały rozrzucone futrzane dywaniki. Spod skrzynki rozdzielczej dobywało się monotonne brzęczenie – prądnica.

Tutaj słychać było deszcz. Lekki szmer. Ale wszystko było suche.

Wszedł Moreland i usiadł u szczytu stołu. Za dużą misą świeżych owoców. Jak zwykle miał na sobie białą koszulę. Łysa głowa wyglądała jak naoliwiona. Sięgnął po grejpfruta.

Wraz z nim pojawiło się jeszcze czworo małych, łagodnych ludzi. Usiedli po obu stronach doktora. Dwie postacie ubrane w bawełniane sukienki, o drobniejszych rysach. Kobiety. Dwaj pozostali mieli na sobie kraciaste koszule i dżinsy oraz spodnie koloru khaki.

Jeden z mężczyzn był całkowicie pozbawiony oczu, oczodoły miał powleczone napiętą, błyszczącą skórą. Jedna z kobiet była wyjątkowo mała, jak siedmioletnie dziecko.

Spojrzeli na nas, a potem na Morelanda. W pełnym świetle ich zdeformowane twarze wydawały się jeszcze bledsze.

Przed każdym z nich stał talerz. Owoce, suchary i witaminy w tabletkach. Szklanki z pomarańczowym, zielonym i czerwonym płynem. Pośrodku stołu znajdowały się puste butelki i talerze pełne pestek, łupin i skórek.

Dwaj mężczyźni, którzy nas przyprowadzili, stanęli z założonymi rękami.

Moreland powiedział:

– Dziękuję ci, Jimmy. Dziękuję ci, Eddie.

Odłożył grejpfruta i zachęcił ich gestem, aby usiedli. Mężczyźni zajęli swoje miejsca przy stole.

Kilku zaczęło coś mamrotać. Ich zdeformowane ręce drżały.

– Wszystko w porządku – uspokoił ich Moreland. – Oni są dobrzy. Rozbiegane oczy znów spoczęły na nas. Niewidomy zamachał rękami i zaklaskał.

– Dzień dobry, Alex, witaj Robin – powitał nas Moreland.

– Dzień dobry, Bill – bąknąłem w odpowiedzi.

– Przykro mi, synu, że musiałeś pokonać te wszystkie trudności. I nie wiedziałem, że ty także

przyjdiesz, moja droga. Wszystko w porządku?

Robin skinęła głową z roztargnieniem, lecz oczy miała utkwione gdzie indziej.

Jej uwagę przykuła mała kobieta. Miała na sobie dzieciinną, wizytową sukienkę – różową, z białymi wypustkami. Na przedramieniu bransoletkę z białego metalu. I dziecięce, pełne ciekawości oczy.

Robin uśmiechnęła się do niej.

Kobieta oblizwała miejsce, w którym powinny znajdować się usta, i przyglądała się Robin.

Pozostali zauważyli jej skupienie i ich niepokój wzrósł jeszcze bardziej. Prądnica buczała.

Rozejrzałem się wokół: na ścianach oprawione pocztówki – Antigua, Rzym, Londyn, Madryt, Watykan. Świątynie Angkor Wat, Jerozolima, Kair.

Naprzeciw lodówek starannie poustawiane pudła z jedzeniem. Szafy i szafki, kilka wózków dostawczych.

Tyle lodówek, bo musiały być odpowiednio małe, by precyzyjnie je przez dziurę w podłodze laboratorium. Wyobraziłem sobie Morelanda, wiozącego je na wózkach w tunelu. Już wiedziałem, gdzie zniknął owej nocy z torbą lekarską. Gdzie spędzał noce w ciągu wielu lat.

Dlaczego nie dosypiał i przepracowywał się, doprowadzając się do takiego wyczerpania. Upadek w laboratorium...

W rogu zlew podłączony do zbiornika z wodą. Obok rząd pięciolitrowych butli.

Żadnego pieca ani piekarnika. Czy z powodu złej wentylacji?

Nie, powietrze było chłodne i świeże. Docierały odgłosy deszczu, a więc musiał być jakiś szyb wentylacyjny, prowadzący w górę.

Nie było ognia, bo dym mógłby naprowadzić na ślad.

Nie było także kuchenki mikrofalowej – prawdopodobnie dlatego, że Moreland bał się o bezpieczeństwo ludzi, którzy już raz ponieśli obrażenia.

Czyżby w jego kłamstwie na temat udziału w grupie wypłacającej odszkodowania po wybuchu nuklearnym było ziarno prawdy?

Od samego początku prawdę mieszał z kłamstwem.

Zdarzenia, które rzeczywiście miały miejsce, ale w innym czasie i w innym miejscu.

Einstein aprobowałby... wszystko jest względne... czas mamy.

Wszystko było symbolem lub metaforą.

Inne cytaty... Wszystko w imię sprawiedliwości?

Sprawdzał mnie.

Spojrzałem na wystraszone twarze ludzi skupionych wokół Morelanda.

Białe, podobne do robaków.

Joseph Cristobal, przycinający przed trzydziestu laty wino przy wschodniej części muru, nie miał halucynacji.

Trzydzieści lat ukrywania się i tylko jeden taki wypadek?

Któryś z nich w chorobliwym podnieceniu wydostaje się na powierzchnię i idzie w stronę muru.

Cristobal widzi go i wpada w przerażenie.

Moreland stwierdza halucynacje.

Okłamuje Cristobala... w imię sprawiedliwości.

Wkrótce potem Cristobal wydaje ostatni jęk i umiera.

Zupełnie jak kobieta-kot... Co takiego ona zobaczyła?

– Siadajcie, proszę – powiedział Moreland. – To najmiłsi ludzie z wszystkich, jakich znam.

Wyżeliśmy przemoczone ubrania i usiedliśmy przy stole. Moreland przedstawił nas.

Niektórzy z małych ludzi w ogóle na to nie zareagowali.

Moreland pokroił dla nich owoce i przypomniał, żeby się najpierw napili.

Posłuchali go.

Żaden z nich się nie odzywał.

Po chwili Moreland zapytał:

– Skończyliście? Dobrze. A teraz, proszę, wytrzyjcie usta i idźcie się pobawić.

Wstawali jeden po drugim i wychodzili, przechodząc koło lodówek i znikając za występem skalnym.

Moreland potarł oczy.

– Wiedziałem, że mnie odnajdziesz.

– Z pomocą Emmy – powiedziałem.

– Tak, ona jest taka milutka...

– Czas jest oszustwem. Dopuszciliście się też oszustwa, żeby mnie tu zwabić”. Zmierzałeś do tego od pierwszego dnia mojego pobytu na wyspie, prawda?

Zamrugnął powiekami.

– Dlaczego akurat teraz?

– Bo wszystko się już kończy.

– Pam jest na górze, szuka cię, śmiertelnie przestraszona.

– Wiem, powiem jej... wkrótce. Jestem chory, prawdopodobnie umierający. Zanik nerwów.

Odczuwam bóle karku i pleców, nie mogę się skoncentrować. Coraz więcej rzeczy zapominam, tracę równowagę... pamiętasz, jak upadłem w laboratorium?

– Może to tylko brak snu.

– Nie, nie mogę zasnąć nawet wtedy, kiedy jestem śpiący. Może to choroba Alzheimera, albo coś bardzo podobnego. Nie chcę się poddawać pozbawiającym człowieka godności badaniom.

Pomożecie mi, dopóki jeszcze czas?

– Jak?

– Chodzi o dokumentację. Musi być sporządzona dla potomnych. I trzeba pomyśleć, kto o nich zadba, gdy mnie zabraknie. – Przeciągnął się. – Ty masz praktykę, synu. I charakter – szacunek dla sprawiedliwości.

– Sprawiedliwości w pojęciu Disraelego? Prawda w działaniu?

– Otóż to. Nie ma prawdy bez działania.

– Ach, ci wielcy myśliciele – powiedziałem.

Jego oczy posmutniały, odrzucił głowę do tyłu i wpatrzył się w strop pieczary.

– Dawno, dawno temu wydawało mi się, że i ja zostanę wielkim myślicielem – bezwstydną arogancją młodości. Kochałem muzykę, nauki ścisłe, literaturę, chciałem zostać człowiekiem Odrodzenia. – Roześmiał się. – A zostałem człowiekiem Średniowiecza. Przeciętym, niekiedy złym.

Zamyślił się, a potem powrócił do teraźniejszości, oblizał wargi i spojrzał na mnie.

Zdumiona Robin rozglądała się dokoła.

– Prawda jest względna, Alex. Prawda, która rani niewinnych i przynosi zło, nie jest żadną prawdą, a wykrętne działanie, wynikające ze współczucia i miłosierdzia, może być usprawiedliwione. Rozumiesz?

– Czy druga seria prób jądrowych miała miejsce w pobliżu Aruk? Bo wiem, że skłamałeś na temat Bikini. Jeżeli tak, w jaki sposób rząd zdołał je ukryć?

– Nie – powiedzą! Moreland. – Chodzi zupełnie o coś innego. Wstał i obszedł stół. Spojrzał na pudła pod ścianą.

– Nic, co robisz, nie jest przypadkowe – ciągnąłem. – Opowiedziałeś mi o wybuchu jądrowym i o Samuelu H. nie bez przyczyny. Z jakiegoś powodu podsunąłeś mi jego kartę.

„Poczucie, winy może stać się motywem działania”. Co chcesz odpokutować, Bill?

Założył ręce za plecy i splótł palce.

Długie ramiona. Jak odnóża pająka.

– Byłem na Wyspach Marshalla podczas wybuchu. Może dlatego umieram. – Spuścił wzrok.

– A więc czy skłamałem?

– Nie brałeś udziału w wypłacaniu odszkodowań. Wiem o tym. Rozmawiałem z naocznym świadkiem.

– To prawda – powiedział.

– Dlaczego mi o tym mówiłeś? Czy wybuch jądrowy miał być jakąś metaforą...

– Tak – powiedział. – Właśnie tak. Wrócił do stołu. Usiadł. Wziął grejpfruta. – Metafora zastrzyków, synu.

– Zastrzyków?

– Nigdy się nie dowiemy, czego dokładnie użyto. Pewnie była to jakaś kombinacja mutagenów, izotopów radioaktywnych, może również toksycznych wirusów.

– Kto robił te zastrzyki?

Pochylił się do przodu, oparł kościstą klatkę piersiową o kant stołu.

– Ja. To ja wbijałem igłę w ich ramiona, kiedy byłem pierwszym oficerem medycznym w Stanton. Powiedziano mi, że to program badawczy, dotyczący szczepionek. Poufny, na ochotnikach, i że jako pierwszy oficer medyczny jestem odpowiedzialny za jego przeprowadzenie. Próbné dawki żywych i martwych wirusów, bakterii i spirochetów, wyhodowane w Waszyngtonie w celach obronnych przeciwko ewentualnej wojnie nuklearnej. Oficjalnym celem było wyprodukowanie jednej szczepionki przeciwko wszystkim chorobom zakaźnym. Nazwali ją „rajską igłą”. Miała być podawana jako seria czterech zastrzyków.

Dostarczono mi dane doświadczalne. Z pilotażowych badań, prowadzonych w innych bazach.

Wszystkie fałszywe. – Chwycił się za kępki siwych włosów ponad uszami. W porównaniu z łagodnymi ludźmi jego owłosienie było bardzo bujne. – To Hoffman dał mi te dane. Osobiście

przyniósł ampułki i strzykawki oraz listę pacjentów. Siedemdziesiąt osiem osób – dwadzieścia rodzin, zamieszkałych w bazie. Marynarze, ich żony i dzieci. Powiedział, że zgodzili się na to za pieniądze i dodatkowe przywileje. Bezpieczne badania, ale zaklasyfikowane jako poufne, ze względu na strategiczne znaczenie. Rosjanie w żadnym wypadku nie mogli się o tym dowiedzieć. A wojskowi są godni zaufania i posłuszni. Punktualnie stawiali się na zastrzyki, zawijali rękawy bez najmniejszej skargi. Dzieci oczywiście bały się, ale rodzice nie pozwalali im się ruszać i tłumaczyli, że to dla ich własnego dobra.

Szarpnął się za włosy.

– Kiedy to się stało? – zapytałem.

– Zimą sześćdziesiątego trzeciego roku. Na pół roku przed moim wyjściem z wojska.

Właśnie wtedy zakochałem się w Aruk. Razem z Barbarą postanowiliśmy kupić na wyspie jakąś działkę i wybudować dom nad wodą. Chciała malować morze. Powiedziała o tym Hoffmanowi, a on poinformował nas, że marynarka chce odsprzedać posiadłość. Nie znajdowała się wprawdzie nad oceanem, ale była imponująca. Powiedział, że zadba o to, abyśmy mieli prawo pierwokupu za przystępną cenę.

– W zamian za to, że w tajemnicy przeprowadzisz program badawczy nad szczepionkami.

– Nigdy nie ujął tego tak dosadnie, ale zrozumiałem jego intencje i skwapliwie na to przystałem. Żyłem tak w błogiej ignorancji, aż w miesiąc po zakończeniu zastrzyków jedna z kobiet urodziła martwego, pozbawionego kończyn, bezmózgiego wcześniaka. Nawet wtedy jeszcze niczego nie podejrzewałem. Takie rzeczy zdarzają się. Uznałem jednak, że powinniśmy sprawę wyjaśnić.

– Ta kobieta brała udział w eksperymencie? Spuścił oczy.

– Tak. Na początku miałem pewne wątpliwości ale Hoffman mnie uspokoił. Kiedy powiedziałem mu o narodzinach martwego dziecka, upierał się, że „rajska igła” jest całkowicie

bezpieczna. Jakoby potwierdziły to inne badania. – Pochylił się nisko nad stołem. – Dziecko... bez mózgu, wiotkie jak meduza. Przypomniałem sobie to, co widziałem na Wyspach Marshalla. A potem zachorowało jedno z dzieci. Czteroletnie. Rak gruczołów limfatycznych. – Uniósł głowę. Oczy miał wypełnione łzami. – Następny był marynarz. Silnie powiększona tarczyca i guzy na tkance nerwowej, a potem gwałtowny rozwój rzadkiej odmiany raka, na którą zwykle cierpią wyłącznie starzy ludzie. Po tygodniu miał również białaczkę. Choroba rozwijała się szybko w zadziwiająco szybkim tempie. Znowu pomyślałem o próbach jądrowych na Wyspach Marshalla. Znałem objawy napromieniowania.

– Dlaczego powiedziałeś mi, że wypłacałeś odszkodowania?

– Chciałem ukryć swą winę... Prawdę powiedziawszy, mój przełożony prosił mnie, żebym wziął udział w tamtej akcji, ale udało mi się wykręcić. Pomyśl, żeby życie ludzkie kupować za pieniądze, wydał mi się odpychający. W końcu zaangażowano do tego różnych urzędników. Nie jestem pewien, czy mieli pojęcie o prawdziwych rozmiarach szkód.

Od lat pragnął spowiedzi, i chciał ode mnie dostać rozgrzeszenie.

Nie odważył się jednak powiedzieć mi wszystkiego. Zachował się jak pacjent wobec nowego terapeuty: dając wskazówki, nadużywając niuansów i symboli, owijając fakty w kłamstwa i oszustwa.

– Miałem nadzieję, że w końcu nadejdzie taka chwila jak ta, że okażesz się człowiekiem, z którym będę mógł się porozumieć. – Jego oczy błagały o przebaczenie. – Przepraszam, że cię okłamałem, synu. Wszystko w swoim czasie – wszystko ma swój czas i miejsce. Życie może się wydawać przypadkowe, ale z chaosu wyłania się prawidłowość. Dostrzega to nawet dziecko wrzucające kamienie do kałuży. Fale mają regularny kształt. Wszystko składa się z wydarzeń, które przebiegają w sobie tylko właściwym rytmie... Czas jest jak pies goniący za własnym ogonem – im bardziej staramy się go uchwycić, tym bardziej nam ucieka.

Otarł oczy.

Wziąłem Robin za rękę.

– Powiedziałaś Hoffmanowi o nowych zachorowaniach?

– Oczywiście. Spodziewałem się, że wpadnie w popłoch, podejmie jakieś działania. A on tylko się uśmiechnął. Miał trzydzieści lat, ale uśmiechał się jak stary, zły człowiek. Nędznym, plugawym uśmieszkiem. Sącząc martini. „Chyba nie rozumiesz, Nick – powiedziałem. – Zrobiliśmy tym ludziom coś takiego, że są śmiertelnie chorzy. Zabiliśmy ich”. Poklepał mnie po plecach i powiedział, żebym się nie przejmował, bo ludzie stale chorują. – Jego oczy były pełne nienawiści. – Noworodek pozbawiony mózgu – powiedział. – Czterolatek w ostatnim stadium raka, ten nieszczęsny marynarz ze starczą odmianą nowotworu. A on mi mówi, że to nie ma nic wspólnego ze szczepieniami, bo już je wypróbowano. I znowu się uśmiechnął. Tak samo jak wtedy, gdy oszukiwał przy grze w karty i myślał, że tego nie zauważam. Jakby chciał mnie przekonać, że jest wszechwiedzący. Zamierzałem zrobić sekcję zwłok noworodka następnego dnia, ale zmieniłem zamiar i postanowiłem zrobić ją od razu. Kiedy poszedłem do kostnicy, okazało się, że ciało zniknęło. Zniknęła również wszelka dokumentacja. Marynarz, który był moim asystentem, został zastąpiony przez innego, przysłanego przez Hoffmana. Popędziłem do Hoffmana i spytałem, co się dzieje. Powiedział, że rodzice dziecka zażądali natychmiastowego pogrzebu, więc zwolnił ich i odesłał zeszłej nocy do Guam. Poszedłem na wieżę kontrolną, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście odleciał jakiś samolot. Kiedy wróciłem do mego biura, zastałem tam Hoffmana. Wziął mnie na spacer dookoła bazy i zaczął mówić o posiadłości. Wyglądało na to, że raptem pojawili się jacyś nowi nabywcy, ale udało mu się utrzymać moje nazwisko na pierwszym miejscu i nawet obniżyć cenę. Jakimś cudem nie skoczyłem mu do gardła. – Włożył okulary. – Zamiast tego... – powiedział i odetchnął kilka razy głęboko. – Zamiast tego podziękowałem mu i uśmiechnąłem się z wdzięcznością. Zaprosiłem łajdaka i jego żonę na brydża. Teraz, kiedy

wiedziałem, do czego jest zdolny, musiałem chronić Barbarę. I Pam, która była wtedy niemowlęciem. Jednak ukradkiem zacząłem badać innych zaszczepionych. Większość wyglądała dobrze, ale niektórzy czuli się źle – bliżej nie określone dolegliwości, stany podgorączkowe. A potem kilkoro dzieci zaczęło wysoko gorączkować. – Wpił sobie paznokiec w skroń. – Staralem się być dla nich miłym doktorem, pocieszającym ich, dającym środki przeciwbólowe, polecającym, aby jak najwięcej pili, gdyż miałem nadzieję, że część toksyn zostanie wypłukana. Nie mogłem jednak powiedzieć im prawdy – bo i cóż by to dało? Czy istnieje gorsze przekleństwo niż wiedza o bliskiej śmierci? A potem następne dziecko umarło na skutek przerzutu choroby na mózg. I następna rodzina rzekomo odleciała nocą. Tym razem Hoffman poinformował mnie, że mój udział w akcji „rajska igła” jest zakończony, mam się zajmować całym personelem bazy z wyjątkiem zaszczepionych rodzin. Do nich przyjechali nowi lekarze, trzech konowałów z Waszyngtonu. A kiedy zaprotestowałem, Hoffman polecił mi zająć się czymś nowym: miałem przejrzeć dokumentację medyczną z okresu dwudziestu lat i napisać szczegółowe sprawozdanie. Pracochłonne zajęcie.

– Skądś to znam. Uśmiechnął się blado.

– Tak, jestem podstępny wążem; zawsze taki byłem. Tłumaczyłem to sobie tym, że wychowałem się w wielkim domu pełnym dorosłych. Nabrałem wtedy upodobania dla gier i intryg. A może to wrodzona cecha charakteru?

– Co się stało z pozostałymi zaszczepionymi? – spytała Robin.

– Chorowali następni i w końcu zaczęto mówić o jakiejś tajemniczej epidemii w bazie. Nie dało się dłużej utrzymywać tajemnicy, więc lekarze z Waszyngtonu wydali oficjalne oświadczenie: do Stanton przeniknęła jakaś nieznana choroba z wyspy i wprowadza się ścisłą kwarantannę. Chorzy zostają zamknięci w ambulatorium. Ma się rozumieć, wszyscy obchodzili je szerokim łukiem. A potem dotarła do mnie pogłoska, że wszystkie zaszczepione rodziny

zostaną odesłane do Walter Reed Hospital w Waszyngtonie na badania i leczenie. Dobrze wiedziałem, co to oznacza.

Po północy zakradłem się do ambulatorium. Drzwi pilnował jeden wartownik, nie traktujący serio swego zajęcia. Co było typowe dla bazy. Nic się tam nigdy nie działo. Nikt się niczym nie przejmował. Udało mi się wśliznąć tylnymi drzwiami, używając klucza, który zabrałem z biurka Hoffmana. Łajdak nawet się nie zatroszczył o założenie nowych zamków. – Sięgnął po grejpfruta i ścisnął owoc tak mocno, że trysnął sok. – Niektórzy z nich – powiedział cicho – już nie żyli. Leżeli na pryczach... w stanie rozkładu. Inni tracili przytomność. Wszędzie było pełno odpadającej skóry... kończyn... cuchnęło gangreną. – Zaczął płakać, próbując ukryć łzy. – Prycza za pryczą, jak otwarte trumny... Do dziś pamiętam niektóre twarze. Nie usiłowano ich leczyć – żadnego pożywienia, lekarstw, kroplówek. – Z grejpfruta została już tylko miazga. – Ostatni oddział był najgorszy: tuziny martwych dzieci. I nagle cud: niektóre z niemowląt żyły i wyglądały na stosunkowo zdrowe. Były niedożywione, z obrażeniami skóry, ale przytomne, oddychały bez trudu, ich małe oczka śledziły mnie, kiedy szedłem wzdłuż łóżeczek... Policzyłem. Dziewięćcioro. – Wstał i zaczął nerwowo przechadzać się po pieczarze.

Nadal tego nie rozumiem. Może dostały niższą dawkę, a może ochroniło je coś w systemie immunologicznym noworodków. A może taka była wola Boga. – Czasami dobrze być przebiegłym węzem. Wyniosłem je. Czwooro za pierwszym razem, pięćcioro za drugim. Zakutane w koce, żeby nie było słychać ich płaczu. Jednakże ta ostrożność okazała się zbędna. One nie mogły płakać. Z ich gardeł wydobywało się zaledwie skrzeczenie. – Spojrzał na nas. – Szczepionka spaliła im struny głosowe. – Znów zaczął chodzić. -

Nie miałem ich gdzie ukryć, więc zabrałem do lasu. Dzięki Bogu była zima. Tutejsza zima jest łagodna, sucha o umiarkowanych temperaturach. Podczas wspinaczek odkryłem jaskinie. – Uśmiechnął się. – Nie znane nikomu kryjówki. Podczas studiów w Stanford byłem grotolazem,

badalem życie nietoperzy... Myśle, że nie wiedział o nich nikt prócz mnie.

– A co z minami? – zapytałem. Uśmiechnął się.

– Japończycy mieli zamiar zaminować teren, ale nigdy do tego nie doszło.

– Noc długich noży? Skinął głową.

– To ty rozpowszechniłeś te pogłoski?

– Posiałem ziarno. Jeśli chodzi o pogłoski, nigdy nie brak dbających o nie ogrodników... Na czym to skończyłem? Umieściłem je w jaskini. Nie, nie tutaj. Wtedy jeszcze nie wiedziałem o jej istnieniu. Ani o tunelu. Kiedy były bezpieczne, przebadałem je, umyłem, dałem im pić i podałem elektrolity. Wróciłem do ambulatorium, porozkręcałem ich łóżeczka i porozrzucałem części, żeby nie zauważono ich braku. I nie zauważono. Całe to pomieszczenie było jedną wielką kostnicą, martwi i umierający ludzie leżeli jedni na drugich, ich ciała ociekały posoką. Nigdy nie zapomnę tego odgłosu, słyszę go nawet teraz, podczas deszczu...

Jego twarz przybrała nieobecny wyraz i przez chwilę wydawało mi się, że przebywa duchem gdzie indziej.

– I wtedy pojawiła się komplikacja: przeżył także jeden z dorosłych. Mężczyzna. Właśnie uporałem się z łóżeczkami, kiedy wszedł tam i upadł na mnie. Omal nie umarłem ze strachu, był... w stadium rozkładu. Rozpoznałem go. Mechanik samolotowy, wielki facet, nadzwyczajnie silny. Jego skóra była całkowicie biała – jak wychlorowana, brakowało mu jednego ramienia, nie miał zębów ani włosów. Ale mógł się poruszać. To nie był dobry człowiek. Ciągłe wszczynał awantury, a potem zakładałem szwy tym, których pobił. Bojąc się, żeby nie zaalarmował wartownika, zabrałem również jego. Omal się nie wykończyłem. Nawet wygłodzony musiał ważyć co najmniej osiemdziesiąt kilo. Wreszcie udało mi się wywlec go z bazy.

Umieściłem go w innej jaskini, z dala od niemowląt, i dbałem o niego, jak mogłem. Miał dreszcze, skóra odpadała mu kawałkami. Usiłował mówić i złościł się, że nie może... Patrzył na

kikut, który pozostał mu po ramieniu, i łkał. Zaciekły gniew. Oczy spoglądały dziko. Nawet w tym stanie przerażał mnie. Wiedziałem jednak, że to tylko kwestia godzin.

Podszedł do krzesła i usiadł.

– Pomyliłem się. Przeżył pięć dni, popadając w otępienie, a kiedy indziej w podniecenie.

Kiedyś wstał i zaczął krążyć po jaskini, raniąc się okropnie. Musiał mieć nadludzkie siły. Piątego dnia udało mu się uciec. Byłem wtedy w bazie, a kiedy wróciłem nocą do jaskini, nie zastałem go. W pierwszej chwili przeraziłem się, pomyślałem, że ktoś się o wszystkim dowiedział, ale niemowlęta nadal były w swojej jaskini. W końcu znalazłem go leżącego pod figowcami, na pół przytomnego. Zaciągnąłem go z powrotem do jaskini. Po dwóch godzinach już nie żył.

– Ale najpierw zobaczył go Joseph Cristobal – powiedziałem. Skinął głową.

– Następnego dnia do mego biura przyszła Gladys i opowiedziała mi o Joe. Wszyscy pracownicy posiadłości opowiadali jej, że Joe miał halucynacje i widział jakiegoś leśnego diabła.

– Tutalo.

– Nie. – Uśmiechnął się. – To także mój wymysł. Tootali jest dawnym określeniem „czerwia”, ale nie ma na ten temat żadnego mitu.

– Zasiałeś ziarno – powiedziałem. – Więc opowieści Joego nikt nie traktował poważnie.

– Joe zawsze był dziwny. Zatopiony w myślach, rozmawiał sam z sobą, zwłaszcza po pijanemu. Mnie interesowały bóle, które odczuwał w klatce piersiowej. Wyglądało to na anginę pectoris. Jak się okazało, jego arterie rzeczywiście były w okropnym stanie. Nie mogłem nic na to poradzić.

– Uważasz, że to co zobaczył, nie miało nic wspólnego z jego śmiercią?

– Możliwe, że jego stan pogorszył się na skutek przerażenia.

– Utrzymałeś go w przekonaniu, że widział potwora? Zamrugał oczami.

– Kiedy próbowałem z nim rozmawiać, zatykał uszy rękami. Był bardzo uparty. Nie

schizofrenik, ale może typ schizoidalny? Nie odpowiedziałem.

– Co miałem robić, synu? Powiedzieć mu, że naprawdę kogoś widział, i narazić na niebezpieczeństwo niemowlęta? To one były dla mnie najważniejsze. Spędzałem z nimi każdą wolną chwilę. Badałem je, znosiłem koce, jedzenie, lekarstwa. Pomimo wszelkich starań stan dwojga z nich stale się pogarszał. Jednak każda przeżyta przez nie noc była zwycięstwem.

Barbara dopytywała się, co się ze mną dzieje. Zostawiałem ją nocami... pomogła odrobina środka nasennego, którą wrzucałem jej do wody... Kursowałem tam i z powrotem, nigdy nie wiedząc, co zastanę w jaskini. Możesz to sobie wyobrazić?

– Tak – powiedziałem. – I przez wszystkie te lata ani razu nie wyszli na powierzchnię ziemi?

– Bez opieki nigdy. Nie mogą wychodzić na słońce – są niezwykle wrażliwi na światło.

Podobnie jak niektórzy pacjenci cierpiący na porfirię, ale nie mają porfiru i nigdy nie umiałem odgadnąć, na co właściwie... na czym skończyłem?

Wyglądał na zagubionego.

– Jak kursowałeś tam i z powrotem – podpowiedziała Robin.

– Ach, tak. Zasnąłem z głową na biurku. Obudził mnie głośny ryk. Dobrze znałem ten dźwięk: startował duży samolot transportowy. Po kilku sekundach rozległ się huk wybuchu.

Samolot marynarki zatonął w oceanie. Coś było nie w porządku ze zbiornikami paliwa.

Wypadek z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Tego wieczora Hoffman świętował...

– Samolot z pacjentami, odbywającymi kwarantannę – powiedziałem. – Pozbyli się wszystkich świadków.

– Razem z lekarzami z Waszyngtonu – dodał Moreland. – A także z trzema marynarzami, którzy pilnowali ambulatorium, i z dwoma sanitariuszami.

– O, Boże – westchnęła Robin.

– Pacjenci i tak by umarli – powiedział Moreland. – Większość prawdopodobnie była martwa w chwili, gdy ładowano ich do samolotu – podniebny karawan. Jednak lekarze, sanitariusze i załoga samolotu zostali poświęceni – wszystko w imię Boga i ojczyzny.

– Dlaczego ty nie zostałeś zlikwidowany? – spytała Robin. Złożył dłonie i wbił wzrok w stół.

– Zastanawiałem się wielokrotnie. Chyba dlatego, że sam zapewniłem sobie trochę bezpieczeństwa. W dniu katastrofy zaprosiłem Hoffmana na popijawę. Bez żon, tylko my. Piliśmy wytrawne martini – wtedy jeszcze folgowałem sobie. Powiedziałem mu, że dokładnie wiem, co zrobił, i że sporządziłem szczegółowe sprawozdanie, które złożyłem w bezpiecznym miejscu wraz z instrukcją, aby je opublikowano, jeśli mnie albo komuś z mojej rodziny stanie się coś złego. I że chcę o całej sprawie zapomnieć.

– Wziął to za dobrą monetę?

– Był to kiepski popis aktorstwa, żywcem wzięty z tych głupich kryminałów, które oglądała Barbara, ale najwyraźniej odniósł skutek. Hoffman uśmiechnął się i powiedział: „Bill, masz wybujałą wyobraźnię. Nalej mi jeszcze jednego”. Wypił i wyszedł. Przez całe miesiące sypiałem z pistoletem pod poduszką – okropny przedmiot, do dziś nienawidzę broni. Jednak Hoffman nigdy mnie nie ruszył. Chyba uwierzył w to, co mu powiedziałem, i uznał, że tak będzie najprościej. Żli ludzie łatwo wierzą, że inni są do nich podobni. Następnego dnia marynarz przyniósł mi zaklejoną kopertę: zwolnienie z wojska na trzy miesiące przed terminem i akt sprzedaży posiadłości. Doskonała cena na wszystko, łącznie z umeblowaniem. Marynarze przetransportowali nasze rzeczy i przez rok korzystaliśmy z darmowej wody i elektryczności. Zachowywaliśmy pozory, spotykając się w dalszym ciągu na brydżu.

– A on w dalszym ciągu oszukiwał.

– On oszukiwał, a ja udawałem, że tego nie zauważam. Metafora życia cywilizowanego. – Roześmiał się. – A moje prawdziwe życie toczyło się nocami, gdyż o innej porze nie mogłem się

wymknąć bez zwrócenia na siebie uwagi. Jeszcze wtedy nie znałem tunelu. Miałem ukrytą drabinę, po której przechodziłem przez mur. Dwoje dzieci zmarło, a potem jeszcze jedno. Pierwszym z nich była dziewczynka o imieniu Emma – tylko ją znałem z imienia, bo leczyłem ją jako noworodka, na przepuklinę pępkową. Jej ojciec żartował sobie z tego, jak będzie wyglądała w kostiumie bikini, a ja powiedziałem, że życzę mu tylko takich problemów... – Z trudem powstrzymał łzy. – Umarła z niedożywienia. Pogrzebałem ją i odprawiłem nabożeństwo żałobne najlepiej jak umiałem. Po miesiącu opuściła mnie następna dziewczynka. Choroba szpiku kostnego. A potem mały chłopczyk, na zapalenie płuc, na które nie pomagały antybiotyki. Reszta przeżyła. Właśnie ich spotkałeś.

– W jakim są stanie zdrowia? – spytałem.

– Żadne z nich nie ma normalnego poziomu inteligencji i nie mówią. Posiadłem elementarną wiedzę na temat określenia ilorazu inteligencji i przeprowadziłem testy Wechslera i Leitera dla nie mówiących. Plasują się w przedziale pięćdziesiąt do sześćdziesięciu punktów, tylko Jimmy i Eddy są trochę bystrzejsi. Ich system nerwowy jest daleki od normy: brak równowagi psychicznej nieodpowiednia reakcja na bodźce, zmienne odruchy. Słabe napięcie mięśni, choć zmuszam ich do gimnastyki. A poza tym ogromna wrażliwość na światło – najmniejsza dawka promieni ultrafioletowych zżera im skórę. Życie pod ziemią także nie zapewnia im pełnej ochrony. Widziałeś ich oczy, uszy, palce. Nadmierna włóknistość, prawdopodobnie mająca coś wspólnego z samouodpornieniem – proces nieco podobny do trądu. Stan ich zdrowia pogarsza się w sposób ciągły. Są bezpłodni – co według mnie jest dobrodziejstwem. Ich niewielki popęd płciowy ułatwia mi zadanie.

– Nadal nie mogę pojąć, jak ci się udało utrzymać ich w ukryciu przez tyle lat.

– Na początku było trudno. Musiałem ich... więzić. Teraz jest znacznie łatwiej. Może nie są normalni, ale przekonali się, że słońce może im zaszkodzić. Pół godziny na powierzchni

powoduje długotrwałe cierpienia. Zrobiłem, co w mojej mocy, aby uprzyjemnić im życie.

Chodźmy, pokażę ci.

Zabrał nas do sąsiedniego pomieszczenia, nieco mniejszego od jadalni. Fotele i skrzynki pełne zabawek oraz książek z obrazkami. Gramofon na baterie. Obok sterta starych płyt na czterdzieści pięć obrotów. Na samym wierzchu piosenki dla dzieci. Na kudłatym dywanie porzucona kolejka. Kilku łagodnych ludzi siedziało na podłodze, układając tory. Pozostali bawili się lalkami.

Powitali Morelanda uśmiechami i chrapliwymi okrzykami. Podchodził do każdego po kolei, szeptał im do ucha, przytulał, poklepywał i głaskał.

Kiedy odwrócił się, by odejść, jedno z nich – większa z kobiet – chwyciła go za rękę i pociągnęła.

Próbował się oswobodzić, ale nie puszczała.

Rozległy się chichoty.

W końcu Moreland połaskotał ją pod pachą. Zaśmiała się bezgłośnie i puściła go, upadając do tyłu. Bill złapał ją, ucałował w czubek głowy i podał jej lalkę Barbie.

– Popatrz, Suzy. Gwiazda filmowa Barbie. Spójrz, jaką ma śliczną, elegancką suknię.

Kobieta z wielkim zainteresowaniem obracała w rękach lalkę. Miała twarz jaszczurki, ale jej oczy były pełne ciepła.

– Zaraz wracam, dzieciaki – powiedział Moreland.

Opuściliśmy pokój przechodząc do wąskiego kamiennego korytarza.

– Jak często schodzisz na dół? – zapytałem.

– Dwa do pięciu razy dziennie. Kiedy przychodzę rzadziej, sprawy wymykają mi się z ręki. –

Jego chude ramiona obwisły.

– Nie do wiary – powiedziała Robin.

– To niełatwe zadanie, ale ograniczyłem wszystko inne do minimum.

Brak snu.

Brak żony.

Własna córka odesłana z domu.

Wyspa chyląca się ku upadkowi. Jedyłą rozrywkę stanowiły owady. Mały światek, nad którym mógł zapanować.

Prowadził badania nad drapieżnikami, aby zapomnieć o ofiarach.

Weszliśmy do trzeciego pomieszczenia: sześć przenośnych ubikacji i dwa zlewy, przymocowane do zbiorników z wodą wyposażonych w filtry. Pośrodku znajdował się parawan.

Trzy latryny i jedna umywalka po każdej stronie. Z lewej mężczyźni, z prawej kobiety.

Ostry zapach środka dezynfekującego.

– Musiałem ich nauczyć korzystania z toalety. Zajęło to sporo czasu, ale teraz są samowystarczalni – wyjaśnił Moreland.

Następne pomieszczenie służyło za sypialnię – trzy małe pieczary – po dwa łóżka w każdej.

Książki i zabawki. Na podłodze sterty brudnego ubrania.

– Wciąż mamy problemy z utrzymaniem porządku.

– Kto robi pranie? – spytała Robin.

– Pierzemy ręcznie, wszystko jest z bawełny. Lubią przepierki, zrobiłem z tego zabawę.

Ubrania są stare, ale w dobrym gatunku. Przywieziono je przed wielu laty łodziami dostawczymi.

Nie mogłem zamawiać zbyt wiele naraz, żeby nie zwracać uwagi... Chodźcie, chodźcie pokażę wam coś jeszcze.

Wprowadził nas do korytarzyka, który zwężał się i zakręcał. Na jego końcu znajdowały się następne pajęczynowate drzwi. Moreland zauważył, że się im przypatruję.

– Japońskie kowalstwo. Piękne, prawda?

Po drugiej stronie była stroma rampa. Na drzwiach wisiała ogromna kłódka.

Łagodni ludzie na zawsze uwięzieni.

Moreland wyciągnął klucz, wsunął go do zamka, otworzył drzwi i weszliśmy na rampę.

– Czasami, gdy jest bardzo ciemno i mogę mieć pewność, że będą się odpowiednio zachowywali, zabieram ich do lasu na nocne pikniki. Światło księżyca nie robi im krzywdy.

Przepadają za takimi sprawami. Psychicznie pozostali dziećmi, ale ich ciała zestarzały się przedwcześnie. Artretyzm, zapalenie torebki stawowej, skolioza, osteoporoza, katarakty. Jeden z chłopców cierpi na daleko posuniętą arteriosklerozę. Leczę go substancjami zapobiegającymi krzepliwości krwi, ale jest to niebezpieczne, bo łatwo robi sobie siniaki. – Zatrzymał się i spojrzał na nas. – Nigdy nie przypuszczałem, że nauczę się tak wiele z medycyny.

– Czy wiesz, jak długo mogą żyć? – spytała Robin. Moreland wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Marnieją, ale przetrwali już tyle kryzysów. Pod dobrą opieką przeżyją mnie. – Oparł się o ścianę. – I o to właśnie chodzi. Muszę coś dla nich wykombinować.

– Dlaczego nie wydobyłeś ich na światło dzienne i nie wystarałeś się o opiekę? – spytała Robin.

– I cóż by to dało, moja droga? Poddać ich badaniom lekarzy i naukowców? To naukowcy skazali ich na takie życie. Jak długo wytrzymaliby w upiorności, którą nazywamy prawdziwym światem? Nie, na to nie mogłem pozwolić.

– Ale oni...

– Zmarnieliby i pomarli, moja droga – powiedział Moreland, starając się zachować cierpliwość. – Oni potrzebują ciągłości. Kontynuowania opieki. Z bawialni dotarły do nas dźwięki muzyki.

– Chcę, abyś się nimi zaopiekował, kiedy mnie już nie będzie – powiedział Moreland.

– Nie jestem lekarzem – odparłem, jakby to był jedyny powód.

– Nauczę cię wszystkiego, co trzeba wiedzieć. To nie takie trudne, wierz mi. Zacząłem sporządzać podręcznik...

– Właśnie mi pokazałeś, jakie to skomplikowane...

– Nauczysz się, synu. Jesteś bystrym człowiekiem.

Podniósł głos. A kiedy nie odpowiedziałem, zwrócił się do Robin.

– Wysłuchajcie mnie – upierał się. – Nie odmawiajcie mi.

– Dlaczego właśnie ja? – zapytałem. – Powiedz mi prawdę, przynajmniej tym razem.

– Już ci powiedziałem. Twoje oddanie...

– Nawet mnie nie znasz.

– Znam cię wystarczająco dobrze. Przeprowadziłem nad tobą badania! A teraz, gdy poznałem Robin, jestem jeszcze bardziej pewny. Dwoje ludzi umiejących stawić czoło wezwaniom...

– Jak mnie znalazłeś, Bill?

– Przez przypadek. Albo zrzędzeniem losu. Możesz to nazwać, jak chcesz. Byłem w Hawaii i wraz z Alem Landau pracowaliśmy nad pewnym prawniczym zagadnieniem. Do mego hotelu dostarczano prasę codzienną. Pomimo awersji do wiadomości przeglądałem ją. Same przekupstwa i malwersacje, aż nagle natrafiłem na artykuł dotyczący rozprawy sądowej w Kalifornii. Mała dziewczynka w szpitalu, zatruta, aby mogła uchodzić za chorą. Dzięki tobie udało się znaleźć rozwiązanie. Załączono bibliografię dotyczącą innych spraw, z którymi byłeś związany – maltretowane dzieci, morderstwa i inne okropieństwa. Wydałeś mi się interesującym człowiekiem. Odnalazłem cię i okazało się, że jesteś również poważnym naukowcem.

– Bill...

– Synu, wysłuchaj mnie: siła intelektu i humanitaryzm rzadko chadzają w parze. Zdarza się, że ktoś jest prymusem i zarazem podłym człowiekiem. Poza tym masz dużo energii. A ja

potrzebuję kogoś energicznego. A ty, moja droga, pod każdym względem jesteś jego partnerką duchową.

Szukałem odpowiednich słów. Rzut oka na jego twarz powiedział mi, że nie znajdę ich w żadnym języku.

– Nie proponuję ci umowy jednostronnej. Jeśli zadbasz o moje dzieciaki, cała posiadłość i wszystkie nieruchomości na Aruk będą twoje, nie licząc nieruchomości na Hawajach i w Kalifornii, ubezpieczenia i gotówki. To, co ci mówiłem o topnieniu rodzinnej fortuny, jest prawdą, ale nadal pozostało sporo. Oczywiście muszę pozostawić spadek dla Pam oraz renty dla pewnych osób, ale reszta będzie twoja. Gdy wszystkie dzieciaki pomrą. Teraz widzisz, dlaczego potrzebuję kogoś prawego. Kogoś, kto ich nie pozabija, aby zgarnąć pieniądze. A tobie – wam obydwójgu, ufam. Kiedy spełnicie tę powinność, staniecie się zamożni i wolni, i będziecie mogli korzystać z tego, jak wam się spodoba.

– Pam jest lekarzem – powiedziała Robin. – Dlaczego nie chcesz, by się nimi zajęła?

Potrząsnął głową tak energicznie, że omal nie spadły mu okulary.

– Pam jest wspaniałą dziewczyną – powiedział – ale nie nadaje się do tego. Jest... nazbyt wrażliwa. To przeze mnie. Nie byłem dobrym ojcem. Powinna wyruszyć w świat. Znaleźć kogoś, kto byłby jej godny. Żeby był to związek podobny do waszego. A wy będziecie mieli asystenta.

Bena.

– Ben jest wtajemniczony?

– Od pięciu lat. Dzieciaki go uwielbiają.

– Jednak nie chcesz, aby je przejął? – zapytała Robin.

– Brałem taką ewentualność pod uwagę, ale on ma swoją własną rodzinę. Moje dzieci potrzebują rodziców w pełnym wymiarze godzin.

Oddanych, samotnych rodziców. Takich jak on po śmierci Barbary i odesłaniu Pam.

Chciał kontynuacji tej samej filozofii życiowej.

– Ben nadal będzie pomagał – zapewniał Moreland. – We troje uporacie się z robotą.

– W tej sytuacji, w jakiej się znalazł, Ben nie może nikomu pomóc – powiedziałem.

– Będzie pomocny, gdy tylko skończymy z tą bzdurą. Al Landau jest nie do pokonania, zwłaszcza gdy chodzi o obronę niewinnego człowieka. Proszę was. Przyjmijcie moją ofertę.

Dopuściłem was do tajemnicy. Jestem zdany na waszą łaskę.

Ujął rękę Robin i zatrzymał w swoich dłoniach.

– Kobieca ręka – powiedział. – Bardzo się im przyda. – Uśmiechnął się. – Teraz już wiecie wszystko.

– Czyżby? – spytałem.

Puścił dłoń Robin.

– Co masz na myśli, synu?

– Pisemne sprawozdanie, którym postraszyłeś Hoffmana. Czy naprawdę istnieje?

– Oczywiście.

– Gdzie się znajduje? Zamrugnął powiekami.

– W bezpiecznym miejscu. Poznasz je, kiedy dojdziemy do porozumienia.

– I chcesz, abyśmy uwierzyli, że to jedyny powód, dla którego zachował cię przy życiu?

Uderzył się w pierś z uśmiechem.

– Przecież jestem tutaj, prawda?

– Sądzę, że jest coś więcej, Bill. Wydaje mi się, że Hoffman zawsze wiedział, że go nie wydasz, bo ma coś na ciebie.

Jego uśmiech zgasł. Moreland zrobił krok naprzód i pogładził dłonią chropowatą skałę.

– Przypuszczam, że jesteście z sobą związani – ciągnąłem. – Niczym szczepione rogami barany. Hoffman nie może zniszczyć Arak w przeciągu jednej nocy, bo się boi, że go wydasz.

Może jednak dokonać tego stopniowo, bo jest młodszy od ciebie i ma pewność, że cię przeżyje i w końcu postawi na swoim. Jestem przekonany, że Arak jest dla niego ważna z dwóch powodów: ze względu na pieniądze, a także dlatego, że chce wymazać ze swej pamięci to, co tu zrobił przed trzydziestu laty.

– Nie, nie, spodziewasz się po nim zbyt wiele. On nie ma sumienia. Pragnie tylko zysków. –

Odwrócił się ku nam gwałtownie. – Nie macie pojęcia, jakie są jego plany względem Aruk.

– Więzienie jak na Diabelskiej Wyspie? Ze zdumienia otworzył usta.

– Jak na to wpadłeś?

– Jest związany ze Stasher-Laymanem, którzy oprócz slumsów budują więzienia. Arak doskonale się na nie nadaje. Wyrzutki społeczeństwa wywiezione hen precz, bez możliwości ucieczki.

– Tak, masz rację. Tak łajdak wyjawiał mi owe szczegóły wówczas, podczas kolacji. Chce to nazwać Rajską Wyspą. Sprytne, prawda? Ale jest jeszcze coś. W pobliżu wyspy mają zatopić beczki z odpadami radioaktywnymi. Jest przekonany, że nie napotka żadnych trudności, bo gdy gospodarka podupadnie i wyspa opustoszeje, nie będzie komu protestować.

– Radioaktywne śmietnisko – powiedziałem. – Doskonałe uzupełnienie więzienia. Trujące wody będą stanowić jeszcze jedno zabezpieczenie przed ucieczką. Jeśli Hoffman dopnie swego, poradzi sobie ze skażeniem i przestępczością na kontynencie i wyciągnie wielką forszę od Stasher-Laymana. Ślicznie.

– Ślicznie? Nie nazwałbym tego w ten sposób.

Z bawialni ciągle było słychać muzykę.

– Kiedy zacząłeś go podejrzewać?

– Gdy marynarka zaczęła nas inaczej traktować. Poprzednik Ewinga nie był święty, ale był uczciwy. Ewing wygląda na mordercę – wiedziałeś, że zesłano go tutaj za karę? Związał kobietę

i robił jej zdjęcia... Kiedy go zobaczyłem, wiedziałem, że przysłano go tutaj, aby ukarać Aruk. I że stoi za tym Hoffman. Kto jeszcze znał to miejsce? Pisałem do niego, ale mi nie odpowiedział. A potem Ben zastał Creedmana myszkującego w moich aktach. Poprosiłem Ala Landau, żeby się czegoś o nim dowiedział. No i okazało się, że Creedman pracował dla Stasher-Laymana. Nie miałem jednak pojęcia, że ma to być wysypisko śmieci, dopóki Hoffman nie zaczął się przechwalać podczas kolacji. Przepraszał, że mi nie odpisał, bo był taki zajęty. Znowu ten sam uśmiech.

– Czy twoje listy zawierały pogróżki? – spytałem.

– Gdzież tam! Miej do mnie zaufanie, synu. Byłem dyskretny. Aluzje, żadnych pogróżek.

– Aluzje, na których się nie zna.

– Powiedział, że nie chciał, aby cokolwiek było na piśmie. Dlatego przyjechał osobiście.

– Czemu zaprosił na kolację nas wszystkich?

– Dla niepoznaki. Zauważyliście jednak, że odciągnął mnie na bok. Wtedy właśnie zaatakował i przedstawił swoją propozycję.

– Chciał cię kupić?

– Za śmieszłą cenę. Odmówiłem i przypomniałem mu o moim małym dzienniku.

– Co powiedział?

– Nic. Tylko się uśmiechnął.

– Skoro boi się dziennika, dlaczego nie możemy go zmusić, aby porzucił swój projekt?

– Ja... negocjowaliśmy. Powiedział, że całkowita rezygnacja nie wchodzi w rachubę. Sprawy zaszły za daleko. Odkręcenie tego, co już zostało zrobione, zwróciłoby uwagę na Aruk.

– I ty się zgodziłeś ze względu na dzieci.

– Tak! I chociaż sukinsyn myśli, że troszczy się o własną wygodę, nie chcę wyprowadzać go z błędu. – Skrzywił się. – Masz rację, jesteśmy związani. Ani ja, ani on nie pragniemy rozgłosu.

Moim jedynym celem jest zapewnienie spokojnego życia dzieciom – tyle, ile go przed sobą mają.

Pięć lat, może siedem. Projekt Hoffmana zajmie całe lata, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach – znasz rząd. Więc szczęśliwie ja i on możemy osiągnąć coś w rodzaju kompromisu. Ja sprzedam symboliczne skrawki wyspy rządowi i zyskam na czasie, żeby nie nabrano podejrzeń.

– Centrum handlowe i inne nieruchomości w tamtym rejonie? Skinął głową.

– A pieniądze odłożę dla was.

– Takim kompromisem zniszczysz Aruk.

– Jestem już stary i znam swoje możliwości. Muszę zadbać o sprawy najważniejsze. Prosiłem Hoffmana, żeby zwolnił tempo.

– Zgodził się?

– Nie odmówił.

– Ten człowiek z zimną krwią zamordował sześćdziesiąt osób. Dlaczego nie usunął ciebie?

– Bo się zabezpieczyłem.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego się nie boi, że możesz go zniszczyć? Potarł czubek nosa.

– Powiedziałem ci wszystko, synu.

Wyciągnął rękę, aby poklepać mnie po ramieniu, ale się odsunąłem.

– Nie sędzę – powiedziałem. – Po rozmowie z Hoffmanem wyglądałeś na wstrząśniętego.

Tak nie reaguje człowiek, który wynegocjował kompromis. Hoffman przypomniał ci o czymś, prawda?

Nie odpowiedział.

– Co on na ciebie ma, Bill? Odsunął się ode mnie.

– Najpierw załatwimy to, co najważniejsze – powiedział. – Moją propozycję.

– Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

- To nie ma związku ze sprawą!
 - Uczciwość nie ma znaczenia? Och, zapomniałem, prawda jest względna.
 - Prawda jest sprawiedliwością! Zajmowanie się tym, co nie ma związku i prowadzi do niesprawiedliwości, jest zwodnicze!
 - W porządku – powiedziałem – jak uważasz. Spojrzałem na Robin. Powoli uniosła głowę.
 - Do widzenia, Bill. Zatrzymał mnie.
 - Poczekaście! Na wszystko przyjdzie odpowiednia pora! Proszę, bądź cierpliwy! Powiem ci wszystko, gdy nadejdzie czas, ale najpierw muszę mieć waszą zgodę. Wierzę, że na nią zasługuję! To, co wam proponuję, wzbogaci wasze życie!
 - Nie możemy ci odpowiedzieć tak od razu.
 - Co oznacza, że jestem szalony, a wasza odpowiedź brzmi – nie.
 - Wróćmy i ochłońmy. Ty także. Pam musi się dowiedzieć, że nic ci się nie stało.
 - Nie, nie, to nie w porządku, synu. Pozostawić starego człowieka w potrzebie po tym, jak... otworzyłem przed wami duszę!
 - Przykro mi... Chwycił mnie za ramię.
 - Dlaczego nie chcesz się po prostu zgodzić? Jesteś młody, silny, masz przed sobą tyle lat życia! Pomyśl, ile będziesz mógł zdziałać tym majątkiem. – Jego oczy rozbłysły. – Może znajdziesz sposób, by uratować Aruk! Pomyśl, jaki to nada sens waszemu życiu! A cóż jest ważniejszego niż sens w życiu?
- Zdjąłem z ramienia jego dłoń. Płyta w bawialni najwidoczniej zacięła się.
- Omyliłem się – powiedział. – Nie jesteś skłonny do współczucia chłopcem, jak to sobie wyobrażałem.
 - Nie jestem chłopcem – odparłem. – I nie jestem twoim synem.

Robił mi wyrzuty tak samo jak Dennisowi Laurentowi.

Poczułem na sobie jego karcący wzrok.

Ten człowiek mógł doprowadzić do szaleństwa.

Jest szalony albo na skraju szaleństwa.

– Nie, nie jesteś – wyszeptał. – Oczywiście, nie jesteś. Robin wzięła mnie za rękę i poszliśmy rampą. Moreland przyglądał się nam, stojąc nieruchomo.

Kiedy uszliśmy kilka kroków, odwrócił się do nas tyłem. Robin zatrzymała się ze łzami w oczach.

– Bill – powiedziała.

I właśnie w tej chwili, usłyszeliśmy dziwny dźwięk.

Moreland obejrzał się i omal nie upadł.

Jeszcze jeden dźwięk – głuchy, metaliczny – dotarł z góry, akurat wtedy, gdy Moreland wyprostował się.

A potem szybkie, stłumione kroki.

W dół rampy szły dwie postacie w czarnych pelerynach. Jedna chwyciła Morelanda. Druga przystanęła na ułamek sekundy, a potem ruszyła w naszą stronę.

Błyszczące mokre peleryny, kalosze.

Jak wielkie foki.

Anders Haygood opryskał nas wodą, wymachując pistoletem.

Jego twarz pokrywał kilkudniowy zarost. Szerokie usta zaciśnięte. Szare oczy zimne jak kamyki.

– Pod ścianę. – Znać było po nim rutynę dawnego gliniarza.

Zrewidował mnie i obmacał Robin. Krzyknęła zaskoczona.

Ze swego miejsca widziałem Toma Creedmana, trzymającego Morelanda. Sądząc po jego zakrzywionych palcach uchwyt musiał być bolesny, ale Moreland nie dawał tego po sobie poznać. Wpatrywał się w mokrą od poru i deszczu twarz Creedmana, który przyłożył mu do piersi lufę pistoletu.

– Chłopcy z Maryland – powiedziałem. – Na gościnnych występach na morzach południowych.

Czarne wąsiki Creedmana uniosły się w grymasie zaskoczenia. Haygood obrócił mnie z zadziwiającą delikatnością. Jego rozszczepiony podbródek zdawał się wystarczająco szorstki, by naostrzyć na nim nóż.

Uśmiechnąłem się.

– Dlaczego mnie pan odwraca, panie władzo?

Drgnął mu policzek.

Przyłożył mi lufę do serca i poklepał Robin po szyi. Leniwie osunął rękę na jej pierś.

Muskając. Ściskając.

Robin zamknęła oczy. Haygood nie przestawał jej dotykać, wpatrując się we mnie.

Rzuciłem okiem na Creedmana. Woda spływała mu z kapelusza i zalewała oczy. Wzdrygnął się, a Haygood odsunął się od Robin.

– Nigdy dotąd nie spotkałem ludożercy – powiedziałem. – Kto pociął ciało? A może zrobiliście to obaj?

– Odpieprz się – odezwał się Creedman.

– Spokój – powiedział Haygood, nie wiadomo do kogo się zwracając.

Creedman zmarszczył brwi i już się nie odezwał.

Odgłosy deszczu nasiliły się; musieli otworzyć jakiś właz prowadzący z zewnątrz. Znaleźli tunel dzięki pozostawionym przeze mnie otwartym drzwiom i płycie w podłodze laboratorium.

Prawdopodobnie zeszli na dół i natrafili na pajęczynowe drzwi. Nie mogąc ich sforsować wrócili po własnych śladach, okrążyli mur i zjawili się z przeciwnej strony.

Deszcz zagłuszał muzykę rozbrzmiewającą w bawialni. Nadal słyszałem brzęczenie generatora.

– Chłopcy z Maryland – powtórzyłem. – Reporter kupił od gliniarza informacje o morderstwie i obydwaj zostali wyrzuceni. Reporter znalazł sobie pracę u Stasher-Laymana i załatwił robotę dla gliniarza. Musieli być dobrymi przyjaciółmi.

Creedman chciał coś powiedzieć, ale uciszyło go spojrzenie Haygooda, który trzymał pistolet nieruchomo i lustrował jaskinię beznamiętnym wzrokiem.

– Zasłużyliście się dla firmy – powiedziałem – więc wysłano was do pracy w lepszym klimacie. Czy jednak w firmie wiedzą, że powielacie tu morderstwo, przez które popadliście w tarapaty w poprzednim miejscu? Krojąc kobiety na kawałki i udając, że je zjadaliście? A może nie udawaliście? Wspomniałeś, że jesteś świetnym kucharzem, Tom.

– Co to jest? – zapytał Haygood. – Schron przeciwlotniczy?

– Czy nie sądzicie, że skoro ja wiem o Maryland, wiedzą też inni? Creedman spojrzał na Haygooda. Haygood lustrował jaskinię.

– Nie wiedzą jednak, że część opowieści Toma jest tylko jego pobożnym życzeniem.

Opowiedziałeś mi, że ofiarę zgwałcono, a to nieprawda. Czyżbyś miał kłopoty z potencją?

Creedman spurpurowiał i mocniej uchwycił Morelanda.

– Schron przeciwlotniczy? – powtórzył Haygood.

– Tunel dostawczy Japończyków – wyjaśnił Moreland. – Moje małe sanktuarium.

Jego oczy omijały wejście do bawialni.

– Co tu trzymasz?

– Stare meble, ubrania, trochę książek.

– Obejrzyjmy to sobie.

– Nie ma tu nic ciekawego, Anders.

– Nie szkodzi, chodźmy się rozejrzeć. – Haygood popchnął nas lufą spluwy i zwrócił się do

Creedmana: – Przyrowadź go tutaj. Creedman popchnął Morelanda i doktor podreptał naprzód.

– Wy dwaj przodem – zarządził Haygood, gdy nas mijali. Spojrzał na wąskie przejście i zmarszczył brwi. – I bez niespodzianek, doktorze. Jak coś się stanie, zabiję dziewczynę.

Creedman nie oponował. Policyjne doświadczenie Haygooda dodawało mu pewności siebie.

Powróciłem myślą do dnia naszego przyjazdu na wyspę. Haygood patroszący rekina ze spokojną pewnością siebie.

Haygood i Skip Amalfi.

Czy Skip służył tylko jako kamuflaż, by Haygood mógł się snuć bez celu jak zwykły plażowicz. Przez cały czas Haygood odnosił się do niego z mieszaniną cierpliwości i pogardy.

Przyglądał się rozbawiony, jak Skip sikał na piasek. Stał w pobliżu, gdy Skip przemawiał do tubylców.

Tolerował go tak, jak uprzykrzonego bliźniaka.

Skip był za głupi, by wymarzyć sobie założenie kurortu. Pomysł pochodził od Haygooda.

Skip sikający w pobliżu kobiet... Czy brał także udział w morderstwie? Prawdopodobnie nie.

Nie można było na nim polegać.

Jednak w noc morderstwa Betty Aguilar spełnił swoją rolę: jak zwykle łowił ryby w doku,

o czym Haygood doskonale wiedział. Usłyszał stamtąd krzyki Bernardo Rijksa i popędził, aby złapać Bena.

Haygood i Creedman zamordowali obydwie dziewczyny. Najpierw AnneMarie Valdosa na plaży, co miało być próbą przed zabójstwem Betty i przygwożdżeniem Bena. I podnieta dla niepokojów społecznych, które usprawiedliwiły blokadę.

A potem Betty w parku Zwycięstwa... W jaki sposób ją zwabili? Narkotyki? Pieniądze? Ostatni numer przed macierzyństwem?

Podcięli jej gardło i okaleczyli. Zwabili Bena za pomocą fałszywego wezwania do wypadku, a potem przydusili, napoili wódką i umieścili na zwłokach.

Eks-gliniarz dobrze wiedział, jakim chwytem przydusić Bena.

Eks-gliniarz dobrze wiedział, jak go umieścić na zwłokach.

Wybrał park jako odosobnione miejsce schadzek. I dlatego, że Rijks spacerował tamtędy podczas bezsennych nocy.

Nawet gdyby Rijks nie usłyszał jęków, mógłby tam zostać naprowadzony przez włóczęgo się po nocach Creedmana. I tak nikt by nic nie podejrzewał.

Bo Ben pochodził z nizin, a Betty sypiała z wieloma.

Uśpiony Ben, leżący na pokrojonych zwłokach. Jego absurdalne alibi.

Nie udawane oburzenie Skipa. Jego niechęć do Morelanda z powodu nieporozumień z ojcem.

Bez trudu wzniecił gniew tubylców.

Oskarżając Bena, piekł trzy pieczenie na jednym ogniu: niszczył Morelanda, pozbywał się jego protegowanego i powodował nowe niepokoje społeczne.

Przyspieszając masowy odpływ ludności z wyspy.

Prowadzona przez Hoffmana i Stasher-Laymana wojna na wyczerpanie. Być może Hoffman postanowił przyspieszyć bieg wypadków po rozmowie ze starym, na skutek jego uporu...

Uwierzył, że Moreland troszczy się o wyspę, podczas gdy zależało mu jedynie na kilku latach spokoju dla dzieciaków.

Moreland gotów był na wszystko, by Hoffman nie dowiedział się o istnieniu dzieci. Gotów był skazać Arak na zagładę, byleby zyskać na czasie.

Czaili się jak dwaj zapaśnicy czekający na kolejną rundę.

Jednakże wciąż zaprzętało mnie to samo pytanie: skoro Moreland miał taką władzę nad Hoffmanem, dlaczego nie grał o wyższą stawkę?

Creedman zaszedł mi drogę.

– Zatrzymaj się. – Jego cienki wąsik pokrywała para.

– Jasne, Tom. Ale kiedy już będzie po wszystkim, daj mi kilka swoich przepisów. Co powiesz na dziewczynę a la bourguignont?

Nozdrza Creedmana zadrgały. Postępujący za nami Haygood chrząknął i Creedman chwycił Morelanda i wepchnął do wąskiego przejścia. Obejrzał się na boki i wcisnął się za nim. Haygood złapał Robin za pośladek, uszczypnął i popchnął.

– Naprzód, dziecino. Uderzył mnie poniżej pleców.

Kiedy przejście poszerzało się, Creedman stanął, a Haygood zagnał nas na środek. Usłyszał coś i jego martwe oczy drgnęły. Muzyka z bawialni. Zacinająca się płyta ruszyła dalej.

– Co to? – zapytał Creedman.

Od bawialni dzieliło nas mniej niż dziesięć metrów. Drzwi były uchylone.

– Co to za muzyka? – zapytał Haygood.

– Lubię muzykę – wyjaśnił Moreland. – Mówiłem już, to moje schronienie.

– Muzykę dla dzieci? – zdumiał się Creedman. – Jesteś starym, zapluskwionym pierdołą. –

Jego oczy rozbliły się. – Sprowadzasz tu sobie małe dziewczynki?

– Rzadko – odparł Moreland.

– Rzadko – przedrzeźnił go Creedman. – A może sprowadzasz tu dzieci, żeby się zabawiać w doktora?

– Projekcja – powiedział Moreland.

– Co to takiego?

– Termin Freudowski. Projekcja własnych impulsów na kogo innego. To, co właśnie zrobiłeś, Tom.

– Och, odpieprz się, ty zarozumiały worku gówna. – I zwrócił się do nas: – Założę się, że nie wiecie, że doktor Bill był kiedyś słynnym w marynarce psem na kobiety. Uganiał się za każdą spódniczką, im młodsza, tym lepsza. Pamiętasz tamte dni, doktorze Bill? Uganiałeś się i pieprzyłeś, ciemne mięso, białe mięso, wszystkie rodzaje mięsa. Nie mogłeś zapanować nad dziećmi, prawda? Wysłałeś nieszczęsną żonę na kąpiel bez powrotu.

Moreland nic nie odpowiedział. Nie zareagował. Puste spojrzenie...

– Została pomiędzy rekinami – ciągnął Creedman – bo doktor Bill nie był w stanie przerwać zabawy w lekarza z tutejszą cipką. Dobrze jest mieć tytuł doktora medycyny. Zapłodnisz jakąś małą, sam jej zrobisz aborcję...

– W przeciwieństwie do ciebie – wtrąciłem. – Specjalista od napadów ze straszakiem.

Creedman prychnął. Haygood cmoknął językiem i powiedział:

– Sprawdź wszystkie drzwi.

– Może lepiej sam to zrób – odparł Creedman. – Ty jesteś specjalistą. Haygood wzruszył ramionami i popchnął Robin, Morelanda i mnie.

– Nie w brzuch – powiedział. – W głowę. – I Creedman uniósł swoją spluwę tak, że znalazła się w odległości kilkunastu centymetrów od prawego oka Robin. – W razie jakichś problemów chcę widzieć jej mózg na ścianie.

Cofnął się o kilka kroków i stanął przy wejściu do latryny, a potem pod samą ścianą,

policyjnym sposobem ruszył wolno ku wejściu z bronią gotową do strzału.

Stanął. Obejrzał się na nas. Odczekał jeszcze trochę.

Zajrzał do środka. Długie, baczne spojrzenie.

Na jego szerokiej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

Zbliżył się do następnych drzwi. Równie ostrożnie.

– Poczekaj – powiedziałem. – To jest pułapka. Urządził zasadzkę. Haygood odwrócił się.

– To szaleniec – powiedziałem. – Gromadzi tu jedzenie, ubranie i inne potrzebne do przeżycia rzeczy, przygotowuje się na koniec świata. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś wyleciał w powietrze, ale napchał tam dosyć materiałów wybuchowych, żeby z nas wszystkich zrobić marmoladę.

– Więc to tak? – powiedział Haygood.

– Powiedz mu, Bill.

– Bzdura – powiedział Moreland. – Kompletna bzdura. Haygood zastanawiał się przez chwilę.

– Do których drzwi podłączony jest materiał wybuchowy?

– Na pewno do tych – odpowiedziałem. – W pomieszczeniu, z którego dochodzi muzyka, widziałem dynamit przymocowany do gramofonu. Kabel idzie do sąsiedniego pokoju.

Podłączony jest do generatora. Posłuchaj.

Buczenie.

– Urządził to tak, że gdy ramię gramofonu zostanie uniesione – buum. Prawdopodobnie są i inne pułapki, ale tylko tę nam pokazał.

– Głupoty – powiedział Moreland. – Sam zobacz, Anders.

– A może ty tam wejdiesz – odparł Haygood. – Wyłącz muzykę, a ja sobie popatrzę.

Moreland zamrugał oczyma.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo to głupota – odparł Moreland.

– Chodź tutaj – powiedział Haygood. Moreland nie zareagował.

– Chodź tutaj, gnido.

Moreland zamknął oczy i poruszył bezgłośnie ustami.

Creedman złapał go za koszulę i pociągnął do przodu.

– Ruszaj się, ty zwariowany dupku! Moreland podszedł do drzwi, Haygood za nim.

– Idź – powiedział, popychając starca. Moreland zatoczył się i zatrzymał.

– Nie.

– Idź, bo cię zabiję.

– Nie...

– W porządku – powiedział Haygood, uśmiechając się do mnie. – Dziękuję za wskazówkę, doktoru. Co jeszcze powinniśmy wiedzieć?

– Sam bym chciał wiedzieć.

– Pieprzony maniak – powiedział Creedman. – Wystrzelajmy ich wszystkich i wynośmy się stąd do diabła, Anders.

– Nic z tego – odparł Haygood.

Dostał od swoich szefów wytyczne, by wziąć Morelanda żywcem. Dopóki nie znajdą zabezpieczenia... Hoffman cackał się z nim przez trzydzieści lat, może poczekać jeszcze trochę. Trzydzieści lat milczenia Morelanda przekonało go, że „rajska igła” została zapomniana. Poczuł się bezpieczny i ponownie zajął się wyspą. Zniszczy Aruk, wyludni i odbuduje wedle własnego pomysłu.

Moreland twierdził, że Hoffmanem powodowała wyłącznie chciwość, ale ja w to nie

wierzyłem.

Wyobraziłem go sobie przy lunchu z braćmi od Stasher-Laymana. Akcje zmieniają właściciela, trwa dyskusja o lokalizacji budowy przewidzianej w wielomiliardowym kontrakcie, Hoffman ma dostać swoją część.

Ludzkie odpady pospołu z plutonem, kobaltem i strontem.

Zapotrzebowanie na odizolowane miejsce. Odległą wyspę pozbawioną wyborców.

Hoffman uśmiecha się i składa swoją propozycję.

Dowiaduje się, że Moreland nadal mieszka na Aruk, ale nie jest w stanie lub nie chce zapobiec degradacji gospodarczej wyspy. Liczba ludności maleje, czeki pomocy społecznej nadchodzą regularnie, upadający handel jest całkowicie uzależniony od bazy marynarki.

Wysyła zespół pilotażowy: Creedman, Haygood, małżeństwo Picker. Prawdopodobnie jeszcze kogoś. Cel: przyspieszyć upadek i odosobnić Morelanda tak, aby tanio się sprzedał.

Wtedy Moreland zaczyna pisać listy i zespół dostaje polecenie szybszego działania.

Creedman i Haygood decydują się na przerażający czyn – perwersyjną powtórkę morderstwa, które zrujnowało ich karierę. Dodatkowa korzyść: zademonstrowanie własnej nienawiści do kobiet.

Zespół... Katastrofa pyskatego Lymana Pickera była wypadkiem, czy też skutkiem narażenia się tym z góry?

Haygood, mieszkający na lotnisku Harry'ego Amalfiego, bez trudu mógł uszkodzić samolot.

Creedman... Katastrofa miała miejsce zaraz po tym, jak wypiliśmy z nim piwo przed restauracją. Creedman i Jacqui weszli do środka, ale po wybuchu tylko Jacqui pojawiła się na zewnątrz.

Creedman nie pofatygował się, bo wiedział, co się stało.

Wiedział ktoś jeszcze: Jo, która zrezygnowała z lotu w ostatniej chwili. Zrezygnowała

również z kolacji w bazie, aby podłożyć nam karaluchy. A teraz była na górze z Pam..

– Dobrze, wynośmy się stąd – powiedział Haygood, wskazując wyjście.

– W tych pudłach w tunelu – odezwał się Creedman – może być coś ważnego.

– One także mogą być podłączone. Sprawdzimy to później.

– Otworzyłem kilka z nich – powiedziałem. – Znalazłem wyłącznie żywność i lekarstwa, a także butelki z wodą. Już mówiłem, przygotowuje się on na koniec świata.

– Nie bądź taki usłużny – rzekł Creedman. – Na nic ci się to nie zda.

– Chodźmy – powiedział Haygood. – Wychodzimy. – Zupełnie jakby prowadził wycieczkę.

Odwrócił się plecami do pokoju muzycznego i pognął nas przodem.

– Prawdę powiedziawszy, ma on tu kilkoro dzieci – odezwałem się. Z gardła Morelanda wydobył się chrapliwy dźwięk.

– Ach, tak? – powiedział Haygood.

– O, tam – powiedziałem, wskazując na sypialnię. Haygood spojrzał w tamtą stronę. –

Chcecie zobaczyć? Zanim odpowiedział, zacząłem wołać:

– Dzieci, dzieci, dzieci!

Creedman zaklął, a dłoń Haygooda zacisnęła się na spluwie. Nie spuszczał wzroku z wejścia do sypialni.

Nikt się nie pojawił. Haygood uśmiechnął się.

– Bardzo zabawne. Naprzód!

I wtedy w drzwiach pokoju muzycznego pojawiła się mała, blada twarzyczka. A potem jeszcze dwie.

Trzy, cztery, pięć, sześć. Wszystkie z otwartymi ustami i szeroko rozwartymi ze zdziwienia oczami.

Z wyjątkiem niewidomego, który szybko zataczał rękami małe kółka.

W świetle neonówki ich zmiany chorobowe i blizny były wyraźnie widoczne.

Spokój Haygooda zniknął bez śladu.

Creedman zbladł.

– O, cholera – powiedział i przestał wpatrywać się we mnie. Uderzyłem go z całej siły poniżej nosa, a gdy padał, sięgnąłem po jego broń. Chybiłem. Odepchnąłem Robin i rzuciłem się na Creedmana.

Nadbiegł Haygood. Łagodni ludzie zaczęli skrzeczeć, chrypieć i dyszeć, spoglądali na Morelanda i łkali tym swoim charakterystycznym dla ofiar poparzenia łkaniem.

Moreland rzucił się ku nim. Haygood wymierzył broń w kark starca. Łagodni ludzie zblizali się i Haygood przestraszył się, odwrócił i wycofał.

Miałem w ręce pistolet Creedmana i wycelowałem mu w twarz.

Haygood złapał Morelanda i rzucił go na ziemię, kopnął w głowę i wycelował broń we mnie.

Pomiędzy nami byli łagodni ludzie. Jęcząc posuwali się w kierunku Haygooda, a on, przerażony, wycofał się do drzwi, które rzekomo miały połączenie z ładunkiem wybuchowym. Zatrzymał się.

Osaczony, zagubiony.

Widziałem jego miedziane włosy ponad cizbą łagodnych ludzi. Wycelowałem.

Sam również stanowałem łatwy cel. Haygood uniósł wysoko pistolet, odpychając łagodnych ludzi drugą ręką.

Gwałtownie rzuciłem się w prawo, tak aby łagodni ludzie nie znajdowali się pomiędzy nami.

Haygood zachwiał się, zatoczył i stracił mnie z oczu.

Moreland zerwał się na nogi i rzucił się na Haygooda.

Haygood zwrócił się ku niemu i wystrzelił. Z lewego ramienia Morelanda trysnęła krew.

Upadł.

Łagodni ludzie skupili się wokół leżącego twarzą w dół Morelanda. Haygood szukał mnie

wzrokiem, ale stałem za nim.

Strzeliłem do niego pięć razy.

Jego czarna peleryna rozerwała się. Stał przez chwilę. A potem osunął się na ziemię.

Łagodni ludzie jęczeli i łkali nad krwawiącym Morelandem.

Robin wykrzykiwała moje imię i wskazywała na coś ręką.

Creedman próbował się podnieść, zakrywając twarz dłonią. Pomiędzy palcami ciekła krew.

Jedno oko miał zapuchnięte, nos mu posiniał.

Przyłożyłem mu lufę do czoła. Upadł do tyłu.

Robin przycisnęła się do ściany i patrzyła na mnie. Na krew.

Moreland usiłował się podnieść. Zranione ramię zwisało bezwładnie. Drugą ręką przygarniał do siebie łagodnych ludzi.

Wpatrywali się jak zahipnotyzowani w zwłoki Haygooda. Poszarzała skóra, oczy, teraz naprawdę martwe, puste jak ślepia rekina. Z uchylonych ust wypływały różowe wymioty.

Tryskająca spod niego krew wypełniała zagłębienia w skalnej podłodze.

Podziurawiłem go jak sito.

Było mi niedobrze.

Nigdy nie miałem broni, nie wyobrażałem sobie, że mógłbym kogoś zabić.

I Robin była przy tym, widziała mnie.

Otrząsnąłem się z tych myśli na widok krwawiącego Morelanda. Rękaw miał purpurowy, a na podłogę kapały krople krwi. Nie zwracał na to uwagi, starając się uspokoić swoje dzieci.

Gdy podbiegła do niego Robin, powiedział:

– Wszystko w porządku, moja droga. Kula przeszła przez mięsień – latissimus. Krew żylna, nie tętnicza. Prawdopodobnie żyła odłokciowa... Nic mi nie będzie. Podaj mi czystą koszulę z tamtego pudła, to zatamuję krwawienie. – Uśmiechnął się do mniejszego z mężczyzn, którzy spotkali nas w końcu tunelu. – Mój mały Eddie. Tatusiowi nic nie będzie. Pomóż Gordonowi. – Wskazał niewidomego, który stał pod ścianą i z grymasem na twarzy młócił rękami powietrze. – Idź do niego, Eddie. Powiedz mu, że wszystko jest w porządku.

Mały garbusek posłuchał go. Nadeszła Robin i podała Morelandowi zwiniętą koszulę.

– Wspaniały bluff – powiedział doktor tamując krew i uśmiechając się do mnie. – Jesteśmy zgranym zespołem.

Jedna z łagodnych kobiet przyjrzała się Haygoodowi i zaczęła płakać.

– To zły człowiek – powiedział Moreland. – Zły, zły człowiek. Odszedł na zawsze, Sally. Już nigdy nie wróci.

Creedman jęknął. Twarz miał opuchniętą. Postawiłem go na nogi.

– Chodźmy stąd – powiedziała Robin.

– Została jeszcze Jo – powiedziałem. – Gdzie ona jest, Tom?

Creedman patrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Czyżbym mu aż tak mocno przyłożył?

Powtórzyłem pytanie. Krzyknął z bólu, pochylił głowę i zachwiał się na nogach.

Podtrzymałem go widząc, że wywracają mu się oczy.

Morelandowi udało się uspokoić łagodnych ludzi i prowadził ich do pokoju zabaw. Mimo rany zachował dawną energię.

– Posłuchajcie jeszcze trochę muzyki, dzieci. Jak brzmiała tamta piosenka?

Cisza.

– No jak?

– Bram, brum, brum.

– Powinniście także poczytać. Będziecie od tego mądrzejsi. Jimmy, przynieś parę książek.

Daj każdemu po jednej. A ja zaraz do was wrócę. Uśmiechnął się. Zamknął drzwi bawialni i zasunął zasuwę. Wewnątrz rozległa się muzyka.

– W porządku – powiedział i dopiero teraz dostrzegłem strach w jego oczach.

– Jest stąd jakieś inne wyjście poza tymi dwiema rampami? – spytałem.

– Chyba nie.

– Z obydwu stron możemy na kogoś trafić.

– Tutaj także jesteśmy w pułapce – powiedziała Robin. – Im dłużej tu zostaniemy, tym większe grozi nam niebezpieczeństwo. A ty nadal krwawisz, Bill.

– Nic mi nie będzie, moja droga.

– Tylne wyjście wyprowadzi nas do lasu, a tam zgubimy się w ciemnościach, więc głosuję za tunelem – powiedziałem.

Moreland nie oponował.

Potrząsnąłem Creedmanem, trzymając go za kark, wepchnąłem do jaskini. Był ciężki i bezwładny. Ręka, którą go uderzyłem, zaczynała mi pulsować.

– Idźcie za mną – poleciłem Robin i Morelandowi. – Jeżeli ktoś czeka na nas przy drzwiach, ten smakosz pójdzie na pierwszy ogień.

Droga powrotna wydała mi się znacznie krótsza. Moreland dotrzymywał nam kroku pomimo swego wieku i rany. Milczał, nie usiłując nas do niczego nakłaniać.

Tylko jeden raz spojrział na mnie z niemym błaganiem.

Zgodzić się? Zapomnieć o sprawach, które przemilczał?

Creedman szedł niepewnie, ale był przytomny. Zdał się całkowicie na mnie i musiałem popychać go krok po kroku. Cisza panująca w tunelu działała kojąco, dopóki nie pomyślałem o Haygoodzie, podziurawionym jak sito.

Przypomniałem sobie, co zrobił z AnneMarie i z Betty i przestałem mieć wyrzuty sumienia...

Gdy byliśmy dwadzieścia metrów od otworu, kazałem Creedmanowi zachowywać się cicho.

Twarz miał tak opuchniętą, że z trudem otwierał oczy. Z nosa sączył mu się krwawy śluz.

Doszliśmy do darniowych schodów i otwartego wjazdu. Laboratorium nad nami wyglądało jak żółte, kwadratowe słońce.

Ktoś zapalił światło.

Nie mieliśmy wyboru, trzeba było stąd wyjść. Ruchem ręki zatrzymałem Morelanda i Robin.

Stopień po stopniu windowałem w górę Creedmana. Jego kalosze skrzypiały, ale milczał. Gdy doszliśmy do szczytu, zaczął się opierać.

Dźgnąłem go lufą w plecy.

Jeszcze trzy stopnie. Zatrzymaliśmy się.

Na górze cisza.

Dwa stopnie. Jeden.

Ani śladu Jo.

Byliśmy w środku.

Pokój wyglądał tak, jak go pozostawiliśmy. Za wyjątkiem drzwi do biura.

Siedział w nich przywiązany do fotela, zakneblowany mężczyzna.

Chudy, ze zjeżonymi włosami i zmierzwioną brodą.

Carl Sleet. Ogrodnik, którego głos przez telefon zwabił Bena do parku.

Spojrzał na Creedmana i zwęziły mu się źrenice. Zacisnął palce, ręce miał przywiązane do

poręczy plastikową taśmą. Taką, jakiej używają policjanci. Czyżby to Haygood tak go potraktował?

Nie, bo Creedman sprawiał wrażenie równie zdumionego jak ja.

Stałem zastanawiając się, co robić dalej.

W drzwiach ukazała się Jo, z uniesionymi do góry rękami, bez broni.

– Nie strzelaj – powiedziała wesoło. – A teraz może usunę ci z drogi mojego łotra, żebyś mógł wprowadzić swojego.

Pistolet Jo leżał na książkach na biurku Morelanda, daleko od niej.

Coś mi z daleka pokazała.

Biała karta w czarnej skórzanej oprawie i srebrna odznaka. Na karcie jakaś rządowa pieczęć, ale nie zdołałem stąd odczytać drobnego druku.

– Gdzie Robin i doktor Moreland? – spytała.

– Czekają, aż im powiem, że droga jest wolna.

– Słyszałam strzały. Czy ktoś został trafiony?

Ponieważ nie odpowiedziałem, roześmiała się i pomachała kartą.

– Nie bój się, jest autentyczna. Tyle że na inne nazwisko.

Podszedłem bliżej.

Ministerstwo Obrony i numer działu, który nic mi nie mówił. JANE MARCIA BENDIG,
STARSZY ŚLEDCZY.

Stałem, podtrzymując Creedmana. Żałowałem, że nie mam trzech dodatkowych rąk i spluwy w każdej z nich.

– Posłuchaj, rozumiem, że jesteś ostrożny – powiedziała – ale gdybym chciała cię zastrzelić, już byś nie żył. Ja nie chybiam. Nie odpowiedziałem.

– Dobrze – powiedziała. – Mogę mieć z tego powodu wielkie kłopoty, ale czy poczujesz się

lepiej, jeżeli oddam ci swoją broń?

– Może.

– Jak sobie życzysz. – Odstąpiła, a ja schwyciłem jej pistolet, ciągle mając swój wycelowany w Creedmana.

– Teraz w porządku? – spytała. Przeraził mnie własny śmiech.

– Całkowicie.

– No to daj znać swoim przyjaciołom. Moreland i Robin weszli do laboratorium.

– Twoje ramię nie wygląda najlepiej, doktorze – powiedziała Jo.

– Nic mi nie jest.

– Nie wygląda dobrze.

– Nie jesteś lekarzem. Carl Sleet jęknął.

– Zamknij się – powiedziała Jo i Carl ucichł.

– Carl? – zdziwił się Moreland.

– Carl był niegrzeczny – wyjaśniła Jo. – Podkradał pieniądze z kasy, narzędzia,

przywłaszczył sobie twój zestaw chirurgiczny. Podkładał karaluchy do pokoi. Kiedy myśli, że nikt go nie widzi, wymiguje się od roboty. Od pewnego czasu mam go na oku. Dzisiaj wieczorem nie wyszedł z innymi pracownikami, tylko ukrył się w szopie z narzędziami. Wyobrażał sobie, że to on śledzi mnie. – Uśmiechnęła się. – Zostawiłam Pam i wróciłam, żeby go pilnować. Czy wiesz o tym, że sobie podśpiewujesz, gdy ci się nudzi, Carl? Nie jest to godne polecenia, gdy się siedzi w ukryciu.

Carl poruszył się w fotelu.

– Kiedy weszliście z Robin do minizoo – zwróciła się do nas. – Carl ukrył się w krzakach

i podglądał was. Odczekał, a potem zatelefonował z aparatu w laboratorium. Jego kumple

przybyli tu w okamgnieniu – prawdopodobnie czekali na drodze za bramą. Zostawili go tutaj na

czatach, weszli do laboratorium, pobyli tam jakiś czas i wrócili. Potem skierowali się w stronę muru. Wtedy widziałam ich po raz ostatni. Postanowiłam zająć miejsce Carla. Chciałabym teraz odzyskać mój pistolet. Mam w pokoju inny, ale, jak powiedziałam, wolę uniknąć kłopotów.

Zawahałam się.

– Bardzo proszę – powtórzyła głośniej. Podałam jej pistolet.

– Dziękuję. A teraz zajmę się twoim łotrem.

Oddałam jej Creedmana. Związała mu ręce za plecami i podprowadziła do Carla.

– Carl – powiedział ze smutkiem Moreland. Sleet unikał jego oczu.

– Dobrze – powiedziała Jo. – Zostawmy tych wyrzutków i zajmijmy się twoim ramieniem.

– Carl, po tylu latach... – nie mógł uwierzyć Moreland.

– Przez wszystkie te lata Carl żywił do ciebie urazę, doktorze. A przynajmniej tak się sam przed sobą usprawiedliwia. Jestem przekonana, że pieniądze, które mu zapłacono, także odniosły skutek.

– Urazę? – powtórzył Moreland. Sleet nadal unikał jego wzroku.

– Coś w związku z kuzynem, który zobaczył potwora i umarł na atak serca – wyjaśniła Jo. –

Carl twierdzi, że zamiast dać mu lekarstwo na serce, powiedziałaś, że facet zwariował.

– To nieprawda. Miał zatkane arterie. Daleko zaawansowaną arteriosklero...

– Nie musisz mnie przekonywać. – Jo oswobodziła nogi Carla i ustawiła go twarzą do ściany.

Następnie popchnęła pod ścianę Carla.

– Czy Sleet przyznał się, że wezwał Bena do parku? – spytałam.

– Nie.

Opowiedziałam jej, co powiedział mi Ben.

– Cóż – powiedziała – sądzę, że Carl okaże się chętniejszy do współpracy, gdy uzmysłowi sobie, co to znaczy być oskarżonym o udział i w wielokrotnym morderstwie.

Creedman zeszywniał, a Jo dodała:

– Zakładam, że niektóre z tych pięciu strzałów trafiły Haygooda.

– Wszystkie pięć – odparłem.

– Zginał, czy zostawiłeś go, żeby się wykrwawił?

– Zginał.

– Nie ma nic gorszego od gliniarza, który wszedł na złą drogę – stwierdziła. – Jeszcze przed wpadką w Maryland był podejrzany o kilka włamań. On i pan Creedman robili złe rzeczy od długiego czasu.

– Kto im płacił? – spytałem. – Stasher-Layman?

– Nie ma ich nazwisk na żadnym z czeków. Wszystko opłacone gotówką. Obecny tu pan Creedman jest stypendystą. Czy Haygood naprawdę nie żyje? – zapytała z wyraźną satysfakcją w głosie.

Pomyślałem o Haygoodzie majstrującym przy samolocie.

– Twój mąż...

– Nie był moim mężem. Chociaż byliśmy w... związku.

– Czy on także był...

– Uchodził za botanika. Dotrzymywał mi towarzystwa. Próbowałam mu wyperswadować, żeby nie leciał tym wrakiem. Podróżowanie ze mną zawsze było dla niego trudne – to prawda.

A teraz zostawmy tych kretynów w jakimś bezpiecznym miejscu i zajmijmy się ramieniem doktora. Czy tunel prowadzi do lasu?

– Tak – odparł Moreland.

– Co tam robisz, doktorze? Moreland nie odpowiedział. Zmarszczyła czoło.

– Daj spokój, nie jestem twoim wrogiem.

– To długa historia – powiedziałem. – Bardzo długa.

Zaprowadziliśmy Sleeta i Creedmana do domu i zamknęliśmy w oddzielnych pomieszczeniach w piwnicy. Ułożyliśmy Morelanda na kanapie w pokoju frontowym. Z kuchni nadbiegła Gladys, zobaczyła zakrwawiony rękaw i zakryła usta rękami.

– Został postrzelony, ale to nic groźnego – wyjaśniła Jo. – Powiedz Pam, żeby przyniosła swoją torbę lekarską.

Gladys wbiegła na schody i po kilku sekundach zjawiała się Pam z czarną torbą w ręku.

Moreland pomachał do niej ręką.

– Witaj, kotku.

Pam powstrzymując łzy otworzyła torbę i kucnęła obok niego.

– Och, tatusiu!

– Wszystko w porządku, kotku. Wyjęła z torby nożyczki i rozcięła rękaw.

– Oczyszć latissimus. Nie tętnicę...

Jo skinęła na mnie i Robin.

Kiedy wychodziliśmy, Moreland zawołał mnie po imieniu.

Zatrzymałem się.

– Dziękuję, Alex. – I jeszcze jedno błagalne spojrzenie.

W salonie Jo usiadła w fotelu pod portretem pięknej, smutnej Barbary Moreland.

– Powiedzcie mi, co jest tam na dole.

Zaczęliśmy opowiadać.

Usiłowała zachować spokój, ale nie mogła ukryć zaskoczenia.

– Nie do wiary, sześćoro ludzi, przez tyle lat...

– Zamknięci dla ich dobra – powiedziała Robin.

– Niesamowite. Czy nie sądzisz, że on jest szalony? Pytam cię jako psychologa.

– Ma na tym punkcie obsesję – odparłem. – A jednocześnie to swojego rodzaju bohater.

Wszyscy inni zginęli w tym samolocie.

– Samolot... lubują się w katastrofach lotniczych, prawda...? Musieli się jakoś dowiedzieć, że Ministerstwo Obrony przysłała tu kogoś, i wyobrazili sobie, że to Ly. A on chciał tylko spojrzeć z góry na drzewa i przywieźć trochę zdjęć dla swoich kumpli. Doszli więc do wniosku, że to on jest agentem, a ja tylko płaczę się przy nim – bo poza wszystkim są męskimi szowinistami. –

Zaśmiała się sucho.

– Sześcioro... czyste szaleństwo... Czy tam na dole jest bezpiecznie?

– Są bezbronni – powiedziała Robin – i chorzy. Opowiedziała o ich fizycznych anomaliach.

– Jak on nazwał tę trującą szczepionkę?

– „Rajska igła”.

– Prawdziwy prezent gwiazdkowy! Od lat próbujemy znaleźć jakieś finansowe niedociągnięcia, a tymczasem coś takiego wpada nam w ręce. Czy Moreland zachował listę zaszczepionych?

– Tak twierdzi. Oczy Jo zabłyśły.

– Czy ci ludzie są zapóźnieni w rozwoju?

– Tak – odparłem.

– Ale nie są całkiem bezwolni?

– Przypominają małe dzieci.

– Czy jest szansa, by mogli zeznawać przed sądem?

– Nie wyobrażam sobie jak. Oprócz niedorozwoju umysłowego nie mogą mówić. Mają zniszczone struny głosowe. Wzdrygnęła się.

– A jednak... wystarczy ich pokazać. Możemy ich nagrać na wideo, a Moreland opíše ich schorzenia.

– Zbierasz dane przeciw Hoffmanowi, czy przeciw całej organizacji Stasher-Layman?

Uśmiechnęła się.

– Powiedzmy, że pracujemy nad tym od dawna.

– Szukacie finansowych niedociągnięć?

– Czegoś, co odbija się potem na naszych podatkach... Muszę zejść na dół i zobaczyć ich na własne oczy. Wezmę aparat fotograficzny i będę wdzięczna, jeśli ktoś z was zaprowadzi mnie tam.

– Nie zbliżałbym się do nich bez Morelanda – powiedziałem. – Tyle ostatnio przeżyli i są bardzo wrażliwi.

– Na co?

– Moreland wspomniał o świetle słonecznym, ale może być coś jeszcze.

– Jak na nich działa światło słoneczne?

– Niszczy skórę.

– Mój flesz nie emituje promieni ultrafioletowych.

– Wpadną w panikę na twój widok. Przebywają pod ziemią od tak dawna. Poczekajmy do czasu, gdy będziemy pewni, że nie zrobimy im krzywdy.

Zastanowiła się.

– Dobrze... ale muszę to zobaczyć. Jeżeli Moreland ma rację, że zraniono mu tylko mięsień, sam będzie mógł mnie tam zaprowadzić. – Spojrzała na zegarek i wstała. – Chodźmy sprawdzić, jak się miewa.

– Jego jedynym celem w życiu była troska o nich – powiedziała Robin. – Nie pozwoli, by się nimi posługiwano.

– Rozumiem, że ma swoje zasady, ale świat się zmienia, trzeba się przystosowywać. –

Kosmyk włosów opadł jej na oko, odgarnęła go. Przy pasie miała spluwę. Musnęła palcem kolbę.

– Zmienia się bardzo szybko.

Obandażowana ręka Morelanda spoczywała na jego piersi. Z ust wystawał mu termometr.

Zostaniesz tutaj, tatusiu, czy lepiej cię przenieść na górę?

– Zostanę, kotku. – Spostrzegł nas. – Nazywałem ją tak, gdy była mała. Spojrzenie Pam mówiło, że to jeszcze jeden dowód utraty pamięci. Zatrzasnęła swoją torbę lekarską.

– Jak się mamy? – zapytała Jo. Pomyślałem o tym, jak czekała na górze, wiedząc, że jesteśmy na dole z Creedmanem i Haygoodem. Posłużyła się nami.

– Przeżyję – powiedział Moreland. Rzucił mi ukradkowe spojrzenie.

– Wiem, co tam jest na dole, doktorze Moreland – powiedziała Jo. – Chciałabym to zobaczyć.

– Tatuś nigdzie nie pójdzie – zaproponowała Pam.

– To sprawa pierwszej wagi. Idzie o wielką stawkę, prawda, doktorze? Moreland nie odpowiedział.

– O czym mówicie? – nie zrozumiała Pam.

– To bardzo skomplikowane – odparła Jo. – Sądzę, że mogę bardzo pomóc twemu ojcu, jeśli on mi pomoże.

– O co chodzi, tatusiu?

Moreland wyciągnął rękę ku córce i ujął jej palce.

– Ona ma rację, kotku. To bardzo skomplikowane. Powinienem zejść na dół...

– Dokąd?

Moreland zamrugał oczyma.

– Kim ona jest, żeby ci dyktować, co masz robić, tatusiu? Brak odpowiedzi.

– Kim jesteś, Jo?

Jo błysnęła odznaką.

Pam wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę.

– To długa historia – powiedziała Jo. – Chodź, to coś ci powiem.

Objęła Pam tak samo, jak kilka godzin temu. Pam z gniewem strząsnęła jej rękę.

– Nie zostawię go samego.

– Wszystko... w porządku – powiedział Moreland. – Dziękuję, że się mną zajęłaś. Idź z nią.

Ze względu na mnie.

– Nie rozumiem, tatusiu.

– Robin – powiedział Moreland – czy mogłabyś pójść z nimi i pomóc to wyjaśnić”?

– Oczywiście – odparła Robin.

– Dlaczego ty mi nie powiesz, tatusiu?

– Powiem ci wszystko w swoim czasie. Teraz jednak chcę odpocząć. Pójdź z nimi. Proszę cię, kochanie.

Kiedy opuściły pokój, Moreland przywołał mnie skinieniem ręki.

Deszcz gwałtownie bębnił o szyby.

Przyglądał mi się. Przygryzał wargi. Mrugał oczyma.

– Pytałeś, co Hoffman ma na mnie... słyszałeś, co powiedział Creedman. Jest w tym pewna doza prawdy. – Z trudem odwrócił się twarzą w stronę oparcia kanapy. – W tamtych czasach byłem innym człowiekiem, Alex. Lubiłem kobiety. – Zwrócił się ku mnie twarzą. – Popełniłem wiele pomyłek. Bardzo istotnych.

– Wiem. Dennis myśli, że jego ojcem był marynarz, który zginął na morzu. A to nieprawda.

Usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Ja cię nie osądzam, Bill.

Pomimo że w pokoju było ciemno, dostrzegłem ciemne plamy na białej kanapie. Plamy krwi.

Oczy Morelanda były suche i zapadnięte.

– Kiedy się tego domyśliłeś?

– Płaciłeś za naukę Dennisa. Bardzo się zdenerwowałeś, że Pam i Dennis zbliżyli się do siebie. Tak się tym zaniepokoiłeś, że powiedziałaś o tym Jacqui, która przywołała Dennisa do porządku. Nie wydaje mi się, żebyś był rasistą. A po tym, co powiedział Creedman, wszystko nabrało sensu. Musiało ci być bardzo ciężko, skoro zgodziłeś się, by Pam wróciła do domu.

– Och! – westchnął. – Nie nadawałem się na ojca. Obydwoje wyrosli na lepszych niż na to zasługiwałem. Odesłałem Pamelę z domu, bo nie mogłem... nie umiałem sobie poradzić po śmierci Barbary. – Podparł się i usiadł. – Nie, to nie tak. Odesłałem ją, bo czułem się winny.

– Z powodu Jacqui?

– Jej i innych. Wielu innych. I rzeczywiście robiłem im aborcje. Barbara nie była ze mną szczęśliwa. Unieszczęśliwiłem ją. – Opadł na kanapę. – Ten łajdak miał rację, byłem obrzydliwym rozpustnikiem. Rozpustnikiem z przygotowaniem medycznym... ale Jacqui nie zgodziła się na usunięcie... Śmierć Barbary sprawiła, że zrozumiałem... Jakże mogłem mieć nadzieję, że uda mi się wychować córkę?

– A poza tym miałeś już dzieci.

Zamknął oczy.

– Wbiłem igłę w ich ramiona... Od tamtej pory moje życie stało się próbą odkupienia, ale wątpię, bym odkupił... Jacqui była taka piękna. Nie miała osiemnastu lat. Byłem zawsze... nienasycony, a Barbara była... damą. Miała inne... zainteresowania.

Samotna kobieta na plaży, na dzień przed śmiercią.

– To tamto dziecko wpłynęło na jej decyzję – powiedział. – Fakt, że posunąłem się tak daleko.

– W jaki sposób się dowiedziała?

– Ktoś jej powiedział.

– Hoffman?

– Możliwe. On i Barbara przyjaźnili się, byli partnerami do brydża.

– A więc Barbara wiedziała, że szachrował. Uśmiechnął się.

– Myślę, że można jej wybaczyć ten mały rewanż.

– Czy ich gra dotyczyła czegoś więcej niż brydż?

– Naprawdę nie wiem, wszystko jest możliwe. Jednak, jak już wspominałem, Barbara nie lubiła kontaktów fizycznych... pod koniec znienawidziła mnie. A jego zawsze lubiła, podziwiała jego zainteresowania kuchnią i krawiectwem.

– Więc dlaczego powiedział jej o Jacqui?

– Żeby mnie zranić. Po naszej kolacji w bazie rozmawialiśmy na wiele tematów. Łącznie z tym, że widział się z Barbarą w Honolulu na dzień przed jej śmiercią. To on zrobił zdjęcie, które ci pokazałem. Nie wiedziałem o tym. Przysłano mi je z hotelu, w którym mieszkała, z wyrazami ubolewania od dyrektora.

– Barbara pojechała do Honolulu specjalnie po to, żeby się z nim spotkać?

– Twierdził, że nie, że wpadli na siebie przypadkowo w barze hotelowym. Jakoby przyjechał tam w sprawach służbowych. Może to prawda. Barbara lubiła wypić drinka... Powiedział jej o Jacqui i Dennisie, a ona wyplakiwała się na jego ramieniu z powodu dziwki i małego bękarta. Powiedział, że była zdruzgotana. A potem się uśmiechnął – tym swoim uśmiechem.

– Ale jak on się dowiedział?

– W tamtych czasach nie byłem zbyt dyskretny – dyskrekcja nie jest zaletą podrywacza.

Tak więc Hoffman lub ktoś z jego obstawy z łatwością mógł coś usłyszeć, czy nawet zobaczyć.

W północnej części bazy stał pusty hangar. Oficerowie używali małych pomieszczeń biurowych na schadzki z miejscowymi dziewczynami. Nazywaliśmy je „pokojami zabaw”. Materace, napoje i przenośne radio, żeby stworzyć odpowiedni nastrój. Wciąż uważaliśmy się za bohaterów

wojennych.

– Czy Hoffman także sprowadzał tam dziewczyny?

– Nic o tym nie wiem. Jego jedyną namiętnością była żądza władzy.

– I kiedy Jacqui wydała na świat jasnowłose dziecko, domyślił się prawdy.

– Piękne dziecko – i piękna kobieta.

– Czy twoją miłością była tylko wyspa, Bill? Uśmiechnął się.

– Jacqui i ja... ona jest bardzo silną kobietą. Niezależną. Przez te lata osiągnęliśmy porozumienie. Prawdziwą przyjaźń. Myślę, że z korzyścią dla nas obydwójga.

– Silna. Przeciwnieństwo twojej żony. Czy Barbara miała skłonność do depresji?

Skinął głową.

– Przez całe lata cierpiała na chroniczną depresję. Wiele razy przechodziła kurację wstrząsową. W swoją ostatnią podróż do Honolulu udała się po to, by odwiedzić nowego psychiatrę. Jednak nie poszła na umówione spotkanie. Prawdopodobnie spędziła czas, popijając z Hoffmanem. Wyczuł jej stan, powiedział, co zrobiłem, i następnego ranka weszła do oceanu. Ramię zaczęło mu doskwierać i nie mógł złapać powietrza. Pomogłem mu ułożyć się wygodniej.

– Teraz już wiesz, co na mnie ma. Zachowanie tego w sekrecie przed Pam. Zabiłem jej matkę, wspólnie z Hoffmanem. Pod tym względem jesteśmy współnikami. Barany szczepione rogami. Piękne porównanie, przyjacielu. Czy nie gniewasz się, że tak cię nazywam?

– Nie, Bill.

– Przez wszystkie te lata nie wydałem go. Przekonywałem samego siebie, że robię to ze względu na bezpieczeństwo dzieci. Dziś w nocy zacząłeś mi zadawać pytania i zostałem zmuszony stawić czoło rzeczywistości. Zgodziłem się, bo wiedziałem, że prawda zrujnowałaby życie Pam. Odesłałem ją z domu, bo przygniatał mnie ciężar winy, a także dlatego, że nie

chciałem, by kiedyś spotkała się z Dennisem... Cóż się jednak stało? Wróciła. I zaczęło się... –

Złapał mnie za rękę i ścisnął. – Co mam począć? Nie ma ucieczki.

– Powiedz jej.

– Nie mógłbym.

– W odpowiednim czasie będziesz do tego zdolny.

– Mężczyźni źle ją traktują, bo ją porzuciłem! Znienawidzi mnie!

– Miej do niej trochę zaufania, Bill. Ona cię kocha i chce się zbliżyć do ciebie. Brak bliskości jest dla niej źródłem najdotkliwszego bólu. Zakrył twarz dłońmi.

– To się nigdy nie skończy, prawda?

– Ona cię kocha – powtórzyłem. – Kiedy się dowie o tym, jak wiele dobrego dokonałeś, kiedy cię naprawdę pozna, będzie gotowa zapłacić tę cenę.

– Cenę... – powiedział słabym głosem. – Wszystko ma swoją cenę... mikroekonomika egzystencji. – Spojrzał na mnie. – Czy chciałbyś wiedzieć coś jeszcze?

– Nie, chyba że ty sam chcesz mi coś jeszcze powiedzieć.

Długa cisza. Zamknięte oczy. Poruszające się usta. Nieartykułowane dźwięki.

– Co takiego, Bill?

– Okropności – wymamrotał. – Czas mamy.

– Popeliłeś błędy – powiedziałem – ale zrobiłeś również wiele dobrego. – Ot, takie gadanie psychologa.

Skrzywił się. Ująłem jego zimną, bezwładną rękę.

– Bill?

– Okropności – powtórzył. I zasnął.

Piękny wielki pokój w pięknym wielkim hotelu. Przeszklona ściana, przez którą widać białą plażę i szalejące fale. Wczoraj widziałem tańczące delfiny.

Trzy pozostałe ściany z drewna koa ze słojami tak gęstymi, że można by z nich odczytać niejedną historię. Ponad czarną granitową posadzką kryształowe zyrandole. Od frontu stół bankietowy, uginający się od owoców papai i mango, bananów i winogron oraz pomarańczowożółtych, słodkich jak miód, dojrzałych ananasów.

Lśniące srebrne czajniki z kawą.

Mniejsze stoły, okrągłe, nakryte na dziesięć osób, porozstawiane w holu. Setki mężczyzn i kilka kobiet. Siedzą, jedzą, popijają kawę i słuchają.

Robin i ja oglądamy telewizję w naszym apartamencie na górze. Służba hotelowa, olejek do opalania z filtrem, gazety i czasopisma – wszystko do naszej dyspozycji.

– Oto on – powiedziała Robin.

Hoffman stał u szczytu dużego stołu, ubrany w kawowy garnitur, białą koszulę i żółty krawat.

Za nim transparent.

Przemówił, zaczekał na oklaski, uśmiechnął się.

ROZWÓJ OBRZEŻA PACYFIKU: NOWA JUTRZENKA – głosił transparent.

Jeszcze jedno mądre hasło.

Hoffman mówił dalej, uśmiechał się i czekał na oklaski.

A potem zamilkł i tylko się uśmiechał.

Wyraz jego oczu uległ zmianie. Pojawił się w nich cień zakłopotania.

Gdybym na to nie czekał, prawdopodobnie nic bym nie zauważył.

Gdybym na to nie czekał, nie oglądałbym C-Span.

Kamera pozostawiła go i pokazała wnętrze sali.

Zbliżał się wysoki, wymizerowany mężczyzna w ciemnoszarym garniturze.

Obok niego postępowała kobieta, którą znałem początkowo jako Jo Picker, a potem jako Jane Bending. Wyglądała bardzo oficjalnie w granatowym kostiumie i białej bluzce ze stójką. Przez ostatnie trzy dni pracowała prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Łatwiejsza część roboty polegała na wysyłaniu zmyślonych sprawozdań pocztą elektroniczną, za pomocą komputera Creedmana, trudniejsza – na przekonywaniu Morelanda, żeby zgodził się na publiczną pokutę. Pewną pomoc stanowili lekarze i psychologowie z centrum medycznego. Przebadali dzieci z troską i współczuciem, przekonując tym Morelanda, że nie są technokratami.

Jane mówiła mu o moralności i rozgrzeszeniu.

W końcu przekonała go.

Teraz szedł przed nią.

Za nimi sześciu mężczyzn w niebieskich garniturach otaczało coś przysłoniętego materiałem podobnym do czarnego całunu.

Czarna rzecz z nogami, jak koń cyrkowy.

Ludzie przy stolikach najwyraźniej byli zdziwieni.

Moreland i Jo szli dalej. Czarny materiał powiewał.

Kilku mężczyzn w pobliżu Hoffmana poruszyło się, ale inni ich powstrzymali.

Zbliżenie twarzy Hoffmana, nadal uśmiechniętej.

Wymamrotał jakieś polecenie skierowane do mężczyzny stojącego za nim, ale nie pozwolono mu ruszyć się z miejsca.

Moreland podszedł do Hoffmana.

Ktoś krzyknął:

– Co tu się dzieje? Hoffman opamiętał się.

– Panie i panowie – zawołał – ten człowiek nęka mnie już od dłu...

Mężczyźni w niebieskich garniturach unieśli ręce i czarny materiał odpłynął.

Naszym oczom ukazało się sześcioro niekształtnych, łagodnych ludzi z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami i pogodnymi, jak u sytych niemowląt, twarzami. Wyniszczoną skórę bezlitośnie oświetlał żyrandol. Lekarze z centrum medycznego stwierdzili, że zagrożenie stanowią jedynie promienie ultrafioletowe. Czarny materiał osłaniał ich przed oczami gapiów.

Przez salę przeszła fala westchnienia.

Niewidomy zaczął wymachiwać rękami, wpatrując się w lampę pustymi oczodołami.

– Mój Boże! – odezwał się jakiś głos.

Na granitową posadzkę upadła szklanka.

Dwóch mężczyzn w niebieskich garniturach ujęło Hoffmana pod ramiona.

Moreland powiedział:

– Nazywam się Woodrow Wilson Moreland. Jestem lekarzem. Mam wam coś do opowiedzenia.

Hoffman przestał się uśmiechać.

Kilka dni później leciałem do Los Angeles. Kabina pierwszej klasy, siedzenia jak fotele klubowe. Ministerstwo Obrony było tak szczodre, że Spike również miał do dyspozycji własny fotel, na którym siedział zamknięty w klatce.

Na kolację podano faszerowanego łososia. Pozwoliłem sobie na pół butelki chablis i zasnąłem. Robin wypić zaledwie trzecią część szklanki i także usnęła. Poczułem ciężar jej głowy na przykrytym pledem ramieniu.

Najpierw miałem różne słodkie sny, a potem zacząłem myśleć o Haygoodzie. Jaki był jako dziecko? Czy miał matkę, która będzie go opłakiwać?

Głupie myśli, ale nieuniknione. Próbowałem się z nich otrząsnąć, pomyśleć o czymś przyjemnym.

Ben uwolniony. Zaświtała nadzieja dla Aruk.

„Dzieciaki” zostały wypuszczone z jaskini i są pod dobrą opieką.

Moreland w szpitalu, przebadany. Żadnego Alzheimera ani tajemniczej choroby neurologicznej, po prostu starość i wielkie wyczerpanie.

Odwiedziłem go na godzinę przed odlotem. Nie powiedział jeszcze Pam ani Dennisowi.

Przemyślałem całe jego życie.

Jakiego trzeba heroizmu, żeby stworzyć siebie na nowo.

Trzydziestoletnia przemiana z lekkomyślnego kobieciarza w świętego patrona wyspy Aruk.

Jednak nadal czuje się winny.

Inne grzechy?

Czyny, których nie da się odpokutować?

Kiedy opuszczałem jego pokój szpitalny, krzyknął za mną:

– Czas mami!

To samo, co powiedział krwawiąc na białej kanapie.

Jeszcze jedna spowiedź?

Cóż, to już wszystko. Czy chciałbyś wiedzieć coś jeszcze?

Zimne dłonie...

Nie, chyba że sam chcesz mi coś jeszcze powiedzieć.

Długie milczenie, zanim zamknął oczy i wymamrotał.

Okropności... Czas mami.

Czuł się bezbronny i oddawał się w moje ręce.

Za pierwszym razem pocieszałem go, zamiast pójść za tropem. Za drugim razem po prostu odszedłem.

Nie chciałem poznać prawdy?

Okropności.

Czas jest ułudą.

Jego swoisty sposób mamienia. Przedstawiał zawoalowaną prawdę, zmieniając czas i okoliczności.

Opowiadał mi o ludożerczym kulcie cargo, bo podejrzewał, że śmierć AnneMarie była częścią afery o podłożu finansowym.

Wspominał wybuch jądrowy, bo sam brał udział w innym technologicznym horrorze.

Dyskutował o wizjach Josepha Cristobala i A Tutalo, bo nie chciał mi wyznać tajemnicy dotyczącej jego dzieci.

I jeszcze coś.

Przypadek, który omawiał ze mną na samym początku. Omawiał bardzo szczegółowo, ale nie potrafił znaleźć dokumentacji.

Może w ogóle nie istniała?

Kobieta-kot.

Ładna kobieta... o miłym usposobieniu... bez nałogów.

Maltretowana i poniżana przez romansującego męża – zmuszana do patrzenia, jak uprawiał miłość z inną kobietą.

Mąż umarł wiele lat później. Zżarty przez raka płuc.

Zmiażdżona klatka piersiowa...

Mc mi nie jest, kotku.

Kotku, kotku... nazywałem ją tak, gdy była mała.

A Pam tego nie pamiętała.

Odesłana z domu zbyt wcześnie, by cokolwiek zapamiętać.

Jednak Moreland pamiętał wszystko.

Umieścił ją w najlepszych szkołach, zmienił w sierotę, która wyrosła na kobietę poniżaną przez mężczyzn.

Poślubiła romansującego sadystę. Nie czerpała przyjemności ze współżycia fizycznego.

Poniżana... Czy ona także patrzyła na swego męża, kopulującego z inną?

Te jej smutne oczy. Skłonność do depresji. Bliska samobójstwa, jak wyznała Robin.

Tak wrażliwa, że jej terapeuta szukał dla niej oparcia w rodzinie, o czym powiadomił telefonicznie Morelanda.

Ku zaskoczeniu Pam, ojciec przyleciał do Filadelfii. Mogła się wyplakać na jego ramieniu.

Czy coś jeszcze?

Czy wtajemniczyła go w swoje poniżenie?

A może wynajął prawników, żeby poznać fakty?

Mały kotek... wylewający serdeczne łzy z dala od tatusia.

Prawda zadręcza tatusia. Z poczucia winy, że odesłał ją z domu.

Poczucie winy, bo kiedyś był dokładnie taki sam, jak mężczyzna, który ją skrzywdził.

Po kilku dniach ten romansujący mąż ginie w dziwnym wypadku.

Zmiażdżona podczas ćwiczeń w siłowni klatka piersiowa.

I „kotek” powraca do domu rodzinnego.

Czy chciałbyś wiedzieć coś jeszcze?

Nie, chyba że ty sam chcesz mi coś jeszcze powiedzieć.

Czy Moreland zakradł się do młodego chirurga? Czy też wynajął kogoś, żeby wykonał robotę? Był zamożnym człowiekiem, nawykłym do załatwiania spraw wedle swego uznania.

Z obsesyjnym talentem do wyszukiwania racjonalnych usprawiedliwień dla ekstremalnych działań...

Ciężar opadający na pierś aroganta...

Mężczyzna, który tak głęboko zranił jego „kotka”.

A może to był wypadek i tylko dałem się ponieść wyobraźni?

Okropności!

Wszystko możliwe...

Nigdy się nie dowiem.

A czy mi na tym zależy?

W danej chwili zależało, ale może któregoś dnia przestanę o tym myśleć.

Poczułem oddech Robin, gorący, pachnący kawą i winem.

Uśmiechnęła się do mnie ładna, ciemnowłosa stewardesa.

– Wygodnie, doktorze?

– Tak, dziękuję.

– Wraca pan do domu?

– Aha.

– Szkoda, że to już koniec urlopu, prawda?

– Nie – odparłem. – Chętnie powrócę do rzeczywistości.